

ANDRZEJ SAPKOWSKI

COŚ SIĘ KOŃCZY, COŚ SIĘ ZACZYNA

POLITYKA
poleca

superNOWA

Spis rzeczy

Droga z której się nie wraca

Muzykanci

W leju po bombie

Coś się kończy coś się zaczyna

Battle Dust

Złote popołudnie

Zdarzenie w Mischief Creek

"Droga, z której się nie wraca"

Ptak o pstrokatych piórkach, siedzący na ramieniu Visenny, zaskrzeczał, zatrzepotał skrzydełkami, z furkotem wzbił się i poszybował między zarośla. Visenna wstrzymała konia, nasłuchiwała chwilę, potem ostrożnie ruszyła wzdłuż leśnej dróżki.

Mężczyzna zdawał się spać. Siedział opierając się plecami o słup pośrodku rozstaju. Z bliższej odległości Visenna zobaczyła, że oczy ma otwarte. Już wcześniej spostrzegła, że jest ranny. Prowizoryczny opatrunek, pokrywający lewe ramię i biceps, przesiąknięty był krwią, która jeszcze nie zdążyła szernieć.

- Witaj, młodzieńcze - odezwał się ranny, wypływając długie żdźbło trawy. - Dokąd zmierzasz, jeśli wolno spytać?

Visennie nie spodobał się ten "młodzieniec". Odrzuciła kaptur z głowy.

- Spytać wolno - odpowiedziała - ale wypadaloby uzasadnić ciekawość.

- Wybaczcie, pani - rzekł mężczyzna, mrużąc oczy. - Nosicie męski strój. A co do ciekawości, to jest ona uzasadniona, a jakże. To jest niezwykle rozdroże. Spotkała mnie tu interesująca przygoda...

- Widzę - przerwała Visenna, patrząc na nieruchomy, nienaturalnie skrzycony kształt, na wpół zagrzebany w poszyciu nie dalej niż dziesięć kroków od słupa.

Mężczyzna podążył za jej spojrzeniem. Potem ich oczy spotkały się. Visenna, udając, że odgarnia włosy z czoła, dotknęła diademu ukrytego pod opaską z węzowej skóry.

- A tak - rzekł ranny spokojnie. - Tam leży nieboszczyk. Bystre macie oczy. Pewnie uważacie mnie za rozbójnika? Mam rację?

- Nie masz - powiedziała Visenna, nie odejmując ręki od diadem.

- A... - zająknął się mężczyzna. - Tak. No...

- Twoja rana krwawi.

- Większość ran ma taką dziwną właściwość - uśmiechnął się ranny. Miał ładne zęby.

- Pod opatrunkiem zrobionym jedną ręką będzie krwawić długo.

- Czyżbyście chcieli zaszczyć mnie swoją pomocą?

Visenna zeskoczyła z konia, drążąc obcasem miękką ziemię.

- Nazywam się Visenna - powiedziała. - Nie zwykłam robić nikomu zaszczytów. Poza tym nie cierpię, kiedy ktoś zwraca się do mnie w liczbie mnogiej. Zajmę się twoją raną. Możesz wstać?

- Mogę. A muszę?

- Nie.

- Visenna - powiedział mężczyzna, unosząc się z lekka, by ułatwić jej odwinienie

płótna. - Ładne imię. Mówił ci już ktoś, Visenna, że masz piękne włosy? Ten kolor nazywa się miedziany, prawda?

- Nie. Rudy.

- Aha. Jak skończysz, ofiaruję ci bukiet z łubinu, o, tego, co rośnie w rowie. A w czasie operacji opowiem ci, ot tak, dla zabicia czasu, co mi się przydarzyło. Nadszedłem, wystaw sobie, tą samą drogą co i ty. Widzę, stoi na rozstaju słup. O, właśnie ten. Do słupa przymocowana deska. To boli.

- Większość ran ma taką dziwną właściwość. - Visenna oderwała ostatnią warstwę płótna, nie starając się być delikatną.

- Prawda, zapomniałem. O czym ja... Ach, tak. Podchodzę, patrzę, na desce napis. Strasznie koślawy, znałem kiedyś łucznika, który potrafił ładniejsze litery wysikać na śniegu. Czytam... A to co ma być, moja panno? Co to za kamyk? O, do licha. Tego się nie spodziewałem.

Visenna powoli przesunęła hematyt wzdłuż rany. Krwawienie ustało momentalnie. Zamknąwszy oczy, uchwyciła ramię mężczyzny oburącz, mocno dociskając brzegi skaleczenia. Odjęła ręce - tkanka zrosła się, pozostawiając zgrubienie i szkarłatną pręgę.

Mężczyzna milczał, bacznie się jej przypatrując. Wreszcie podniósł ostrożnie ramię, rozprostował je, potarł szramę, pokręcił głową. Naciągnął skrwawiony strzép koszuli i kubrak, wstał, podjął z ziemi pas z mieczem, kiesą i manierką, spinany klamrą w kształcie smoczego łba.

- Tak, to się nazywa mieć szczęście - powiedział, nie spuszczając z Visenny oka. - Trafiłem na uzdrowicielkę w samym środku puszczy, w widłach Iny i Jarugi, gdzie zwykle łatwiej o wilkołaka albo, co gorsza, pijanego drwala. Jak będzie z zapłatą za leczenie? Chwilowo cierpię na brak gotówki. Wystarczy bukiet z łubinu?

Visenna zignorowała pytanie. Podeszła bliżej do słupa, zadarła głowę - deska przybita była na wysokości wzroku mężczyzny.

- "Ty, który nadejdiesz od zachodu - przeczytała na głos. - W lewo pójdziesz, wrócisz. W prawo pójdziesz, wrócisz. Wprost pójdziesz, nie wrócisz". Bzdury.

- Dokładnie to samo pomyślałem - zgodził się mężczyzna, otrzepując nogawki z igliwia. - Znam te okolice. Prosto, to jest na wschód, idzie się ku przełęczy Klamat, na kupiecki trakt. Niby dlaczego nie można stamtąd wrócić? Takie ładne dziewczęta spragnione zamążpójścia? Tania gorzałka? Wakujące stanowisko burmistrza?

- Nie trzymasz się tematu, Korin.

Mężczyzna otworzył usta, zdumiony do granic.

- Skąd wiesz, że nazywam się Korin?

- Sam mi to mówiłeś przed chwilą. Opowiadaj dalej.

- Tak? - Mężczyzna spojrzał na nią podejrzliwie. - Doprawdy? No, może... Na czym skończyłem? Aha. Czytam więc i dziwię się, co za baran wymyślił ten napis. Naraz, słyszę, ktoś bełkoce i mruczy za moimi plecami. Oglądam się, babuleńka, siwiuteńka,

zgarbiona, z kijaszkiem, a jakże. Pytam grzecznie, co jej jest. Ona mamroce: "Głodnam, cny rycerzyku, od świtania na ząb nie było co wziąć". Zgaduję, ma babuleńka jeszcze minimum jeden ząb. Wzruszyłem się jak nie wiem co, biorę więc z sakwy chleba kąsek i połowę wędzonego leszcza, którego dostałem od rybaków nad Jarugą, i daję starowince. Ta siada, mamle, chrząka, wypłuwa ości. Ja nadal oglądam ten dziwny drogowskaz. Naraz babcia odzywa się: "Dobryś, rycerzyku, poratowałeś mnie, nagroda cię nie minie". Chciałem jej powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić swoją nagrodę, a babka mówi: "Zbliź się, mam ci coś rzec do ucha, ważną tajemnicę odkryć, jak wielu dobrych ludzi od nieszczęścia wybawić, sławę zyskać i bogactwo".

Visenna westchnęła, siadła obok rannego. Podobał jej się, wysoki, jasnowłosy, z pociągłą twarzą i wydatnym podbródkiem. Nie śmierdzał jak zwykle mężczyźni, których spotykała. Odpędziła natrętą myśl, że za długo włóczy się samotnie po lasach i gościńcach. Korin ciągnął opowieść:

- Ha, pomyślałem sobie - mówił - klasyczna okazja się trafia. Jeśli babka nie ma sklerozy, a ma wszystkie klepki, to może i będzie z tego zysk dla biednego wojaka. Schylam się, nadstawiam ucha jak kto głupi. No i gdyby nie refleks, dostałbym prosto w grdykę. Odkoczyłem, krew sika mi z ramienia jak z fontanny pałacowej, a babka sunie z nożem, wyjąc, parskając i plując. Ciągle jeszcze nie uważałem, że to poważna sprawa. Poszedłem w zwarcie, by pozbawić ją przewagi, i czuję, że to żadna staruszka. Piersi twarde jak krzemienie...

Korin zerknął w stronę Visenny, by sprawdzić, czy się nie czerwieni. Visenna słuchała z grzecznym wyrazem zaciekawienia na twarzy.

- O czym to ja... Aha. Myślałem, zwałę ją z nóg i rozbiję, ale gdzie tam. Silna jak ryś. Czuję, za moment wysmyknie mi się jej ręka z nożem. Co było robić? Odepchnąłem ją, cap za miecz... Nadziała się sama.

Visenna siedziała milcząc, z ręką u czoła, niby w zadumie poprawiła wężową opaskę.

- Visenna? Mówię, jak było. Wiem, że to kobieta i głupio mi, ale niech skonam, jeśli to była normalna kobieta. Natychmiast po tym, jak upadła, odmieniła się. Odmłodziła.

- Iluzja - rzekła Visenna w zamyśleniu.

- Że co?

- Nic - Visenna wstała, podeszła do zwłok leżących w paprociach.

- Tylko popatrz. - Korin stanął obok. - Baba jak posąg w pałacowej fontannie. A była zgarbiona i pomarszczona jak zad stuletniej krowy. Niech mnie...

- Korin - przerwała Visenna - nerwy masz mocne?

- He? A co mają do tego moje nerwy? Owszem, jeśli cię to interesuje, nie narzekam.

Visenna zdjęła opaskę z czoła. Klejnot w diademie rozjarzył się mlecznym blaskiem. Stała nad zwłokami, wyciągnęła ręce, zamknęła oczy. Korin przyglądał się jej z półotwartymi ustami. Visenna pochyliła głowę, szeptała coś, czego nie rozumiał.

- Grealghane! - krzyknęła nagle.

Paprocie zaszeleściły gwałtownie. Korin odskoczył dobywając miecza, zamierając w obronnej pozycji. Zwłoki zatrzepotały.

- Grealghane! Mów!

- Aaaaaaaa! - rozległ się z paproci narastający ochrypły wrzask. Trup wygiął się w kabłąk, nieledwie lewitował, dotykając ziemi plecami i czubkiem głowy. Wrzask ściął, zaczął się rwać, przechodzić w gardłowy bełkot, urywane jęki i krzyki, stopniowo nabierające kadencji, ale absolutnie niezrozumiałe. Korin poczuł na plecach zimną strużkę potu, drażniącą jak pełznąca gąsienica. Zaciskając pięści, by powstrzymać mrowienie w przedramionach, całą siłą woli walczył z przemożnym pragnieniem ucieczki w głąb lasu.

- Oggg... nnnn... nngammm - wybełkotał trup, drąc ziemię paznokciami, bulgocąc krwawymi bańkami, pękającymi na wargach. - Nam... eeegg...

- Mów!

Z wyciągniętych dłoni Visenny sączył się mętnawy strumień światła, w którym wirował i kłębił się kurz. Z paproci frunęły w górę suche listki i żdźbła. Trup zachłysnął się, zamlaskał i nagle przemówił. Zupełnie wyraźnie.

- ...rozstajach sześć mil od Klucza w południe najdalej. Poo... Posyłał. Kręgu. Chłopaka. Spra... ggg... Aazał. Kazał.

- Kto?! - krzyknęła Visenna. - Kto kazał? Mów!

- Fffff... ggg... genal. Wszystkie pisma, listy, amulety. Pier... ścienie.

- Mów!

- ...rzełczy. Kościej. Ge... nal. Zabrać listy. Per... gaminy. Przyjdzie z maaaaaaa! Eeeeeeeee! Nyyyyyyyyy!!!

Bełkotliwy głos zawibrował, rozpląnął się w przerażającym wrzasku. Korin nie wytrzymał, rzucił miecz, zamknął oczy i przycisnął dłonie do uszu. Stał tak, dopóki nie poczuł na ramieniu dotknięcia. Drgnął potężnie, całym ciałem, jakby ktoś złapał go za genitalia.

- Już po wszystkim - powiedziała Visenna, ocierając pot z czoła. - Pytałam, jakie masz nerwy.

- Co za dzień - wystękał Korin. Podniósł miecz, schował go do pochwy, starając się nie patrzeć w stronę nieruchomego już ciała.

- Visenna?

- Słucham?

- Chodźmy stąd. Jak najdalej od tego miejsca.

II

Jechali we dwójkę na koniu Visenny leśnym duktem, zarośniętym i wyboistym. Ona z

przodu, w siodle, Korin na oklep, z tyłu, obejmując ją w talii. Visenna już dawno przywykła bez skrępowania cieszyć się drobnymi przyjemnościami, sporadycznie ofiarowywanymi przez los, z zadowoleniem opierała więc plecy o pierś mężczyzny. Milczeli oboje.

- Visenna - Korin zdecydował się pierwszy, po blisko godzinie.
- Słucham.
- Nie jesteś tylko uzdrowicielką. Jesteś z Kręgu?
- Tak.
- Sądząc po tym... pokazie, mistrzem?
- Tak.

Korin puścił jej talię i przytrzymał się lęku siodła. Visenna zmrużyła oczy z gniewu. Oczywiście nie dostrzegł tego.

- Visenna?
- Słucham?
- Zrozumiałś coś z tego, co ta... co to... mówiło?
- Niewiele.

Znowu milczeli. Pstrokaty ptak, przelatujący nad nimi wśród listowia, zaskrzeczał głośno.

- Visenna?
- Korin, zrób mi przyjemność.
- Hę?
- Przestań gadać. Chcę pomyśleć.

Dukt sprowadził ich prosto w dół, w wąwóz, w koryto płytkiego strumienia, leniwie przemykającego wśród głazów i czarnych pni w przenikliwym zapachu mięty i pokrzywy. Koń ślizgał się na kamieniach pokrytych osadem gliny i mułu. Korin, by nie spaść, ponownie uchwycił talię Visenny. Odpędził natrętą myśl, że za długo włóczy się samotnie po lasach i gościńcach.

III

Osada była typową ulicówką, przytuloną do zbocza góry, rozwleczoną wzdłuż traktu, słomianą, drewnianą i brudną, przycupniętą wśród krzywych płotów. Gdy nadjechali, psy podniosły jazgot. Koń Visenny człapał spokojnie środkiem drogi, nie zwracając uwagi na zajadłe kundle wyciągające spienione pyski ku jego pęcinom.

Początkowo nie widzieli nikogo. Potem zza płotów, z drózek wiodących na gumna, pojawili się mieszkańcy - podchodzili wolno, bosi i chmurni. Nieśli widły, drągi, cepy. Któryś schylił się, podniósł kamień.

Visenna wstrzymała konia, uniosła rękę. Korin spostrzegł, że w dłoni trzyma mały złoty nożyk w kształcie sierpa.

- Jestem uzdrowicielką - powiedziała wyraźnie i dźwięcznie, choć wcale niegłośnie.

Chłopi opuścili broń, zaszemrali, spojrzeli po sobie. Było ich coraz więcej. Kilku bliższych zdjęło czapki.

- Jak zowie się to sioło?

- Klucz - padło z cizby po chwili ciszy.

- Kto starszy nad wami?

- Topin, wielmożna pani. O, tamta chałupa.

Nim ruszyli, przez szpaler rolników przecisnęła się kobieta z niemowlęciem na ręku.

- Pani... - jęknęła, dotykając nieśmiało kolana Visenny. - Córka... Aż gorzej z gorączki...

Visenna zeskoczyła z kulbaki, dotknęła główki dziecka, zamknęła oczy.

- Jutro będzie zdrowa. Nie owijaj jej tak ciepło.

- Dzięki, wielmożna... Stokrotne...

Topin, starszy osady, był już na podwórku i właśnie zastanawiał się, co począć z widłami, które trzymał w pogotowiu. Wreszcie zgarnął nimi ze schodów kurze łajno.

- Wybaczcie - rzekł, odstawiając widły pod ścianę chałupy. - Pani. I wy, wielmożny. Czas niepewny taki... Do środka proszę. Na poczęstunek upraszam.

Weszli.

Topinowa kobieta, holując uczepioną spódnicę dwójkę słomianowłosych dziewczuszek, podała jajecznicę, chleb i zsiadłe mleko, po czym znikła w komorze. Visenna, w odróżnieniu od Korina, jadła mało, siedziała zasępią i cicha. Topin przewracał oczami, drapał się w różne miejsca i gadał.

- Czas niepewny. Niepewny. Bieda nam, wielmożni. My owce na runo hoduję, na sprzedaż to runo, a nynie kupców nie ma, tedy wybijamy stada, runne owce bijem, by do garnka co włożyć. Dawniej kupce po jasmę, po kamień zielony chodzili do Amellu, przez przełęcz, tamój kopalnie są. Tamój jasmę dobywają. A jak kupce szli, to i runo brali, płacili, różne dobro ostawiali. Nie ma nynie kupców. Nawet soli nie ma, co ubijem, we trzy dni zjeść musim.

- Omijają was karawany? Dlaczego? - Visenna w zamyśleniu co jakiś czas dotykała opaski na czole.

- A omijają - burknął Topin. - Zamknięta droga do Amellu, na przełęcz rozsiadł się przekłety kościej, żywej duszy nie przepuści. To jak tam kupcom iść? Na śmierć?

Korin zamarł z łyżką zawieszoną w powietrzu.

- Kościej? Co to jest kościej?

- A bo to ja wiem? Kościej, mówią, ludojad. Na przełęcz pono siedzi.

- I nie przepuszcza karawan?

Topin rozejrzał się po izbie.

- Niektóre ino. Mówią, swoje. Swoje puszcza.

Visenna zmarszczyła czoło.

- Jak to... swoje?

- Ano swoje - zamruczał Topin i pobladł. - Ludziskom z Amellu jeszcze gorzej niżli nam. Nas choć bór nieco pożywi. A tamci na gołej skale siedzą i ino to mają, co im kościejowi za jaszme sprzedają. Okrutnie, po zbójceku pono za każde dobro płacić każą, ale co tamtym z Amellu czynić? Przecie jaszmy jeść nie będą.

- Jacy "kościejowi"? Ludzie?

- Ludzie i vrany, i insi. Zbiry to, pani. Oni do Amellu wożą to, co nam pobiorą, tam na jaszme i kamień zielony mieniają. A nam siłą biorą. Po siołach, bywało, grabili, gwałcili dziewczki, a przeciwił się kto, mordowali, z dymem puszczaali ludzi. Zbiry. Kościejowi.

- Ilu ich? - odezwał się Korin.

- Kto by ich tam, panie wielmożny, liczył. Bronią się sioła, kupy trzymają. Co z tego, kiedy w nocy nalecą, podpalą. Lepiej już nieraz dać, czego chcą. Bo mówią...

Topin pobladł jeszcze bardziej, zadygotał cały.

- Co mówią, Topin?

- Mówią, że kościej, jeśli go rozeźlić, wylezie z przełęczy i pójdzie ku nam, ku dolinom.

Visenna wstała raptownie, twarz miała zmienioną. Korina przeszył dreszcz.

- Topin - powiedziała czarodziejka. - Gdzie tu kuźnia najbliższa? Koń mój podkowę zgubił na trakcie.

- Za osadą dalej, pod lasem. Tamój kuźnia jest i stajnia.

- Dobrze. Teraz idź, popytaj, gdzie kto chory lub ranny.

- Dzięki niech wam będą, dobrodziejko wielmożna.

- Visenna - odezwał się Korin, gdy tylko za Topinem zamknęły się drzwi. Druidka odwróciła się, spojrzała na niego.

- Twój koń ma wszystkie podkowki w porządku.

Visenna milczała.

- Jaszma to oczywiście jaspis, a zielony kamień to jadeit, z którego słyną kopalnie w Amell - ciągnął Korin. - A do Amell można dojść tylko przez Klamat, przez przełęcz. Drogą, z której się nie wraca. Co mówiła nieboszczka na rozdrożu? Dlaczego chciała mnie zabić?

Visenna nie odpowiedziała.

- Nic nie mówisz? Nie szkodzi. I tak wszystko zaczyna się pięknie wyjaśniać. Babuleńka z rozstaju czekała na kogoś, kto zatrzyma się przed głupim napisem, zakazującym dalszego marszu na wschód. To była pierwsza próba: czy przybysz umie czytać. Potem babka upewnia się jeszcze: ktoś, jeśli nie dobry samarytanin z Kręgu Druidów, wspomůže w dzisiejszych czasach głodną staruszkę? Każdy inny, głowę dając, odebrałby jej jeszcze i kijaszek. Chytra babcia bada dalej, zaczyna gaworzyć o biednych

ludziach w nieszczęściu, potrzebujących pomocy. Podróżny, zamiast poczęstować ją kopniakiem i plugawym słowem, jak uczyniłby to zwykły, szary mieszkaniec tych okolic, słucha w napięciu. Tak, myśli babcia, to on. Druid idący rozprawić się z bandą prześladowającą okolicę. A że ponad wszelką wątpliwość sama jest nasłana przez ową bandę, sięga po nóż. Ha! Visenna! Czyż ja nie jestem nadprzeciętnie inteligentny?

Visenna nie odpowiedziała. Stała z głową odwróconą w stronę okna. Widziała - półprzezroczyste błony z rybich pęcherzy nie stanowiły przeszkody dla jej wzroku - pstrokatego ptaka siedzącego na wiśniowym drzewku.

- Visenna?

- Słucham.

- Co to jest kościej?

- Korin - rzekła Visenna ostro, odwracając się ku niemu. - Dlaczego się mieszasz do nie swoich spraw?

- Posłuchaj - Korin ani trochę nie przejął się jej tonem. - Jestem już wmieszany w twoje, jak mówisz, sprawy. Tak wyszło, że chciano mnie zarżnąć zamiast ciebie.

- Przypadkowo.

- Myślałem, że czarodzieje nie wierzą w przypadki, tylko w magiczne przyciąganie, sploty wydarzeń i różne takie. Zauważ, jedziemy na jednym koniu. Fakt i przenieś się zarazem. Krótka... Oferuję ci pomoc w misji, której celu się domyślam. Odmowę potraktuję jako przejaw arogancji. Mówiono mi, że wy, z Kręgu, mocno lekceważycie sobie zwykłych śmiertelników.

- To kłamstwo.

- Świetnie się składa - Korin wyszczerzył zęby. - Nie traćmy zatem czasu. Jedźmy do kuźni.

IV

Mikula solidniej uchwycił pręt obcęgi i obrócił go w żarze.

- Dmij, Czop! - rozkazał.

Czeladnik zawisł na dźwigni miecha. Jego puciołowata twarz błyszczała od potu. Pomimo szeroko otwartych drzwi w kuźni było nieznosnie gorąco. Mikula przerzucił pręt na kowadło, kilkoma mocnymi uderzeniami młota rozpląsał koniec.

Stelmach Radim, siedzący na nie obrobionym pieńku brzoźowym, również się pocił. Rozpiął sukmanę i wyciągnął koszulę ze spodni.

- Dobrze wam gadać, Mikula - powiedział. - Wam bijatyka nie nowina. Każdy wie, żeście nie całe życie w kuźni kuli. Ponoć dawniej łby tłukliście, nie żelazo.

- To i cieszyć się powinniście, że takiego macie w gromadzie - rzekł kowal. - Po raz wtóry mówię wam, że nie będę więcej tamtym w pas się kłaniał. Ani robił na nich. Nie

pójdziecie ze mną, zacznę sam albo z takimi, co krew, nie podpiwek, mają w żyłach. W lasy zapadnem, będziem ich po jednemu prac, jak którego nadybiem. Ilu ich? Trzydziestu? Może i tego nie. A siół po tej stronie przełęczu ile? Chłopów mocnych? Dmij, Czop!

- Przecie dmę!

- Raźniej!

Młot dzwonił o kowadło rytmicznie, nieledwie melodyjnie. Czop dał w miech. Radim wysmarkał się w palce, wytarł dłoń o cholewę.

- Dobrze wam gadać - powtórzył. - A ilu to z Klucza pójdzie?

Kowal opuścił młot, milczał.

- Takem myślał - rzekł stelmach. - Nikt nie pójdzie.

- Klucz sióło małe. Mieliście wybadać w Porogu i w Kaczanie.

- Tak i badałem. Mówilem wam, jak jest. Bez wojaków z Mayeny ludzie nie ruszą.

Niektórzy gadają tak: co nam tamci, vrany, bobołaki, tych na widły możemy we trzy migi wziąć, ale co czynić, gdy kościej na nas pójdzie? W bór umykać. A chałupy, dobytek? Na plecy nie weźmiemy. A na kościeja nie nasza moc, to wiecie.

- Skąd mam wiedzieć?! Widział go kto?! - krzyknął kowal. - Może wcale nie ma nijakiego kościeja? Tylko strachu chcą wam do rzyci nagonić, kmiotkom? Widział go kto?

- Nie gadajcie, Mikula - Radim schylił głowę. - Sami wiecie, że z kupcami w ochronę nie byle jakie zabijaki chodziły, obwieszzone żelazem, istne rezuny. A wrócił który z przełęczu? Ani jeden. Nie, Mikula. Trzeba czekać, mówię wam. Da komes z Mayeny pomoc, wtedy inna sprawa będzie.

Mikula odłożył młot, ponownie włożył pręt w palenisko.

- Nie przyjdzie wojsko z Mayeny - powiedział ponuro. - Pobili się panowie między sobą. Mayena z Razwanem.

- O co?

- A bo to wyrozumiesz, o co i po co się wielmożni biją?! Po mojemu, z nudów, kpy zaprzale! - wrzasnął kowal. - Widzieliście go, komesa! Za co my jemu, gadowi, daninę płacim?

Wyrwał pręt z żaru, aż sypnęły się iskry, wywinął nim w powietrzu. Czop odskoczył. Mikula chwycił młot, wałnął raz, drugi, trzeci.

- Jak komes chłopaka mojego wygnał, do Kręgu tamtejszego go posłałem, pomocy prosić. Do druidów.

- Do czarowników? - spytał stelmach z niedowierzaniem. - Mikula?

- Do nich. Ale chłopak nie wrócił jeszcze.

Radim pokręcił głową, wstał, podciągnął spodnie.

- Nie wiem, Mikula, nie wiem. Nie na moją to głowę. Ale i tak na to samo wychodzi. Czekać trzeba. Kończcie robotę, wraz jadą, trzeba mi...

Przed kuźnią na podwórzu zarżał koń.

Kował zamarł z młotem wzniesionym nad kowadłem. Stelmach zaszczekał zębami, zbladł. Mikula spostrzegł, że drżą mu ręce, wytarł je bezwiednie o skórzany fartuch. Nie pomogło. Przełknął ślinę i ruszył ku wyjściu, w którym wyraźnie rysowały się sylwetki jeźdźców. Radim i Czop poszli za nim, bardzo blisko, z tyłu. Wychodząc, kował oparł przęt o słup przy drzwiach.

Widział sześciu, wszystkich konno, w przeszywanicach nabijanych żelaznymi płytkami, kolczugach, skórzanych hełmach ze stalowymi nosalami, wchodzącymi prostą linią metalu pomiędzy ogromne rubinowoczerwone oczy zajmujące połowę twarzy. Siedzieli na koniach nieruchomo, jakby niedbale. Mikula, biegając spojrzeniem od jednego do drugiego, widział ich broń - krótkie dzidy o szerokim ostrzu. Miecze z dziwacznie wykutą gardą. Berdysze. Zębate gizarmy.

Na wprost wejścia do kuźni stało dwóch. Wysoki vran na siwku okrytym zielonym kropierzem, ze znakiem słońca na hełmie. I drugi...

- Mateńko - szepnął Czop za plecami kowala. I zachlipał.

Drugi jeździec był człowiekiem. Miał na sobie ciemnozielony vrański płaszcz, ale spod dziobowatego hełmu patrzyły na nich blade, niebieskie - nie czerwone - oczy. W oczach tych kryło się tyle zimnego, obojętnego okrucieństwa, że Mikulę przeszył potworny strach wdzierający się zimnem do trzewi, mdlący, spływający mrowieniem do pośladków. Nadal było cicho. Kował słyszał bzykanie much kłębiących się nad kupą nawozu za płotem.

Człowiek w hełmie z dziobem przemówił pierwszy.

- Który z was jest kowalem?

Pytanie było bezsensowne, skórzany fartuch i postura Mikuli zdradzały go na pierwszy rzut oka. Kował milczał. Uchwycił okiem krótki gest, jaki bladooki wykonał do jednego z vranów. Vran przechylił się w kulbace i machnął na odlew gizarmą trzymaną w połowie drzewca. Mikula skurczył się, odruchowo kryjąc głowę w ramiona. Cios nie był jednak przeznaczony dla niego. Brzeszczot ugodził Czopa w szyję i wciął się skośnie, głęboko, druzgocąc obojczyk i kręgi. Chłopiec runął plecami na ścianę kuźni, zatoczył się na słup przy drzwiach i zwałił się na ziemię w samym wejściu.

- Pytałem - przypomniał człowiek w dziobowatym hełmie, nie spuszczając z Mikuli oka. Dłonią w rękawicy dotykał topora zawieszonego u siodła. Dwaj vranowie, stojący najdalej, krzesali ogień, zapalali smolne łuczywa, rozdawali innym. Spokojnie, bez pośpiechu, stępa, okrążali kuźnię, przykładali żagwie do strzechy.

Radim nie wytrzymał. Zakrył twarz dłońmi, zaszlochał i ruszył prosto przed siebie, pomiędzy dwa konie. Gdy zrównał się z wysokim vranem, ten z rozmachem wbił mu dzidę w brzuch. Stelmach zawył, upadł, dwukrotnie podkurczył i rozprostował nogi. Znieruchomiał.

- No i co, Mikula, czy jak ci tam - powiedział bladooki. - Zostałeś sam. I po co ci to

było? Ludzi buntować, po pomoc gdzieś tam posyłać? Myślałeś, że się nie dowiemy? Głupi jesteś. Są po wsiach i tacy, co doniosą, byle się przypodobać.

Strzecha na kuźni trzeszczała, stękała, buchała brudnym żółtawym dymem, wreszcie huknęła, ryknęła płomieniami, sypnęła iskrami, czknęła potężnym oddechem żaru.

- Twojego czeladnika dopadliśmy, wyśpiewał, dokąd go posyłałeś. Na tego, co ma przyjść z Mayeny, też czekamy - kontynuował człowiek w hełmie z dziobem. - Tak, Mikula. Wepchnąłeś swój parszywy nos tam, gdzie nie należało go wpychać. Za to spotka cię zaraz poważna nieprzyjemność. Tak myślę, że warto by cię wbić na pal. Znajdzie się tu w obejściu jakiś przyzwoity pal? Albo jeszcze lepiej: zawiesimy cię za nogi na drzwiach stodoły i obedrzemy ze skóry jak węgorza.

- Dobra, dosyć tego gadania - rzekł wysoki vran ze słońcem na hełmie, ciskając swoją zagiew w otwarte drzwi kuźni. - Zaraz zleci się tu cała wieś. Kończmy z nim raz dwa, zabierajmy konie ze stajni i odjeżdżajmy. Skąd to się bierze w was, ludziach, to zamiłowanie do katowania, do zadawania męki? W dodatku niepotrzebnej? Dalej, kończ z nim.

Bladooki nie odwrócił głowy w stronę vrana. Pochylił się w siodle, naparł koniem na kowala.

- Właż - powiedział. W jego bladych oczach tliła się radość mordercy. - Do środka. Nie mam czasu, aby oprawić cię jak należy. Ale mogę cię przynajmniej usmażyć.

Mikula zrobił krok do tyłu. Na plecach czuł żar płonącej kuźni, huczącej padającymi ze stropu belkami. Jeszcze jeden krok. Potknął się o ciało Czopa i o pręt, który chłopak przewrócił, padając.

Pręt.

Kowal schylił się błyskawicznie, ucałił ciężkie żelazo i nie prostując się, z dołu, z całą siłą, jaką wyzwoliła w nim nienawiść, cisnął pręt prosto w pierś bladookiego. Dłutowato wykute ostrze przebiło kolczugę. Mikula nie czekał, aż człowiek zwali się z konia. Runął przed siebie, na skos przez podwórze. Za nim wrzask, tętent. Dopadł drewnutni, wczepił się palcami w kłonicę opartą o ścianę, natychmiast, z półobrotu, na ślepo, uderzył. Cios spadł prosto na pysk siwka w zielonym kropierzu. Koń stanął dęba, zwalając w pył podwórka vrana ze słońcem na hełmie. Mikula uchylił się, krótka włócznia huknęła w ścianę drewnutni, zadygotała. Drugi vran, dobywając miecza, spiął konia, uchodząc przed świszczącym zamachem kłonicy. Trzej następni szarżowali, wrzeszcząc, wywijając bronią. Mikula stęknął, otaczając się straszliwym młynem ciężkiego drąga. Trafił coś, znowu konia, który zarżał i zatańczył na tylnych nogach. Vran utrzymał się w siodle.

Nad płotem, od strony lasu, przeleciał koń, wyciągnięty w skoku, zderzając się z siwką w zielonym kropierzu. Siwek spłoszył się, targnął wodzami, przewracając wysokiego vrana usiłującego go dosiąść. Mikula, nie wierząc własnym oczom, spostrzegł, że nowy jeździec rozdwa się - na pokurcza w kapturze, pochylonego nad

końskim karkiem i na jasnowłosego mężczyznę z mieczem, siedzącego z tyłu.

Długa, wąska klinga miecza opisała dwa półkola, dwie błyskawice. Dwóch vranów zmiotło z siodeł, runęli na ziemię w obłokach kurzu. Trzeci, zapędzony aż pod drewnię, odwrócił się ku dziwnej parze i dostał sztych pod brodę, tuż ponad stalowy napierśnik. Ostrze miecza załśniło, na moment wyzierając z karku. Jasnowłosy ześliznął się z konia i przebiegł przez podwórze, odcinając wysokiego vrana od jego wierzchowca. Vran dobył miecza.

Piąty vran kręcił się pośrodku podwórza, usiłując opanować tańczącego konia, boczącego się na płonącą kuźnię. Ze wzniesionym berdyszem rozglądał się, wahał. Wreszcie wrzasnął, uderzył konia ostrogami i runął na pokurcza uczonego końskiej grzywy. Mikula zobaczył, jak malec odrzuca kaptur i zrywa z czoła opaskę, zorientował się, jak bardzo się mylił. Dziewczyna wstrząsnęła rudą grzywą włosów i krzyknęła niezrozumiale, wyciągając dłoń w stronę szarżującego vrana. Z jej palców trysnęła cienka strużka światła jasnego jak rtęć. Vran wyfrunął z siodła, zatoczył w powietrzu łuk i zwał się na piasek. Jego ubranie dymiło. Koń, bijąc w ziemię wszystkimi czterema kopytami, rżał, trząsł łbem.

Wysoki vran ze słońcem na hełmie cofał się powoli przed jasnowłosym ku płonącej kuźni, zgarbiony, obie ręce - w prawej miecz - wyciągając przed siebie. Jasnowłosy przyskoczył, ścięli się raz, drugi. Miecz vrana poleciał w bok, a on sam, głową do przodu, zawisł na przeszywającym go ostrzu. Jasnowłosy cofnął się, szarpnął, wyrwał klingę miecza. Vran upadł na kolana, przechylił się, zarył twarzą w ziemię.

Jeździec wysadzony z siodła błyskawicą rudowłosej uniósł się na czworaki, macał dookoła w poszukiwaniu broni. Mikula otrząsnął się z zaskoczenia, zrobił dwa kroki, wzniosł kłonicę i spuścił ją na kark powalonego. Chrupnęła kość.

- Niepotrzebnie - usłyszał tuż obok siebie.

Dziewczyna w męskim stroju była piegowata i zielonooka. Na jej czole błyszczał dziwny klejnot.

- Niepotrzebnie - powtórzyła.

- Pani wielmożna - zająknął się kowal, trzymając swój drąg jak gwardzista halabardę.

- Kuźnia... Spalili. Chłopaka zabili, zasiekli. I Radima. Zasiekli, zbóje. Pani...

Jasnowłosy obrócił nogą ciało wysokiego vrana, przyjrzał mu się, po czym podszedł, chowając miecz.

- No, Visenna - powiedział. - Teraz to już wmieszałem się na dobre. Jedno, co mnie niepokoi, to czy aby porąbałem tych, co trzeba.

- Tyś jest kowal Mikula? - spytała Visenna, zadzierając głowę.

- Ja. A wyście z Druidzkiego Kręgu, wielmożni? Z Mayeny?

Visenna nie odpowiedziała. Patrzyła na skraj lasu, na zbliżającą się biegiem gromadę ludzi.

- To moi - rzekł kowal. - Z Klucza.

V

- Dostaliśmy trzech! - grzmiał czarnobrody przywódca grupy z Poroga, potrząsając kosą osadzoną na sztorc. - Trzech, Mikula! Za dziewczkami na pola przygnali i tam my ich... Jeden ledwo zdołał ujść, konia dopadł, psi syn!

Jego ludzie, stłoczeni na polanie wewnątrz kręgu ognisk znaczących czerń nocnego nieba punkcikami lecących iskier, wrzeszczeli, pohukiwali, wymachiwali orężem. Mikula wznosił ręce, uciszał, chcąc posłuchać dalszych relacji.

- Do nas wczoraj z wieczora przyskakało czterech - rzekł stary, chudy jak tyka sołtys z Kaczana. - Po mnie. Musiał ktoś donieść, że się z wami zgadywał, kowalu. Zdążyłem na stryszek w stodole, drabinę wciągnęłam, widły w garść, chodźcie, wołam, psie krwie, no, który, wołam. Wzięli się stodołkę palić, już by po mnie było, ale ludziska nie strzymali, poszli na nich kupą. Tamci w konie, przebili się. Naszych paru padło, ale jednego z siodła zmietli.

- Żyw? - spytał Mikula. - Słałem wam, żeby którego żywym wziąć.

- Eeee - zachnął się tykowaty. - Nie zdążyli. Baby wzięły wrzątku, podleciały pierwsze...

- Zawszem mówił, że w Kaczanie gorące baby - mruknął kowal, drapiąc się w kark. - A tego, co donosił?

- Znaleźli - krótko rzekł chudzielec, nie wdając się w szczegóły.

- Dobrze. A teraz słuchajcie, gromada. Gdzie tamci siedzą, wiemy już. Na podgórzu, obok owczarskich szałasów, są jamy w skale. Tamój zbójce zapadły i tam ich dostaniemy. Siana, chrustu weźmiemy na wozy, wykurzymy ich jak borsuków. Drogę zasiekami zawalimy, nie ujdą. Takem z tym oto rycerzem, co się zwie Korin, uradził. A i mnie, jako wiecie, wojaczka nie pierwszyczna. Z wojewodą Grozimem na vranów chadzałem czasu wojny, zanim w Kluczu osiadłem.

Z cizby znów się rozległy bojowe okrzyki, ale szybko ścichły przyduszone słowami, zrazu wypowiedzanymi cicho, niepewnie. Potem coraz głośniejsze. Wreszcie zapadła cisza.

Visenna wysunęła się zza pleców Mikuli, stanęła u boku kowala. Nie sięgała mu nawet do ramienia. Tłum zaszemrał. Mikula znowu uniósł obie dłonie.

- Przyszedł czas taki - zawołał - że nie ma co dłużej w tajemnicy kryć, że po pomoc posłałem do druidów z Kręgu, gdy komes z Mayeny pomocy nam odmówił. Nie nowina mi, że mnodzy z was krzywo na to patrzą.

Tłum ucichł z wolna, lecz wciąż falował, pomrukiwał.

- Oto jest pani Visenna - rzekł Mikula wolno. - Z mayerńskiego Kręgu. Na pomoc nam pospieszyła na pierwsze wezwanie. Ci, co są z Klucza, znają ją już, ludzi tam leczyła, uzdrawiała mocą swoją. Tak, chłopcy. Pani to maleńka, ale moc jej wielka. Ponad

zrozumienie nasze owa moc i straszna nam, ale przecież ku pomocy nam posłuży!

Visenna nie odezwała się ani słowem, nie przemówiła ani nie uczyniła żadnego gestu w stronę zebranych. Ale ukryta moc tej małej piegowatej czarodziejki była niewiarygodna. Korin ze zdumieniem poczuł, że przepaja go dziwny entuzjazm, że obawa przed tym czymś, co kryje się na przełęczy, obawa przed niewiadomym znika, rozwiewa się, przestaje istnieć, staje się nieważna, tak długo, jak długo błyszczy świetlisty klejnot na czole Visenny.

- Tak tedy widzicie - ciągnął Mikula - że i na owego kościeja sposób się znajdzie. Nie sami idziemy, nie bezbronni. Ale wprzód tamtych zbójów wybić mus nam!

- Mikula praw! - wrzasnął brodac z Poroga. - Co nam, czary nie czary! Na przełęcz, chłopcy! Na pohybel kościejowym!

Tłum huknął jednym głosem, płomień ognisk rozbłysł na ostrzach wzniesionych kos, pik, siekier i wideł.

Korin przedarł się przez ciżbę, wycofał pod las, odnalazł kociołek zawieszony nad ogniskiem, miskę i łyżkę. Wydrapał z dna kotła reszkę przypalonej kaszy ze skwarkami. Usiadł, oparł miskę na kolanach, jadł powoli, wypływając łuski jęczmienia. Po chwili wyczuł czyjąś obecność.

- Siadaj, Visenna - powiedział z pełnymi ustami.

Jadł dalej, zerkając na jej profil, na wpół przysłonięty kaskadą włosów czerwonych jak krew w blasku ognia. Visenna milczała, zapatrzona w płomienie.

- Hej, Visenna, czemu siedzimy jak dwa puszczyki? - Korin odstawił miskę. - Ja tak nie mogę, zaraz mi się robi smutno i zimno. Gdzie oni schowali ten samogon? Dopiero co stał tu dzbanek, zaraza z nim. Ciemno jak w...

Druidka odwróciła się ku niemu. Jej oczy świeciły dziwnym zielonkawym blaskiem. Korin zamilkł.

- Tak. Zgadza się - powiedział po chwili i odkaslnął - Jestem złodziej. Najemnik. Rabuś. Wmieszałem się, bo lubię bijatyki, wszystko mi jedno, z kim się biję. Wiem, jaka jest cena jaspisu, jadeitu i innych kamieni, jakie jeszcze się trafiają w kopalniach Amell. Chcę się obłowić. Jest mi obojętne, ilu z tych ludzi jutro zginie. Co jeszcze chcesz wiedzieć? Sam powiem, niepotrzebnie używasz tej błyskotki schowanej pod węzową skórka. Nie zamierzam niczego ukrywać. Masz rację, nie pasuję ani do ciebie, ani do twojej szlachetnej misji. To wszystko. Dobranoc. Idę spać.

Wbrew słowom nie wstał. Chwycił tylko kij i dźgnął nim kilkakrotnie płonące główne.

- Korin - rzekła Visenna cicho.

- Tak?

- Nie odchodź.

Korin spuścił głowę. Z brzoźowego polana w ognisku buchały niebieskawe gejzery płomienia. Spojrzał na nią, ale nie mógł znieść widoku niesamowicie błyszczących oczu.

Odwrócił głowę w stronę ognia.

- Nie wymagaj od siebie za wiele - powiedziała Visenna, owijając się płaszczem. - Tak już jest, że to, co nienaturalne, budzi strach. I wstręt.

- Visenna...

- Nie przerywaj mi. Tak, Korin, ludzie potrzebują naszej pomocy, są za nią wdzięczni, często nawet szczerze, ale brzydzą się nami, boją się nas, nie patrzą nam w oczy, spluwają za plecami. Mądrzejsi, jak ty, są mniej szczerzy. Nie jesteś wyjątkiem, Korin. Od wielu już słyszałam, że nie są dostatecznie godni, by siedzieć ze mną przy jednym ognisku. A zdarza się, że to my potrzebujemy pomocy tych... normalnych. Albo ich towarzystwa.

Korin milczał.

- Wiem - ciągnęła Visenna - że byłoby ci łatwiej, gdybym miała siwą brodę do pasa i haczykowaty nos. Wówczas wstręt do mojej osoby nie powodowałby takiego zamieszania w twojej głowie. Tak, Korin, wstręt. Ta błyskotka, którą noszę na czole, to chalcedon... Jemu w dużej mierze zawdzięczam swoje zdolności magiczne. Masz rację, z pomocą chalcedonu udaje mi się czytać co wyraźniejsze myśli. Twoje są aż nadto wyraźne. Nie wymagaj, żeby mi było z tego powodu przyjemnie. Jestem czarownicą, wiedźmą, ale oprócz tego kobietą. Przyszłam tu, bo chciałam się z tobą przespać.

- Visenna...

- Nie. Teraz już nie chcę.

Siedzieli w milczeniu. Pstrokaty ptak w głębi lasu, w ciemnościach na gałęzi drzewa, czuł strach. W lesie były sowy.

- Z tym wstrętem - odezwał się wreszcie Korin - lekko przesadziłaś. Przyznaję jednak, że budzisz we mnie coś w rodzaju... niepokoju. Nie powinnaś była pozwolić, bym oglądał to wtedy, na rozstaju. Ten trup, wiesz?

- Korin - rzekła czarodziejka spokojnie. - Kiedy ty pod kuźnią wbiłeś vranowi miecz w gardło, ja o mało nie wyrzygałam się na grzywę konia. Miałam kłopoty z utrzymaniem się w siodle. Ale zostawmy nasze specjalności w spokoju. Skończmy rozmowę, która prowadzi donikąd.

- Skończmy, Visenna.

Czarodziejka szczerzej otuliła się płaszczem. Korin dorzucił do ogniska kilka szczap.

- Korin?

- Tak?

- Chciałabym, żeby przestało być ci obojętne, ilu ludzi jutro zginie. Ludzi i... I innych. Liczę na twoją pomoc.

- Pomogę ci.

- To jeszcze nie wszystko. Zostaje sprawa przełęczy. Muszę otworzyć drogę przez Klamat.

Korin wskazał żarzącym się końcem patyka inne ogniska i ułożonych przy nich ludzi,

uśpionych lub pogrążonych w cichych rozmowach.

- Z naszą wspaniałą armią - powiedział - nie powinniśmy z tym mieć kłopotów.

- Nasza armia zwieje do domów w momencie, w którym przestanę ją otumaniać czarami - uśmiechnęła się smutno Visenna. - A ja nie będę ich otumaniać. Nie chcę, żeby któryś z nich zginął w walce nie za swoją sprawę. A kościej to nie jest ich sprawa, tylko sprawa Kręgu. Muszę iść sama na przełęcz.

- Nie. Sama nie pójdziesz - rzekł Korin. - Pójdziemy tam razem. Ja, Visenna, od dziecka wiedziałem, kiedy należy uciekać, a kiedy jeszcze za wcześnie. Wiedzę tę doskonaliłem przez lata praktyki i dzięki temu uchodzę obecnie za odważnego. Nie mam zamiaru narażać swojej opinii. Nie musisz mnie otumaniać czarami. Najpierw zobaczmy, jak ten kościej wygląda. Nawiasem mówiąc, według ciebie, co to jest, ten kościej?

Visenna pochyliła głowę.

- Obawiam się - szepnęła - że to jest śmierć.

VI

Tamci nie dali się zaskoczyć w jaskiniach. Czekali w siodłach, nieruchomi, wyprostowali, wpatrzeni w wychodzące z lasu szeregi uzbrojonych chłopów. Wiatr targający ich płaszczami upodabniał ich do wychudłych drapieżnych ptaków o postrzępionych piórach, groźnych, budzących respekt i strach.

- Osiemnastu - policzył Korin, stając w strzemionach. - Wszyscy konno. Sześć luzaków. Jeden wóz. Mikula!

Kował szybko przeformował swój oddział. Uzbrojeni w piki i oszczepy przyklękli na skraju zarośli, wbijając tylce broni w ziemię. Łucznicy wybrali pozycję za drzewami. Reszta wycofała się w gąszcz.

Jeden z jeźdźców ruszył w ich stronę, zbliżył się. Wstrzymał konia, uniósł rękę nad głowę, coś krzyknął.

- Podstęp - mruknął Mikula. - Znam ich, psich synów.

- Przekonamy się - rzekł Korin, zeskakując z kulbaki. - Chodź.

Wolno podeszli do konnego, we dwu. Po chwili Korin spostrzegł, że Visenna idzie za nimi.

Jeździec był bobolakiem.

- Będę mówił krótko - zawołał, nie zsiadając z konia. Jego małe błyszczące oczka migotały wpół skryte w futrze porastającym twarz. - Jestem obecnym dowódcą grupy, którą tam widzicie. Dziewięciu bobolaków, pięciu ludzi, trzech vranów, jeden elf. Reszta nie żyje. Doszło między nami do nieporozumień. Nasz były przywódca, którego pomysł tutaj nas sprowadził, jest tam w jaskini, związany. Zrobicie z nim, co zechcecie. My

chcemy odjechać.

- W rzeczy samej mowa była krótka - parsknął Mikula. - Wy chcecie odjechać. A my chcemy wypruć z was flaki. Co ty na to?

Bobolak błysnął szpiczastymi zębami, prostując w siodle swą maleńką postać.

- Myślisz, że paktuję ze strachu przed wami, przed waszą bandą zasańców w słomianych łapciach? Proszę bardzo, jeśli chcecie, przejedziemy wam po brzuchach. To nasze rzemiosło, chłopie. Wiem, czym ryzykujemy. Nawet jeśli część padnie, reszta przejedzie. Takie jest życie.

- Wóz nie przejedzie - wycodził Korin. - Takie jest życie.

- Mamy to wkalkulowane.

- Co jest na wozie?

Bobolak splunął przez prawe ramię.

- Jedna dwudziesta tego, co zostało w jaskini. I żeby wszystko było jasne: każecie zostawić wóz, nie ma zgody. Jeżeli mamy wyjść z tej hecy bez profitu, to wolimy ze świadomością, że nie bez walki. No, jak będzie? Jeżeli mamy się bić, to wolę teraz rano, zanim słońko nie zacznie przypiekać.

- Śmiały jesteś - powiedział Mikula.

- Wszyscy tacy w mojej rodzinie.

- Puścimy was, jeśli złożycie broń.

Bobolak splunął ponownie, dla odmiany przez lewe ramię.

- Nic z tego - warknął krótko.

- Tu cię boli - zaśmiał się Korin. - Bez broni jesteście śmiecie.

- A ty czym jesteś bez broni? - zapytał karzeł bez emocji. - Królewiczem? Przecież widzę, coś za jeden. Myślisz, że jestem ślepy?

- Z bronią gotowiście jutro wrócić - powiedział wolno Mikula. - Choćby po resztę tego, co zostało w jaskini, jako powiadasz. Po jeszcze większy profit.

Bobolak wyszczerzył zęby.

- Była taka koncepcja. Ale zrezygnowaliśmy z niej po krótkiej dyskusji.

- Bardzo słusznie - rzekła nagle Visenna, wysuwając się przed Korina, stając tuż przed konnym. - Bardzo słusznie, że zrezygnowaliście, Kehl.

Korinowi wydało się, że wiatr raptownie się wzmógł, zawył wśród skał i traw, uderzył zimnem. Visenna mówiła dalej nie swoim, metalicznym głosem:

- Każdy z was, który spróbuje tu wrócić, umrze. Widzę to i przepowiadam. Odejdźcie stąd natychmiast. Natychmiast. Zaraz. Każdy, kto spróbuje wrócić, umrze.

Bobolak pochylił się, spojrzał na czarodziejkę znad końskiego karku. Nie był młody - futro miał już prawie popielate, upstrzone białymi kosmykami.

- To ty? Tak myślałem. Rad jestem, że... Mniejsza z tym. Powiedziałem, że nie zamierzam tu wracać. Dołączyliśmy do Fregenala dla zarobku. To się skończyło. Teraz mamy na karku Krąg i całe wsie, a Fregenal zaczął bredzić o władzy nad światem. Mamy

dość i jego, i tego straszydła z przełęczy.

Szarpnął wodzami, obrócił konia.

- Po co ja to mówię? Odchodzimy. Bywajcie w zdrowiu.

Nikt mu nie odpowiedział. Bobolak zawahał się, spojrzał na skraj lasu, potem obejrzał się na nieruchomy szereg swoich jeźdźców. Znowu pochylił się w siodle i zajrzał w oczy Visenny.

- Byłem przeciwny zamachowi na ciebie - powiedział. - Teraz widzę, że słusznie. Jeśli ci powiem, że kościej to śmierć, to i tak pójdziesz na przełęcz, prawda?

- Prawda.

Kehl wyprostował się, krzyknął na konia, pocwałował do swoich. Po chwili konni formując kolumnę, otaczając wóz, ruszyli w stronę drogi. Mikula już był przy swoich, perorował, uspokajał brodacza z Poroga oraz innych, żadnych krwi i zemsty. Korin i Visenna w milczeniu obserwowali mijający ich oddział. Tamci jechali wolno, patrząc przed siebie, demonstrując spokój i zimną pogardę. Jedynie Kehl, mijając ich, uniósł lekko dłoń w pożegnalnym geście, z dziwnym grymasem na twarzy przypatrując się Visennie. Potem raptownie poderwał konia, popędził na czoło kolumny, zniknął wśród drzew.

VII

Pierwszy trup leżał przy samym wejściu do pieczar, stłamszony, wciśnięty między worki z owsem i kupę chrustu. Korytarz rozwidlał się, tuż za rozwidleniem leżały następne dwa - jeden prawie zupełnie pozbawiony głowy uderzeniem maczugi lub obucha, drugi pokryty zakrzepłą krwią z licznych ran. Wszyscy byli ludźmi.

Visenna zdjęła opaskę z czoła. Z diademu emanował blask jaśniejszy od światła pochodni, oświetlając mroczne wnętrza jamy. Korytarz wwiódł ich do większej pieczary. Korin zagwizdał cichutko przez zęby. Pod ścianami stały skrzynie, worki i beczki, piętrzyły się stosy końskiej uprzęży, bele wełny, broń, narzędzia. Kilka skrzyń było rozbitych i pustych. Inne były pełne. Przechodząc, Korin widział matowozielone grudki jaspisów, ciemne odłamki jadeitu, agaty, opale, chryzoprazy i inne kamienie, których nie znał. Na kamiennym podłożu, skrzącym się gdzieniegdzie porozrzucanymi punkcikami złotych, srebrnych i miedzianych monet, leżały, ciśnięte bezładnie, pęki futer - bobrów, rysi, lisów, rosomaków.

Visenna, nie zatrzymując się nawet na chwilę, zmierzała do dalszej kawerny, znacznie mniejszej, mrocznej. Korin podążył za nią.

- Tutaj jestem - odezwał się ciemny, niewyraźny kształt, leżący na stosie szmat i skór pokrywających ziemię.

Zbliżyli się. Skrępowany człowiek był niski, łysy, otyły. Ogromny siniak pokrywał mu

połowę twarzy.

Visenna dotknęła diademu, chalcedon na sekundę rozbłysnął jaśniejszym światłem.

- To niepotrzebne - rzekł skrepowany. - Znam cię. Zapomniałem, jak cię nazywali.

Wiem, co masz na czole. To niepotrzebne, mówię. Napadli mnie podczas snu, zabrali mój pierścień, zniszczyli różdżkę. Jestem bezsilny.

- Fregenal - powiedziała Visenna. - Zmieniłeś się.

- Visenna - mruknął grubas. - Przypomniałem sobie. Myślałem, że to będzie mężczyzna, dlatego posłałem Manisę. Z mężczyzną moja Manissa poradziłaby sobie.

- Nie poradziła sobie - pochwalił się Korin, patrząc dookoła. - Chociaż trzeba oddać nieboszczce sprawiedliwość. Starła się, jak mogła.

- Szkoda.

Visenna rozejrzała się po jaskini, pewnym krokiem skierowała się do kąta, czubkiem buta odwróciła kamień, z jamki pod nim wydobyła gliniany garnuszek zawiązany natłuszczoną skórą. Rozcięła rzemyk swoim złotym sierpem, wyciągnęła zwój pergaminu. Fregenal przyglądał się jej złowrogo.

- Proszę, proszę - powiedział drżącym ze złości głosem. - Co za talent, pogratulować. Umiemy znajdować ukryte rzeczy. Co jeszcze umiemy? Wróżyć z baranich kiszek? Leczyć wzdęcie u jałówek?

Visenna przeglądała kartę po karcie, nie zwracając na niego uwagi.

- Ciekawe - rzekła po chwili. - Jedenaście lat temu, kiedy wypędzono cię z Kręgu, zginęły pewne strony z Zakazanych Ksiąg. Dobrze, że się znalazły i to wzbogacone komentarzem. Że też odważyłeś się zastosować Podwójny Krzyż Alzura, no, no. Nie sądzę, żebyś nie pamiętał, jak skończył Alzur. Kilka jego stworów podobno jeszcze krąży po świecie, w tym również ten ostatni: wij, który zmasakrował go i zniszczył pół Mariboru, zanim nie uciekł w lasy na Zarzeczu. - Złożyła kilka pergaminów na czworo, schowała do kieszeni na bufiastym rękawie kaftana. Rozwinęła następne.

- Aha - powiedziała, marszcząc czoło. - Wzór Drzewokorzenia, nieznacznie zmieniony. A tutaj Trójkąt w Trójkącie, sposób na wywołanie serii mutacji i ogromnego przyrostu masy ciała. A cóż to posłużyło ci za stworzenie wyjściowe, Fregenal? Co to jest? Wygląda jak zwykły spawek. Fregenal, czegoś tu brakuje. Wiesz, o czym mówię, mam nadzieję?

- Cieszę się, że zauważyłaś - wykrzywił się czarownik. - Zwykły spawek, powiadasz? Kiedy ten zwykły spawek wyjdzie z przełęcz, świat oniemieje ze zgrozy. Na chwilę. A potem zaczną krzyczeć.

- Dobrze, dobrze. Gdzie są zaklęcia, których tu brakuje?

- Nigdzie. Nie chciałem, by dostały się w niewłaściwe ręce. Zwłaszcza w wasze. Wiem, że cały Krąg marzy o władzy, jaką można mieć dzięki nim, ale nic z tego. Nigdy nie uda się wam stworzyć niczego choćby w połowie tak groźnego jak mój kościej.

- Zdaje się, że bito cię po głowie, Fregenal. - powiedziała Visenna spokojnie. - I temu

też należy przypisać, że nie odzyskałeś jeszcze zdolności myślenia. Kto tu mówi o tworzeniu? Twojego potwora trzeba będzie zniszczyć, unicestwić. Prostym sposobem, rewersując wiążące zakłęcie, to znaczy Efektem Zwierciadła. Oczywiście wiążące zakłęcie było dostrojone do twojej różdżki, więc trzeba będzie przestroić je na mój chalcedon.

- Dużo tych "trzeba będzie" - warknął grubas. - Możesz tu siedzieć i trzeba będzie do sądnego dnia, moja ty przemądrzała panno. Skąd śmieszny pomysł, że zdradzę ci wiążące zakłęcie? Nie wyciągniesz ze mnie nic, ani żywego, ani umarłego. Mam blokadę. Nie wybałuszaj się na mnie tak, bo ten kamyk przepali ci czoło. Jazda, rozwiążcie mnie, bo zdrętwiałem.

- Chcesz, to kopnę cię parę razy. - Korin uśmiechnął się. - To ci pobudzi krążenie. Zdaje się, że nie pojmujesz swojego położenia, łysa pało. Za chwilę wpadną tu chłopci, którym mocno dopiekleś i rozerwą cię na sztuki czwórka koni. Widziałeś kiedyś, jak to się odbywa? Najpierw urywają się ręce.

Fregenal naprężył kark, wybałuszył oczy i spróbował napluć Korinowi na buty, ale z pozycji, w jakiej się znajdował, było to trudne - obryzgał sobie tylko brodę.

- Tyle - parsknął - tyle sobie robię z waszych gróźb! Nie zrobicie mi nic! Co ty sobie wyobrażasz, włóczęgo? Wpadłeś w środek spraw, które cię przerastają! Zapytaj jej, po co tu jest! Visenna! Uświadom go, zdaje się, że uważa cię za szlachetną wybawczynię uciemiężonych, bojowniczkę o dobrobyt biedaków! A tu idzie o pieniądze, kretynie! O ciężkie pieniądze!

Visenna milczała. Fregenal wyprężył się, skrzypiąc powrozami, z wysiłkiem przewrócił się na bok, zginając nogi w kolanach.

- Może to nieprawda - wrzasnął - że Krąg przysłał cię tu, byś odkręciła złoty kurek, z którego przestało ciec?! Bo Krąg czerpie zyski z wydobywania jaspisu i jadeitu, pobiera haracz od kupców i karawan w zamian za ochronne amulety, które jednak, jak się okazało, nie działają na mojego kościeja!

Visenna nie odezwała się. Nie patrzyła na związanego. Patrzyła na Korina.

- Aha! - zawołał czarownik. - Nawet nie zaprzeczasz! A więc to już wiedza ogólnie dostępna. Dawniej wiedziała o tym tylko starszyzna, a smarkaczy takich jak ty utrzymywało się w przekonaniu, że Krąg jest powołany tylko do walki ze złem. Nie dziwi mnie to. Świat się zmienia, ludzie powoli zaczynają rozumieć, że bez czarów i czarowników można się obejść. Ani się obejrzyjecie, jak będziecie bezrobotni, zmuszeni żyć z tego, coście do tej pory nakradli. Nic was nie obchodzi, tylko zyski. Dlatego też rozwiążecie mnie natychmiast. Nie zabijecie mnie ani nie wydacie na śmierć, bo naraziłoby to Krąg na dalsze straty. A tego Krąg wam nie daruje, to jasne.

- To nie jest jasne - rzekła zimno Visenna, splatając ręce na piersi. - Widzisz, Fregenal, smarkate, takie jak ja, nie zwracają zbyt wiele uwagi na dobra doczesne. Co mi tam, czy Krąg straci, czy zyska, czy w ogóle przestanie istnieć. Zawsze mogę utrzymać się

z leczenia wzdęcia u jałówek. Albo impotencji u takich grzybów jak ty. Ale to nie jest ważne. Ważne jest to, że chcesz żyć, Fregenal, i z tego to powodu mielesz ozorem. Każdy chce żyć. Dlatego zaraz, tu, na miejscu, zdradzisz mi wiążące zakłęcie. Potem pomożesz mi odnaleźć tego kościeja i zniszczyć go. A jeśli nie... Cóż, pójdę sobie do lasu, pospaceruję. Potem będę mogła powiedzieć w Kręgu, że nie upilnowałam rozwścieczonych chłopów.

- Zawsze byłaś cyniczna - czarownik zazgrzytał zębami. - Nawet wtedy, w Mayenie. Zwłaszcza w kontaktach z mężczyznami. Miałaś czternaście lat, a już wiele się mówiło o twoich...

- Przestań, Fregenal - przerwała druidka. - To, co mówisz, nie robi na mnie żadnego wrażenia. Na nim też nie. Nie jest moim kochankiem. Powiedz, że się zgadzasz. I kończmy z tą zabawą. Bo przecież się zgadzasz!

Fregenal łypnął białkami oczu, odwrócił głowę.

- Pewnie, że tak - wycharczał. - Masz mnie za idiotę? Każdy chce żyć.

VIII

Fregenal zatrzymał się, wierzchem dłoni otarł spocone czoło.

- Tam, za tą skałą, zaczyna się wąwóz. Na starych mapach oznaczony jest jako Dur-tan-Orit, Mysi Jar. To brama Klamatu. Tutaj musimy zostawić konie. Konno nie mamy najmniejszej szansy, by podejść do niego niepostrzeżenie.

- Mikula - rzekła Visenna, zsiadając. - Zaczekajcie tutaj do wieczora, nie dłużej. Jeżeli nie wrócę, nie chodźcie na przełęcz pod żadnym pozorem. Wracajcie do domów. Zrozumiałeś, Mikula?

Kował pokiwał głową. Było z nim już tylko czterech wieśniaków. Najodważniejszych. Reszta oddziału stopniała po drodze niby śnieg w maju.

- Zrozumiałem, pani - mruknął, łypiąc okiem na Fregenala. - Wszelako dziwno mi, że temu przekłētnikowi ufacie. Po mojemu, chłopci rację mieli. Łeb mu urwać trzeba było. Popatrzcie tylko, pani, na te świńskie oczka, na tę mordę zdradziecką.

Visenna nie odpowiedziała. Przysłoniwszy oczy dłonią, patrzyła na góry, na wejście do wąwozu.

- Prowadź, Fregenal - skomenderował Korin, podciągając pas.

Ruszyli.

Po pół godzinie marszu zobaczyli pierwszy wóz, przewrócony, rozbity. Za nim drugi, ze złamanym kołem. Szkielety koni. Szkielet człowieka. Drugi. Trzeci. Czwarty. Stos. Stos połamanych, pokruszonych kości.

- Ty sukinsynu - rzekł Korin cicho, patrząc na czaszkę, przez oczodoły której przedzierały się już łodygi pokrzyw. - To kupcy, tak? Nie wiem, co mnie powstrzymuje,

by...

- Umawialiśmy się... - przerwał Fregenal pospiesznie. - Umawialiśmy się. Powiedziałem wam wszystko, Visenna. Pomagam wam. Prowadzę was. Umawialiśmy się!

Korin splunął. Visenna spojrzała na niego, blada, potem odwróciła się w stronę czarownika.

- Umawialiśmy się - potwierdziła. - Pomożesz mi go odnaleźć i zniszczyć, potem pójdziesz swoją drogą. Twoja śmierć nie przywróci do życia tych, którzy tu leżą.

- Zniszczyć, zniszczyć... Visenna, ostrzegam cię jeszcze raz i powtarzam: wprowadź go w letarg, sparaliżuj, znasz zaklęcia. Ale nie niszczyć go. On jest wart majątek. Zawsze możesz...

- Przestań, Fregenal. Rozmawialiśmy już o tym. Prowadź.

Poszli dalej, ostrożnie omijając szkielety.

- Visenna - sapnął Fregenal po chwili. - Zdajesz sobie sprawę z ryzyka? To nie przelewki. Wiesz, z Efektem Zwierciadła bywa różnie. Jeżeli inwersja nie podziała, będzie po nas. Widziałem, co on potrafi.

Visenna zatrzymała się.

- Nie kręć - powiedziała. - Za kogo ty mnie masz? Inwersja podziała, jeżeli...

- Jeżeli nas nie oszukałeś - wtrącił Korin głosem głuchym z wściekłości. - A jeśli nas oszukałeś... Mówiłeś, że widziałeś, co potrafi twój potwór. A czy wiesz, co ja potrafię? Znam takie cięcie, po którym ciętemu zostaje jedno ucho, jeden policzek i pół szczęki. Można to przeżyć, ale nie można już potem, między innymi, grać na flecie.

- Visenna, uspokój tego mordercę - wybełkotał Fregenal, pobladły. - Wyjaśnij mu, że nie mogłem cię okłamać, że wyczułabyś...

- Nie gadaj tyle, Fregenal. Prowadź.

Dalej zobaczyli następne wozy. I następne szkielety. Pomieszane, splątane, bielejące w trawie klatki żeber, sterczące z rozpadlin pierszczele, upiornie uśmiechnięte czaszki. Korin milczał, ściskając rękojeść miecza w spoconej dłoni.

- Uważajcie - sapnął Fregenal. - Jesteśmy blisko. Idźcie cicho.

- Z jakiej odległości on reaguje? Fregenal, mówię do ciebie.

- Dam ci znak.

Poszli dalej, oglądając się na ściany wąwozu, strome, porośnięte pokracznymi kikutami krzaków, poznaczone smugami żlebów i osypisk.

- Visenna? Wyczuwasz go już?

- Tak. Ale niewyraźnie. Jaka odległość, Fregenal?

- Dam ci znak. Szkoda, że nie mogę ci pomóc. Bez różdżki i pierścienia nie mogę nic zrobić. Jestem bezsilny. Chyba że...

- Chyba że co?

- To!

Z szybkością, o jaką trudno go było podejrzewać, grubas porwał z ziemi kanciasty odłamek skały i uderzył Visennę w tył głowy. Druidka padła bez jęku, twarzą w dół. Korin zamachnął się dobytym mieczem, ale czarownik był niewiarygodnie zwinny. Padł na czworaki, unikając ostrza, przeokoziółkował pod nogami Korina i kamieniem, którego nie wypuścił z ręki, grzmotnął go w kolano. Korin zawył, upadł, ból na moment pozbawił go oddechu, a potem falą mdłości runął z trzewi do gardła. Fregenal zerwał się jak kot, zamierzając się do powtórnego uderzenia.

Pstrokaty ptak spadł z góry jak pocisk, ocierając się o twarz czarownika. Fregenal odskoczył, machając rękami, upuścił kamień. Korin, wsparty na łokciu, ciął mieczem, o włos chybiając łydkę grubasa, ten zaś odwrócił się i pomknął z powrotem w stronę Mysiego Jaru, wrzeszcząc i rechocząc. Korin próbował wstać i ścigać go, ale próba uniesienia się z ziemi zmroczyła mu oczy ciemnością. Upadł znowu, ciskając za czarownikiem stek obrzydliwych wyzwisk.

Fregenal w bezpiecznej odległości obejrzał się, zatrzymał.

- Ty niewydarzona wiedźmo! - zaryczał. - Ty ryża paskudo! Chciałaś przechytryć Fregenala? Łaskawie darować mi życie? Myślałaś, że będę spokojnie patrzył, jak go zabijasz?

Korin, nie przestając kląć, masował kolano, uspokajał tętniący ból. Visenna leżała bez ruchu.

- Idzie! - wrzasnął Fregenal. - Patrzcie! Cieszcie się tym widokiem, bo już za chwilę mój kościej wydusi wam oczy z czaszek! Już idzie!

Korin obejrzał się. Zza skalnego rumowiska, oddalonego o jakieś sto kroków, wyjrzały gruzłowate stawy zgiętych pajęczych nóg. Po chwili przez kupę kamieni z grzechotem przetoczył się co najmniej sześciometrowej średnicy tułów, płaski jak talerz, ziemistordzawy, kostropaty, pokryty kolczastymi wyrostkami. Cztery pary nóg postępowały miarowo, wlokąc misowaty korpus przez piarg. Piąta, pierwsza para odnóży, nieproporcjonalnie długich, uzbrojona była w potężne raczej kleszcze, najeżone rzędami ostrych kolców i rogów.

To sen, przeleciało przez głowę Korina. To koszmar. Obudzić się. Wrzasnąć i obudzić się. Wrzasnąć. Wrzasnąć. Wrzasnąć.

Zapominając o bolącym kolanie, przyskoczył do Visenny, targnął jej bezwładnym ramieniem. Włosy druidki przesiąknięte były krwią, już spływającą po karku.

- Visenna... - wykrztusił przez sparaliżowane strachem gardło. - Visenna...

Fregenal wybuchnął obłąkańczym rechotem, dudniącym echem o ściany wąwozu. Śmiech zagłuszył kroki Mikuli, nadbiegającego chyłkiem, z toporem w garści. Fregenal spostrzegł się, gdy było już za późno. Topór ugodził go w krzyż, nieco powyżej bioder i wbił się aż po obuch. Czarownik z rykiem bólu runął na ziemię, wyrывая stylisko z rąk kowala. Mikula przydepnął go, wyrwał berdysz, zamachnął się powtórnie. Głowa Fregenala stoczyła się po pochyłości i znieruchomiała, oparta czołem o jedną z czaszek

leżących pod kołami rozbitego wozu.

Korin kusztykał, potykając się na kamieniach, wlokąc Visennę, bezwładną i miękką. Mikula przyskoczył do nich, chwycił dziewczynę, bez wysiłku zarzucił ją sobie na ramię i pobiegł. Korin, choć wyzwolony z ciężaru, nie mógł nadążyć. Zerknął przez ramię. Kościej sunął ku niemu, skrzypiąc stawami, wyciągnięte kleszcze rozczesywały rzadką trawę, chrobotwały o głązy.

- Mikula! - wrzasnął Korin rozpaczliwie.

Kował obejrzał się, złożył Visennę na ziemi, podbiegł do Korina, wsparł go, razem pobiegli. Kościej przyspieszył, unosząc kolczaste łapy.

- Nie damy rady - sapnął Mikula, oglądając się. - Nie ujdziemy...

Dopadli do Visenny, leżącej na wznak.

- Wykrwawi się - jęknął Mikula.

Korin przypomniał sobie. Zerwał z paska Visenny jej sakiewkę, wyrzucał zawartość, nie zwracając uwagi na inne przedmioty, chwycił rdzawy, pokryty runicznymi znakami minerał, rozgarnął rude, zmoczone krwią włosy, przycisnął hematyt do rany. Krew momentalnie przestała płynąć

- Korin! - wrzasnął Mikula.

Kościej był blisko. Szeroko rozpostarł łapy, zębate szczypce rozwarły się. Mikula widział obracające się na słupkach oczy potwora i zgrzytające pod nimi półksiężycowate szczęki. Pełznąć, kościej syczał rytmicznie: "Tss, tss, tss..."

- Korin!

Korin nie reagował, szeptał coś, nie odrywając hematytu od rany. Mikula dopadł go, szarpnął za ramię, oderwał od Visenny, porwał druidkę w ramiona. Pobiegli. Kościej, ani na moment nie przestając syczeć, uniósł łapy, zazgrzytał po skale chitynowym brzuchem i szparko pomknął za nimi. Mikula zorientował się, że nie mają szans.

Od strony Mysiego Jaru pędził w karkołomnym galopie jeździec w skórzanym kubraku, w misiurce z żelaznych kółek, ze wzniesionym nad głową szerokim mieczem. W kosmatej twarzy płonęły małe oczka, błyskały szpiczaste zęby.

Z bojowym okrzykiem Kehl runął na kościeja. Zanim jednak dopadł potwora, straszliwe łapy zwarły się, chwytając konia w kolczaste kleszcze. Bobolak wyleciał z siodła, poturlał się po ziemi.

Kościej bez widocznego wysiłku uniósł konia w kleszczach i nabił go na ostry szyp sterczący mu z przodu tułowia. Sierpowate zuchwy kłapnęły, krew zwierzęcia bluznęła na kamienie, z rozciętego brzucha buchnęły na ziemię parujące wnętrzości.

Mikula podskoczył, podniósł z ziemi bobolaka, ten jednak odepchnął go, porwał miecz, wrzasnął tak, że zagłuszył przedśmiertne kwiki konia i skoczył na kościeja. Z małpią zręcznością prześliznął się pod kościstym łokciem potwora i ciął z całej siły prosto w słupkowate oko. Kościej zasyczał, puścił konia, rozrzucił łapy na boki, zawadzając Kehla ostrymi kolcami, poderwał go z ziemi, cisnąc w bok, na piarg. Kehl

zwaliał się na skały, wypuszczając miecz. Kościej wykonał półobrót, sięgnął szczypcami i capnął go. Mała figurka bobołaka zawisła w powietrzu.

Mikula ryknął wściekle, w dwóch skokach dopadł potwora, zamachnął się i rąbnął berdyszem po chitynowym karapaksie. Korin, porzucając Visennę, bez zastanowienia przyskoczył z drugiej strony, trzymany oburącz miecz z rozmachem wpakował w szczelinę pomiędzy pancerzem a łapą. Napierając piersią na rękojęść, wepchnął ostrze aż po jelec. Mikula stęknął i uderzył jeszcze raz, pancerz pękł, trysnęła zielona cuchnąca ciecz. Kościej zasyczał, puścił bobołaka, uniósł kleszcze. Korin zaparł się nogami w ziemię, szarpnął za rękojęść miecza, bez skutku.

- Mikula! - krzyknął. - Do tyłu!

Obaj rzucili się do ucieczki, sprytnie, bo w dwie różne strony. Kościej zawahał się, zgrzytnął brzuchem po skale i ruszył szybko przed siebie, prosto na Visennę, która z głową zwieszoną między ramionami usiłowała podnieść się na czworaki. Tuż nad nią, w powietrzu zawisł pstrokaty ptak, bijąc skrzydłami, krzycząc, krzycząc, krzycząc...

Kościej był blisko.

Obaj, Mikula i Korin, skoczyli jednocześnie, zagradzając drogę potworowi.

- Visenna!

- Pani!

Kościej, nie zatrzymując się, rozcapierzył łapska.

- Na bok! - krzyknęła Visenna na kolanach, unosząc ręce. - Korin! Na bok!

Odskoczyli obaj, przypadając do ścian wąwozu.

- Henenaa fireaoth kerelanth! - krzyknęła przeraźliwie czarodziejka, wyrzucając ręce w kierunku kościeja. Mikula spostrzegł, jak coś niewidzialnego sunie od niej ku potworowi. Trawa słała się po ziemi, a drobne kamienie toczyły się na boki, jak gdyby rozgniatane ciężarem ogromnej kuli, pędzącej z rosnącą prędkością. Z dłoni Visenny trysnęła oślepiająco jasna, zygzakowata smuga światła, uderzyła w kościeja, rozmazała się po pancerzu siatką języków ognia. Powietrze rozpękło się w ogłuszającym huku. Kościej eksplodował, wybuchnął zieloną fontanną posoki, kurzawą odłamków chityny, nóg, wnętrzności, wszystko to wyleciało w górę, gradem sypnęło się dookoła, zadudniło o skały, zaszeleściło po zaroślach. Mikula przykucnął, oburącz zasłaniając głowę.

Było cicho. W miejscu, na którym przed chwilą stał potwór, czerniał i dymił okrągły lej, zbryzgany zieloną cieczą, usłany ohydnyimi, trudnymi do rozpoznania, drobnymi fragmentami.

Korin, ocierając twarz z zielonych plam, pomógł Visennie wstać z ziemi. Visenna drżała.

Mikula pochylił się nad Kehlem. Bobołak miał otwarte oczy. Gruby kubrak z końskiej skóry pocięty był na strzępy, pod którymi widać było to, co zostało z ramienia i barku. Kowal chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał. Podszedł Korin, podtrzymując Visennę. Bobołak odwrócił głowę w ich stronę. Korin popatrzył na jego ramię i z trudem przełknął

ślinę.

- To ty, królewiczu - rzekł Kehl cicho, ale spokojnie i wyraźnie. - Miałeś rację... Bez broni jestem śmieć. A bez ręki? Chyba gówno, co?

Spokój bobołaka przeraził Korina bardziej niż widok zmiażdżonych kości wyzierających z potwornych ran. To, że karzeł wciąż żył, było niewyobrażalne.

- Visenna - szepnął Korin, patrząc na czarodziejkę błagalnie.

- Nie dam rady, Korin - powiedziała Visenna łamiącym się głosem. - Metabolizm całkowicie odmienny od ludzkiego... Mikula... Nie dotykaj go...

- Wróciłeś, bobołaku - szepnął Mikula. - Dlaczego?

- Bo mój metabolizm jest odmienny... od ludzkiego - rzekł Kehl z dumą w głosie, choć już z wyraźnym wysiłkiem. Strużka krwi wypłynęła mu z ust, plamiąc popielate futro. Odwrócił głowę, spojrzał w oczy Visenny.

- No, ruda wiedzmo! Przepowiedziałaś trafnie, ale spełnić przepowiednię musisz sama.

- Nie! - jęknęła Visenna.

- Tak - rzekł Kehl. - Tak trzeba. Pomóż mi! Już czas.

- Visenna - westchnął Korin z wyrazem przerażenia na twarzy. - Ty chyba nie zamierzasz....

- Odejdźcie! - krzyknęła druidka, powstrzymując łkanie. - Odejdźcie obaj!

Mikula, patrząc w bok, pociągnął Korina za ramię. Korin poddał się. Zobaczył jeszcze, jak Visenna klęka nad bobołakiem, delikatnie gładzi go po czole, dotyka skroni. Kehl drgnął, zadygotał, wyprężył się i zastygł nieruchomy.

Visenna płakała.

IX

Pstrokaty Ptak, siedzący na ramieniu Visenny, przekrzywił płaski łebek, wlepił w czarodziejkę okrągłe, nieruchome oko. Koń człapał wyboistym gościńcem, niebo było kobaltowe i czyste.

- Tuuit tuiit trk - powiedział Pstrokaty Ptak.

- Możliwe - zgodziła się Visenna. - Ale nie o to chodzi. Nie zrozumiałeś mnie. Nie mam pretensji. Przykro mi, że o całej sprawie dowiedziałam się dopiero od Fregenala, a nie od ciebie, to fakt. Ale znam cię przecież od lat, wiem, że nie jesteś gadatliwy. Sądzę, że gdybym zapytała wprost, odpowiedziałbyś.

- Trk, tuuuit?

- Jasne. Już od dawna. Ale sam wiesz, jak u nas jest. Jedna wielka tajemnica, wszystko tajne, sekretne. A zresztą to tylko kwestia skali. Ja też nie odmawiam przyjęcia zapłaty za leczenie, jeśli ktoś mi ją wpycha, a wiem, że go stać. Wiem, że za pewnego

rodzaju usługi Krąg żąda wysokich opłat. I słusznie, wszystko drożeje, a żyć trzeba. Nie o to chodzi.

- Twwiiiit. - Ptak przestąpił z nóżki na nóżkę. - Korriiin.

- Domyślny jesteś - uśmiechnęła się cierpko Visenna, pochylając głowę w stronę Ptaka, pozwalając, by lekko dotknął dziobkiem jej policzka. - Tym właśnie jestem rozgoryczona. Widziałam, jak na mnie spoglądał. Nie dość, że wiedźma, myślał pewnie, to jeszcze i obłudna kombinatorka, chciwa i wyrachowana.

- Tuwiiit trk trk trk tuuiiit?

Visenna odwróciła głowę.

- No, aż tak źle nie jest - mruknęła, mrużąc oczy. - Nie jestem, jak wiesz, dziewczynką, nie tracę głowy tak łatwo. Chociaż trzeba przyznać... Za długo włóczę się samotnie po... Ale to nie twoja sprawa. Pilnuj swego dzioba.

Ptak milczał, strosząc piórka. Las był coraz bliżej, widać było drogę, znikającą w gąszczu pod portalem konarów.

- Słuchaj - odezwała się Visenna po chwili. - Jak to może, według ciebie, wyglądać w przyszłości? Czy rzeczywiście jest możliwe, żeby ludzie przestali nas potrzebować? Chociażby w najprostszej materii, w kwestii leczenia? Trochę postępu tu widać, weźmy dla przykładu takie ziołolecznictwo, ale czy można sobie wyobrazić, że kiedyś uporają się, damy na to, z krupem? Z gorączką połogową? Z tężcem?

- Twiik twiit.

- Też mi odpowiedź. Teoretycznie to możliwe jest i to, że nasz koń za chwilę włączy się do rozmowy. I powie coś mądrego. A co powiesz o raku? Czy i z rakiem poradzą sobie? Bez magii?

- Trrk!

- Ja też tak myślę.

Wjechali w las, pachnący chłodem i wilgocią. Przekroczyli płytki strumień. Visenna wspięła się na wzgórze, zjechała potem w dół, wśród wrzosów, sięgających strzemion. Znowu odnalazła drogę, piaszczystą, zarośniętą. Znała tę drogę, jechała już wtedy zaledwie trzy dni temu. Tyle, że w przeciwnym kierunku.

- Wydaje mi się - odezwała się znowu - że jednak przydałoby się u nas trochę zmian. Kostniejemy, za mocno i zbyt bezkrytycznie uczepiliśmy się tradycji. Gdy tylko wrócę...

- Twiit - przerwał jej Pstrokaty Ptak.

- Co?

- Twiit.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Dlaczego nie?

- Trrrrrk.

- Jaki napis? Na jakim znowu słupie?

Ptak, furcząc skrzydełkami, zerwał się z jej ramienia, odleciał, znikł wśród listowia.

Korin siedział oparty plecami o słup na rozstaju, przyglądał się jej z bezczelnym

uśmiechem. Visenna zeskoczyła z konia, podeszła bliżej. Czuła, że też się uśmiecha, wbrew swej woli, co więcej, podejrzewała, że uśmiech ten nie wygląda najmądrzej.

- Visenna - zawołał Korin. - Przyznaj się, nie otumaniasz mnie przypadkiem czarami? Odczuwam bowiem ogromną radość z tego spotkania, wręcz nienaturalną radość. Tfu, tfu, na psa urok. To czary ani chybi.

- Czekales na mnie.

- Jesteś niesamowicie przenikliwa. Widzisz, obudziłem się raniutko i stwierdziłem, że odjechałaś. Jak miło z jej strony, pomyślałem sobie, że nie budziła mnie dla takiego głupstwa jak zdawkowe pożegnanie, bez którego można się wszak doskonale obejść. Któż w końcu w dzisiejszych czasach żegna się lub wita, toż to nic innego jak przesąd i dziwactwo. Prawda? Obróciłem się na drugi bok i spałem dalej. Dopiero po śniadaniu przypomniałem sobie, że mam ci do powiedzenia coś niezwykle ważnego. Wsiadłem zatem na zdobycznego konia i pojechałem na skróty.

- A cóż takiego masz mi do powiedzenia? - spytała Visenna, podchodząc bliżej, zadzierając głowę, by spojrzeć w błękitne oczy, które zeszłej nocy widziała we śnie.

Korin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Sprawa jest delikatnej natury - rzekł. - Nie da się jej streścić w kilku słowach. Będzie to wymagało szczegółowych wyjaśnień. Nie wiem, czy zdążę przed zmierzchem.

- Zaczynj chociaż.

- Z tym właśnie jest kłopot. Nie wiem jak.

- Panu Korinowi brak słów - pokręciła głową Visenna, wciąż się uśmiechając. - Rzecz absolutnie niesłychana. Zaczynj więc, dajmy na to, od początku.

- Niezły pomysł - Korin udał, że poważnieje. - Widzisz, Visenna, minął już ładny kawał czasu, odkąd włóczę się samotnie...

- Po lasach i gościńcach - dokończyła czarodziejka, zarzucając mu ramiona na szyję.

Pstrokaty Ptak, wysoko, na gałęzi drzewa, machnął skrzydełkami, rozpostarł je, zadarł główkę.

- Trrrk twiit twiit - powiedział.

Visenna oderwała usta od ust Korina, spojrzała na ptaka, mrugnęła.

- Miałeś rację - odpowiedziała. - To rzeczywiście droga, z której się nie wraca. Leć, powiedz im..

Zawahała się, machnęła ręką.

- Nic im nie mów.

"Muzykanci"

Doły

Tam, gdzie praktycznie kończyło się miasto, za pętlą tramwaju, za skrytym w wykopie torem kolejowym i pстрыm kwadratem ogródków działkowych, rozciągało się nierówne, pagórkowate pole, zaśmiecone i zryte, szczerzące się złomami betonu i kłami drutu zbrojeniowego, gęsto porośnięte ostem, perzem, mietlicą, mleczem i szarłatem.

Był to pas ziemi niczyjej, frontowa strefa pomiędzy kamienną ścianą bloków mieszkalnych a odległym, ciemnozielonym lasem, zasinionym mgłą smogu.

Teren ten ludzie nazywali Dołami. Nie była to prawdziwa nazwa tego miejsca.

Okolica ta zawsze była pusta, z rzadka penetrowana nawet przez wszędobylskie dzieci, które, na wzór rodziców, preferowały do zabaw miejsca ukryte w bezpiecznych i przytulnych żelbetowych kanionach. Czasem tylko, i to na samym skraju, zasiadali tu pijaczkowie, atawistycznie ciągnący ku zieleni. Poza tym na Doły nie zapuszczał się nikt.

Nie licząc kotów.

Kotów było pełno na całym osiedlu, ale Doły były ich królestwem, niekwestionowaną domeną i azylem. Osiedlowe psy, regularnie szczute na koty przez swoich właścicieli, zatrzymywały się na pograniczu pustkowia, wracały, kuląc ogony i skamląc. Z pokorą przyjmowały okrutne ciągi, spuszczone im przez panów "za tchórzostwo" - Doły budziły w nich większy strach niż razy.

Ludzie również czuli się na Dołach nieswojo. W dzień. Bo w nocy na Doły nie zapuszczał się nikt.

Nie licząc kotów.

W ciągu dnia przyczajone i ostrożne, nocą koty krążyły po Dołach miękkim, ostrzegawczym krokiem, dokonywały niezbędnych korekt liczebności miejscowych szczurów i myszy, budziły mieszkańców pogranicznych bloków przeraźliwym wrzaskiem, oznajmającym miłość lub krwawy bój. W nocy koty czuły się na Dołach bezpiecznie. W dzień nie.

Mieszkańcy osiedla nie lubili kotów. Zważywszy, że stworzenia, które lubili i które trzymali w swoich kamiennych gniazdach, zwykli byli od czasu do czasu bestialsko męczyć, określenie "nie lubili" w stosunku do kotów nabierało właściwego, ponurego wyrazu. Bywało, że koty zastanawiały się, gdzie leży przyczyna tego stanu. Poglądy były różne - większość kotów uważała, że winę ponoszą owe drobne, pozornie nic nie znaczące drobiazgi, które powoli, acz skutecznie, zabijały ludzi i wiodły ich do obłędu - ostre, mordercze igielki azbestu, które nosili w płucach, zabójcze promieniowanie, płynące z płyt będących ścianami ich siedzib, kwaśne, życiogubne powietrze, bezustannie wiszące nad miastem. Cóż dziwnego, mówiły koty, że ktoś balansujący na krawędzi

zagłady, truty, trawiony przez jady i choroby, nienawidzi witalności, zwinności i siły? Że ktoś roztrzęsiony, nie znający spokoju, wściekłością i szałem reaguje na ciepły, puszysty i rozmruczany spokój innych? Nie, nie było w tym niczego, czemu należało się dziwić. Należało natomiast być czujnym - należało uciekać co sił w nogach, co długości w wyciągniętym skoku, gdy dostrzegło się na horyzoncie duże lub małe dwunogie sylwetki. Należało strzec się kopniaka, kija, kamienia, zębów szczutego psa, kół samochodu. Należało umieć rozpoznać okrucieństwo, kryjące się za cedzonym zza zaciśniętych zębów: "Kici, kici". I tyle.

Były jednak wśród kotów i takie, które uważały, że przyczyna nienawiści leży gdzie indziej. Że ukryta jest w Dawnych Czasach.

Dawne Czasy. Koty wiedziały o Dawnych Czasach. Obrazy z Dawnych Czasów widywało się nocami na Dołach.

Bo Doły nie były zwykłym miejscem. Podczas rozświerszczonych, księżycowych nocy koty widziały obrazy dostępne wyłącznie ich kocim żrenicom. Zamglone, rozmigotane obrazy. Korowody długowłosych panien dookoła dziwacznych budowli z kamienia, obłąkańcze wycia i podskoki wokół okaleczonych ciał zwisających z drewnianych rusztowań, szeregi zakapturzonych ludzi z pochodniami w rękach, płonące domy z wieżami zwieńczonymi znakiem krzyża, takie same krzyże, ale odwrócone, zatknięte w czarną, pulsującą ziemię. Stosy, pale i szubienice. I czarnego człowieka, wykrzykującego słowa. Słowa będące, jak wiedziały koty, prawdziwą nazwą miejsca nazywanego Dołami.

Locus terribilis.

W takie noce koty bały się. Koty czuły, jak drga Zasłona. Przypadały wówczas płasko do ziemi, wpijały pazury w grunt, bezgłośnie otwierały wąsate pyszczki. Czekwały.

I wówczas rozbrzmiewała muzyka. Muzyka, zagłuszająca niepokój, kojąca strach, niosąca błogość, zwiastująca bezpieczeństwo.

Bo oprócz kotów, na Dołach mieszkali Muzykanci.

Veehal

Dzień zaczął się tak samo, jak wszystkie inne dni - chłodny ranek rozgrzał się i rozleniwił ciepłym, jesiennym przedpołudniem, rozświecił się smużkami babiego lata w swym zenicie, rozchmurzył i zamglił pod wieczór, zaczął gasnąć.

To stało się zupełnie niespodziewanie, nagle, bez ostrzeżenia. Veehal rozdarł powietrze, przeleciał po chwastach jak wichra, zwiłokrotnił się echem odbitym od kamiennej ściany bloków. Potworny strach zjeżył przegowane i łaciate futerka, położył uszy, wyszczerzył kielki.

Veehal!

Męczarnia i śmierć!

Mord!

Veehal!

Zasłona! Zasłona pęka!

I muzyka.

Uspokojenie.

Syreny karetek spływały na ogródki działkowe dopiero później. Dopiero później zaczęła się oszalała krzątania ludzi w białych i niebieskich ubraniach. Koty patrzyły na to z ukrycia, spokojne i obojętne. To już ich nie dotyczyło.

Ludzie biegali, krzyczeli, klęli. Ludzie wynosili spomiędzy altanek ciała, zmasakrowane, zniekształcone, sączące krew przez białe prześcieradła. Ludzie w niebieskich ubraniach odpychali od drucianej siatki innych, tych, którzy nadbiegali od strony osiedla. Koty patrzyły.

Jeden z ludzi w niebieskich ubraniach, wytoczywszy się na otwartą przestrzeń, wymiotował, krztusił się. Ktoś krzyczał, krzyczał okropnie. Wściekle roztrzaskały się drzwi samochodów, potem znowu wyły syreny.

Koty mruczały cicho. Koty słuchały muzyki. Tamto już ich nie dotyczyło.

Krostowaty

Pogrążony w sieci tonów, wiążących i klejących przedartą Zasłonę delikatną przędzą muzyki, Krostowaty cofnął się, siejąc wokół kropelkami krwi ściekającej z pazurów i kłów. Cofnął się, zniknął, odgradzany od przejścia kleistym spoiwem, po raz ostatni, już zza Zasłony, tchnął ku Muzykantom nienawiścią, złością i groźbą.

Zasłona zrosła się, zatarł się ostatni ślad pęknięcia.

Muzykanci

Muzykanci siedzieli w cieniu pogiętego, okopconego, zarytego w ziemię pieca.

- Udało się - powiedział Kersten. - Udało się tym razem.

- Tak - potwierdził Itka. - Ale następnym razem... Nie wiem.

- Będzie następny raz - zaszeptał Pasiburduk - Itka? Będzie następny raz?

- Ponad wszelką wątpliwość - rzekł Itka. - Nie znasz ich? Nie wiesz, o czym teraz myślą?

- Nie - powiedział Pasiburduk. - Nie wiem.

- A ja wiem - mruknął Kersten. - Dobrze wiem, bo ich znam. Myślą o zemście.

Dlatego musimy ją odnaleźć.

- Musimy - powiedział Itka. - Musimy ją wreszcie odnaleźć. Tylko ona może ich powstrzymać. Ona ma z nimi kontakt. A gdy już będzie z nami, odejdziemy stąd. Do Bremy. Do innych. Tak, jak każe Prawo. Musimy iść do Bremy.

Błękitny pokój

Błękitny pokój żył własnym życiem. Oddychał zapachem ozonu i rozgrzanego plastiku, metalu, eteru. Tętnił, jak krwią, elektrycznością bzykającą w izolowanych kablach, oleisto lśniących wyłącznikach, klawiszach i wtyczkach. Migotał szklistą poświatą ekranów, mnóstwem złych, czerwonych oczek czujników. Pysnił się majestatem chromu i niklu, powagą czerni, dostojnością bieli. Żył.

Wzbudzał respekt. Dominował.

Debbe poruszyła się w uścisku rzemieni, rozpinających ją na płask na pokrytym prześcieradłem i ceratą stole. Nie czuła bólu - igły, wbite w czaszkę, i zębate blaszki, przypięte do uszu, nie bolały już, ciążyły tylko splecione koroną przewodów, szpeciły, hańbiąco krępowały, ale przestały zadawać cierpienie. Nieruchomym, bezbarwnym wzrokiem Debbe patrzyła na pelargonię stojącą na parapecie. Pelargonia była w tym pokoju jedyną rzeczą, żyjącą własnym, niezależnym życiem.

Nie licząc Izy.

Iza, zgarbiona nad stołem, pisała szybko, drobnym maczkiem pokrywając strony zeszytu, od czasu do czasu postukując palcami po klawiaturze komputera. Debbe wsłuchiwała się w tętno Pokoju.

- No, maleńka - powiedziała Iza, odwracając się. - Zaczynamy. Spokojnie.

Szczęknął wyłącznik, zabrzęczały silniki, drgnęły ogromne szpule, łypnęły krwawe czerwone światelka. Przez okrągłe, kratkowane okna ekranów popędziły w podskokach świetliste myszki. Rysiki zadygotały, rozkołysały się jak cienkie, pajęczne nogi, popęzły na bębnach grzebieniaste linie. Debbe

Iza gryzła długopis, wpatrując się w rzędy cyfr, przerażająco równo wyskakujących na ekranie monitora, w linie, w pudełkowate wykresy. Mruczała pod nosem, długo pisała w zeszycie. Paliała. Przeglądała wydruki. Wreszcie szczęknął wyłącznik.

widziała pelargonię. Czuła suchość w nosie, chłodniejące gorąco, spływające od czoła ku oczom. Drętwienie, drętwienie całego ciała.

Iza przeglądała wydruki. Niektóre z nich mięła i ciskała do przepelnionego kosza, inne, oznaczone szybkimi pociągnięciami długopisu, spinała i odkładała na równy stos.

Pokój żył.

- Jeszcze raz - powiedziała Iza. - Jeszcze raz, mała.

Debbe

Niebieski ekran wyczarowywał zygzaki i linie, regularnymi warstwami piętrzył kolumny cyferek. Rysik, płynnie i spokojnie falując, kreślił na bębnie fantastyczny horyzont.

To my. Musisz,

zdziwiła się, słysząc ten głos. Nigdy przedtem nie słyszała tego głosu, głosu silniejszego niż głos Pokoju, silniejszego niż piekące gorąco, bulgocące w jej mózgu. Igły, od których jeżyła się jej głowa, zawibrowały.

Muzyka! Muzyka! Muzyka!

Czerwona linia na ekranie skoczyła w górę, rysik targnął się i narysował w rozedrganej kresce trzy lub cztery potężne szczyty.

musisz z nami do Bremy.

- Co jest, cholera - szepnęła Iza, wpatrzona w ekran. Zapominając o tłącym się na popielniczce papierosie, zapaliła drugiego. Wciskała włączniki jeden po drugim, próbując opanować szalejące ekrany.

- Nic nie rozumiem. Co się dzieje, mała?

Wreszcie zrobiła to, co należało. Wyłączyła prąd.

- Neeee - powiedziała przeciągle Debbe. - Nie chcę, jasnowłosa. Nie chceęęęę!

Iza wstała, pogłaskała ją po głowie i grzbiecie. Wszystkie linie na ekranie popędziły ku górze, a rysik zaszamotał się dziko. Iza tego nie widziała.

- Biedny kotek - powiedziała, głaszcząc jedwabiste futerko Debbe. - Biedna kicia. Żebyś wiedziała, jak mi cię żal. Ale przysłużysz się nauce, koteczku. Przysłużysz się wiedzy.

Za plecami Izy kursor komputera podreptał w prawo, rzędami małych, kanciastych literek wypisał: "Incorrect statement" i zgasł. Zupełnie.

Rysik zatrzymał się na bębnie.

Świetlista myszka na okrągłym, kratkowanym ekranie pisnęła raz jeszcze i zamarła.

Iza, czując nagle mroczącą oczy słabość, opadła ciężko na biały, trójnogi stół.

Muzyka, pomyślała, skąd ta...

Debbe mruczała z przejęciem, z łatwością i lekko, płynnie i naturalnie dopasowując się do harmonii biegnących zewsząd tonów. Odnajdywała w nich siebie, swoje miejsce, swoje przeznaczenie. Czuła, że bez niej ta muzyka jest niepełna, kaleka. Głosy, punktujące akordy, potwierdzały to. To ty, mówiły, to ty. Uwierz w siebie. To właśnie ty. Uwierz.

Debbe wierzyła.

My, mówiły głosy, to ty. Słuchaj. Słuchaj nas. Słuchaj naszej muzyki. Twojej muzyki. Czy słyszysz?

Debbe słyszała.

Czekamy na ciebie, mówiły głosy. Wskażemy ci drogę do nas. A gdy już będziesz z nami, wyruszymy razem do Bremy. Do innych Muzykantów. Ale najpierw musisz dać im

szansę. Tylko ty możesz to zrobić. Możesz dać im szansę. Posłuchaj. Powiemy ci, co się stało. Powiemy ci, co zrobić, aby ich powstrzymać. Słuchaj.

Debbe słuchała.

Czy zrobisz to?

Tak, powiedziała Debbe. Zrobię.

Muzyka odpowiedziała kaskadą dźwięków.

Iza martwym wzrokiem patrzyła na pelargonię.

Spójrz na mnie, jasnowłosa, powiedziała Debbe. Czarna litera "M" na czole kotki, znamie wybranki, znak Pajaka Pogońca, błysnęła, zaślnęła metalicznym pawim połyskiem. Spójrz mi w oczy.

Nejman

- Dwóch - powiedziała pielęgniarka. - Jest ich dwóch. Siedzą w pokoju ordynatora. Recka zrobiła im kawy. Ale mówili, że im się spieszy.

- Czego może chcieć ode mnie milicja? - Iza zdusiła niedopałek papierosa w blaszanym, chwiejnym talerzu korytarzowej popielniczki. - Nie mówili?

- Nic nie mówili - pielęgniarka wykrzywiła pucułowatą buzię. - Wie pani, pani doktor. Oni nigdy niczego nie mówią.

- Skąd mam wiedzieć?

- Niech pani idzie. Mówili, że im się spieszy.

- Idę.

Było ich rzeczywiście dwóch. Przystojny blondyn, kawał chłopca w denimowej kurtce i brunecik w ciemnym swetrze.

Na widok wchodzącej Izy wstali obaj. Zdziwiła się - gest był niecodzienny nawet u zwykłych mężczyzn, a zupełnie nieprawdopodobny u milicjantów. Policjantów, poprawiła się w myśli i równocześnie zawstydziła się - zawstydziła stereotypu, któremu bezwiednie się poddała.

- Pani doktor Przemęcka - stwierdził fakt blondyn.

- Tak.

- Izabella Przemęcka?

- Tak. Niech panowie usiądą, proszę. Słucham panów.

- A nie - uśmiechnął się blondyn. - To ja słucham.

- Nie bardzo pana rozumiem, panie...

- Komisarzu. To odpowiednik dawniejszego porucznika.

- Chodziło mi o nazwisko, nie o szarżę.

- Nejman. Andrzej Nejman. A to jest aspirant Zdyb. Przepraszam panią, pani doktor. Uznałem prezentację za zbędną, bo pani mnie przecież zna. Pani telefonowała do mnie.

Wymieniając moje nazwisko. I szarżę, jak się pani dowcipnie wyraziła.

- Ja? - zdziwiła się szczerze Iza. - Ja do pana telefonowałam? Proszę pana, ja od początku przypuszczałam, że to jakaś pomyłka. A teraz jestem pewna, że tak jest. Nigdy nie dzwoniłam na milicję. Nigdy. Pomylił mnie pan z kimś innym.

- Pani Izo - powiedział poważnie Nejman. - Bardzo proszę, niech pani nie utrudnia mi zadania. Pracuję nad sprawą morderstwa popełnionego na ogródkach działkowych imienia Róży Luksemburg, obecnie generała Andersa. Pewnie pani słyszała: trzech nastolatków zaszlachtowanych przy użyciu sierpa, kosy, bosaka lub podobnego narzędzia. Słyszała pani? To niedaleko stąd, na przedmieściu.

- Słyszałam. Ale co ja mam z tym wspólnego?

- Nie wie pani? Zajmuje się pani jedną z ofiar tego wypadku. Pośrednią ofiarą, tak to nazwijmy. Elżbieta Gruber, lat dziewięć. Ta mała dziewczynka, która widziała cały przebieg zdarzenia, przebieg zbrodni. Leży w tym szpitalu. Słyszałem, że pani się nią zajmuje.

- Ach, ta dziewczynka w komatozie... Nie, panowie, to nie jest moja pacjentka. Doktor Abramik...

- Doktor Abramik, z którym już rozmawiałem, twierdzi, że pani bardzo interesuje się tym przypadkiem. Ta Gruber to pani krewna?

- Skądże znowu... Żadna krewna, nie znam jej. Nie znałam nawet jej nazwiska...

- Pani Izo. Niech pani przestanie. Tolek, pozwól.

Brunecik sięgnął do aktówki, wyjął mały, płaski magnetofon, National Panasonic.

- U nas - powiedział Nejman - nagrywa się rozmowy. Pani rozmowa ze mną też została nagrana. Niestety, nie od początku...

Wbrew woli komisarz zaczerwienił się. Początek rozmowy nie nagrał się z prozaicznych powodów - w kieszeni magnetofonu tkwiła wówczas kaseta z "But Seriously" Phila Collinsa, przegrana z płyty kompaktowej. Brunecik wcisnął klawisz.

- ...przerywaj, Nejman - powiedział głos Izy. - Co cię to obchodzi, kto mówi? Ważniejsze jest, co mówi. A mówi to: nie wolno ci zrobić tego, co zamierzasz. Rozumiesz? Nie wolno. Co chcesz osiągnąć? Chcesz wiedzieć, kto zabił chłopców na ogródkach działkowych? Mogę ci powiedzieć, jeśli chcesz.

- Tak - powiedział głos komisarza. - Chcę. Proszę mi powiedzieć, kto to zrobił.

- Zrobił to ten, który przeszedł przez przedartą Zasłonę. Gdy rozbrzmiał veehał, Zasłona pękła, a on przeszedł. Kiedy Zasłona pęka, ci, którzy znajdują się w pobliżu, są zgubieni.

- Nie rozumiem.

- I nie musisz - powiedział ostro głos Izy. - Wcale nie musisz rozumieć. Masz po prostu przyjąć do wiadomości, że ja wiem, co zamierzasz uczynić. Wiem też, że tego zrobić nie wolno. I po prostu dzielę się z tobą tą wiedzą. Jeśli mnie nie posłuchasz, skutki będą straszne.

- Chwileczkę - odezwał się głos Nejmana. - Miała mi pani powiedzieć, kto...

- Już powiedziałam - przerwał głos Izy.

- Niech więc pani powtórzy, proszę.

- Po co ci to? Myślisz, że możesz coś zrobić temu zza Zasłony? Jesteś w głębokim błędzie. On jest poza twoim zasięgiem. Ale ty... Ty jesteś w jego zasięgu. Strzeż się.

- Pani mi grozi. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

- Tak - powiedział beznamiętnie głos Izy. - Grożę. Ale to nie ja ci zagrażam. Nie ja. Nie potrafię wytłumaczyć ci wielu rzeczy, wielu faktów, nie mogę znaleźć właściwych słów. Ale jedno mogę... mogę cię ostrzec. Czy nie za dużo już było ofiar? Ci chłopcy, Elżbieta Gruber. Nie rób tego, co zaplanowałeś, Nejman. Nie rób tego.

- Proszę posłuchać...

- Dosyć. Zapamiętaj. Nie wolno ci.

Trzasnęła słuchawka.

- Pan mi pewnie nie uwierzy... - zaczęła Iza.

- Już nie jesteśmy na ty? - przerwał Nejman. - Szkoda. To było miłe i bezpośrednie. W co nie uwierzę? Że to nie była pani? Faktycznie, trudno by mi było. A teraz, proszę bardzo, słucham. Co ja zaplanowałem? Dlaczego nie wolno mi tego zrobić?

- Nie wiem. To nie ja... To nie był mój głos.

- Kim jest dla pani mała Gruber?

- Nie wiem... Nikim... Ja...

- Kto zamordował dzieciaki na działkach? - Nejman mówił cicho, nie krzyczał, ale mięśnie na szczękach drgały mu wyraźnie i miarowo. - Kto to był? Dlaczego jest poza moim zasięgiem? Dlatego, że jest nienormalny, prawda? Jeżeli go złapię, nie pójdzie do pudła, ale do szpitala, takiego jak ten? A może właśnie do tego? A może już tu był? Co? Pani doktor?

- Nie wiem! - Iza uniosła pięści w mimowolnym geście. - Nie wiem, mówię panu! To nie ja dzwoniłam! Nie ja!

Nejman i aspirant Zdyb milczeli.

- Ja wiem, co pan myśli - powiedziała wolno Iza.

- Wątpię.

- Pan myśli... Że jak w tym dowcipie... że my tym się różnimy od pacjentów, że chodzimy na noc do domu.

- Brawo - powiedział Nejman bez uśmiechu. - A teraz słucham.

- Ja... niczego nie wiem. Ja nie telefonowałam...

- Pani doktor - powiedział Nejman spokojnie i przymilnie, jak do dziecka. - W porządku, ja wiem, że taśma magnetofonowa to wątlutki dowód. Że może pani zaprzeczyć. Może pani, na ogólnie przyjętej fali, oskarżyć nas nawet o manipulację, o fabrykowanie dowodów, o co pani chce. Ale jeżeli faktycznie chodzi pani na noc do domu zasłużenie, a nie tylko dzięki czyjemuś błędowi w diagnozie, to orientuje się pani,

jakie będą skutki, gdy sprawa się wyda. A sprawa wyda się prześlicznie. Musi się wydać, bo tak się składa, że zamordowani chłopcy mają ważnych rodziców i żadna siła nie wstrzyma śledztwa, wręcz przeciwnie. Wie pani, co się wówczas stanie.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- To ja pani powiem. Pani myśli, że jeżeli maniak z ogródków jest pani krewnym lub kimś bliskim, to nie będzie pani odpowiadać karnie za krycie go. Może. Ale oprócz odpowiedzialności karnej jest jeszcze inna odpowiedzialność. Jeżeli okaże się, że kryła pani homicydalnego maniaka, to w tym szpitalu, a i w innych szpitalach tej branży na całym świecie, będzie pani skończona. Uratować może panią jedynie zdrowy rozsądek. Czekam, aż go pani przejawia.

- Pan... Powtarzam, że nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi - opuściła głowę Iza. - To nie był mój głos, słyszy pan? Podobny, ale nie mój. To nie był mój sposób wyrażania się. Ja tak nie mówię. Może pan spytać, kogo pan chce!

- Pytałem - powiedział Nejman. - Mnóstwo osób panią rozpoznało. Wiem też, z jakiego aparatu dzwoniono. Niech się pani poważnie zastanowi, pani Izo. Proszę przestać kierować się emocjami. Mamy do czynienia z morderstwem, z bestialskim mordem popełnionym na ludziach. Na ludziach, rozumie pani? Pojmuje pani, że tego nie można usprawiedliwić niczym, a już na pewno nie troską o dobro zwierzątek. Ta zbrodnia to typowy przejaw reakcji paranoika, maniaka. Pomścił kota, zabił dzieci, które go męczyły. A jutro zamorduje kogoś, kto bije psa. Pojutrze zakatrupi panią, gdy rozdepcze pani szczypawkę na chodniku.

- O co panu chodzi?

- Twierdzę, że świetnie pani wie, o co mi chodzi. Bo pani wie, kto to zrobił i dla czego to zrobił. Bo pani go leczyła, albo nadal leczy, i wie, na czym polega, przepraszam, zajob pani pacjenta. To jest ktoś, przepraszam, szurnięty na punkcie dobroci dla zwierząt.

- Panie Nejman - powiedziała Iza, dygocąc, nie panując nad drżeniem rąk i uciskiem w mostku. - To pan jest szurnięty. Przepraszam. Niech mnie pan aresztuje. Albo niech mnie pan zostawi w spokoju.

Nejman wstał, aspirant Zdyb wstał również.

- Szkoda - powiedział komisarz. - Szkoda, pani Izo. Gdyby pani się jednak zdecydowała, proszę do mnie zatelefonować.

- Nie mam na co się decydować - powiedziała Iza. - I nie znam pana numeru.

- Ach tak - Nejman pokręcił głową, patrząc jej w oczy. - Rozumiem. Szkoda. Do widzenia, pani Izo.

Chęclewski

- Panie Chęclewski - powiedział komisarz policji Nejman. - Myślałem, że mam do czynienia z poważnym człowiekiem...

- Ej! - adwokat uniósł rękę w ostrzegawczym geście. - Uważaj pan. Nie jesteśmy w komisariacie. O co panu chodzi, do cholery?

- Widzi pan - powiedział aspirant Zdyb, nie kryjąc złości. - Tyle było dowcipów o milicjantach, a tak mało o mecenasach. A wygląda, że niesłusznie.

- Jeszcze słowo, a wyrzucę was obu za drzwi - powiedział wolno Chęclewski. - Co to za gadka? Na co wy sobie pozwalacie, panowie milicjanci?

- Policjanci, jeśli łaska.

- Policjanci od siedmiu boleści. Zabójca mojego syna chodzi sobie na swobodzie, a wy tutaj przychodzicie wygadywać brednie. No, jazda, kawę na łąwę. Mój czas to są pieniądze, panowie.

- Pan za dużo gada - rzekł Nejman. - Jak się pan zapamięta, to nie może przerwać. Gada pan do nas, a co gorsza, także do innych. I przez to ryła się cała sprawa, panie mecenasie.

- Co się ryło? Jaśniej, panowie.

- Nazwisko Przemęcka mówi panu coś? Doktor Przemęcka, z wariatkowa.

- Nie mam znajomości u czubków. Co to za jedna?

- Ta jedna wie o wszystkim, cośmy zaplanowali. Nie od nas. Wychodzi na to, że wie od pana. A jeśli tak jest, to nie ona jedyna.

- Bzdura, czyli bullshit - wyprostował się Chęclewski. - O planie wiem wyłącznie ja i wy obaj. Ja nie mówiłem o tym nikomu. To wy jęczeliście i stekaliście, że nie możecie niczego zrobić bez wiedzy przełożonych. A więc poinformowaliście przełożonych, a przełożeni zapewne poinformowali pół miasta, w tym i doktor Przesmęcką, czy jak jej tam. Quod erat demonstrandum, czyli co było do okazania. Szkoda, panowie. I pan się pomylił, panie Zdyb. W dowcipach o milicjantach jest jednak sporo prawdy.

- Nie mówiliśmy o niczym nikomu - poczerwieniał aspirant. - Nikomu, słyszysz pan? Ani przełożonym, ani żonom. Nikomu.

- Dobra, dobra. Cudów nie ma. Chyba, że... Ta doktor z wariatkowa, jak mówicie, mogła was po prostu podpuścić. Blefować. Co wam powiedziała? Kiedy? Przy jakiej okazji?

- Niech pan sam posłucha. Daj magnetofon, Andrzej.

Siedzieli, paląc papierosa za papierosem. Nejman obserwował, jak w domu naprzeciwko łysy facet z pomocą kilku koleżków montuje na balkonie wielką micę, wyglądającą, wypisz wymaluj, jak antena satelitarna. Z sąsiedniego balkonu, na którym stał jaskrawo pomalowany koń na biegunach, przepelzła do monterów łaciata świnka morska. Łysy, nie puszczając michy, kopnął ją. Świnka spadła z balkonu. Nejman nie wstał, by zobaczyć, co się z nią stało. To było ósme piętro.

- Taaak - powiedział adwokat, wysłuchawszy nagrania do końca. - Czy ona ma aby

wszystkich w domu, ta lekarka? Znacie ten dowcip...

- Znamy - powiedział aspirant Zdyb.

- Zasłona. Jaka zasłona? I ten... wehał, czy jak... Bełkot jakiś. Ta doktorka...

Przesmycka?

- Przemęcka.

- Znacie ją? Sprawdzaliście, co to za jedna?

- Sprawdzaliśmy. Młoda, bez dużej praktyki klinicznej, mało kontaktów z pacjentami.

Zajmuje się jakimiś badaniami. To skomplikowane, cholera, chodzi o fale mózgowe, neurony, zapomniałem.

- Szalona pani doktor Frankenstein - wykrzywił się adwokat. - Wiecie co? Ja bym się całą sprawą nie przejmował.

- A ja odwrotnie - powiedział Nejman. - Więcej powiem, już się zacząłem przejmować. Panie Chęclewski, u nas się jeszcze nie skończyło, czystka trwa. Komuś może cholernie zależeć, żeby mnie udupić. Lekko pieprznęta lekarka to taki sam instrument prowokacji, jak każdy inny, ani lepszy, ani gorszy. Ja to mam przerobione.

- Pan jesteś egocentryk, panie Andrzeju - rzekł Chęclewski. - Pańska osoba w tej sprawie jest, wybaczy pan, mało ważna.

- Oby - uśmiechnął się komisarz. - Wcale bym się nie zmartwił. Ale i pan, drogi panie Chęclewski, chyba się mylił. Po telefonie od pani doktor głowę bym sobie dał urwać, że pańskiego syna zabił przypadkowy szaleniec. To nie była żadna zemsta. Niezależnie kogo i dlaczego bronił pan w stanie wojennym i ilu sekretarzom zrobił pan koło pióra po. Piasecki to pan nie jest. Wybaczy pan.

- Konkluzja? - adwokat poczerwieniał lekko.

- Prosta jak drut. Jeżeli to jest szaleniec, to z punktu widzenia prawa jest to człowiek chory. Chory, rozumie pan, mecenasie?

- Jak słyszę coś takiego - wybuchnął Chęclewski - to mi zęby trzeszczą! Chory, skurwysyn! On mojego Maćka... Chory!

- Ja pana rozumiem. Mnie też trzęsie. Ale nic nie da się zrobić i to wyraźnie powiedziała ta lekarka. Założmy, że blefowała, że nie wie nic o naszym planie. Ale mogła się domyślić, więc ostrzegła mnie. Wyraźnie mnie ostrzegła.

- Pan się w jej bełkocie doszukał ostrzeżenia? Przed czym?

- Niech się pan nie zgrywa. Ostrzegła mnie, żebym nie próbował ująć tego wariata w charakterze zimnego mięsa. Mogę go aresztować używając łagodnej perswazji, związać w kaftan i oddać specjalistom. Na kurację.

- Strach pana obleciał, panie Andrzeju, i dlatego nieprawidłowo pan rozumuje - adwokat splótł dłonie. - Ja też słuchałem tego nagrania. I zupełnie co innego miało w nim kardynalne znaczenie. Niech pan posłucha. Zabawimy się. Ja będę panem, a pan pańskim pułkownikiem czy tam inspektorem policji, tak to się teraz nazywa, jeśli się nie mylę. Słuchaj pan, panie inspektorze policji. Przeanalizowałem dziwną rozmowę z panią

doktor Iks. Uderzyło mnie, że kilkakrotnie używała słów, z których wynikało, że podejrzany furia jest straszliwie niebezpieczny. Utkwiło to w mojej podświadomości tak głęboko, że kiedy doszło do konfrontacji, nerwy mi puściły. Widząc, że atakuje mnie z niebezpiecznym narzędziem, użyłem broni służbowej, nie przekraczając granic obrony koniecznej. Co? Dobrze było, panie inspektorze. Dobrze tłumaczenie?

- W dupę niech pan sobie wsadzi takie tłumaczenie - powiedział spokojnie Nejman. - Tak powiedziałby, oczywiście, mój inspektor do mnie. Panie mecenasie, pan dobrze wie, co oznacza obrona konieczna w przypadku uzbrojonego policjanta, który w dodatku wie, że ma do czynienia z kimś o ograniczonej poczytalności. To nie jest Ameryka. Nie mam zamiaru trafić do kryminału.

Adwokat zamyślił się, milczał przez dłuższą chwilę.

- No, dobrze - powiedział wreszcie. - Może faktycznie ma pan rację, panie Nejman. Co więc robimy?

- Rozwiązujemy umowę.

- No, tu idzie już pan nieco za daleko, nie uważa pan? Rozumiem, strzelanie nie wchodzi w grę ani żaden inny poważny wypadek. Ale facet może stawiać opór. Uciekać. Może się potknąć i zdrowo potłuc. Słyszałem o takich wypadkach, nasłuchiwałem się o nich od moich klientów. A propos, wiecie, panowie, że kilku moich klientów jest obecnie w Warszawie?

- I co z tego?

- Bardzo wiele z tego. Moja propozycja jest taka: utrzymujemy umowę w mocy. Proponuję korzystne warunki. Za umożliwienie mi osobistego udziału w akcji, za satysfakcję dotknięcia ręką i nogą mordercy mojego syna daję wam poparcie z bardzo wysoka na wypadek dalszych czystek w policji, względnie jakichś nieprzewidzianych komplikacji w naszym planie. Moi przyjaciele z Warszawy, jeśli będzie trzeba, uciszą też panią Przemęcką od czubków, nie bójcie się. No, a do tego, jak się umówiliśmy, dochodzi konkretna gratyfikacja finansowa dla was dwóch.

- Trzech - powiedział aspirant Zdyb.

- Jak to, do diabła? - zdenerwował się Chęclewski. - Trzech? Trzech to wielka gromada ludzi, imię ich jest legion, kurwa. Po co trzeci?

- Dla uwiarygodnienia raportu. Tak się u nas zawsze robi. Trójka murarska. Panie mecenasie, pan jest od koncepcji, my od techniki. Znamy się na tym.

- Pewny chociaż ten trzeci?

- Sto procent, czyli hundred per cent.

- Niech więc będzie - skrzywił się adwokat. - No? Panie Nejman, mam nadzieję, że jest pan przekonany.

- Nie do końca - powiedział komisarz. - Tolek? Wydaje ci się...

- Powinno być dobrze - rzekł aspirant. - Jedna rzecz mnie trochę niepokoi. Czy nie za szybko zakładamy, że to jest chory psychicznie. To może być taki zielony, greenpeace,

rozumiecie? Miłośnik zwierząt. Zobaczył, że dzieciaki męczą kota, i odbiło mu. Czytałem o podobnym przypadku, w "Przekroju" chyba. Facetowi oślepił psa czy kota, już nie pamiętam. Jak o tym czytałem, to czułem, że w pisaniu o tym facet wyładował swoją wściekłość, żal, chęć zemsty. Inny mógłby wyładować się inaczej. Wziąłby nóż, siekierę, sztachetę i zemścił się za swojego psa.

- To na jedno wychodzi - powiedział Chęclewski. - Kto tak reaguje, ten jest stuknięty. Quod erat demonstrandum.

- To wcale nie na jedno wychodzi - podchwycił myśl Nejman. - Szajba na punkcie zwierzątek może się nie zakwalifikować u psychiatrów. Z ich punktu widzenia facet będzie całkowicie normalny i będą go słuchać, gdy opowie, w jaki sposób go capnęliśmy i cośmy mu wtedy zrobili.

- Widziałem w swojej karierze wielu opowiadających, co wydarzyło im się na milicji - powiedział adwokat, uśmiechając się krzywo. - Ale nie przypominam sobie żadnego, któremu by formalnie dano wiarę. A jeżeli nawet opowie, w jaki sposób go ujęliście, to co? Myślicie, że ktoś się przejmie głupim kotem?

- Może i nie - powiedział Zdyb. - A co się stanie, jeśli tego kota usłyszy ktoś całkiem ni pri czom? I przyleci zobaczyć, co się dzieje?

- Żartujesz, Tolek - Nejman wzruszył ramionami. - Tym to bym się akurat nie przejmował. Kogo może obchodzić kot?

- A propos kota - powiedział Chęclewski. - Trzeba jakiegoś zorganizować.

- Z tym nie powinno być kłopotu - rzekł Nejman. - Kotów jest pełno. Dzieciaki mojej sąsiadki, na ten przykład, mają kota. Powinien się nadać.

Iza

Iza leżała spokojnie, jak gdyby bała się, że najłżejsze poruszenie może spłoszyć ten oddalający się, nieuchwytny sygnał, bałamutną i kłamliwą zapowiedź nieiszczalnego orgazmu. Przytulony do niej mężczyzna oddychał równo, miarowo, najwyraźniej zapadł już w drzemkę. Buczał autoalarm, daleko i cicho.

- Heniu - odezwała się.

Mężczyzna drgnął, wyrwany z półsnu, zbliżył twarz do jej nagiego ramienia.

- Co, Izunia?

- Niedobrze jest ze mną, Heniu.

- Znowu? - przestraszył się mężczyzna. - Cholera, powinnaś jakoś podregulować ten twój cykl, Iza.

- To nie to.

Mężczyzna odczekał chwilę. Iza nie kontynuowała.

- Więc co? - spytał wreszcie.

- Heniu... Objawem czego są okresy niepamięci?
- Dlaczego pytasz? Masz takowe?
- Ostatnio często. Dość długie. Poza tym halucynacje. Urojenia słuchowe. Omamy. Mężczyzna spojrzał dyskretnie na zegarek.
- Heniu.

- Słyszałem - mruknął, lekko zniecierpliwiony. - I co? Jesteś specjalistką. Jaka jest twoja diagnoza? Anaemia cerebri? Początki schizofrenii? Astrocytoma na płacie czołowym? Inne gównu uciskające śródmózgowie? Iza, każdy psychiatra odnajduje u siebie różne podobne objawy, to po prostu skrzywienie zawodowe. Muszę ci mówić, jak niewiele wiemy o mózgu, o zachodzących tam procesach? Moim zdaniem, jesteś po prostu przepracowana. Nie powinnaś spędzać tylu godzin z twoimi kotami, przy tej aparaturze. Wiesz przecież, jak szkodliwa jest wysoka częstotliwość, pola, promieniowanie ekranów. Zostaw to wszystko na jakiś czas, weź urlop. Odpocznij.

Iza uniosła się na łokciu. Mężczyzna, leżąc na wznak, głaskał jej piersi, automatycznym, wyuczonym ruchem, którego nie lubiła.

- Heniu.
- Hę?
- Chciałabym, abys mnie zbadał. Na EEG albo izotopem.
- Mogę, czemu nie. Ale...
- Proszę cię.
- Dobrze.

Milczeli.

- Heniu.
- Tak?
- Elżbieta Gruber. Leczysz ją. Co z nią naprawdę jest?

- Interesuje cię to? Prawda, słyszałem. To dość dziwny przypadek, Iza. Przywieźli ją w szoku, z objawami typowymi dla wylewu. Prawie natychmiast przeszła w stan komatyczny, który nie łagodnieje i nie ustępuje. Skłaniam się ku pogładowi, że na szok nałożył się u niej stan zapalny w dniu komory trzeciej lub w wodociągu Sylwiusza.

- Encephalitis lethargica?
- Aha. Dlaczego pytasz?

Iza odwróciła głowę. Zza okna, mieszając się z następnym rozpaczliwym buczeniem autoalarmu, rozbrzmiał skowyt psa, urywany, coraz głośniejszy.

- Nogi bym takiemu powyrywał - odezwał się mężczyzna, patrząc w stronę okna. - Ma problemy w pracy albo w domu, a wyładowuje się na zwierzęciu, bydlak.

- Veehal rozdziera Zaslone - powiedziała wolno Iza.

- Co?

- Veehal. Głos katowanego zwierzęcia. Głos rozpacz, strachu, bólu, odbierający zmysły.

- Iza?

- Krzyk, który nie jest krzykiem - Iza mówiła coraz głośniej - Veeha! Veeha! rozdziera Zasłonę. Tak mówiła... Ela Gruber. Ona to widziała.

- Podobno... - zająknął się mężczyzna. - Iza! Ona nie mogła... Dziewczynka jest w śpiączce! O czym ty mówisz?

- Ona mówi do mnie. Mówi i każe mi robić różne rzeczy.

- Iza, naprawdę powinnaś wziąć urlop - mężczyzna spojrzał na nią, westchnął. - Ale przedtem przyjdź do mnie, zbadam cię. To ten cholerny stres, ta parszywa robota, wszystko w tym kraju. Nie można się tak tym przejmować, Iza.

- Heniu - Iza usiadła na łóżku. - Czy nie rozumiesz, o czym mówię? Ela Gruber mówi do mnie. Słyszę ją. Ona widziała...

- Wiem, co ona widziała. To zapewne było przyczyną szoku i wylewu. Była świadkiem morderstwa na działkach.

- Nie.

- Jak to?

- To było później. Ona tego już nie widziała. Widziała... deskę położoną na głowie kota, zakopanego po szyję w ziemi. Nogi deptające po tej desce. Oczy... Dwie kuleczki...

- Jezus Maria! Iza? Skąd ty o tym... Od kogo?

- Powie... dzieli mi...

- Kto?

- Muzy... kanci...

- Kto?

Iza, opuściwszy głowę na podkurczone kolana, zatrzęsa się od płaczu.

Mężczyzna milczał. Myślał o tym, jak nieodporne są kobiety, do jakiego stopnia ich babskie emocje rządzą nimi, przeszkadzają pracować, przeszkadzają cieszyć się życiem. O tym, że ogromnym nieszczęściem jest feminizacja pewnych zawodów, absolutnie nieodpowiednich dla kobiet. Z Izą, myślał, naprawdę jest niedobrze. Niepokoił się. Przez chwilę. A po chwili górę wziął poważniejszy niepokój - co powiedzieć żonie, gdy wróci od Izy do domu. W tym miesiącu wykorzystał już wszystkie dobre tłumaczenia.

Pomyślał, że koniecznie musi zbadać Izę, zrobić jej EEG, przeprowadzić testy. Mógłby to zrobić nawet we wtorek, ale obiecał koledze, że we wtorek wpadnie do niego na działkę, by pomóc truć krety. Cholera, pomyślał, zapomniałem dzisiaj wziąć strychninę ze szpitala.

- Weź urlop, Iza - powiedział.

Błękitny pokój

- Marylko! - zawołała Iza, patrząc na pusty, pokryty białym prześcieradłem i ceratą

stół, na porozrzucane przewody, igły, czujniki, skórzane paski i sprzączki.

- Marylko!

- Jestem, pani doktor.

- Gdzie jest moja kotka?

- Kotka? - zdziwiła się laborantka.

- Kotka - powtórzyła Iza. - Ta pręgowana. Ta, której ostatnio używałam. Co się z nią stało?

- Jak to? Przecież pani sama...

- Co, ja?

- Pani kazała mi ją przenieść... O, tu stoi klateczka. Potem kazała mi pani przynieść mleka. Jak przyniosłam, pani nakarmiła tego kota...

- Ja?

- Tak, pani doktor. A potem otworzyła pani okno. Nie pamięta pani? Kot wskoczył na parapet. Nawet powiedziałam wtedy, że on pani ucieknie. I kot uciekł. A pani...

- Co, ja? - Iza słyszała muzykę. Potarła twarz dłonią.

- Pani zaczęła się śmiać...

Muszę, pomyślała Iza, muszę iść do Eli Gruber.

Dlaczego? Po co?

Muszę iść do Eli Gruber.

Dlaczego?

Ela Gruber mnie wzywa.

Debbe

Debbe biegła, to szybciotko drobiąc łapkami, to wyprężając się w długich susach. Wiedziała, dokąd biec. Daleka muzyka, odległy zew cichej melodii nieomylnie wskazywały jej drogę.

Dobiegła do skraju krzewów, za którymi, niczym powierzchnia zatrutej rzeki, połyskiwał asfalt. Po nim, dudniąc i sycząc jak smok, przemknął, kołysząc się, wielki, ociężały autobus.

Muszę się z nią pożegnać, pomyślała Debbe. Zanim odejdę, muszę jeszcze się z nią pożegnać. I ostrzec. Po raz ostatni. Ciekawe, gdzie też może być Brema?

Skoczyła.

Nadjeżdżający samochód omiótł ją światłami. Na sekundę dostrzegła czerwoną, tłustą gębę człowieka, dodającego gazu i raptownie skręcającego kierownicę. Samochód runął w jej kierunku, czuła, jak maszyna drga wściekłością, zdecydowaniem i żądzą mordy. Uskoczyła w ostatniej chwili, podmuch musnął jej futerko.

Pobiegła wzdłuż żywopłotu, mały, pręgowany cień.

Locus terribilis

Koty były wszędzie dookoła - nieruchome, z uniesionymi głowami, patrzyły, nasłuchiwały. Odwracały głowy za przechodzącą Debbe, witały ją miauknięciami, pełnymi szacunku zmrużeniami oczu. Żaden nie poruszył się, nie podszedł. Znak Pajaka Pogońca na czole kotki płonął w mroku widmowym światłem.

Czuła, że to miejsce jest dziwne, niebezpieczne. Wyczuwała opuszkami łapek pulsowanie ziemi, słyszała nierealne szepczące głosy. Przez chwilę, za zasłoną z rozdygotanej mgły, widziała... ogień i krzyże, odwrócone, zatknięte...

Debbe zamruczała w takt melodii. Obrazy znikły.

Z daleka zobaczyła czarny kształt - resztki pieca zarytego w ziemi niczym wypalony wrak czołgu na polu bitwy. Obok pieca, ciemne na tle nieba, trzy niewielkie sylwetki. Podeszła bliżej.

Czarny pies z krzywą, zgiętą łapą.

Szary szczur z długim wąsatym pyszczkiem.

I mały rudawy chomik.

Muzykanci.

Żółty pokój

- ...uciekł rozbójnik, co sił w nogach - czytała monotennie babcia - i zdał sprawę hersztowi. To na nic, straciliśmy naszą siedzibę, powiedział. W domu siedzi straszliwa czarownica, która naparskała na mnie i podrapała mi twarz pazurami. Przy drzwiach czai się człowiek uzbrojony w nóż. Na podwórzu ma legowisko czarny potwór, ten uderzył mnie pałką. A na dachu siedział sędzia, który krzyknął: "Dajcie łotra tu!"

Chłopiec zaśmiał się srebrnym głosikiem. Venerdina, leżąc na łóżku, zwinęła się w kłębek, zastrzygła uchem.

- I co dalej? Czytaj, babciu!

- I to koniec bajki. Rozbójnicy uciekli i nigdy nie wrócili, a pies, kot, osioł i kogut zamieszkali w leśnym domku i żyli długo i szczęśliwie.

- I nie poszli tam... no, tam, dokąd się wybierali?

- Do Bremy? Nie. Chyba nie. Zostali w domku i tam sobie żyli.

- Aha - chłopiec zamyślił się, gryząc palec. - Szkoda. Przecież tam właśnie powinni iść. To pies wymyślił, kiedy go wygnali, bo już był stary. To bardzo brzydko. Ja nigdy

nie pozwolę wygnać naszej Mruczki, choćby była nie wiem jak stara.

Venerdina uniosła głowę i popatrzyła na malca żółtym, nieodgadnionym spojrzeniem.

- Śpij, Mariuszu. Już późno.

- Tak - rzekł sennie chłopczyk. - Nawet gdy będzie bardzo stara. U nas i tak nie ma myszy. A oni powinni pójść do tej Bremy. Oni wszyscy byli... Nie zabieraj Mruczki, babciu. Niech śpi ze mną.

- Nie powinno się spać z kotem...

- A ja chcę.

Ela Gruber

Iza poderwała głowę, budząc się, przeciągnęła ręką po prześcieradle. Za oknem była ciemność. Siedziała na łóżku, a dotyk prześcieradła poraził ją obcością, brutalnie szczerą pewnością, że...

Nie powinna być tutaj.

- Słyszysz mnie? - powiedziała dziewczynka leżąca na łóżku.

Iza kiwnęła głową, potwierdzając to, co było niemożliwe. Oczy dziewczynki były szkliste i puste, po brodzie ciekła jej wąziutka, lśniąca strużka śliny.

- Słyszysz? - powtórzyła dziewczynka, sepleniąc z lekka, niezgrabnie poruszając skrzywionymi wargami zlepionymi białawym nalotem.

- Tak - powiedziała Iza.

- To dobrze. Chciałam się z tobą pożegnać.

- Tak - szepnęła Iza. - Ale to przecież...

- Niemożliwe? To chciałaś powiedzieć? Nie szkodzi. Nie udało nam się, dużo nam się nie udało, jasnowłosa. Chcę się z tobą pożegnać. Może cię to zdziwi, ale... polubiłam dotyk twojej dłoni. Posłuchaj mnie uważnie. Jeżeli dzisiejszej nocy zabrzmi veehal, Zasłona pęknie. Nie wiem, czy uda nam się powstrzymać... tamtych. Dlatego musisz uciekać. Co masz zrobić, powtórz.

- Nie wiem - jęknęła Iza.

- Masz uciekać! - krzyknęła Ela Gruber, szarpiąc nagle głowę po poduszce. - Uciekać, jak najdalej od Zasłony! Nie staraj się niczego zrozumieć i wierz w to, co widzisz! Wyda ci się, że majaczysz, że to sen, koszmar, a to będzie rzeczywistość! Pojmujesz?

- Nie... Nie pojmuję. Ja... zwariowałam, tak?

Dziewczynka milczała, wpatrzona w sufit maleńkimi jak ukłucia szpilki punkcikami źrenic.

- Tak - powiedziała. - Wszyscyście zwariowali. Już dawno temu. Jeszcze jedno szaleństwo, maleńkie ziarenko na szczycie ogromnej góry szaleństw. Ten ostatni veehal, którego nie miało być. Kto wie, może to dzisiaj? Słuchasz mnie?

- Słucham - powiedziała Iza, zupełnie spokojnie. - Ale ja jestem psychiatrą. Doskonale wiem, że ty nie możesz do mnie mówić. Jesteś w śpiączce, w komatozie. To nie ty. Głos, który słyszę, emituje mój chory mózg. To halucynacja.

- Halucynacja - powtórzyła dziewczynka, uśmiechając się.

To przykurcz mięśni twarzy, wyłącznie przykurcz powylewowy, pomyślała Iza, w tym nie ma niczego upiornego. Niczego upiornego, pomyślała, czując, jak jeżą się jej włosy na karku.

- Halucynacja, mówisz - ciągnęła Ela Gruber. - Czyli coś, czego w istocie nie ma. Fałszywy obraz. Czy tak?

- Tak.

- Można to słyszeć. Można to widzieć. Ale tego nie ma. Czy tak?

- Tak.

- Jak my bardzo się różnimy, ty i ja. Podobno mój mózg jest mniej rozwinięty od twojego, ale ja, dla przykładu, wiem, że to, co widzę i co słyszę, jest. Istnieje. Gdyby nie istniało, jak można by to zobaczyć? A jeżeli istnieje i ma szpony, kły, żądló, to trzeba przed tym uciekać, bo może cię okaleczyć, zmiażdżyć, rozszarpać. Dlatego właśnie musisz uciekać, jasnowłosa. Przez przedartą Zasłonę przejdą halucynacje. To dobre określenie na coś, co nie ma własnej postaci, ale zyskuje ją w mózgu tego, kto na to patrzy. O ile ten mózg wytrzyma taką próbę. A mało który wytrzyma. Ostatni raz mówię: żegnaj, jasnowłosa.

Głowa Eli Gruber obróciła się bezwładnie w bok, spoglądając na Izę martwym, szklanym okiem.

Kot

- Dobra, już. Teraz - szepnął Chęclewski.

Nejman spojrzał na zegarek. Była dziewiąta dwadzieścia trzy. Gdy patrzył, ostatnia cyferka zatańczyła jak kościotrup w animowanym filmie, stając się czwórka. Po torach, za ogródkiem, w głębokim, obrośniętym jarzębiną wykopie łoskotał i dudnił pociąg.

- Na co czekamy, cholera? - denerwował się adwokat.

Nejman wyciągnął z plastikowego worka gruby tłumok okręcony kilkoma ręcznikami i jutowym sznurkiem. Z zawiniątka wystawał biało-czarny koci łeb, z drugiej strony - ogon i tylne łapki zwierzątka.

Nejman wydobyl z kieszeni kurtki kombinerki izolowane pomarańczowym plastikiem.

Dalej, za altankami, Zdyb, przyczajony obok Wendy, ciężko bulgocącego przez zakatarzony nos, wzdrygnął się na odgłos, który dobiegł go od strony ogródków.

- Jezu - smarknął Wenda. - Ale to go musi boleć...

Na Dołach koty przypadły do ziemi, szczerząc białe kły, płasko kładąc uszy.
Muzykanci, cała czwórka, byli gotowi.

Zdyb

Dudnienie pociągu ścichło, echem toczyło się jeszcze po betonowych ścianach bloków. I wtedy potworny wrzask od strony ogródków powtórzył się, eksplodował jak granat, wzbił się nieprawdopodobnie wysoko, falujący, rozedrgany, straszny.

- Matko Boska! - krzyknął Wenda. - Tolek! To nie kot!

Zdyb zerwał się, rozpinając kurtkę, wyszarpnął pistolet z kabury. Ryk - bo to był już ryk, nie wrzask, urwał się, pękł, wibrując jak przecięty nożycami stalowy drut. Zdyb biegł. Przeskoczył żywopłot, przedarł się przez krzaki agrestu. W tym momencie noc rozszarpał drugi wrzask, jeszcze potworniejszy od poprzedniego, krótki, urwany.

- Andrzejeeej!!! - ryknął aspirant.

Rwąc przez pomidorowe tyczki, zderzył się z pełną wody beczką, odbił się od niej jak od muru, potknął się, upadł, zerwał się, poślizgnął, upadł ponownie, podpierając się odruchowo, wtłoczył lufę P-83 w mokrą ziemię. Za sobą słyszał przekleństwa Wendy, który utknął na elastycznej przegrodzie drucianej siatki.

- Andrzejeeej!!!

Potknął się znowu. Zobaczył, o co. I wtedy zaczął krzyczeć.

Nejman nie miał głowy.

Coś uderzyło go w pierś. Zdyb, klęcząc, zadławił się i wrzasnął, wrzasnął do bólu, tak że własny wrzask zakolał mu w uszach. Gwałtownym, nie skoordynowanym ruchem odtrącił od siebie rękę w skrwawionym, popelinowym rękawie, z którego sterczała oślizgła, gładka, biała nawet w mroku kość.

Na trawniku, na tle wyraźnej, rzadkiej palisady słoneczników coś siedziało. Coś, co było wielkie. Wielkie jak ciężarówka. Granatowe niebo, podczerwienione dalekim neonem, rozświetlało się lekko za plecami siedzącego na trawie ogromu - wyglądało tak, jak gdyby to ogromne coś przedarło się przez niebo i noc, zostawiając za sobą dziurę i choinkę pęknięć.

Kolejny pociąg, wpadając na przejazd kolejowy, smagnął zarośla jaskrawym batem światła. Zdyb otworzył usta i zachrypiał.

Przykucnięty na trawniku garbaty stwór o ogromnym, pokrytym naroślami brzuszysku, olbrzymich uszach i wydłużonym, najeżonym zębami pysku, uniósł ciało Chęclewskiego w sękatych łapach. Reflektory pociągu zakotłowały ogródki tysiącem ruchliwych cieni. Zdyb chrypiał.

Stwór otworzył paszczkę i z chrzęstem, jednym kłapnięciem, odgryzł Chęclewskiemu głowę, daleko, z rozmachem, odrzucając korpus. Zdyb usłyszał, jak ciało huknęło o

konstrukcję z falistej blachy. Mocz ciepłą falą spływał mu po udzie. Nie widział już nic, ale wiedział, czuł, że potwór, miarowo przestawiając krótkie, wielkostope łapy, idzie ku niemu.

Zdyb chrypiał. Bardzo chciał coś zrobić. Cokolwiek.
Ale nie mógł.

Krople

Muzyka klejąca Zasłonę rwała się, pękała, rozpadała na elastyczne strzępy. Pęknięcie powiększało się, z tamtej strony pełzły kłębiaste, cuchnące opary, wielkie, postrzępione cirrusy, mgła brzemienista ciężką jak plwocina wilgocia, mieszając się z kwaśnym smogiem miasta. Na dachy, na asfalt, na szyby, na samochody padły pierwsze, rzadkie krople.

Padły krople żółtawe, syczące w zetknięciu z metalem, wciskające się w szpary i szczeliny, gdzie paliły izolację kabli i gryzły miedź przewodów.

Padły krople brunatne, wielkie i lepkie, a tam, gdzie padły, bledła trawa, liście zwijały się w trąbki, czerniały łodygi i gałązki.

Padły krople atramentowosine, a tam, gdzie padły, parował i topił się beton, gotowała cegła, a tynk płynął po murze jak łzy.

I padły krople przejrzyste, które wcale nie były kroplami.

Renata

Renata Wodo miała niegroźną obsesję, dziwaczny zwyczaj - niezmiennie, kładąc się do łóżka, sprawdzała, czy pokrywa sedesu jest opuszczona, a drzwi do łazienki zamknięte. Sedes, otwarty na tajemniczy i złowrogi labirynt kanałów i rur, był zagrożeniem - nie mógł pozostać otwarty, nie zabezpieczony - wszakże "coś" mogło z niego wyjść i zaskoczyć Renatę podczas snu.

Tej nocy Renata jak zwykle opuściła pokrywę. Przebudziwszy się, zaniepokojona, zlane zimnym potem, targając się w półśnie jak ryba na lince, starała się przypomnieć sobie, czy zamknęła drzwi. Drzwi do łazienki.

Zamknęłam, pomyślała usypiając. Na pewno zamknęłam.

Myliła się. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia.

Pokrywa sedesu uniosła się powoli.

Barbara

Barbara Mazanek panicznie bała się wszelkich owadów i robaków, ale prawdziwy, tryskający adrenaliną strach i miotający całym ciałem wstręt budziły w niej skorki - płasko-obłe, ruchliwe, brązowe monstra, zbrojne w cęgowate kleszcze na końcu odwłoka. Barbara głęboko wierzyła, że ta szybko biegająca, wciskająca się w każdą szparę obrzydliwość czyha tylko na okazję, by wypełznąć jej do ucha i od środka wyżreć cały mózg. Spędzając wakacje pod namiotem, każdej nocy pieczołowicie wpychała do uszu korki ukręcone z waty.

Tej nocy, budząc się zaniepokojona, odruchowo przycisnęła lewe ucho do poduszki, a prawe przykryła ramieniem.

Nie miało to żadnego znaczenia.

Przez nieszczelne drzwi balkonowe, niczym brudna, oleista fala, zaczęły sączyć się i rozlewać po pokoju miliardy ruchliwych owadów. Oczka świeciły im czerwono, a kleszcze na końcach odwłoków były ostre jak brzytwy.

Muzykanci

- Koniec - powiedział Kersten. Debbe milczała, siedząc nieruchomo z szeroko otwartymi oczami, leciutko poruszając czarnym końcem ogonka.

- Koniec - powtórzył pies. - Itka, nie możemy niczego zrobić. Niczego. Słyszycie? Pasiburduk, przestań, to nie ma sensu.

Chomik przestał grać, znieruchomiał, uniósł ku górze czarne guziczki ślepi. Taki już jest, pomyślał Kersten, nie zmieni się. Wszystko mu trzeba powtarzać dwa razy. Cóż, to tylko chomik.

Debbe milczała. Kersten położył się, opuścił pysk na łapy.

- Nie udało się i nie ma co dłużej próbować - powiedział. - Zasłona pękła ostatecznie i nie załatamy jej tym razem. Przeszli. Tamci. Oczywiście, Zasłona wkrótce zrośnie się sama, ale nie muszę wam mówić...

- Nie musisz - Itka wyszczerzył zęby. - Nie musisz, Kersten.

- Pewne szanse jeszcze to miasto ma. Dopóki Krostowaty nie przeszedł na tę stronę, miasto ma szanse.

- A inne miasta? - odezwał się niespodziewanie Pasiburduk.

Kersten nie odpowiedział.

- A my? - zapytał szczur. - Zostajemy?

- Po co?

Itka usiadł, opuszczając szpiczasty pyszczek.

- A zatem... Zgodnie z planem?

- Widzisz inne rozwiązanie?

Z oddali, od strony osiedla dobiegł ich dźwięk. Fala dźwięku. Kersten zjeżył się, a Pasiburduk skulił w rudą kulkę.

- Masz rację, Kersten - powiedział Itka. - To koniec. Odchodzimy do Bremy. Tam czekają inni.

Szczur obrócił się w stronę Debbe, wciąż siedzącej nieruchomo jak puszysty, pręgowany posążek.

- Debbe... Co ci jest? Nie słyszałaś? Koniec!

- Zostaw ją, Itka - zawarczał Kersten.

- Wyglądasz - syknął szczur do kotki - jakby ci było ich żal. Co, Debbe? Żal ci ich?

- Co ty możesz wiedzieć, Itka - miauknęła cicho, złowrogo kotka. - Żal? Może i tak, żal mi ich. Żal mi dotyku ich rąk. Żal mi szmeru ich oddechów, gdy śpią. Żal mi ciepła ich kolan. Żal mi naszej muzyki, którą, ledwo poznaną, tracę. Bo to jest nikomu niepotrzebna muzyka i nigdy nikogo już nią nie uratujemy. Dlatego, że w każdej minucie, w każdej sekundzie, w tysięcznych punktach tej planety rozbrzmiewa veehal i będzie rozbrzmiewał coraz częściej. Aż do końca. Was też mi żal. Ciebie, Itka, i Kerstena, i Pasiburduka. Żal mi was, przegranych, zmuszonych do ucieczki. I siebie też mi żal, bo przecież i tak pójdę z wami, jako jedna z was. Chociaż to nie ma żadnego sensu.

- Mylisz się, Debbe - rzekł spokojnie Kersten. - My nie uciekamy. Tym razem nam się nie udało. Ale w Bremie... w Bremie czekają inni. Od niepamiętnych czasów Muzykanci schodzą się do Bremy. A gdy będzie nas więcej, silniejsza będzie i nasza muzyka, i kiedyś zamkniemy Zasłonę ostatecznie i na zawsze, uczynimy z niej nieprzenikalny mur. Dlatego mylisz się, sądząc, że nasza muzyka jest niepotrzebna. I że ją utraciłaś. To nieprawda. I ty o tym wiesz.

- Uczucia biorą u ciebie górę nad rozumem, Debbe - dodał Itka. - Co z tego, że to miasto trochę się wyludni? W końcu zasłużyli na to. A ty... myślisz o ratowaniu jednostek. Pojedynczych ludzi, tych, których lubisz? To nieracjonalne. Myśl o gatunku. Jednostki nie mają znaczenia.

Kotka wstała raptownie, przeciągnęła się, mierzając szczura zielonym, złym spojrzeniem, w którym przez sekundę zagrała i zabłysła krwawa nienawiść gatunków. Itka nie drgnął nawet. Był Muzykantem i Debbe była Muzykantką. Patrzył, jak odchodzi na bok, pomiędzy osty i baldachimy traw, wyniosła, dumna i niepokonana. Do końca.

- Sentymalna idiotka - mruknął, gdy był pewien, że kotka go już nie usłyszy.

- Zostaw ją - warknął Kersten. - Nie możesz jej zrozumieć.

- Mogę - wyszczerzył zęby szczur. - Ale nie chcę. Tłumaczyć dlaczego, też nie chcę. Najważniejsze, że jest z nami. To dobra Muzykantka. Kersten, może byśmy tak sobie wreszcie poszli?

- Poszli? - uśmiechnął się pies. - Dlaczego mamy iść, jeżeli możemy pojechać?

Dieter Wipfler

Dieter Wipfler przetarł oczy wierzchem dłoni, usiłując opanować dreszcze, mdłości i zawrót głowy. Wytarł spocone ręce o spodnie, chwycił kierownicę, ruszył, gdy zapaliło się zielone światło. Nie wiedział, gdzie jest. Z całą pewnością nie była to droga na Świecko, na której powinien się znajdować.

Ulice były puste, wyludnione, jak ze złego snu. Dieter Wipfler przymknął oczy, mocno je zacisnął, otworzył. Co ja tu robię, myślał, mijając krańcówkę tramwaju, gdzie ja jestem? Co ja tu robię? Co się ze mną dzieje, verfluchte Scheisse, ich muss krank sein. Jestem chory. Zjadłem coś trującego. Muszę się zatrzymać. Nie wolno mi jechać w takim stanie. Zatrzymać się. To, co leżało na krawężniku, to nie mógł być trup. Muszę się zatrzymać!

Dieter Wipfler nie zatrzymał się. Minał krańcówkę tramwaju i ogródki działkowe, jechał dalej żużlową drogą, skrajem okropnego pustkowia, prosto w dziki księżycowy pejzaż. Jechał, chociaż nie chciał jechać. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie mógł wiedzieć.

Zza roztęczowionej, drżącej zasłony Dieter Wipfler widział kończystą, smukłą wieżę kościoła buchającą jęzorami ognia. Widział drewniane rusztowania i zwisające z nich okaleczone ciała.

Das ist unmöglich!

Widział małego, czarnego człowieka, wymachującego krucyfiksem, krzyczącego...

Das ist unmöglich! Ich trume!

Locus terribilis!

Ogromna ciężarówka jechała wolno, miażdżąc kołami żużel, wygniatając w połaciach gliny zębate ślady protektorów. Na niebieskim boku potężnej przyczepy widniał napis, złożony z wielkich, trupiobiałych liter:

KHN TEXTILTRANSPORTE GmbH

A poniżej była nazwa miasta:

BREMEN

Żółty pokój

Chłopiec spał niespokojnie, rzucał się. Venerdina postawiła uszy, wyteżyła słuch.

To coś, co powoli pełzło po murze, nie miało stałego kształtu - to była czarna plama, kłębek ciemności, pulsujący, rozdymający się, penetrujący mrok długimi mackami. Sierść

na grzbiecie Venerdiny zjeżyła się jak szczotka.

Stwór, już na parapecie uchylonego okna, nadał się, zaczął twardnieć, unosić się na pokręconych odnóżach. Najeżył się kolcami, wzniósł w górę żądlasty ogon.

Kotka zmieniła pozycję. Przeciągnęła się lekko, wyciągnawszy obie łapki, wystawiła pazury. Wpatrzona w stwora szeroko otwartymi oczami, położyła uszy, skurczyła pyszczek, obnażając kły.

Stwór zawahał się.

Tylko spróbuj, powiedziała Venerdina. Spróbuj tylko. Przyszedłeś mordować śpiących, spróbuj stawić czoła tej, która czuwa. Lubisz zadawać ból i śmierć? Ja również. No, wejdź, jeśli się ośmielisz!

Stwór nie poruszył się.

Precz, powiedziała kotka z pogardą.

Przyczajony na parapecie kłębek mroku, czarny jak nicość, skurczył się, oklapł. I znikł.

Chłopiec jęknął przez sen, obrócił się na drugi bok. Oddychał równo.

Venerdina lubiła słuchać, jak oddycha.

Iza

Ela Gruber nie żyła. Miała oczy otwarte, ale Iza była pewna, że nie żyje. Nie bardzo wiedziała, co zrobić. W tym momencie otworzyły się drzwi. Weszła pielęgniarka.

- Obawiam się... - zaczęła Iza i urwała.

Pucołowata twarz pielęgniarki, jeszcze nie tak dawno temu sympatycznie naiwna, zmieniła się. Teraz była to twarz idiotki, kretynsko uśmiechniętej hebefreniczki.

Pielęgniarka, nie zauważając Izy, podeszła do łóżka Eli Gruber, bezmyślnym, automatycznym ruchem poprawiła poduszkę. Ze stolika, stojącego obok, wzięła szklankę. Zapatrzona w okno, zgmiotła ją w pięści. Z jej dłoni spłynęła strużka krwi. Pielęgniarka nie zwróciła na to uwagi, jej twarz nie drgnęła nawet. Podwinawszy lewy rękaw, odłamkiem szkła rozcięła sobie wewnętrzną stronę przedramienia, ostrym, gwałtownym pociągnięciem - od zgięcia łokcia aż po wnętrze dłoni - raz, potem drugi raz. Krew bryzgnęła na biały fartuch, na połyskliwy blat stolika, na pościel, siknęła ostro na linoleum. Pielęgniarka zatrzęsła się we wstrzymywanym śmiechu, uniosła rękę, lubując się tętniącymi falami buchającej krwi.

- Na pomoooooc! - wrzasnęła Iza, przełamując dławiącą jej gardło zgrozę. - Ludzie! Na pomoc! Niech ktoś pomoże!

- ...dzieeeee! - zawtórował histeryczny krzyk z korytarza. - Ludzieeeee!

Do krzyku dołączyły inne, głośnie, nienaturalne. Iza zorientowała się, że nakłada się na nie wycie syreny karetki. Pod pielęgniarką ugięły się nogi, dziewczyna ciężko klapnęła na

linoleum, schyliła głowę, zaczęła łkać.

Iza, cofając się, nie mogąc oderwać wzroku od pielęgniarki, wymacała za plecami klamkę, wybiegła na korytarz.

Przy kaloryferze, opierając czoło o ścianę, klęczał młody lekarz, którego nie знаła, rękawem wycierał ciekące po twarzy łzy. Spojrzał na Izę błędnym, przestraszonym wzrokiem.

- To wojna, proszę pani - wybełkotał. - To pewnie bomby z gazem psychotropowym. Pewnie użyto broni bakteriologicznej. Wszyscy powariowali... Wszyscy... To wojna! Trzeba zejść do schronów!

Iza cofnęła się, przerażona. Obok, z oddziału, słychać było brzęk i odgłosy walki. Coś ciężkiego huknęło o zamknięte drzwi.

- Gdzie tu jest schron? - krzyknął lekarz przy kaloryferze. - Ja nie chcę umierać.

- Miliicjaaaa! - wył ktoś piętro wyżej. - Jezuuuuu! Ratunkuuu!

Drzwi otworzyły się, oparte o nie ciało, zbryzgane czerwienią, wysunęło się na korytarz. Ogromny, półnagi, nie ogolony mężczyzna, uzbrojony w żelazny pręt, powoli, ostrożnie przestąpił nad trupem. Lekarz przy kaloryferze wrzasnął, wtulając twarz w żeliwne żeberka. Półnagi zakrakał dzikim śmiechem i uniósł pręt.

Iza obróciła się i popędziła przez korytarz, ścigana krzykiem i tępymi odgłosami razów.

Wybiegła przed szpital, przed samym wejściem poślizgnęła się na zwiędłych liściach, z trudem utrzymała równowagę. Przed szpitalem stała karetka pogotowia, migocząca prawym kierunkowskazem. Boczne drzwi były otwarte, kierowca leżał na siedzeniach, jego ręka, fioletowosina w świetle jarzeniówek, zwisała bezwładnie na zewnątrz. Z głębi szpitala dobiegało obłąkańcze wycie, wrzask, brzęk tłuczonych szyb i szklanych naczyń.

Ulicą przemknął samochód z rozbitym przodem, z przygarbioną, pogiętą pokrywą silnika. Nad miastem, od strony ogródków działkowych, unosiła się powoli łuna, chmura dymu i krzyki, z oddali przypominające brzęczenie chrabąszczy.

Iza spojrzała na niebo, które zdążyło już nabrać koloru purpury przetykanej cienkimi, złotymi nitkami. Krople upadły jej na twarz. Starła je i pobiegła.

W domu po przeciwnej stronie ulicy z brzękiem wyleciała okienna szyba, a za nią dziecko. Trzykrotnie obróciło się w powietrzu, zanim plasnęło o beton. Iza biegła. Krople - a może łzy - spływały jej po policzkach.

Obok jej fiata leżał mężczyzna w pasiastej piżamie, wpółoparty o mur przy bramie. Oddychał, rżąc, przy każdym wydechu u nozdrzy rosły mu krwawe, pękające bańki.

Nie mogła odszukać kluczyków w torebce. Drżącymi rękoma wytrząsnęła na chodnik całą zawartość. Podniosła tylko kluczyki i portmonetkę.

Coś zgrzytnęło tuż obok niej, aż drgnęła, upuszczając kluczyki. Żeliwna pokrywa kanału ściekowego podskoczyła, upadła na chodnik, a z kanału, z głuchym mlaśnięciem, trysnęła krew, zmieszana z nieczystościami, szeroko rozlewając się po asfalcie,

wlewając się jej do butów obrzydliwym ciepłem. Iza wrzasnęła, cofnęła się od samochodu, potknęła się o ciało mężczyzny w piżamie, przylgnęła plecami do muru. W czarnej, lśniącej otchłani kanału coś poruszało się, pluszcząc i bulgocąc.

Zza rogu ulicy, wyjąc, wybiegł człowiek, za nim drugi, obaj w szaleńczym tempie minęli Izę, pobiegli dalej. Iza zamarła, uniosła głowę. Wiatr, ciepły wiatr, który zerwał się nagle, uderzył w nią przerażającym smrodem.

Zza rogu ulicy...

Iza знаła to uczucie. Pamiętała je z dzieciństwa - sen, który tylekroć sprawiał, że budziła się z krzykiem. Sen, w którym sparaliżowana, bezwolna, patrzyła na drzwi, zamknięte od wewnątrz na zasuwę, wiedząc, że za chwilę, pomimo zasuw, te drzwi jednak otworzą się. Otworzą się, a za nimi stanie coś, przed czym nie ma ratunku ani ucieczki. Coś, co nie zostawia nadziei.

Nie wiedząc o tym, krzyczała cienkim, nieustającym falsetem, wizgiem katowanego zwierzęcia. Nagle stała się zwierzęciem, tu, na tej ciemnej, zalanej krwią i gównem ulicy, wśród asfaltu, betonu, szkła, samochodów i elektryczności, wśród tysięcznych wytworów cywilizacji, z których żaden nie miał w tej chwili najmniejszego znaczenia. Nagle była bobrem dławionym elastycznym drutem sideł, lisem, którego łapę miażdżą stalowe szczęki pułapki, foką tłuczoną drągiem po głowie, sarną postrzeloną z obrzyna, tarzającym się w konwulsjach otrutym szczurem. Była tymi, z którymi dzieliła strach i ból, i pewność, że za chwilę będzie niczym - bo niczym jest zimny, zboczony, cuchnący ochłap.

To coś, co za rogiem ulicy zgrzytało i chrobotowało, akcentując swoje kroki ciężkim, chrapliwym dyszeniem, wyszło i spojrzało na nią złocisto-karminową poświatą ogromnych oczu.

Wrzask zgasł w gardle Izy w zduszonym rżeniu. Jej świadomość, rozum, inteligencja i wola eksplodowały i pękły, jak ciśnięta o bruk żarówka.

Krostowaty przeszedł przez przedartą Zasłonę.

"Tandaradei"

- Jestem nieładna - powiedziała półgłosem Monika Szreder, patrząc w lustro.

Monika Szreder miała rację. Co więcej, w poruszonej kwestii pogląd Moniki Szreder i zdanie otaczającego ją świata było absolutnie zgodne.

Nie, Monika nie była brzydka. Była po prostu nieładna. Była kwintesencją nieładności, promieniała nieładnością zdolną przyćmić wszystko, co mogłoby uładnić każdą inną, nawet brzydszą dziewczynę. W jakiś niepojęty sposób konglomerat elementów, samych w sobie atrakcyjnych, ładnych, mało tego - nawet pięknych, stawał się w przypadku Moniki nijaki, nieatrakcyjny i mdły. Jej włosy, które powinny być włosami ciemnoblond, były w samej rzeczy szare i matowe. Ich naturalna tendencja do puszystości, ich pełna indywidualności i uroku tendencja do nieposłuszeństwa względem wszelkiego typu grzebieni i szczotek w istocie sprawiała, że wyglądały zaniedbanie i nieporządknie, a starania, by to zmienić, nic nie dawały. Nie pomagał najkunsztowniejszy makijaż - nawet za pomocą drogich kosmetyków niczego nie dawało się zrobić z oczami, które zza grubych soczewek okularów zawsze wyglądały nijako i blado. Na jej sylwetce, ogólnie rzecz ujmując normalnej, wszelki dobór gustownych i atrakcyjnych rzeczy tworzył w połączeniu efekt, który przy najlepszych chęciach nie mógł być uznany za cieszący oko.

Fakt, że o wszystkich wspomnianych czynnikach Monika Szreder doskonale wiedziała, jeszcze sprawę pogarszał. Świadoma jak gdyby, że nie jest w stanie się upiększyć, od czasu osiągnięcia pełnoletniości Monika programowo i konsekwentnie robiła wszystko, by się nie wyróżniać, zlać z tłumem, umyslić i uszarzyć. Ta swoista mimikra, mająca w założeniu maskować i ukrywać nieładność, odnosiła, rzecz jasna, skutek dokładnie odwrotny.

Teraz właśnie, o piątej nad ranem, stojąc przed nadtłuczonym lustrem w poprzecinanym smugami światła półmroku domku kempingowego, Monika silniej niż kiedykolwiek czuła swoją nieładność. Żałowała, że wyjechała na te wczasy, na ten turnus w głuszy, w braku komfortu, który miał jakoby być romantyczny, a okazał się wyłącznie uciążliwy. Biuro Usług Turystycznych - "Rommar Tour", przypominała sobie. "Jesteś samotny? Podaj nam swój wiek, zawód, wykształcenie, zainteresowania. Napisz, o czym marzysz, a zorganizujemy ci wakacje twoich marzeń".

Wakacje moich marzeń...

Wyjechała, bo była sama, a nie chciała samotnie spędzać lata w mieście. "Rommar Tour" nie kłamał ani nie przesadzał, ogólnie rzecz biorąc, chociaż w swojej ankiecie rubrykę "wykształcenie" preferował nader wyraźnie przy doborze. Dookoła roiło się od złąknionych doktorantek i rozwiedzionych docentów.

Wakacje moich marzeń...

Wyjazd miał dla Moniki być jeszcze jedną próbą udowodnienia sobie, że lubi

towarzystwo. Próba, jak wiele poprzednich, była nieudana. Monika po raz kolejny nie udowodniła sobie niczego poza faktem, że nienawidzi samotności.

A była sama. Wciąż sama. Jej przypadkowa współlokatorka, Elka, z niewiadomych powodów nazywana Pardwą, przez kilka pierwszych dni turnusu denerwująca szczebiotem, bez troską i czynionym dookoła bałaganem, ostatnio zwykła była znikać wieczorami i wracać późną nocą. A niekiedy - jak dziś - dopiero rano. Monika nie miała żadnych wątpliwości co do tekstu, jaki Pardwa musiała wpisać do kwestionariusza "Rommar Tour" w rubryce "zainteresowania".

Z początku Monika była przerażona - bała się, że Pardwa należy do dziewcząt traktujących barwną i szczegółową opowieść jako swoisty rodzaj gry końcowej, jako naturalne i konieczne uzupełnienie nocnych doznań. Tego Monika nie zniosłaby na pewno. Szczęśliwie, Elka nie była opowiadaczką. Wręcz przeciwnie, była dyskretna. Nie przeszkadzało jej to jednak w spontanicznym demonstrowaniu zadowolenia i wyższości, jaką w przyrodzie samica wybrana obowiązana jest okazywać samicy wzgardzonej.

Monika Szreder nie czuła się wzgardzona. Miała dwadzieścia sześć lat, a za sobą aż dwie poważne eksperyencje erotyczne. Charakter i przebieg obydwu sprawiał, że nie tęskniła do trzeciej.

A jednak...

- Jestem nieładna - powiedziała do popstrzonego lustra. I nie rozplakała się. Była z tego bardzo dumna. Nie ma niczego gorszego niż zaczynać dzień od płaczu, pomyślała.

Dzień? Trudno to jeszcze nazwać dniem, pomyślała. Ośrodek czasowy śpi w najlepsze, czekając, aż słońce do końca wysuszy rosę, nagrzeje powietrze, wciąż jeszcze ostre, atakujące skórę ukąszeniami zimna.

Położyła się, wysoko ustawiła poduszkę, sięgnęła po książkę. Próbowwała odnaleźć miejsce, w którym skończyła czytać, wieczorem, senna i zniecierpliwiona oczekiwaniem na Elkę. Zamiast tego wróciła do początku, do miejsca oznaczonego małym, zasuszonym bratkiem. Do ulubionego miejsca. Tylko kilka strofek, pomyślała. Tylko kilka.

Unter den Linden

Bei der Heide

Wo unser beider Bette gemacht

Da mögt ihr finden

Wie wir beide

Pflückten im Grase der Blumen Pracht

Vor dem Wald im tiefen Tal

Tandaradei!

Lieulich sang die Nachtigall

- Tandaradei - szepnęła w zamyśleniu, opuszczając książkę. Zamknęła oczy.

- Tandaradei... - powiedział minnesínger.

Był bardzo szczupły, wręcz chudy, targany wiatrem płaszcz, ściśle oblepiając jego postać, jeszcze bardziej podkreślał tę chudość. Jego cień, cienki, prosty niczym czarna krecha, kładł się na arrasie, na którym biały jednorożec wspinał się, stawał dęba, podnosząc przednie nogi w heraldycznej pozie.

- Tandaradei - powtórzył minnesínger. - Ta pieśń...

Tyle wspomnień. Tyle pięknych wspomnień. Unter den Linden, bei der Heide... Ty... To właśnie ty. Płowowłosa...

Monika poruszyła rękami, rozgarniając kwiaty, tysiące kwiatów, wśród których leżała. W większości były to róże, czerwone, mokre, rozwinięte, gubiące płatki.

- Jak wtedy - ciągnął cicho minnesínger, a jego oczy były czarne, zimne i głębokie jak Ren przy skale Lorelei.

Na zamku w Würzburgu... A może jeszcze później, w Szwabii, na dworze u Filipa... Pamiętam pełne usta Beatrix, córki Berengara von Passau. A potem, wiele lat później, słyszałem tę pieśń w oberży nie opodal Worms. Vor dem Wald im tiefen Tal... Budzisz mnie ze snu.

Monika mocno zacisnęła powieki.

Budzisz mnie ze snu. Ta pieśń... Przetrwała tak długo. Pamiętam, śpiewaliśmy ją w marszu, idąc z Marienburga na spotkanie z komturem Wolframem de Lys, ku przeprawom na Drwęcy. A jeszcze później, wiele lat później, śpiewałem ją wraz z innymi pod Frankenhäusen, kiedy to stoki góry Hausberg spłynęły krwią zbuntowanego chłopstwa.

Budzisz mnie ze snu.

Monika leżała nieruchomo na łożu z kwiatów. Patrzyła prosto w oczy minnesíngera. Nigdy nie widziała tak zimnych oczu. Nigdy nie widziała tej twarzy. Tylko uśmiech...

Daj rękę.

Tak, ten uśmiech już kiedyś widziała. Na pewno widziała.

Ale nie pamiętała gdzie.

- Daj rękę.

Zza pleców minnesíngera wyrosły inne postacie, w groteskowych futrzanych maskach, trzęsące olbrzymimi uszami. Rozległ się cichy, rytmiczny, skandowany zaśpiew, wielogłosowy, bełkotliwy chór, pojedyncze, akcentowane, niezrozumiałe słowa...

Tandaradei!

- Monika! - zawołała Elka, zwana Pardwą. - Hej, Monika, nie wiesz, gdzie jest cukier?

- Co? - Monika zerwała się, strącając książkę na podłogę, macając rękoma po pościeli. - Co? Ela? Zasnęłam?

- Nie - powiedziała Elka, zamykając drzwi szafki ze straszliwym łoskotem, płoszącym resztki dziwnego snu. - Wręcz przeciwnie. Obudziłaś się, akurat w porę. Jest dziewiąta.

Słuchaj, Monika, nie mogę znaleźć mojego słoiczka z kawą. Chyba go dokądś wyniosłam. Mogę wziąć trochę twojej?

Monika przetarła oczy knykciami, sięgnęła po okulary.

- Możesz, Elu.

* * *

Sygnaly, powtarzające się co dnia, co nocy, były ciche, pozornie nieznaczące, ledwie zauważalne. Doktorka z domku na szczycie wzgórza nie od razu zorientowała się w ich znaczeniu. Znacznie szybciej zorientował się kot - dał znać zmianą zachowania, niepokojem, niepohamowaną agresją, wyładowywaną na czym popadło. Doktorka zauważyła to, ale nie przejęła się - kładąc humory zwierzątka na karb drapieżnej, nieposkromionej natury. Nie zdziwiło jej także, że borsuk, zwykle biegający za nią jak pies, zaszył się w komórce i nie wychodził z niej za dnia. Doktorka wytłumaczyła to lękiem przed szaleństwami kota.

Następne sygnały były już wyraźniejsze - wieczorne kumkanie żab ucinane raptownie, przeplatane długimi okresami przejmującej, pełnej przerażenia ciszy. Poranne, bezgłośnie wyloty lelków kozodojów, chmarami, od których aż ciemniało w powietrzu. Zmieniony, gniewny bulgot rzeki wśród zwalonych drzew.

Coś się szykuje, pomyślała doktorka. Coś się szykuje.

Następnego dnia, na samym skraju lasu, znalazła rozszarpaną sójkę, krople skrzepłej krwi jak paciorki lśniły na rudawych piórkach. Doktorka wiedziała, że to nie sprawka kota - kot, biegnący za nią, na widok zabitego ptaka syczał, przypadał do ziemi, patrzył z przestrawieniem w jej oczy.

- Na Bajora i Plosa - szepnęła. Kot miauknął.

Wróciła na podwórze, zamyślona, nieobecna. I wtedy...

Kot zasyczał, wygiął grzbiet.

Na drzwiach domu nie było sierpu, który zawsze tam wisiał, przybrany suchą miotłą ziół. Odwróciła się, w samą porę, by zobaczyć, jak zakrzywione żelazo leci ku niej, koziółkując, świszcząc w powietrzu.

- Eth! - krzyknęła, przyciśnięta plecami do framugi.

Sierp zawirował, zwinął się jak żywa wstęga, zboczył z trasy lotu, z hukiem wyrznął w odrapane drzwi, zadygotał wściekle, zaśpiewał metalowym jękiem. Doktorka słyszała, jak czarny las, schylony nad urwiskiem, trzęsie się w złośliwym śmiechu.

- Deskath - szepnęła. - Ty... Poznaję cię...

Kot syczał

Sierp dygotał, drżał i śpiewał.

* * *

- No nie, Monika - powiedziała Elka, zwana Pardwą. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i ostrożnie smarowała kremem zadarty nos. - Tak naprawdę nie można. Dlaczego nie chcesz jechać z nami? Z całą paczką? Dlaczego ciągle siedzisz sama? Co?

- Nie czuję się najlepiej.

Wcale nie kłamię, pomyślała Monika. Na samą myśl o waszej hałaśliwej paczce czuję się źle. Nie rozumiem waszych dowcipów. Nie zaraża mnie wasza wesołość, wręcz przeciwnie, budzi ona we mnie jedynie zakłopotanie. I nie jestem pewna, czy nie jest to aby waszym celem.

- Naprawdę, Monika - paplała Elka, stając tuż obok leżaka, tuż nad nią. - Powinnaś pojechać. Jak tam jest pięknie nad rzeką, to pojęcia nie masz...

Aleksandrze, pomyślała Monika, nie zasłaniaj mi słońca.

- Jacek, ten historyk, wiesz, ten, który mieszka sam w dwunastce - Pardwa roztarła resztę kremu na dłoniach, roztaczając dookoła zapach Ponds'a - kolega tego blondyna, który miał granatowe audi, wiesz...

Wiem.

- ...On tak ciekawie opowiada.

Wiem.

- ...o historii tej okolicy, o wojnach, o wędrówkach ludów, o sabatach czarownic, o kulcie jakichś tam demonów, o wykopaliskach, mówię ci, Monika, godzinami można słuchać. Wiesz, że pytał mnie o ciebie?

- Kto? - Monika uniosła głowę.

- Jacek. Ten historyk.

- O mnie?

- O ciebie. Skąd jesteś, gdzie pracujesz. Wpadłaś mu w oko, Monika. Szczęściara jesteś. Chłopak jest strasznie fajny.

O, Boże.

- Nie udawaj, że nie zauważyłaś, jak patrzy na ciebie. Co, Monika?

Zauważyłam, zauważyłam.

- Nie, Elu. Nie zauważyłam.

- Ja naprawdę nie umiem z tobą rozmawiać - nadąsała się Pardwa. - Co cię gryzie, dziewczyno? Marnie wyglądasz, wiesz? A może masz okres? Ojej, przepraszam, nie rób takiej miny. To ja lecę. Umówiliśmy się za pół godziny, idę do nich. Wrócimy na obiad. Albo na kolację. Pa.

- Pa, Elu.

Pomiędzy konarami pokracznej sosny pajak upłótl pajęczynę, regularne, precyzyjne

dzieło. Piękno w przyrodzie, pomyślała Monika, ma cel, nie jest pięknem czysto estetycznym. Ma cel, nawet jeśli tym celem jest mord.

Na stronicy książki usiadła biedronka. Monika strąciła ją, potrząsając książką.

- Leć do nieba - powiedziała półgłosem.

Biedronka nie spadła na ziemię, w locie rozwinęła niezgrabne skrzydełka, poszybowała - prosto w środek pajęczyny.

Pająk, wielki krzyżak z opasłym odwłokiem, wyskoczył z kryjówki w zrolowanym, oplecionym kokonem liściu. Biedronka, nie śpiesząc się, rwała nitki pajęczyny naporem chitynowego pancerza. Jeszcze chwila i wypadnie, pomyślała Monika.

Ale pająk był szybszy.

Uciekaj, pomyślała, zaciskając szczęki. Uciekaj, pająku. Już!

Pająk zaszamotał się na nitkach, błyskawicznie ukrył się w zrolowanym liściu.

Wystraszyłam go, pomyślała Monika, zdziwiona. Bzdura, pomyślała zaraz, pająk najzwyczajniej na świecie nie lubi czerwonych żuków, zakutych w chitynowe pancerze. Woli miękkie i soczyste muchy. To jasne jak słońce.

Drgnęła, słysząc odgłos kroków, tuż za sobą.

- Dzień dobry, Moniko.

- Dzień dobry, Jacku.

O, Boże.

- Jak zwykle z nosem w książce? Moniko, zwracam twoją uwagę, że to są wakacje. Zjawisko, które występuje raz do roku i niestety przemija tak prędko. Naprawdę, szkoda każdej minuty. Moniko.

- Słucham, Jacku.

- Pardwa powtórzyła mi, że nie chcesz jechać z nami nad rzekę. Miałaś jakoby odmówić, bezlitośnie odrzucić propozycję. Jest mi szczególnie przykro, bo to była moja propozycja. Przyszedłem więc, żeby naprawić błąd, jakim było wykorzystanie Pardwy jako pośredniczki. Powinienem sam cię poprosić. Już dawno.

Odejdź, proszę. Źle się czuję, gdy tak stoisz i patrzysz na mnie. Nie chcę twojego wzroku. Nie chcę, by dotykał mnie twój wzrok.

- Jedź z nami, Moniko.

Odejdź, proszę.

- Nie... Przepraszam. Może innym razem.

- Czyżby lektura, której się poświęcasz, była ciekawsza od perspektywy mojego... naszego towarzystwa? Co czytasz, Moniko?

- Och... To poezja, Jacku. Dawna poezja niemiecka.

- To widzę. Poznaję po gotyckich literach, których sam czytać nie potrafię, pomimo iż mój nauczyciel niemieckiego zdołał wbić mi do głowy podstawy języka Goethego. Czyje to wiersze?

- Nie sądzę...

- ...żeby były to wiersze, które może znać zwykły historyk? Ech, filologowie. Jak wy często uzurpujecie sobie monopol na wiedzę o literaturze i języku. Czy masz w sobie trochę żyłki do hazardu, Moniko?

Uniosła oczy, będąc zupełnie świadoma, że unosi twarz i okulary.

- Nie rozumiem...

- Proponuję ci małą grę o wielką stawkę. Coś jak u Puszkina, trójka, siódemka, as. Jeśli na podstawie jednej, dwu linijek poznam, czyje to wiersze, jedziesz z nami. Jeśli się pomylę, odejdę z żalem i nie będę ci więcej przeszkadzał.

Zastanowiła się chwilę. Niemożliwe, pomyślała. Tak mało znane...

- Dobrze - powiedziała, opuszczając głowę, by nie zobaczył jej uśmiechu.

Unter den Linden

Bei der Heide

Wo unser beider Bette gemacht...

- Walther von der Vogelweide, średniowieczny niemiecki poeta i trubadur, przełom dwunastego i trzynastego - roześmiał się. - Wiersz ma tytuł "Unter den Linden". Przegrałaś, Moniko. Wasza dama ubita, towarzyszu Herman. Zabieram wszystkie ruble ze stołu. I ciebie także zabieram, Moniko.

Uśmiechnęła się, tym razem nie kryjąc tego. Cóż, pomyślała, może...

- Między nami mówiąc - powiedział - to do ciebie pasuje.

- Co?

- Poezja średniowieczna, pieśni truwerów - powiedział, patrząc jej w oczy. W okulary, poprawiła się w myśli. - To do ciebie pasuje. Natura poetyczna, uroczo niedzisiejsza, skomplikowane wnętrze, samotnicza natura. Magia. No, płowowłosy elfie, zbieraj się. Jedziemy.

- Tak - powiedziała, nadal uśmiechając się blado. - Cóż, słowo się rzekło... Za chwilę przyjdę do was. Za chwilę.

- Czekamy.

Nie wstała od razu. Siedziała z opuszczoną głową, wpatrzona w gotyckie litery, kręte i chwiejne niczym proporce, wijące się na strzelistych wieżach. Słyszała dźwięk lutni, daleki i cichy.

Biały jednorożec stawał dęba na zielonym arrasie, unosząc przednie nogi w heraldycznej pozie.

Szczyt wzgórza był równy, płaski, jak ścięty żyletką. Domek o bielonych ścianach, usadowiony wśród pokracznych jabłonek, przyciągał. Wzywał ją do siebie.

Stała niezdecydowana, patrząc, jak cała kompania zbiega w dół, nad rzekę, po piaszczystym, nagrzanym słońcem zbocz. Słyszała okrzyki i śmiechy chłopców, dalekie i ciche pobrzękiwanie kontenera z piwem. Pisk dziewcząt wpadających na podmokłą łąkę.

- Ciekawe wzgórze, prawda? Na pierwszy rzut oka widać, że nie jest naturalne.

- Słucham, Jacku? Dlaczego nienaturalne?

- Spójrz na jego kształt, jakie jest regularne. Na położenie. Moniko, tu mógł być kiedyś warowny gród strzegący brodu. A może chram jakiejś bogini czczonej przez Pomorzan. Może miejsce składania ofiar, święte wzgórze pogańskich Prusów, Gotów lub zabłąkanych tu Celtów? Tyle ludów przetoczyło się przez tę krainę, tyle jeszcze nie zbadanych rzeczy kryje ta ziemia... No, chodźmy. Porozmawiamy o tym jeszcze na naszym wspaniałym biwaku.

- Zaraz... zaraz do was przyjdę. Za chwilę.

- Dlaczego?

- Chcę się przespacerować - opuściła głowę.

- Czy pozwolisz...

- Nie - powiedziała szybko. - Przepraszam cię. Sama.

Dlaczego on tak na mnie patrzy?

- Dobrze, Moniko. Ale pamiętaj, czekamy na ciebie. Chciałbym, żebyś była z nami. Ze mną.

- Przyjdę.

Wzgórze. Nienaturalne?

Zrobiła krok do przodu. Nagle poczuła, że musi iść dalej. Bo za plecami miała czarną ścianę boru, mokrego, ciemnego i niepokojącego, a przed sobą słońce i błyszczącą wstęgę rzeki, w dole, nisko wśród olch. Las odpychał, szeptał głosem przejmującym lękiem, głosem, w którym wyczuwała groźbę i złość. Biały domek nad urwiskiem był jasny, ciepły, przyjazny. Wzywał ją, ciągnął ku sobie, namawiał.

- Dzień dobry... Czy jest tu ktoś?

Ciemna sień, w ciemność wbita smuga światła, nabrzmiała wirującym kurzem. Wchodzę nieproszona do cudzego domu, pomyślała. Zaraz ktoś wyjdzie, spojrzy na mnie niechętnie, a ja poczuję się odrażona, skrzywdzona. I będę miała o to żal, chociaż sama sobie będę winna. Jak zwykle.

Pokoik pełen ciemnych mebli. Ciężki, mdlący zapach ziół.

- Dzień dobry! Przepraszam...

Na stole szklanka w metalowym koszyczku, łyżeczka utkwiona w kawianych fusach, okulary w drucianej oprawce.

I książki.

Nie wiedząc, czemu to robi, zbliżyła się. Książki były stare, oprawne w złuszczoną tekturę. Wytlaczane złoto litery, mówiące, że to encyklopedia Orgelbranda, były zatarte, ledwo czytelne. Przewróciła okładkę, pierwszą z brzegu.

To nie była encyklopedia Orgelbranda.

Ten gotyk nie niósł dźwięku lutni. Ten gotyk był złowrogi i czarny, krzyczał groźnie i teutońsko.

Geheymwissenschaften und Wirken des Teuffels in Preussen, Johann Kiesewetter, Elbing 1792. Na stronie tytułowej pentagram, znaki Zodiaku, inne dziwne, niepokojące symbole.

Druga książka. I znowu pod fałszywą okładką ciężkie, szorstkie od kurzu, pożółkłe stronice i prawdziwy tytuł - Dwymmermorck. Tylko tyle.

Następna. Inne pismo, inny druk. Człowiek z głową kozła, krzyżujący na chudej piersi ręce o długich palcach. La lettre noire - Histoire de la Science Occulte, Jules de Bois, Avignon 1622.

Kolejna, rozsypująca się prawie, krzycząca jednym zdaniem, wielką, pajęczą czcionką pośrodku zniszczonej strony - Gondelman, Tractatus de Magiis.

I następna.

Gdy sięgnęła, by odwrócić kłamliwą orgelbrandowską okładkę, jej dłoń drżała, grzęzła w niepojętym oporze, w aurze broniącej dostępu. Jednocześnie zaś inna, przeciwstawna siła ciągnęła jej rękę niby magnes.

Żwierzyadło Maggi Czarney Bissurmańskiej, przez Abdula z Hazredu. Spolszczył Iędrzey Śleszkowski, iezuita A.M.D.G. w Krakowie, w Drukarni Mikołaja Zborskiego JKM Ord. Tipografa, Roku Pań. 1696.

Ciężkie, pozlepiane, wystrzępione stronice, wyblakłe, półzatarte pismo. Chciała odwrócić stronę.

Coś ją powstrzymało. Coś, co uwięzło w przetyku, przyłgnęło do podniebienia, coś, co było zgrozą, wstrętem, mdlącym obrzydzeniem. Miała wrażenie, że lepki kurz ze stronicy zaczyna powoli wpełzać jej na rękę. Zamknęła księgę, wzdrygnęła się, w uszach, w głowie eksplodował jej niespodziewanie chóralny, wielogłosowy zaśpiew, bełkot, krzyk, niezrozumiałe słowa.

Wyjść, pomyślała. Muszę stąd wyjść.

Wbrew sobie sięgnęła jednak po kolejną książkę. Phénomene, Démonne und Zaubereysunden, R. Ennemoser, Nürnberg 1613. Odwróciła stronicę.

Biały jednorożec, stając dęba, unosił przednie nogi w heraldycznej pozie.

Otworzyła na chybił trafił, pośrodku tomu. Rozmazane gotyckie litery zdawały się poruszać, cisnęły się natrętnie do oczu i do świadomości.

...wie lautet der Name des Démonns? Der Hagre Junge, da er unseren geheymen Sünden und unsre Bösheyt frisset und trotzdem hager bleybet. Das Brennende Kind, das mit Hasse brennt. Und der echte Name? Der ist unaussprechlich, schrecklich. Deskath, was zugleych

Die Wahrheytt oder Der Betrug bedeutet. Zerneck, der Schwartz Wahnsinn...

Na stronę padł szybki, ruchliwy cień, na stole miękko, acz ciężko, wylądował wielki czarny kocur. Monika cofnęła się, tłumiąc krzyk. Kocur zmierzył ją niechętnym spojrzeniem złotożółtych oczu, przeciągnął się, zeskoczył ze stołu, by wskoczyć na łóżko.

Staruszka była mała, ale nie zgarbiona, a jej twarz, porwana zmarszczkami, poważna i skupiona. Miała duże, niezwykle jasne oczy, tak jasne, że prawie przezroczyste niczym soczewki, niczym opale, oszlifowane na kaboszony.

- Przepraszam panią - wyjąkała Monika. - Drzwi były otwarte. Ja wiem, że nie powinnam...

Wykręciła do tyłu ręce i zaczęła wyłamywać sobie palce. Jak zwykle.

- Nic nie szkodzi - powiedziała staruszka, podchodząc do stołu. Zamknęła książkę, rzuciwszy przelotnie okiem na otwartą stronę.

- Ten dom jest otwarty dla wszystkich, którzy chcą wejść - powiedziała. - Słucham cię, dziecko.

- Ja... Ja zupełnie przypadkowo. Przechodziłam i... Ja jestem z tymi, którzy nad rzeką... Widziała pani pewnie samochody...

- Wcale nie jesteś z tymi, którzy są nad Rzeką - staruszka pokiwała głową. - A powinnas. Powinnas być z nimi, a tymczasem jesteś tutaj. Dlaczego?

Monika zamilkła z półotwartymi ustami.

- Szukałaś w książce odpowiedzi na pytanie? To nie jest najlepszy sposób, dziecko. Zwłaszcza nie radziłabym ci korzystać z książek, które tu leżą.

- Ja jeszcze raz przepraszam. Nie powinnam... Pójdę już.

- Nie zadawasz swego pytania?

- Jakiego pytania?

- A tego, drogie dziecko, to ja nie wiem - jasne oczy staruszki jeszcze bardziej pojaśniały. - Ja nie mogę przecież znać pytań. Znam wyłącznie odpowiedzi, a i to daleko nie wszystkie.

- Ja... Nie rozumiem. Pójdę już.

- Twoja wola. Jeśli zechcesz wrócić i zadać swoje pytanie, pamiętaj, że dom starej doktorki jest zawsze otwarty.

Jezus, pomyślała Monika. Trafiłam na wioskową babcię. Na aborcjonistkę. Ona myśli, że ja...

- Dziwne myśli tłuką ci się po głowie, dziecko - powiedziała ostro staruszka. - Szalone, dziwne, nieodpowiednie myśli. Nie podobasz mi się. Podejdź do mnie.

Nie, pomyślała Monika, nie podejdę. I zrobiła krok do przodu. A potem drugi. I trzeci.

- Bliżej.

Nie!

Jeszcze jeden krok. Wbrew swej woli.

- Mów.

Monika bezgłośnie poruszyła ustami. Oczy, oczy jasne, prawie przezroczyste...

- Zapomniana - mruknęła doktorka.

Bełkotliwy chór, pojedyncze, niezrozumiałe, przeraźliwe słowa, wykrzykiwane w rytmicznym zaśpiewie...

- Nie - powiedziała nagle staruszka. - Nie podchodź. Ani kroku dalej.

Monika zatrzęsa się z zimna, które nagłą falą spłynęło jej po karku i plecach.

- Zapomniana - powtórzyła doktorka, mrużąc jasne oczy. - Tak, bez wątpienia.

Przyciąga was Rzeką, przyciąga was to wzgórze. Przyciągają was te księgi, ciągną jak magnes.

Kot, przypłaszczony do poduszki, zasyczał, unosząc głowę.

- Idź - powiedziała doktorka. - Wracaj do tamtych. Czekaają na ciebie. Należysz do nich. Należysz już do ich świata, czy tego chcesz, czy nie.

Monika drżała.

- Idź już.

* * *

Ból głowy, który dopadł ją po południu, krótko po powrocie z wycieczki, trwał i wzmagał się, mrocząc oczy, aż do wieczora. Nie ustąpił po dwóch gardanach, nie zelżał po dwóch pyralginach. Zwalił ją z nóg, przykleił twarz do poduszki. Wsluchując się w tępe tętnienie w skroniach, Monika Szreder czekała na sen.

* * *

Stała nieruchoma wśród pokracznych jabłonek, wewnątrz rozszalałego Maelstromu szarych, bezgłośnych ptaków, w samym środku ciszy, wirującej od bezszelestnych uderzeń ostrych, kończystych skrzydeł, wśród tysiąca rozpędzonych, szarych półksiężyców, z których każdy zdawał się godzić prosto w nią, ale w ostatniej chwili zmieniał kierunek, muskał, ale nie uderzał, nie ranił.

Świeca, otoczona widmową aureolą załzawionego światła, rozjaśniała wnętrze pełne ciemnych mebli. Patrzące na nią oczy były jasne, prawie przezroczyste, jak soczewki, jak kaboszony opali.

- Zadaaj swoje pytanie. Wezwałam cię, byś zadała swoje pytanie.

Kiwnęła potakująco głową. Wolno unosząc ręce, dotknęła nimi włosów, odsuwając je z ramion, przesunęła palcami po czole, policzkach, ustach. Doktorka nie patrzyła na nią. Nie uniosła wzroku znad księgi trzymanej na kolanach.

Opuszczając ręce, postąpiła krok do przodu. Kot parsknął. Spojrzała w dół, pod nogi, na białą nieprzekraczalną linię nakreśloną na podłodze. Doktorka uniosła głowę.

- Zapomniana - powiedziała cicho. - Jesteś Zapomniana. Nie myśl nawet o powrocie, nie ma powrotu dla takiej jak ty. Jesteś Zapomniana, lepiej będzie dla ciebie, jeśli taką pozostaniesz. Dla wszystkich będzie lepiej.

Pokręciła przecząco głową, przesuwając dłońmi po szyi, sunąc nimi w dół.

- Nie - rzekła ostro doktorka. - Nawet o tym nie myśl. Taka myśl nie rozbudzi ciebie. Może jednak rozbudzić kogoś innego. Tego, który jest Prawdą i Zdradą. Karmisz go, wiecznie Wychudłego, swoimi marzeniami. Budzisz go swoim śpiewem. Strzeż się. On przychodzi w snach, których nie zapamiętasz. Ale on nie zapomni. Strzeż się.

O szybę okna stuknęła ćma, wielka, szara, rozedrgana.

- Strzeż się, Zapomniana. Prawda i Zdrada nie różnią się, są jednością. Obie przybędą jednocześnie na twój krzyk, jeśli zakrzyczysz. A wówczas dłoń wyciągnie się ku tobie z mroku. Jeśli dotkniesz tej dłoni, nie będzie powrotu. Odrodzi się Płonące Dziecię, odrodzi się żar, który gorzeje nienawiścią. Odrodzi się znowu Czarny Obłęd, Zerneck, na ołtarzu z kwiatów.

Doktorka zamilkła, opuściła głowę, wyciągnęła ręce.

- Strzeż się dłoni, która wyciągnie się z mroku. Gdy jej dotkniesz, nie będzie powrotu. Va sivos onochai! Jeśli wrócisz ćmą, spłoniesz. Jeśli wrócisz płomieniem, zgaśniesz. Jeśli wrócisz ostrzem, przeżre cię rdza. Odejdź.

Poczuła na policzku ciekącą łzę, drażniącą, natrętą. Niechcianą.

- Odejdź.

Pytanie?

- Nie. Nie odpowiem.

Nagły rozbłysk, erupcja siły...

- Nie! - w jasnych oczach przerażenie. - Nie...

Pytanie.

- Dobrze. Dobrze, Zapomniana. Jeśli tak bardzo tego chcesz...

Chcę.

- Odpowiedź brzmi: "Tak". Będziesz. Ale tylko w oczach innych. A teraz odejdź. Zostaw mnie. Odejdź.

* * *

Monika obudziła się, usiadła na łóżku, spojrzała w okno, w mrok niebieszczejący zapowiedzią świtu. Elka, zwana Pardwą, chrapała leciutko, leżąc na wznak, zgiętym ramieniem obejmując poduszkę.

Monika dotknęła książki zagrzebanej w kołdrze, wciskającej się w udo twardym

kantem okładki. Zasnęłam, czytając, pomyślała.

I miałam... dziwny sen.

Nie pamiętała jaki.

* * *

- Odnoszę wrażenie, że mnie unikasz, Moniko.

Tak, unikam, pomyślała odważnie, nie mogąc się zdecydować, w którą stronę skierować wzrok. Po chwili wahania, ostatecznie zwyciężyły czubki tenisówek.

- Nie, skądże - wymamrotała. - Wcale nie.

- Pozwolisz sobie potowarzyszyć?

Kiwnęła głową, przestraszona, czy nie nazbyt wiele zapалу wkłada w to kiwnięcie.

Szli wolno wzdłuż szpaleru białopiennych brzoźek, leśną dróżką, wśród ciemnozielonych kęp wrzosu, jak parkan wytyczających szlak, niekiedy rozrostłych, tarasujących drogę.

Oczywiście, potknęła się, nie trzeba było długo czekać. Podtrzymał ją, wziął pod rękę, a dotknięcie jego ramienia wstrząsnęło nią jak wyładowanie elektryczne. Przyjemne wyładowanie.

- Lato się kończy - przerwał ciszę trywialnym stwierdzeniem. - Kończą się wakacje.

- Mhm.

- Trzeba będzie wracać. Do miasta. Do książek, do doktoratu. Szkoda.

- Będą wakacje i w przyszłym roku - wyjąkała, zastanawiając się, jaki sposób wyzwolenia ręki spod jego ramienia może nie być poczytany za obcesowy, agresywny i niegrzeczny.

- Fakt, będą - uśmiechnął się ładnie, mocniej przyciskając jej ramię. - Ale to, że lato się kończy, smuci mnie. Nie lubię zakończeń. Zakończenie to koniec fabuły. A ja w fabule cenię sobie epizody. Piękne epizody ratujące przesmętną fabułę, nędzny scenariusz, jakim jest nasze życie. Filozofuję. Nie nudzę cię, Moniko?

Nie odpowiedziała. Wypatrywała odpowiedniej kępy wrzosu, by potknąć się o nią i uciec przed ciepłem, którym promieniował.

- Moniko?

- Słucham... cham? - potknęła się, ale zbyt wymuszenie, zbyt sztucznie, podtrzymał ją bez trudu, nie puścił ręki.

- Cały czas myślę o... O tym wierszu, który czytałaś. O "Unter den Linden" Walthera von der Vogelweide. Jest w tej balladzie coś dziwnego, coś, czego nie umiem wyjaśnić... Moniko, chciałbym cię o coś prosić. Nie odmawiaj, jeśli to możliwe.

- Słucham cię, Jacku.

- Poczytaj mi wiersze Walthera von der Vogelweide. Proszę.

- Teraz?

- Nie. Nie teraz. Po kolacji, kiedy będzie cicho i spokojnie, kiedy zapadnie mrok.

Wydaje mi się, że ta poezja może brzmieć dobrze tylko o wieczorze, chłodnym i mrocznym jak kamienny raubritterski zamek. Wpadnę do ciebie zaraz po kolacji, na chwilę poświęcimy się Minnesangowi, pieśniom trubadurów.

- Jacku, ja...

- Nie odmawiaj, proszę.

Monika zatrzymała się, zdecydowanie, ale nie gwałtownie, wyzwoliła rękę spod jego ramienia.

Spojrzała mu prosto w oczy. Śmiało, choć nie wyzywająco. Naturalnie. Szczerze. Odważnie.

Powiedz mi, czego ode mnie oczekujesz. Czego chcesz ode mnie, właśnie ode mnie, kiedy dookoła roi się od dziewcząt, kolorowych i pięknych jak kolibry, wesołych, rozszczebiotanych, chętnych - jeśli nie do flirtu, to przynajmniej do zabawy we flirt. One wszystkie patrzą na ciebie i żadna nie czułaby się nieswojo, mogąc spacerować z tobą po lesie i słuchać twoich słów. Każda z nich cieszyłaby się myślą o wieczorze, spędzonym z tobą na czytaniu wierszy. Żadna nie drżałaby w środku, tak jak ja drżę teraz. Powiedz więc, otwarcie i szczerze - dlaczego właśnie ja? Przecież ja...

Jestem nieładna!

Spuściła oczy, chowając głowę w ramiona. Jak żółw, pomyślała. Boję się.

- Moniko?

- Dobrze, Jacku.

* * *

Co ja robię, pomyślała, schylona nad książką. Co ja robię najlepszego. Przecież można było wykręcić się bólem głowy, zaraz po kolacji zniknąć, wrócić późno, zamknąć drzwi na klucz, udawać, że mnie nie ma. Można było zrobić cokolwiek. A teraz siedzę tu z nim i...

- Czytaj dalej, Moniko. Proszę.

Ich kam gegangen

Hin zur Aue

Mein Trauter harrte schon am Ort

Wie ward ich empfangen

O Himmelsfraue!

*Dass ich bin selig immerfort
Ob er mich küsste? Wohl manche Stund.
Tandaradei!
Seht, wie ist so rot mein Mund.*

- Masz piękny głos, Moniko.

Nie. Nie. Nie chcę tego, co już kiedyś było. Nie zniosę, nie chcę znosić upokorzenia, żalu, pustki, samotności. Nie chcę obwiniać ani szukać winy w sobie. Czemu on tak na mnie patrzy? Patrzy tak, jak gdybym była...

(Ładna?)

- Czytaj, Moniko.

*Da tñt er machen
Uns ein Bette
Aus Blumen mannigfalt und bunt
Darob wird lachen
Wer an der Statte
Vorüberkommt, aus Herzensgrund
An den Rosen er wohl mag
Tandaradei!
Sehen, wo das Haupt mir lag...*

- W rzeczy samej to piękna pieśń, Moniko. Słysząc nieledwie brzęk strun lutni trubadura. Czy ktoś przełożył "Under den Linden" na polski?

- Tak. Leopold Staff.

- Nie pytam nawet, czy znasz ten przekład. Wiem, że znasz. Powiedz, proszę. Te dwie ostatnie strofki.

- Jacku... Nie pamiętam...

- Ślicznie się czerwienisz. Ale ja wiem, że pamiętasz. Proszę, Moniko.

*Gdym porą nocną
W to ustronie
Przyszła, mój miły już tam był
Tulił mnie mocno
Na swym łonie
Dotąd mam słodycz w głębi żył*

*Czy całował? Rozdział z chust?
Tandaradei!
Patrz na czerwień moich ust!*

*I poszedł łoże
Popod lasem
Z przeróżnych kwiatów usłać nam
Śmiały się może
Ktoby czasem
Przechodził i przystanął tam
Zaraz by po różach zgadł
Tandaradei!
Mej leżącej głowy ślad.*

- Pięknie, Moniko. Tylko, wybaczone, tego wiersza nie można deklamować z głową na kolanach ani takim grobowym głosem. Sama wiesz, że Walther von der Vogelweide odrzuca w tej pieśni bezsensowny kanon Minnesangu i miłości rycerskiej, egzaltację i westchnienia do nieosiągalnej damy serca. To jest, Moniko, pieśń o miłości spełnionej, o jedynej miłości, jaka ma sens, jaka jest radosna. Piękny epizod, opisany w piękny sposób. Tę pieśń śpiewa dziewczyna, która leżała razem z ukochanym na łożu z kwiatów... Boże, jak ty ślicznie się czerwienisz. Była z ukochanym i jest szczęśliwa, i chce o tym głosić całemu światu, chciałaby, aby wszyscy widzieli odcisnięty w kwiatach ślad jej głowy, by wszyscy dowiedzieli się o jej szczęściu.

- Już strasznie późno, Jacku. I trochę boli mnie głowa...
- Ostatnia strofka, Moniko.
- Nie pamiętam przekładu, naprawdę...
- Przeczytaj w oryginale. Ale przeczytaj głosem dziewczyny szczęśliwej. Proszę.

*Wie ich bei ihm ruhte
Wenn jemand es wüsste
Du lieber Gott - ich schämte mich
Wie mir der Gute
Herzte und küsste
Keiner erfuhr als er und ich
Und ein kleines Vögelein
Tandaradei!
Das wird wohl werschweigen sein!*

- Fascynujesz mnie, Moniko.
- Przestań, Jacku. Proszę cię.
- Jesteś urocza, wiesz? Masz w sobie mnóstwo czar. Zaczynam wariować z twojego powodu. Nie wiem, jak to się stało, Moniko, ale nie mogę przestać myśleć o tobie.
- Jacku... Wprawiasz mnie w zakłopotanie.
- Moniko... Gdy zamykam oczy, widzę twoją twarz, twój uśmiech. Czuję wówczas, jak coś we mnie drga, jak coś ściska mi gardło...
- Proszę, nie. Idź już. Jest już bardzo późno, Ela zaraz wróci.
- Jeszcze chwilę...
- Nie, proszę. Do jutra. Jacku.
- Powiedz mi to.
- Co?
- Że mnie lubisz, Moniko.
- (Ja?)
- Moniko.
- Lubię cię.

* * *

Minnesínger jest szczupły, drobny, delikatny, wiatr szarpie jego czarną peleryną. Skąd ten wiatr, tutaj, w sali tronowej, gdzie nie drżą nawet płomyki świec ani powłóczyste welony na szpiczastych czepcach zasłuchanych, pograżonych w dźwięku lutni dam? Ale za plecami minnesíngera nie ma już arrasu z jednorożcem, nie ma kolumn i ostrych łuków witrażowych okien. Za jego plecami jest urwisko i czarny las.

Oczy minnesíngera płoną w półmroku, żarzą się czarnym ogniem. W jego twarzy nie ma niczego, niczego, co nie jest tymi oczami, tym żarem.

Daj rękę.

Zapomniana. Nie ma wątpliwości. Przyciąga cię Rzeka, przyciąga cię to wzgórze. Daj rękę. Seh, wie ist so rot mein Mund.

Na pierwszy rzut oka widać, że to nie jest naturalne wzgórze. Tu, w dominującym miejscu, był z pewnością gród strzegący przeprawy. Świątynia, świętychram, ofiarny ołtarz...

Nie, krzyczy Elka, zwana Pardwą. Nie, nie pójde tam za nic w świecie, patrzcie, jaki okropnie ciemny jest ten las, jak tam mokro, tam są pająki, boję się pajaków.

Daj rękę. Fascynujesz mnie. Pozostali śmieją się, klaszczą, futrzane maski na ich głowach śmiesznie kiwają olbrzymimi uszami. Zerneck, der Schwartz Wahnsinn,

krzyczy Elka, naga do pasa.

Daj rękę.

Nie! Uciekaj! Oczy jasne, prawie przezroczyste. Nie wracaj tu, bo spłoniesz, zgaśniesz, przeżre cię rdza.

Moniko, Moniko, dotąd mam słodycz w głębi żył. Jesteś urocza, wiesz?

Wiem.

Zapomniana. Boże, jak ty ślicznie się czerwienisz. Gdy zamykam oczy, widzę twój uśmiech. Czerwień twoich ust.

Daj rękę.

Bagno, czarne, lśniące grzęzawisko, porośnięte rzęsą, rozchodzącą się wolno wśród baniek, pękających na oleistej powierzchni. Otchłań, w głąb której wiedzie Tysiąc Stopni. A na dnie otchłani coś, co jest nieodgadnioną tajemnicą, coś, co drga, pulsuje i tętni. I czeka na wezwanie.

Tandaradei!

Spłoniesz. Zgaśniesz. Przeżre cię rdza.

* * *

Obudziła się.

Leżąc na mokrym od potu, starganym, zmiętym prześcieradle, długo nie mogła usnąć, na próżno starając się posklejać w jedną całość urywki snu, którego nie pamiętała.

* * *

Następnego dnia cała kompania, jak zwykle, radośnie i wesoło załadowała się do samochodów, by tradycyjnie zawieźć rejwach, hałas i zamieszanie w jakiś odległy zakątek, gdzie było cicho i spokojnie.

Cała kompania oprócz Moniki, która tym razem zdecydowanie i przekonująco symulowała migrenę. Oczywiście, namawiano ją. On ją namawiał. Oczywiście, odmówiła. Chciał zostać z nią. Odmówiła również.

Dlaczego, zastanawiała się później, spacerując sama, bez celu, nie zwracając uwagi ani na okolicę, ani na snujących się szlakiem ścieżek i deptaków innych wczasowiczów. Dlatego odmówiłam? Czego ja się boję, myślała, gnąc długi patyk znaleziony przy drodze. Czego ja unikam? Życia? Dlatego, że życie nie jest poezją?

Będę tak spacerować do wieczora, myślała. A wieczorem...

Wieczorem głowa będzie mnie bolała naprawdę. Już czuję ból. Coś niedobrego dzieje

się ze mną. Coś bardzo niedobrego.

Malec, przemocą odciągany przez matkę od kiosku pełnego kolorowych wspaniałości, spojrzał na przechodzącą Monikę i rozkrzyczał się ostrym, nagłym, niepohamowanym krzykiem.

Nie zwróciła uwagi.

Czego ja się obawiam, myślała. Rozczarowania? A czy to, co teraz robię, nie jest rozczarowaniem? Co będę czuła, jeśli dzisiaj wieczorem schowam się, zamknę przed nim na klucz? Spełniona miłość, o której śpiewa kochanka Walthera von der Vogelweide, może rzeczywiście jest w tym sens? I może nie kryje się on w słowie "miłość", ale w słowie "spełnienie"? Może rzeczywiście nazajutrz, pomyślała, coraz to silniej wyginając swój patyk, może rzeczywiście nazajutrz byłabym w stanie rozejrzeć się dumnie dookoła i krzyknąć, patrzcie wszyscy, patrzcie na czerwień moich ust!

Może.

Wiem, czego się boję, pomyślała, przechodząc przez most.

Własnej słabości.

Ileż ja bym dała, myślała, gnąc patyk, za to, żeby stać się silną. Nie, nie piękną, chociaż...

Ale silną.

Patyk złamał się z trzaskiem.

Pod mostem, na zalewie, jeden z przepływających tamtędy kajakarzy zaklął plugawie, w osłupieniu patrząc na dwa ułamki wiosła, które zostały mu w rękach.

* * *

Płomienie. Rozjuszony płomienie opasujące ją ze wszystkich stron, żar roztopiający oczy, dym pozbawiający tchu. Łańcuch wżarty w ciało, bezlitośnie wiążący... Ryk płonącego pieca, gotowego bluznąć ogniem i węglami...

Słońce. I wiatr. Wiatr od Rzeki, furkot olchowych liści. Obejmujące ją ramię, emanujące ciepłem i siłą. Jesteś urocza, wiesz? Masz w sobie mnóstwo czaru. Gdy zamykam oczy, widzę twoją twarz.

Och, Jacku.

Nie chcę do lasu, krzyczy Elka, zwana Pardwą. Nie, tam są pająki! Boję się pajaków! Umarłabym chyba, gdyby...

Tandaradei! Oczy jasne, prawie przezroczyste. Jeśli wrócisz ćmą, spłoniesz.

Powiedz, że mnie lubisz. Oczy minnesingera są czarne i ogromne. Powiedz to głosem dziewczyny szczęśliwej, która spoczywała wraz z ukochanym na łożu z kwiatów. I tam, na łożu z kwiatów...

Spłoniesz. Zgaśniesz. Przeżre cię rdza.

Gdzie ja widziałam ten uśmiech?

Czarny bór, ogromne, pokrzywione dęby, ich ciemna kora pokryta naroślami
wyglądającymi jak wrzody. Gromada ludzi, wszyscy w futrzanych maskach z wielkimi
stojącymi uszami. Dziewczyna naga do pasa.

Kamień, czarny, płaski. Na nim... Róże?

An den Rosen er wohl mag

Sehen, wo das Haupt mir lag...

Tandaradei!

Zernebock, krzyczy Elka, zwana Pardwą. Ciągnie was Rzeka, ciągnie jak magnes.
Oczy jasne, prawie przezroczyste. Jednorożec unoszący przednie nogi w heraldycznej
pozie.

Daj rękę. To minnesínger. Nie, nie, krzyczy Elka, zabierzcie go, jest obrzydliwy,
wiecie, że boję się pająków.

Budzisz mnie... Pamiętam pełne usta Beatrix, córki Berengara von Passau.

Zernebock, krzyczy półnaga dziewczyna, ciskając różę na płaski, czarny kamień. Der
Schwartzte Wahnsinn!

Daj rękę. Wstań. Pójdiesz ze mną, by poznać prawdę. Mądrość nie niesie zdrady, nie
wierz temu. Mądrość daje siłę. Prawda jest siłą. A ty przecież pragniesz być silna,
pragniesz siły i władzy. Daj rękę.

Nie! Oczy jasne, prawie przezroczyste.

Wstań. Pójdź ze mną, by poznać prawdę. Pokażę ci, jak wygląda prawda.

Daj rękę.

Obudziła się.

* * *

Mam wstać i wyjść, pomyślała trzeźwo, natychmiast. Muszę wstać i wyjść. Wówczas
poznam prawdę. Tak powiedział...

Nie. On powiedział: Die Wahrheit.

(Die Wahrheyt?)

Monika Szreder wstała, stąpnęła prosto w kałużę rozlanego na podłodze
księżycowego światła.

- No, i jak było?
- Próbujesz wymuszać na mnie komplementy?
- Aha.
- Męskie ego, prawda? Dobrze więc: było bosko. Taka odpowiedź mieści się w konwencji, jak sądzę? Aj, przestań! Co robisz, wariacie?
- Zmieniam konwencję.
- Aj! To ma być zmiana, według ciebie? Nie czuję różnicy.
- Robisz się nieprzyzwoicie nieprzyzwoita.
- Przyganiał kocioł garnkowi. Mmmm. Lubisz tak?
- Mam odpowiedzieć zgodnie z konwencją?
- Możesz w ogóle nie odpowiadać. Niech czyny mówią za ciebie.
- Myślisz, że co ja jestem? Clockwork lover? Na zawołanie?
- Staraleś się, jak mogłeś, żebym tak właśnie o tobie myślała, więc się teraz nie wykręcaj. Ja zresztą i tak wezmę sobie, co chcę, taka już jestem. Nie ruszaj się.
- Tak?
- Mmmm. Ooooch!
- Co?
- Komar ugryzł mnie w tyłek.
- Zaraz go złapię i rozgniotę rozpustnika. Co on sobie myśli, że to jest ménage a trois? Gdzie cię ugryzł? Tu? Niegłupi owad.
- Ajjjj!
- Ela?
- Mmmmm?
- Czemu nazywają cię Pardwą?
- Kiedyś, w pociągu, rozwiązywaliśmy krzyżówkę, było tam hasło, z którym nikt nie mógł sobie poradzić. Poziomo, sześć liter. Ptak zamieszkujący mszary i tundry Północy. I ja zgadłam.
- Ela...
- Och... Mmmm... Jacek...
- Monika, przytulona do muru tuż obok uchylonego okna, dygotała z obrzydzenia.
- Chciała odejść. Nie mogła.
- Jacek?
- Mhm?
- A Monika?
- Co, Monika?
- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Myślisz, że nikt nie widzi, jak ją czarujesz? Jak koło

niej skaczesz?

- O Boże, Pardwa. Nie wyciągaj pospiesznych i banalnych wniosków. Żal mi jej, to wszystko. Chcę, by miała miłe wakacje. Takiej jak ona potrzebne jest trochę adoracji. Co jakiś czas trzeba takiej jak ona powiedzieć, że jest piękna, wówczas faktycznie pięknieje. W miarę skromnych możliwości.

- Jeszcze lepiej się z taką przespać, wtedy pięknieje jeszcze bardziej. To miałeś na myśli?

- Ha! Że też ja się od razu nie domyśliłem. To temu zawdzięczam tę sympatyczną przygodę, Elu? Doprawdy, podtekst nietrudny do rozszyfrowania.

- No, no, teraz ty jesteś banalny, posądzając mnie o zazdrość. Gorzej, o zawiść. I o kogo? O taką myszkę, Boże. Nie odgrywaj tu Pygmaliona. Znalazł się dobroczyńca. Mówię całkiem poważnie, prześpij się z nią. Jeśli tego nie zrobisz, zepsujesz jej wakacje. Pozostawisz uczucie niedosytu. Prześpij się z nią, Jacek.

- Sęk w tym, że nie chcę. Nie czuję do niej woli bożej.

- Co to ma zatem być, sztuka dla sztuki? Mówiłam, Pygmalion. Profesor Higgins dla ubogich.

- Ona jest... Ona jest nieładna. Po prostu nieładna. I asekualna.

- Egoista. Poświęć się i zrób to tylko dla niej. Zamknij oczy i myśl o Anglii. Ale ja myślę, że kłamiesz. Właśnie ta jej myszkowatość cię podnieca.

- Ela, czy naprawdę nie znajdziemy wdzięczniejszego tematu do rozmowy?

- Sądzę, chłopczyku, że w ogóle tracimy za dużo czasu na gadanie.

- Elka!

- Mmmmmmm.

* * *

Biegła przed siebie, na oślep przez las, obijała się o pnie drzew, plątała w szponiastych łodygach jeżyn, potykała w wykrotach, na korzeniach, na zwalonych pniach. Biegła, chcąc jak najdalej za sobą zostawić wstręt, upokorzenie, od którego puchła twarz, wstyd, od którego tętniło w skroniach. Chcąc jak najdalej za sobą zostawić...

Nie będę płakać. Nie będę. Nie. Nie. Nie.

Gałąź, elastyczna i jadowita jak pejcz, smagnęła ją przez policzek, wypełniając oczy mokrym, oślepiającym bólem, usprawiedliwiającym... Dającym pretekst...

Na kolanach, tłukąc pięściami o pień olchy, Monika Szreder wybuchnęła łzami, zatrzęsła się w tłumionym, rżącym krzyku.

* * *

W białym domu na płaskim szczycie wzgórza, omywanego niespokojnym, rozgadany nurtem Rzeki, doktorka uniosła głowę znad pożółkłych stronic. Przez chwilę przysłuchiwała się ciszy, jaka niespodziewanie zapadła nad okolicą. Czarny kot, zwinięty w kłębek na haftowanej poduszce, otworzył złociste oczy i zasyczał, wpatrzony w mrok. Doktorka wróciła wzrokiem do księgi.

...wiadomym iest, iako onego, który wiele ma imion, nie lza przyzwać ni zawezwać proprio motu - on przybywa ieno wonczas, ieśli taka wola iego. On wyhynie z Otchlani, imię ktorey iest Radm-Agakh, stąpaiąc po Tysiącu Stopni. On przybędzie na krzyk, nawet ieśli w krzyku tym nie masz imienia iego. On, który Pluribus Mortis Imago iest i który Wychudły iest. Ni ieden, choćby i naymędrszy, na drodze iego stanąwszy extra periculum liczyć się nie może. Bo ieśli przyzwać go niełatwo, to po stokroć ciężey zatrzymać, gdy przyzwany po żer swój kroczy, po Tysiącu Stopni z Otchlani, imię ktorey iest Radm-Agakh...

O szybę stuknęła szara ćma. Potem druga. I trzecia.

* * *

Monika zaszlochała, obejmując pień olchy, przytulona policzkiem do mokrej kory. Las, zalany bladym, upiornym światłem księżyca, zamarł w nienaturalnej ciszy.

Nagły rozbłysk, erupcja siły. Białý jednorożec uniósł przednie nogi w heraldycznej pozie. Monika, czując wzbierającą w sobie moc, wciągnęła powietrze do płuc, unosząc w górę obie pięści wrzasnęła, wrzasnęła w mrok makabrycznym, nie swoim głosem.

- Tandaradei!!!

* * *

Doktorka jęknęła, patrząc na ćmy tłukące o szyby obłędnym staccato.

- Przez Żelazo i Miedź - szepnęła - przez Srebro. Magna Mater, Magna Mater...

Księżyc, do połowy wysunięty zza podświetlonych chmur, roześmiał się jej prosto w twarz, skrzywiony w obelżywym, trupim grymasie.

* * *

Zanim wyczuła obecność, poczuła zapach. Zapach czarnego, porośniętego rzęsą, zgniłego, dyszącego metanem bagna. Zapach bezdennej otchłani, w której coś, co jest tajemnicą, okropnością i zgrozą, drga, pulsuje i tętni. I czeka na wezwanie.

Nie przstraszyła się. Wiedziała, że zna tego, który nadchodzi. Wiedziała, że przyjdzie na jej wezwanie, na krzyk.

Nie zlekła się, słysząc mokre, chlupiące kroki, strzykające wodą wyciskaną z gąbczastego gruntu.

Monika Szreder uniosła głowę.

- Jestem - powiedziała minnesnger.

Poczuła, jak ogarnia ją spokój. Przywracający wiarę w siebie, silny, niezwyciężony spokój, spokój, który jest chłodny i błękitny jak woda, jak płomień, jak...

- Daj rękę - powiedział minnesnger.

Jak nienawiść.

Spojrzała.

Minnesnger - wciąż nie mogła zdobyć się na to, by chociaż w myśli nazwać go jego prawdziwym imieniem - uśmiechnął się. Tak. Widziała już kiedyś taki uśmiech.

Pamiętała gdzie. Widziała taki uśmiech na ilustracji Johna Tenniela przedstawiającej Kota z Cheshire. Zaraz będę po drugiej stronie lustra, pomyślała niespodziewanie.

Oczy minnesngera, wielkie i nie zmrużone w uśmiechu, były czarne i bezdenne. W bezwargich ustach lśniły długie zęby, okrągłe, stożkowate, jak u drapieżnej ryby.

Nie czuła lęku.

- Daj rękę - powtórzył minnesnger, tchnąc na nią zapachem mokradła.

* * *

Wyciągnęła dłoń.

Tamci, w głębi ciemnego boru, w kręgu potężnych, pokrytych naroślami dębów, czekali stłoczeni dookoła płaskiego czarnego kamienia, usłanego tysiącem róż. Czekali w zupełnej ciszy, wysoko unosząc głowy, ustrojone w uszate, futrzane maski, w otworach których płonęły oblędem błyszczące oczy.

Palce minnesngera były zimne, przeszyły ją igłami palącego mrozu, wybuchły w ciele miliardem odłamków bólu. Bólu, który przyjęła z rozkoszą.

Doktorka, siedząc na krześle ustawionym pośrodku pentagramu wpisanego w koło, nakreślone kredą na podłodze, odjęła dłonie od skroni, wyrzuciła w górę ręce w gwałtownym geście. Rozpalony, huczący piec zawył, zaryczał, o szyby zadudniły chmury nocnych owadów.

- Deeeeeskaaaaath!!!

Drzwiczki pieca odskoczyły z trzaskiem, palenisko bluznęło ogniem i dymem, płonące węgle zadudniły po blasze i deskach podłogi jak kartacze, siejąc iskrami.

Z ognia wytoczył się jak kula nagi malec. Przeturlał się, przekoziółkował, stanął, zataczając się na tłustych, niepewnych nóżkach. Jego skóra pokryta była chropowatymi, szarymi śladami poparzeń. Pojedynczy kosmyk cienkich włosków na łysej głowce pełgał chwiejnym, kopcącym płomieniem.

- Deskath - powiedziała doktorka.

Malec dymił, stojąc wśród rozrzuconych na podłodze węgli.

- Deskath - powtórzyła. - Jesteś...

- Jestem - odrzekł niewyraźnie chłopczyk, ukazując bezzębne dziąsła. - Jak ci się podobało moje entre, starucho? To zawsze robi wrażenie, nieprawdaż? Ożywia pewne wspomnienia. Pamiętasz?

- Dosyc - szepnęła doktorka.

Bardzo chudy, czarno odziany młodzieniec, który raptownie pojawił się w miejscu płonącego malca, uśmiechnął się, ukazując długie, stożkowate zęby.

- Wolisz mnie w tej postaci? Proszę, jestem. No, wiédźmo, do rzeczy. Wezwałaś mnie w najmniej sposobnej po temu chwili. Przeszkodziłaś mi w czymś ogromnie ważnym. Jak mi się zdaje, już kiedyś zapowiedziałem ci, co się stanie, jeśli będziesz mi przeszkadzać. Jeśli jeszcze raz odważysz się stanąć mi na drodze.

- Zawsze będę stawać ci na drodze, Deskath.

Czarny młodzieniec przecząco pokręcił głową.

- Nie - powiedział. - Nie będziesz. Za późno. Dziś w nocy odrodzi się Płonący, w lawinie ognia, tak, jak to przed chwilą widziałas. Wszystko już jest przygotowane. Myślałaś, że tych marnych kilkudziesięciu lat wystarczy, by o mnie zapomniano? Myliłaś się. Są tacy, którzy nigdy nie zapomną. Pamięć przetrwa przez pokolenia.

Nowe roje owadów załupały o szyby, pokrywając je grubą, ruchliwą warstwą.

- Przyjdzie ci pogodzić się z tym faktem, jędzo - ciągnął młodzieniec, powolutku obchodząc krąg, wewnątrz którego siedziała doktorka. - Niczego już nie możesz zrobić. Nie pomoże ci ani twój kredowy znak, ani dyletancki przekład wiadomej księgi. Za późno.

- Nigdy nie jest za późno - powiedziała wolno doktorka. - Patrz, Deskath.

Unosząc rękę, pokazała bursztynowy amulet zwisający z łańcuszka, ciasno oplatającego kiść lewej dłoni. Oczy czarnego młodzieńca zwęziły się.

- Śmieć - powiedział. - Dlaczego nie zawieziesz tego do miasta, nie sprzedasz na pchlim targu? Może masz jeszcze krucyfiks, co? Święconą wodę? Śmieszysz mnie, wiédźmo.

- Przez Powietrze i Wodę - wyrzekła powoli doktorka. - Przez Wierzby i Oczerety. Deskath! Wracaj na dno moczaru. Wracaj w Otchłań, która cię wypluła. Zapadnij się z

powrotem w Bagno, w Bajoro, w Płoso.

- Słowa, słowa, słowa - powiedział młodzieniec. Zbliżył się do kręgu i przekroczył go, stając przed staruszką z uśmiechem. - Słowa, które straciły moc i znaczenie już dawno temu, zanim jeszcze kolej żelazna zaczęła kursować po naszej Dolinie. Nic nie zostało z twojej dawnej siły, jędo. Nie idziesz z duchem czasu.

- To ty przeceniasz swoją siłę, Deskath.

- Tak sądzisz? Zaraz zobaczymy. Nie zabiję cię, o nie. Połamię ci tylko obie ręce. W twoim wieku złamania zrastają się z trudnością. Zagipsują cię po same pachy, a gips będzie zimny, bardzo zimny. A wówczas, gdy ogarnie cię gorączka, odwiedzę cię w domu choroby. Wejdę w ciebie przez igły kroplówki, wbite w twoje zwapniałe żyły. Porozmawiamy wówczas o dawnych czasach. Pooglądamy obrazki. Weźmy się zatem do pracy. Śpieszę się. Tam, wśród olch, czeka na mnie cudowne, płowowłose stworzenie, które po nocach śpiewało mi pieśni. Nie mogę pozwolić, by czekała, to byłoby bardzo nieuprzejme.

- Jeden krok, Deskath - szepnęła doktorka - jeszcze jeden krok i Tysiąc Stopni otworzy się pod tobą.

- Za późno. Dotknęła mojej dłoni. Jest moja. Dziś w nocy odrodzi się Płonący.

- Dotknęła twojej dłoni?

- Tak - uśmiechnął się młodzieniec. - Dotknęła mojej dłoni.

- Spójrz zatem na swoją dłoń, Deskath.

Zaryczał, unosząc rękę, potrząsając bezkształtnym, broczącym kikutem, ociekającym zieloną mazią, roniącym czarnosinę, dymiące ochłapy. Długie, cienkie kości, wyłaniające się spod rozpadającej się tkanki, gięły się, rozplływały i skwierczały jak guma wrzucona do żaru. Bulgotała, wzdymała się bąblami skóra na chudym przedramieniu.

- Sam nie wiesz, czego dotknąłeś, Deskath - rzekła doktorka. - Fatalna pomyłka.

Chudy młodzieniec znikł. Nagi chłopczyk, pokryty skorupą poparzeń, zakrzyczał, zatupał bosymi nóżkami, zakiwał dymiącą główką, potrząsnął czerniejącym kikutem.

- Precz, Deskath! Na Bajora i Płosa!

Maluch zakrzyczał jeszcze głośniejszym głosem. Na paluszkach nie uszkodzonej dłoni wyrosły mu szpony, wielkie jak u kani. Widoczne w rozwartej buzi dziąsła nie były już bezzębne.

- Magna Mater! - krzyknęła doktorka. - Gladius Domini!

Węgłe na podłodze i w palenisku zasyczały jak zlane wodą, buchnęły kłębamii pary, czarnego dymu.

- Dostanę cię! Dostanę cię jeszcze! - wizgnął malec, skryty w dymie. - Słyszysz, więdźmo?

Dym rozwiął się na moment, na krótko, na tyle, by zobaczyła go w jego własnej postaci, ogromnego, zgarbionego, z krętymi rogami rzucającymi cienie na powałę.

- I ją - zahuczał z wyraźnym wysiłkiem, ledwo zrozumiałe. - Ją też dostanę...

Dosta...nę...

- Nie sędzę, żeby to było możliwe, Deskath.
- Dostaa...nę... - zabełkotał, rozwiewając się w cierpkim, gryzącym dymie, powoli wypełniającym izbę.
- Nie - szepnęła doktorka, z trudem łapiąc oddech. Serce jej łomotało, adrenalina biła w przęłyk ciężkimi falami, ćmiła oczy.
- Nie, Deskath. Jej już nie dostaniesz. Jej już nikt nie dostanie.
- Ćmy, zalepiające szyby, zakręciły się w szaleńczym wirze, zerwały się, odleciały w noc.
- Nikt - zaszłochała sucho doktorka. - Nikt jej już nie dostanie. I nikt nie powstrzyma.

* * *

Monika stała sama wśród olch, patrząc na czubki palców wyciągniętej dłoni. Patrząc, powiedziała...

Nie. To nie ona powiedziała. To powiedziało to coś, co było w niej, w środku. To coś, co było nią.

- Nareszcie. Nareszcie wolna.

* * *

Tamci, w głębi boru, zakotłowali się. Rozebrana do pasa dziewczyna zdarła z głowy groteskową maskę. Ktoś zakrzyczał, ktoś upadł, konwulsyjnie rzucając się wśród zeschłych liści. Ktoś inny odwrócił się, pomknął przed siebie w las, trzeszcząc w chruście, łamiąc gałęzie.

- Zerneck! Zerneckooooock!

Pólnaga dziewczyna zaczęła wyć, urywanie, histerycznie, strasznie.

* * *

Doktorka wciąż nie odważała się opuścić kręgu, chociaż wyraźnie czuła pełną ulgi pustkę, pulsującą w powietrzu nieobecność zła. Patrzyła na drzwi. Jestem wycieńczona, myślała, zbyt słaba, następny wysiłek mnie zabije. Jeżeli... ona...

Czarny kot wyczołgał się ostrożnie spod łóżka, przeciągnął, miauknął cicho, niepewnie. Potem usiadł, polizał łapkę, potarł nią ucho, spokojny, nieobecny.

Doktorka odetchnęła z ulgą, prawdziwą, wyczekiwaną i ostateczną.

To, co szło przez ciemny bór, uśmiechając się i szepcząc, nie kierowało się w stronę jej wzgórza.

Szło w kierunku przeciwnym.

* * *

Monika przetarła oczy wierzchem dłoni, spojrzała na palce, zazielenione od omszałego pnia olchy, o który tłukła pięściami, tam w głębi lasu. Ale teraz stała pośrodku własnego wczasowego domku, pośrodku jasnej plamy księżycowego światła wpadającego przez okno. Elka, zwana Pardwą, jej współmieszkanka, spała na swoim łóżku, na wznak, z półotwartymi ustami, pochrapując lekko. Zdążyła już wrócić do swojego łóżka.

Monika Szreder uśmiechnęła się, pełna siły i spokoju.

Spojrzała za okno, na pokraczną sosnę, gdzie w rozwidleniu gałęzi koncentryczna pajęczyna srebrzyła się kropelkami rosy.

Lekkim, niedbałym ruchem wyciągnęła rękę, kiwnęła palcem.

Wielki, opasły pajak krzyżak natychmiast wyskoczył ze zrolowanego liścia w rogu pajęczyny, błyskawicznie zjechał po nici w dół. Po krótkiej chwili pełzł już po parapecie, po firance, po podłodze. Zatrzymawszy się przy stopie Moniki zamarł, uniósł dwie przednie nogi na znak, że czeka.

Wciąż uśmiechnięta, Monika wskazała na otwarte usta Elki, zwanej Pardwą. Nie czekając, wyszła z domku. Nie musiała w tym celu otwierać drzwi.

Pajak, posłuszny rozkazowi, prędko popęzł w stronę łóżka.

* * *

Otworzył oczy, krztusząc się, przerażony koszmarem. Chciał sięgnąć ręką do ust, nie mógł. Chciał unieść głowę. Nie mógł. Był jak sparaliżowany. Czuł przenikliwy, słodki zapach kwiatów, czuł dotyk płatków, łodyżek, kolców, mokrych listków, wszędzie, na policzkach, na szyi, na ramionach.

Leżał wśród sterty kwiatów.

Monika Szreder podeszła bliżej i uśmiechnęła się. Widząc ten uśmiech, otworzył usta do wrzasku. Do wrzasku, który w swoim założeniu miał postawić na nogi cały ośrodek wczasowy, cały Tleń, a nawet i straż pożarną w odległych Laskowicach. Ale to, co wydobył z krtani, ściśniętej przez niewidzialną garotę, było tylko ledwie słyszalnym,

rozpaczliwym skrzekiem.

Monika Szreder podeszła jeszcze bliżej, stanęła nad nim, szepcząc, a w szepcie tym była tętniąca napiętność, szaleńczy, wściekły zew, przemożna siła. Zareagował, przerażony tym, że reaguje. Słyszał jej szept coraz wyraźniej.

*Gdym porą nocną
W to ustronie
Przyszła, mój miły już tam był
Tulił mnie mocno
Na swym łonie
Dotąd mam słodycz w głębi żył
Czy całował? Rozdział z chust?
Tandaradei!*

Rozbierała się powoli, nie śpiesząc się i nie przestając uśmiechać. Patrzył na nią oczami rozwartymi aż do bólu. I aż do bólu był dla niej.

Gdy go dotknęła, zatrząsł się, jak gdyby przytknięto mu do piersi rozżarzony pogrzebacz. Gdy go objęła i ścisnęła udami, miał wrażenie, że wylano na niego wiadro ciepłego tlenu. Zobaczył jej oczy tuż nad sobą.

- Patrz na czerwień moich ust.

* * *

- I co, panie doktorze?

- Masywny wylew. Poszła tętnica w mózgu. Wysilił się, Casanova jeden, ponad miarę.

- To znaczy, pan myśli, że...

- Sekcja potwierdzi. Ale z tego, co widzę, wnoszę, że była to piękna, męska śmierć. Padł w walce, na placu boju, że się tak wyrażę.

- Taki młody? On nie ma czterdziestki, na moje oko.

- Młodzi też miewają kruche tętniczki, panie Kaziku. Cóż, romantyczny był chłopak, popatrz pan tylko na te kwiaty. Co za fantazja, cholera. Nasypał kwiatów do łóżka i na tych kwiatach ją...

- Szlag by to trafił. Co ja mam teraz robić? Przecież ja ją będę musiał odnaleźć, tę babę, co z nim była. I jak? Mam chodzić i pytać?

- Po co? Od kiedy to karalne? To był wylew, mówię panu. Mogło mu się to

przydarzyć w pracy albo przy wódce.

- No, te... zeznania czy protokół jakiś trzeba by spisać. Z tego, co pan mówi, panie doktorze, wynika, że była z nim, gdy... No, wie pan.

- Jeszcze jak była. Dziwne, że sama nie dostała wtedy szoku. A zresztą, co za różnica. Idę wezwać transport, ja go wieźć nie będę. A pan szukaj sobie tej kobitki, panie Kaziku, jeśli masz pan ochotę. Choćby i po śladach.

- Po jakich śladach?

- Sherlock Holmes to pan nie jest. Popatrz pan na te kwiaty, na poduszce.

- Patrzą, no i co?

- Tu jest odciśnięty ślad głowy.

* * *

Pociąg z Czerska, jadący do Laskowic, przybył na stacyjkę punktualnie, wtoczył się na peron, ledwie przebrzmiał szalony, natarczywy dzwonek przy szlabanie. Peron był pusty, jedynie trzech wędkarzy, obarczonych torbami, plecakami i rurowatymi futerałami na wędziska, wspięło się po żelaznych stopniach do wagonu.

Rozładowali bagaż na półkach i siedzeniach, wyłuskali się z grubych kurtek, które mieli na sobie, pomimo iż ranek był ciepły i słoneczny. Jeden wydobył z kieszeni fantazyjnej kamizelki paczkę papierosów, wyciągnął ją w stronę kolegów.

Ale koledzy wędkarza siedzieli nieruchomo, wpijając oczy w płowowłosą dziewczynę, która obok, po drugiej stronie przedziału, lekko kłoniła głowę nad książką.

Wędkarz zamarł z wyciągniętą ręką. Nie mógł oderwać wzroku. Bo ta dziewczyna była... była... nieprawdopodobnie wręcz... Niewiarygodnie...

Piękna.

"W leju po bombie"

To było tak - wpadłem sobie, wczesnym rankiem, do leja po bombie. Rozglądam się i widzę - Indyk. Siedzi sobie...

Nie. Zaczniemy od samego początku. Należy wam się wstęp, początek, kilka słów wyjaśnienia, choćby z tego powodu, byście nie sądzili, że wpadanie do lejów po bombach należy do normalnych, codziennych czynności, jakie zwykłem wykonywać każdego ranka. Wiedźcie tedy, że był to absolutny przypadek. Wpadłem do leja po raz pierwszy. A mam nadzieję, że ostatni.

Tak więc, zacząć trzeba od tego, że dzień ów - a był to, moi kochani, czwartek - od samiułkiego początku zapowiadał się pechowo. Myjąc oczy zimną wodą, zawadziłem czubkiem głowy o półeczkę pod lustrem i zwałem na podłogę wszystko, co na niej stało. Tubkom, szczoteczkom, grzebieniom i kubeczkom z PCV upadek, ma się rozumieć, nie zaszkodził. Niestety, na półeczce stała też szklanka ze sztuczną szczęką ojca. Szklanka, zwyczajem szklanek, rozbiła się w drobny mak, a szczeka z siłą wodospadu smyknęła pod wannę i wpadła do studzienki ściekowej. Szczęśliwie studzienka ściekowa pełna była szlamu i włosów, szczeka ugrzęzła w tym wszystkim jak w Morzu Sargassowym i udało mi się ją wydostać, zanim odpłynęła w czeluście kanalizacji miejskiej. Oj, ulżyło mi. Ojciec bez szczęki - wyobrażacie sobie, co by było? Ojciec nie ma zębów. W ogóle. Czernobyl, rozumiecie sami.

Wypłukałem szczękę, zerkając w stronę sypialni. Wyglądało jednak, że ojciec niczego nie usłyszał. Była siódma rano, a o tak wczesnych porach ma on w zwyczaju spać słodko a twardo. Ojciec jest ausgerechnet bezrobotny, bo wylano go z roboty w Zakładach Koncentratów Spożywczych im. Księdza Skorupki, dawniej Marcelego Nowotki. Powodem zwolnienia był, jak się twierdzi, nie uregulowany stosunek do wiary i brak poszanowania dla symboli, które są święte dla wszystkich Polaków. Ale moi kolesie ze szkoły podsłuchali po domach, że tak naprawdę to powodem zwolnienia był donos. Zresztą zgodny z prawdą. Jeszcze za starego reżymu ojciec szedł kiedyś w pochodzie pierwszomajowym i na domiar złego niósł szturmówkę. Ojciec, jak się domyślacie, ma gdzieś owe zakłady, stojące na krawędzi bankructwa i na okrągło strajkujące. Powodzi nam się i tak całkiem nieźle, bo matka pracuje u Niemców, za rzeką, w Ostpreussische Anilin und Sodafabrik, fabryce wchodzącej w skład Czterech Sióstr, gdzie zarabia trzykrotnie więcej niż niegdyś ojciec u skorupkowych koncentratów.

Szybciutko zebrałem odłamki szkła i wytarłem rozlaną wodę, a potem przetarłem podłogę jeszcze raz, na mokro, aby correga tab nie przeżarła nam linoleum. Matka również niczego nie zauważyła, bo robiła sobie make-up w dużym pokoju, oglądając jednocześnie fragmenty "Dynastii", które nagrałem jej poprzedniego wieczora na video cassette. W wersji litewskiej, bo nie zdążyłem na wersję polską. Matka nie zna ani słowa po litewsku, ale twierdzi, że w przypadku "Dynastii" to nie ma znaczenia. Poza tym

wersja litewska przerywana jest reklamami tylko trzy razy i trwa zaledwie półtorej godziny.

Ubrałem się szybko, pstryknąwszy wpierw pilotem w stronę mojego osobistego Sony. MTV nadawało "Awake On The Wild Side". Ubranie wkładałem, podrygując w rytm "Tomorrow", nowego, ostro lansowanego przeboju Yvonne Jackson z albumu "Can't Stand The Rain".

- Wychodzę, mama! - wrzasnąłem, biegnąc ku drzwiom. - Wychodzę, słyszałaś?

Mama, w ogóle nie patrząc na mnie, pomachała intensywniej ręką z paznokciami pomalowanymi na purpurowo, a Jamie Lee Verger, grająca Ariel Carrington, jedną z wnuczek starego Blake'a, powiedziała coś po litewsku. Blake przewrócił oczami i powiedział: "Alexis". Wbrew pozorom nie było to po litewsku.

Wybiegłem na ulicę, w rześki, październikowy poranek. Do szkoły jest kawałek drogi. Czasu jednak miałem dość, postanowiłem zatem pokonać cały dystans lekkim biegiem. Jogging, rozumiecie? Samo zdrowie i kondycja. Tym bardziej że komunikacja miejska zbankrutowała pół roku temu.

W tym, że coś się dzieje, połapałem się natychmiast. Trudno było się nie połapać - od północnej strony miasta, od Maniówki, rozległa się nagle kanonada, a za moment coś urzęnęło z taką siłą, że zachwiał się cały dom, z brzękiem wyleciały dwie szyby w budynku Ligi Morskiej i Kolonialnej, a na fasadzie kina "Palladium" załopotwały plakaty propagandowego filmu "Litości, mamó", wyświetlanego na porankach przy niskiej frekwencji.

Kilka minut później urzęnęło ponownie, a zza dachów wyskoczyły w bojowej formacji cztery pomalowane w brązowe i zielone plamy Mi-28 "Havoc", dymiące rakietami odpalanymi spod wysięgników. Dookoła śmigłowców zamigotały pociski smugowe, wystrzeliwane z dołu.

Znowu, pomyślałem. Znowu się zaczyna.

Nie wiedziałem wówczas jeszcze, kto leje kogo i dlaczego. Ale ewentualności nie było znowu aż tak wiele. Mi-28 należały zapewne do Litwinów z dywizji "Plechavicius". Naszej armii w okolicy nie było, bo została skoncentrowana na granicy ukraińskiej. Ze Lwowa, Kijowa i Winnicy znowu wysiedlano ciupasem naszych jezuitów emisariuszy, a i w Humaniu, jak mówiono, też coś się szykowało. Oznaczałoby to, że odpór szaulisom mogła dawać Samoobrona albo Niemcy z Freikorpsu. Mogli to być też Amerykanie ze Sto Pierwszej Airborne, która stacjonowała w Gdańsku i w Knigsbergu i stamtąd latała polewać napalmem plantacje Makowego Trójkąta Biała Podlaska- -Pińsk-Kowel.

Mógł to być także zwyczajny napad na nasz lokalny Chemical Bank albo zwykłe porachunki rekieterów. Nigdy nie słyszałem, aby rekieterzy z organizacji "Nasze Dziel" dysponowali Mi-28 "Havoc", ale nie można było tego wykluczyć. W końcu przecież ktoś ukradł w Sankt Petersburgu krejser "Aurora" i odpłynął nim w priedrasswietnyj tuman. Dlaczego więc nie śmigłowiec? Śmigłowiec łatwiej zwędzić niż krążownik, no nie?

Ach, co za różnica. Wcisnąłem słuchawki w uszy i włączyłem walkmana, by posłuchać "Julie", piosenki grupy Jesus and Mary Chain z ich nowego CD, zatytułowanego "Cruising". Nastawiłem volume na full.

*Julie, your smile so warm Your cheek so soft
I feel a glow just thinking of you
The way you look tonight
Sends shivers down my spine
Julie
You're so fine
So fine...*

W bramie, którą mijałem, stał mój sąsiad i koleżka Prusak; trzymał za rękę swoją młodszą siostrę, Myszka. Przystanąłem, zdjąłem słuchawki.

- Hej, Prusak. Cześć, Myszka.

- Blierrppp - powiedziała Myszka i opluła się z lekka, bo rozeszła się jej górna warga.

- Cześć, Jarek - powiedział Prusak. - Idziesz do schuli?

- Idę. Ty nie?

- Nie. Słyszysz chyba? - Prusak wskazał ręką w stronę Maniówki i, ogólnie rzecz biorąc, północy. - Cholera wie, co z tego może być. Wojna, bracie, na całego.

- Fakt - odparłem. - Słysząc, że się gwałt gwałtem odciska. Who's fighting whom?

- Keine Ahnung. Co za różnica? Ale nie zostawię Myszkę samej, nie?

Na drugim piętrze budynku zza otwartych drzwi balkonowych słysząc było ryki, wrzaski, odgłosy razów i piskliwe zawodzenie.

- Nowakowski - wyjaśnił Prusak, podążając za moim wzrokiem - leje żonę, bo zapisała się do Świadców Jehowy.

- Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną - rzekłem kiwając głową.

- Co?

- Urpppl - powiedziała Myszka, krzywiąc buzię i mrużąc jedyne oko, co u Myszkę oznaczało uśmiech. Potargałem lekko jej włoski, rzadziutkie i jasne.

Od strony Maniówki rozległy się eksplozje i wściekłe ujadanie kaemów.

- Idę - rzekł Prusak. - Muszę jeszcze zakleić taśmą okno w kuchni, bo znowu wyleci szyba. Bye, Jarek.

- Bye. Pa, Myszka.

- Birppp - pisnęła Myszka i prysnęła śliną.

Myszka nie jest piękna. Ale wszyscy lubimy Myszkę. Ja też. Myszka ma sześć lat. Nigdy nie będzie miała szesnastu. Czernobyl, jak się słusznie domyślacie. Matka Prusaka

i Myszkii leży właśnie w szpitalu. Wszyscy jesteśmy ciekawi, co się urodzi. Bardzo jesteśmy ciekawi.

- Ty kociaro! - ryczał z góry Nowakowski. - Ty Żydówo jedna! Ja ci ze łba to pogaństwo wybiję, mało ruda!

Włączyłem walkmana i pobiegłem dalej.

Julie, Julie

There's nothing for me but to love you

Hoping it's the kind of love that never dies

I love the way you look tonight

Julie

You're so fine

You're all that really matters...

Na Nowym Rynku prawie nie było ludzi. Właściciele sklepów ryglowali drzwi, spuszczaali żelazne żaluzje i kraty. Czynny był tylko McDonald's, bo McDonald's jest eksterytorialny i nietykalny. Jak zwykle, siedzieli tam i obżerali się korespondencii różnych koncernów prasowych i ekipy telewizyjne różnych stacji. Otwarta też była księgarnia "Atena", należąca do mojego znajomego, Tomka Hodorka. Bywałem u Tomka często, kupowałem u niego spod lady różną kontrabandę, samizdaty i bezdebity, zakazane przez Kurię. Oprócz działalności księgarskiej Tomek Hodorek parał się także wydawaniem poczytnego miesięcznika "Birbant", lokalnej mutacji "Playboya".

Tomek stał właśnie przed księgarnią i zmywał rozpuszczalnikami namazane na szybie wystawowej: BĘDZIESZ WISIAŁ ŻYDZIE.

- Serwus, Tomek.

- Salve, Jarek. Come inside! Jest Mistrz i Małgorzata, wydawnictwo Siewier. I Blechtrommel Grassa.

- Mam jedno i drugie, stare wydania. Ojciec ukrył, gdy palili. Salmana Rushdiego dostałeś?

- Dostanę za dwa tygodnie. Odłożyć?

- Jasne. Cześć. Śpieszę się do szkoły.

- Ausgerechnet dzisiaj? - Tomek wskazał w kierunku Maniówki, skąd słyhać było coraz zajadlejszą wymianę ognia. - Pieprz szkołę i wracaj do domu, sonny boy. Inter arma silent Musae.

- Audaces fortuna iuvat - powiedziałem niepewnie.

- Your business. - Tomek wyjął z kieszeni czystą szmatkę, splunął na nią i przetarł szybę do blasku. - Bye.

- Bye.

Przed siedzibą Łoży Masońskiej "Gladius", obok pomnika Marii Konopnickiej, stał policyjny wóz pancerny z zamontowanym na wieżyczce M-60. Na cokole pomnika widniało namalowane czerwoną farbą: UNSERE SZKAPA, a nieco poniżej: TO SZKAPA NASZ WIESZCZ PRZECHODNIU NIE SZCZ. Obok pomnika była tablica propagandowa, a na niej, za szybą, fotografie dokumentujące dewastację grobu pisarki na cmentarzu Łyczakowskim.

Julie

You're so fine

So fine...

Poszedłem ulicą Eligiusza Niewiadomskiego, dawniej Narutowicza, przebiegłem wzdłuż muru nieczynnej fabryki włókienniczej. Do muru przymocowany był ogromny plakat, chyba dziewięć na dziewięć, przedstawiający nieboszczkę matkę Teresę. Na plakacie ktoś nasprayował wielkimi wołami: GENOWEFA PIGWA. Skręciłem w uliczkę prowadzącą ku Czarnej Hańczy.

I wpadłem prosto na białokrzyżowców.

Było ich ze dwudziestu, wszyscy ostrzyżeni na łysą pałę, w skórzanych kurtkach, oliwkowych T-shirtach, worowatych spodniach woodland camo i ciężkich paratrooperskich kamaszach. Pięciu, uzbrojonych w uzi i przemycane policyjne heckler-kochy, pilnowało motocykli. Jeden malował gwiazdę Dawida na szybie wystawowej butiku Małgośki Zamoyskiej. Inny, stojący pośrodku ulicy, trzymał na ramieniu kombajn marki Sharp i podrygiwał w rytm "Saviour", hitu grupy Megadeth z albumu "Lost in the Vagina". Piosenka i płyta były na indeksie.

Reszta białokrzyżowców zajęta była wieszaniem osobnika w liliowej koszuli. Osobnik w liliowej koszuli wył, ciskał się i szarpał związanymi z tyłu rękoma, a białokrzyżowcy tarmosili go i tłukli gdzie popadło, wlokąc w stronę kasztana, na konarze którego wisiała już elegancka pętla z telefonicznego kabla. Na trotuarze leżał wielki plastikowy wór w błękitno-czerwone pasy. Obok wora poniewierały się kolorowe bluzki, legginsy, sweterki, liczne opakowania rajstop, wideokasety i camcorder Panasonic.

No more lies, no more crap

I'm fed up

I'm sick

With your words slimy and slick

*No more!
Don't try to save me anymore
I'm not made in your likeness...*

Białokrzyżowiec z sharpem na ramieniu zrobił kilka kroków w moim kierunku, zagradzając mi drogę. Do łydki miał przypięty ciężki nóż typu Survival. Kilku z tyłu odcięło mi odwrót.

Żegnaj, Julie, pomyślałem. Żegnaj, walkmanie. Żegnajcie, miłe przednie zęby.

- Hej! - wrzasnął nagle jeden z białokrzyżowców. - Przystojniak! To ty?

Poznałem go mimo ogolonej głowy i cyrkowego przebrania. Był to Mariusz Zdun, zwany Liskiem. Syn ginekologa, jednego z bogatszych ludzi w mieście. O starym Zdunie mówiono, że był w Radzie Nadzorczej Art-B International AG i że ma udziały w Czterech Siostrach.

- Zostaw go w spokoju, Menda - powiedział Lisek do tego z sharpem. - Ja go znam, to mój druh, dobry Polak. Do budy z nim chodziłem!

Fakt to był. Lisek chodził przez jakiś czas do naszej szkoły. Dawałem mu ściągać. Bez widocznych efektów, bo Lisek słabo czytał.

Osobnik w liliowej koszuli, podniesiony za uda w kierunku stryczka, zaryczał dziko, wierzgnał, wyrwał się i upadł na trotuar. Stłoczeni dookoła białokrzyżowcy skopali go i podnieśli ponownie.

- Eeee! - wrzasnął jeden, z kołyszającym się obok uzi krucyfiksem na szyi. - Lisek! Pomógłbyś lepiej, zamiast gadać z tym dziwolągiem!

Tego też znałem. Mówiono na niego Wielki Gonzo, bo miał nos przypominający kran od zlewu i tak samo błyszczący.

- Lepiej sobie idź, Jarek. - Lisek podrapał się w ostrzyżone ciemność. - Lepiej sobie stąd idź.

*Yeah, prayers and hate
Nothing but prayers and hate
Too late
Black hounds lurking everywhere
Salivating and drooling
No more!
Don't try to save me anymore...*

Na pierwszym piętrze otworzyło się okno.

- Ciszej! - wrzasnął, wychylając się, dziadyga z błyszczącą łysiną. Nad uszami miał

dwa siwe kosmyki, nadające mu wygląd puchacza. - Cicho! Tu ludzie śpią! Co to za hałasy?

- Spierdalaj, dziadu! - ryknął Lisek, zadzierając głowę i wywijając uzi. - Już! Morda w kubeł!

- Grzeczniej, Lisek - upomniął go Wielki Gonzo, nakładając stryczek na szyję wyjącego osobnika w liliowej koszuli. - A wy, rodaku, zamknijcie okno i idźcie oglądać telewizję, jak na dobrego rodaka przystało! Bo jak nie, to pójdę tam do was na górę i urwę wam dupę, ot co.

Puchacz wychylił się mocniej z okna.

- A co wy tam wyprawiacie, chłopcy? - krzyknął. - Co wy robicie najlepszego? Co to, lincz? Jak tak można? Jak można być tak okrutnym? To nieludzkie! To nie po chrześcijańsku! Co on takiego zrobił?

- Sklepy rabował! - ryknął Wielki Gonzo. - Szabrownik, robber, job jego mać!

- Od tego jest policja! Straż Miejska albo Grenzschutz! Sprawiedliwość...

- Pomogitieeeeeee! - zawył osobnik w liliowej koszuli. - Radi Boga, pomogitieeeeeee! Spasitie mienia! Radi Boga, pomogitieeee, pan!

- Aha - rzekł Puchacz i pokiwał głową ze smutkiem. - Aha. To tak.

I zamknął okno.

- Idź sobie, Jarek - powtórzył Lisek, wycierając dłonie w plamiaste spodnie.

Pobiegłem, nie oglądając się za siebie. Od północnej strony miasta narastała kanonada. Słyszałem głucho strzały dział czołgowych.

- Neeeeeeeeet! - dobiegło z tyłu.

- Polska dla Polaków! - ryknął Wielki Gonzo. - W górę go, boys! Hang him high!

Słyszałem jeszcze, jak białokrzyżowcy zaintonowali "We Shall Overcome". Jak zwykle przy takich okazjach. Skupiłem się na moim walkmanie.

Julie, Julie

You're so fine...

Ulicą przemknął BTR, smrodząc spalinami. Na pancerzu widziałem wymalowane białą farbą: BÓG, HONOR I OJCZYŻNA. Oznaczało to, że Straż Obywatelska czuwa i że nikt nam nie zrobi nic. Teoretycznie.

Dobiegłem do skrzyżowania Urszulanek z Drzymały. Tutaj stał drugi BTR. Była też elegancka barykada z worków z piaskiem i hiszpański kozioł. Barykada i kozioł wyznaczały granicę. Znaie to: gdzie my, tam kozioł, a gdzie kozioł, tam granica. Barykady i kozła pilnował pluton ochotników. Ochotnicy, jak wszyscy ochotnicy świata, palili bez przerwy i bez przerwy klęli. Byli z Samoobrony Chłopskiej, bo na BTR-ze namalowane było: NIE TRACĆWA NADZIEI.

- Dokąd, gówniarzu? - krzyknął w moją stronę jeden z pilnujących kozła gówniarzy.

Nie uznałem za stosowne odpowiadać. Gdyby w drodze do szkoły odpowiadać wszystkim patrolom, barykadom, kozłom, sztrafom, zaporom i czek-pointom w Suwałkach, to by człowiek zachrypl na amen. Pobieglem dalej, skracając sobie drogę przez kładkę na Czarnej Hańczy.

- Wohin? - wrzasnął zza niemieckiej barykady Freikorps ubrany w kamizelkę kuloodporną, uzbrojony w M-16 z podwieszonym granatnikiem. Za opaskę hełmu miał zatknietą paczkę marlboro.

- Halt! Stehenbleiben!

Leck mich am Arsch, pomyślałem, biegnąc w stronę parku. Naszego pięknego miejskiego parku.

Nasz piękny park nosił niegdyś, jak opowiadał mi nieboszczyk dziadek, imię marszałka Piłsudskiego. Później, w czasie wojny światowej, zmieniono tę nazwę na Park Horsta Wessela. Po wojnie patronami parku zostali bohaterowie Stalingradu i byli nimi bardzo długo - do czasu, gdy marszałek Piłsudski ponownie wrócił do łask, a jego popiersie do parku. Później, gdzieś około roku 1993, nastąpiła Era Szybkich Zmian. Marszałek Piłsudski zaczął się źle kojarzyć - nosił wąsy i robił przewroty, głównie w maju, a nie były to czasy, gdy można było tolerować w parkach popiersia facetów z wąsami, lubiących podnosić zbrojną rękę na legalną władzę, niezależnie od efektu i pory roku. Park przemianowano tedy na Park Orła Białego, ale wówczas inne narodowości, których w Suwałkach było już bez liku, zaprotestowały gorąco. I czynnie. Nazwano więc park Ogrodem Ducha Świętego, ale po trzydniowym strajku banków postanowiono nazwę zmienić. Zaproponowano: Park Grunwaldzki, ale zaprotestowali Niemcy. Zaproponowano: Park Adama Mickiewicza, ale zaprotestowali Litwini, ze względu na pisownię i inskrypcję: "polski poeta" na projekcie pomnika. Zaproponowano: Park Przyjaźni, ale zaprotestowali wszyscy. W rezultacie ochrzczono park imieniem króla Jana III Sobieskiego i tak już zostało, prawdopodobnie dlatego, że odsetek Turków w Suwałkach jest znikomy, a ich lobby nie ma żadnej siły przebicia. Właściciel restauracji "Istanbul Kebab" Mustafa Baskar Yusuf Oglu mógł zaś sobie strajkować do usranej śmierci.

Młodzież suwalska nie przejmowała się tym wszystkim i po staremu mówiła "nasze parczysko" albo "nasz Lasek Kopulasek". A tym, których dziwi ta cała heca z nazwą, radzę przypomnieć sobie, ileż to krzyku było a sporów, a kłopotów, zanim wreszcie ulica Wiejska w Warszawie została ulicą Sezamkową. Pamiętacie?

Ulica Drzymały kończyła się na linii Czarnej Hańczy (dalej była to już Bismarck-Strasse), a ja powinienem skręcić za Dom Kultury, od dawna nieczynny, przebiec parkową alejką, przeciąć Adenauer-Platz i dostać się na tyły budynku szkolnego. Ale zamyśliłem się; biegnąc nie zauważyłem, że Domu Kultury już w ogóle nie ma. Dostałem się w jakąś chmurę kurzu i dymu.

I wpadłem do leja po bombie. Przez nieuwagę.

Rozglądam się i widzę - Indyk.

Siedzi sobie, skurczony, przycupnięty przy samej krawędzi leja, i nasłuchuje, jak terkoczą i buczą dwa bojowe Apache, krążące nad stadionem Ostmark Sportverein, dawniej KS "Golgota". Podpełzłem cichutko, równe łomotanie ciężkich gatlingów zagłuszyło zgrzyt żwiru.

- Cześć, Indyk! - wrzasnąłem, waląc go zniemacka w plecy.

- O Jezu! - zawył Indyk i stoczył się na dno leja.

Leżał tam sobie i dygotał, nie mówiąc ani słowa, ale patrząc na mnie z wyrzutem. Poniewczasie doszedłem do wniosku, że zachowałem się bardzo głupio, waląc go w plecy i wrzeszcząc. Wiecie, jak to jest - zaskoczony, mógł zesrać się jak nic.

Wystawiłem głowę ponad krawędź leja, ostrożnie, i rozejrzałem się po okolicy. Niedaleczko widać było przeświecający przez krzaki murek parkowego szaletu, upstrzony graffiti i śladami po kulach, jeszcze z którejś poprzedniej bitwy. Nie widziałem nikogo, ale oba Apache ostrzeliwały wschodni skraj parku, skąd coraz wyraźniej dobiegały serie broni maszynowej i głuche tapnięcia granatów ręcznych.

Indyk przestał patrzeć na mnie z wyrzutem. Nazwał mnie kilka razy dość brzydko, przypisując mi aktywny kompleks Edypa i pasywny homoseksualizm, po czym przyczołgał się i też wystawił głowę z leja.

- Co tu robisz, Indyk? - spytałem.

- Wpadłem - odpowiedział. - Z samego rana.

- Spóźnimy się do szkoły.

- Niechybnie.

- To może wyjdziemy?

- Idź pierwszy.

- Nie, ty idź pierwszy.

I wtedy się zaczęło.

Skraj parku zakwitł feerią oślepiających pomarańczowych błysków. Zanurkowaliśmy obaj na dno leja, w płataninę kabli, które wypełzły z rozwalonej centralki telefonicznej niby flaki z rozprutego brzucha. Cały park zatrzęsł się od detonacji - jednej, drugiej, trzeciej. A potem rozjazgotała się broń strzelecka, zawyły pociski i odłamki. Słyszeliśmy wrzaski atakujących.

- Lietuuuuuua!

I zaraz potem huk wybuchających handgranatów, dudnienie M-60 i szczekanie AK-74, bardzo blisko.

- Lietuuuuuua!

- To twoi - wystękałem, wciśnięty w gruz na dnie leja. - Dywizja "Plechavicius".

Twoi pobratymcy, Indyk, idą do szturm na nasz park. Uważasz, że to w porządku?

Indyk zaklął nieładnie i łypnął na mnie okiem. Zarechotałem. Cholera, minął już ponad

rok, a nie przestawała mnie śmieszyć ta zabawna historia. Zaś Indyka nie przestawała złościć.

Sprawa, widzicie, miała się następująco: jakieś dwa lata temu nazad zaczęła się moda na - jak to określano - korzenie. Znaczna część mieszkańców Suwałk i okolic, w tym i rodzina Indyka, poczuła się znienacka Litwinami z dziada pradziada - takimi, co to razem ze Świdrygiełłą chodzili na Ragnetę i Nowe Kowno i z Kiejstutem przelatywali Niemen napadać Teutony. W podaniach pisanych do Związku Patriotów Lewobrzeżnej Litwy i Żmudzi powtarzały się wzruszające enuncjacje o miłości do brzegów rzeczki Wilejki, pól malowanych zbożem rozmaitem, pałającej dziecieliny i Matki Boskiej Ostrobramskiej oraz nie mniej wzruszające pytania, czy stoi aby nadal Wielki Baublis tam, gdzie winien stać, albowiem cała rodzina uzależnia swoje dalsze szczęście od tego, czy stoi. Powód przebudzenia się patriotyzmu był prozaiczny - Litwini, w myśl ustawy o mniejszościach narodowych, mieli mnóstwo przywilejów i ulg, w tym podatkowych, i nie podpadali pod Kurie.

Bardzo wielu moich kolegów ze szkoły zostało nagle Litwinami - skutkiem, rzecz jasna, odpowiednich deklaracji i podań rodziców. Nieledwie z dnia na dzień Wochowicz zażądał, by nauczyciele nazywali go Vochaviciusem, z Maklakowskiego zrobił się rdzenny Maklakauskas, a ze Złotkowskiego stuprocentowy Goldbergis.

I tu zaczęła się wielka tragedia Indyków. Sympatyczny i smakowity ptak, który udzielił rodzinie swego miana, po litewsku nazywa się Kałakutas. Głowa rodu Indyków, zwykle flegmatyczny i poważny pan Adam, wpadł w furję, gdy oznajmiono mu, że i owszem, jego podanie o litewskość rozpatrzy się pozytywnie, ale ma od zaraz zwać się Adomasem Kałakutasem.

Pan Adam odwołał się, ale Związek Patriotów Lewobrzeżnej Litwy i Żmudzi był nieugięty i nie zgodził się na żadne trącające polskością mutacje, takie jak Indykas, Indykis czy Indykiszkis. Koncepcję, aby pan Adam uzyskał wprzód naturalizację u Amerykanów jako Turkey i dopiero później wrócił na ojczyzny łono jako Terkulis, rodzina Indyków uznała za idiotyczną, czasochłonną i kosztowną. Na zarzut zaś, że obiekcje pana Adama trącą polskim szowinizmem, bo rzeczony kutas żadnego rdzennego Litwina ani ośmiesza, ani znieważa, pan Adam uczenie i erudycko obrugał komisję, używając na przemian zwrotów: "Pocałujcie mnie w dupę" i "Papuciok szykini". Urażona do żywego komisja posłała dokumenty ad acta, a Indyka do diabła.

Takim oto sposobem nikt z rodziny Indyków nie został Litwinem. Dlatego też mój kolega Lesio Indyk chodził do tej samej szkoły i klasy co ja, a nie do puńskiego gimnazjum. Dzięki czemu siedział w tej chwili wraz ze mną w leju po bombie, miast biegać po parku z AK-74, w mundurze koloru gówna, z Pogonią na czapce i niedźwiedziem dywizji "Plechavicius" na lewym ramieniu.

- Jarek? - odezwał się Indyk, wtulony w resztki centralki telefonicznej.

- Aha?

- Jak to jest, powiedz... Ty przecież jesteś taki super duper, clever i w ogóle... Jak to jest?

Kanonada przybrała na sile, parkiem wstrząsnęły eksplozje, a na nasze głowy sypał się piach.

- Co jak jest? - spytałem.

- Tu jest Polska, nie? To dlaczego Freikorps i Litwini urządzają sobie tutaj wojnę? W samym środku miasta? Niech się, psia ich mać, leją u siebie, w Knigsbergu... Tu jest Polska!

Nie byłem pewien, czy Indyk miał słuszość.

Bo widzicie, to było tak. Krótco po podpisaniu traktatu z Bundesrepubliką i utworzeniu nowego landu ze stolicą w Allensteinie doszło do plebiscytu wśród ludności gmin Gołdap, Dubeninki, Wiżajny, Giby, Puńsk i Sejny. Wyniki plebiscytu, jak to zwykle bywa, okazały się dziwaczne i niczego nie mówiły, bo też i co najmniej osiemdziesiąt procent uprawnionych nie poszło do urn, rozumując słusznie, że lepiej pójść do knajpy. Nie było zatem wiadomym, czy i jaki odsetek ludności ma się za Wschodnich Prusaków, Północnych Polaków, Lewobrzeżnych Żmudzinów czy innych Jaćwingów. Tak czy inaczej, w niecały miesiąc po plebiscycie granicę przekroczył litewski korpus w składzie dwóch dywizji: regularnej "Gedyminas" i ochotniczej "Plechavicius". Korpusem dowodził generał Stasys Zeligauskas. Litwini zajęli niezdecydowane gminy prawie bez oporu, bo większa część naszej armii była właśnie w Iraku, gdzie spłacała polski dług wobec Wolnego Świata. Mniejsza część naszej armii też była zajęta, bo dokonywała demonstracji siły na Śląsku Cieszyńskim.

Korpus Zeligauskasa szybko opanował Sejny, ale Suwałk nie zajął, bo powstrzymały go jednostki Grenzschtzu i Sto Pierwsza Airborne z Gdańska. Ani Niemcy, ani Amerykanie nie życzyli sobie szaulisów w Prusach Wschodnich. Rząd polski zareagował serią not i wystosował oficjalny protest do ONZ, na co rząd litewski odpowiedział, że o niczym nie wie. Zeligauskas - oświadczył litewski ambasador - działa bez rozkazu i na własną rękę, bo cała rodzina Zeligauskasów to z dziada pradziada zapalczywcy i gorące głowy, nie znające pojęcia "subordynacja".

Wprawdzie Niemcy, Amerykanie i zmobilizowane pospiesznie jednostki Samoobrony wyparły po pewnym czasie szaulisów za linię Czarnej Hańczy, jednak konflikty zbrojne nie ustawały. Generał Zeligauskas ani myślał wycofać się za linię Curzona i odgrażał się, że wygoni Niemców z Suwalszczyzny, bo Polaków to on może i będzie tolerował, ponieważ to nic innego jak spolszczeni autochtoni, ale Germanów to on nie cierpi i nie zniesie. Oczywiście, Zeligauskas nie używał niepopularnego na Litwie określenia "Suwalszczyzna". Po litewsku mówiło się "Lewobrzeżna Żmudź". Chodziło, rzecz jasna, o lewy brzeg rzeki Nemynas, dawniej Nieman, a jeszcze dawniej Niemen.

Senat Rzeczypospolitej nie podjął w sprawie suwalskiej awantury żadnych ustaleń. Dyskutowano, czy nie sięgnąć do doświadczeń naszej przebogatej historii, która wszak

lubi się powtarzać, ale nie osiągnięto zgodności, do czego sięgnąć. Niektórzy senatorowie optowali za nową unią lubelską, inni - jak zwykle - woleli nowy pogrom kielecki.

Strzelanina oddaliła się nieco, natarcie szaulisów przesunęło się widać na zachód. Pchani ciekawością, znów podpełzliśmy do skraju leja. Spojrzałem w stronę śródmieścia, na zasnutą dymami wieżę kościoła świętego Aleksandra. Niestety, nic nie wskazywało, by ksiądz Kociuba zamierzał spełnić swoją groźbę. Ksiądz Kociuba przed miesiącem sprowadził ze Szwajcarii czterolufowy flakvierling Oerlikon, zamontował go na dzwonnicy i zapowiedział, że jeżeli jakakolwiek armia lub organizacja paramilitarna wkroczy jeszcze raz na teren plebanii lub na cmentarz, to on zrobi im za pomocą flakvierlinga takie wash and go, że będą go pamiętali po dzień Sądu Ostatecznego.

Cóż, księżulo straszył tylko. Jak zwykle. Ojciec ma rację twierdząc, że religia to opium dla mas.

Pomalowany w ciapki Mi-28 "Havoc" zatoczył koło nad parkiem i ostrzelał okolicę z dwóch ciężkich PKS, zamontowanych w otwartych drzwiach. Strzelcy wychylali się odważnie - tylko czekałem, aż któryś wypadnie i zawisnie na topolach. W zachodni skraj zarośli biły pociski moździerzowe. Schowałem głowę, bo powietrze dookoła aż wyło od odłamków. Ale zdążyłem jeszcze zobaczyć szaulisów, wiejących pod ogniem w stronę zabudowań ulicy Sakramentów, dawniej Wolności. Mi-28 zatoczył jeszcze koło i odleciał.

- Zdaje się - powiedziałem, zsuwając się niżej - że war is over. Farewell to arms. Im Westen nichts Neues. Freikorps złożył twoim rodakom dupę. Wy proigrali, uważajemy gospodin Kałakutas.

- Przestałbyś, Jarek - sapnął złowrogo Indyk. - A tak w ogóle, to miałeś mi wytłumaczyć. Wiesz co.

Otworzyłem usta, by powiedzieć coś mądrego, coś, co byłoby godne mojej inteligencji, mojego IQ, wynoszącego w porywach do 180. Wspominałem wam o moim IQ? Nie? Może i dobrze, że nie. Matka się wścieka, gdy chwale się moim IQ. Bo wieść niesie, że szkolny psycholog, gdy zobaczył wyniki testów, użył określenia "czernobylskie mutanty". To się rozeszło, doszło nawet do katechetki. Katechetka była bardziej szczerą - użyła określenia "diabelski pomiot". I naraz w mieście przestano nas lubić.

Nie zdążyłem powiedzieć niczego mądrego. Nagle coś pierdolnęło, straszliwie pierdolnęło, ziemia się zatrzęsa i wydało mi się, że druty zbrojeniowe, z tejże ziemi sterczące, zwinęły się jak dżdżownice. W powietrzu zaśmierdziało moczem, gównem i kordytem, a na nasze głowy posypał się grad odłamków betonu, żwiru, piachu i różnych innych elementów.

- O, Jezu! - stęknął Indyk, gdy jeden ze wzmiankowanych elementów uderzył go w krzyże. - O, Jezu, Jarek, popatrz tylko... Popatrz tylko na to...

Popatrzyłem. I zachichotałem nerwowo.

To, co spadło na Indyka, to była deska klozetowa. Najnormalniejsza w świecie deska klozetowa z masy plastycznej, ozdobiona dużymi, wyskrobanymi scyzorykiem inicjałami "R.Z." i kilkoma bliznami po odgaszanych papierosach.

Tak, kochani, są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się filozofom.

- Jarek... - Indyk trącił mnie nagle w bok. - Słyszysz? Ktoś płacze.

Nadstawiłem uszu. Nie, nie mylił się mój bystrouchy kolega. Ktoś płakał, ten płacz przebijał się przez eksplozje i kanonadę, był cichszy, ale inny, tak bardzo różniący się od huków i wrzasków.

Wysadziłem znowu głowę z leja i rozejrzałem się, tym razem dokładniej. W najbliższej okolicy nie widziałem żadnego wojska. Wszędzie dookoła snuł się przy ziemi ciężki, śmierdzący dym. Dym zalegał też Bismarck-Strasse - na odcinku, który widać było zza drzew. Stała tam, kopiąc niby beczka smoły, rozwalona ciężarówka.

Płacz - jak ustaliłem - dobiegał od strony parkowego szaletu. Eksplozja, którą słyszeliśmy przed chwilą, znalazła swoje wyjaśnienie; również fenomen latającej deski klozetowej okazał się, jak większość fenomenów, zjawiskiem banalnym i naturalnym. Po prostu, któryś z wycofujących się szaulisów z dywizji "Plechavicius" wziął ukryty w krzakach szalet za umocniony punkt ogniowy i odpalił w niego kumulacyjny pocisk z RPG-9. Pocisk potężnie naruszył konstrukcję i urwał drzwi, ozdobione internacjonalnym symbolem stojącej na baczność kobitki w spódnicy. Podmuchał wykorzenił lub zdefoliował otaczające szalet krzewy i odsłonił napisy oraz graffiti na resztkach budowli. A za resztkami budowli ktoś płakał - wyraźnie i żałośnie.

- Co robimy? - spytałem.

Indyk zastanowił się. Wiedziałem, nad czym, bo i ja zastanawiałem się nad tym samym. Nad lejem wciąż śpiewały kule. AK-74, sturmgewehry, M-16 i galile, z których owe kule wystrzeliwano, znajdowały się dosyć daleko, co oznaczało, że kule są już powolne i nie mają siły, by przebić udo, ramię, biodro czy brzuch czyściutką, małą dziurką. Wiedzieliśmy, że powolna kula może chlapnąć w ciało jak pecyna miękkiej gliny, może zrobić w miejscu uderzenia ohydny miazgę z krwi, mięsa i kłaków ubrania i zostać w ciele albo - co gorsza - wyjść z drugiej strony, ale zabierając ze sobą bardzo dużo tego, co człowiek ma w środku.

Było zatem, jak widzicie, nad czym się zastanawiać.

Zastanawiając się, czytałem napisy na murze szaletu. W sytuacjach stresowych nie ma nic lepszego niż lektura, powiadam wam. Books, jak mówią w MTV, feed your head.

Na odsłoniętej przez podmuch ścianie szaletu pstrzyły się gryzmoły, przedstawiające fallusy w stanie wzwodu, kotwice, szubienice i tryzuby. Widniał tam też, wymalowany czarną farbą, napis: BAYERN PANY, FC KÖLN DZIADY, A ŁKS JUDE.

Nieco poniżej ktoś napisał kredą, ukośnie, ładnym, płynnym, choć rozchwianym pismem, bez stosowania dużych liter i urągając zasadom interpunkcji: "palimy żydów szykuj ogień za jesus a bóg na złość diabeł błąd w pacierzu grzech syjoński".

Pod spodem ktoś skomentował, niebieskim aerozolem: MESZUGENE GOJ.
A jeszcze niżej, cyrylicą: JEBI TWOJU MAMU JEWRIEJ.
Obok widniał dowcipny czterowiersz:

*Czy to w zimie
czy to w lecie
poznasz kurwę
po berecie.*

Dalej zaś figurowało nagryzmolone w pośpiechu, kawałkiem cegły, tryskające żądzą i rozpaczą wyznanie: I REALLY WANNA FUCK YOU AL. Resztę imienia obiektu dzikich pragnień poliglotty urwał pocisk z RPG-9. Cóż, mogła to być Alice, mógł to być Albin. Guzik mnie to, w gruncie rzeczy, obchodziło. Dla mnie mógł to równie dobrze być Almanzor z garstką rycerzy.

Pod anglosaskim wyznaniem dostrzegłem rdzennie polski ideogram, przedstawiający schematycznie kobiecy organ rodny. Artysta, już to świadom niskiej wartości obrazu, już to wątpiąc w inteligencję odbiorcy, zabezpieczył się przed mylnym odczytaniem dzieła, opatrując je stosownym podpisem i wcale przy tym nie wysilił się na wersję obcojęzyczną.

- Co robimy? - powtórzył Indyk, a kulki gwizdały aż miło, tymczasem ów ktoś za szaletem płakał coraz żałośniej.

- Możemy oberwać - powiedziałem przez zaciśnięte zęby. - Możemy, możemy, możemy.

- Więc co robimy?

Pomyślałem. Przez chwilę.

- Idziemy. Szybko, Indyk, krótkimi skokami!

I wyskoczyliśmy z leja, i pobiegliśmy, i walnęliśmy o zrytą odłamkami ziemię, zerwaliśmy się i pobiegliśmy znowu. Mogliśmy oberwać. Ale tak było trzeba. Czy wy, pytam was, siedzielibyście w leju po bombie, słysząc czyjś płacz? Nie siedzielibyście. To co się, kurwa, dziwicie nam?

Dopadliśmy szaletu i zobaczyliśmy beksę. Oj, kiepsko wyglądała. Oj, widać było, że ta kotka nie zawsze jadła whiskas.

- Analiza! - sapnął Indyk, łapiąc powietrze. - Co ty tu...

- Nie stój! - wrzasnąłem. - Bierz ją i do leja! Biegiem!

Udało się. Nie oberwaliśmy. Kulki gwizdzące nad parkiem miały widać co innego do roboty. Dopadliśmy naszego leja i stoczyliśmy się na same dno, przy czym ja rozwalilem sobie łokieć o złomek betonu i zostałem tego dnia za Rambo First Blood.

- Analiza - wydyszałem. - Co ty tu robisz? Holy shit, dziewczyno! Skąd się tu

wzięłaś?

Analiza usiadła, wcisnęła głowę między podrapane kolana, zebrała wokół tyłka resztki kiecki i rozryczała się na full volume.

Indyk splunął na ziemię i przycupnął na zdobycznej desce klozetowej. Ja też splunąłem, ale na znaleziony na dnie leja kawałek gazety. Po jednej stronie papieru wydrukowane było: ADAL STRAJKUJE FA, a po drugiej: UJ SOBIE ODROBINĘ LU. Zafundowałem sobie tedy odrobinę luksusu i przylepiłem opluty papier do krwawiącego łokcia - LU do spodu, FA do góry. Analiza ryczała dalej.

- No, Ania - powiedziałem. - Przestań. Już dobrze. Nie bój się, nie zostawimy cię samej. Jak się skończy ta rozpierducha, odprowadzimy cię do domu.

Analiza załkała jeszcze głośniejsze. Pokiwałem głową ze smutkiem.

Analiza, jak i my wszyscy, była typowym dzieckiem epoki. Jej mama, której nie znałem, pochodziła z Płocka, skąd uciekła przez zieloną granicę do Bundesrepublik. Była wówczas we wczesnej, nie chcianej ciąży z Analizą i w życiu nie dostałaby paszportu ani zaświadczenia z Kurii. Wylądowała w Schneidemühl, dawniej Piła. Tu, gorączkowo poszukując lekarza abtreibera, zawarła znajomość z pewnym niemieckim inżynierem; ruck-zuck zakochali się, pobrali i postanowili jednakowoż mieć córeczkę. Inżynier wkrótce potem dostał arbeit w Ostpreussen, a następnie przeprowadził się do Suwałk i zatrudnił w naszym Holzkombinacie. Był to dziwny facet, ten inżynier, zakochany we wszystkim, co polskie; podobno występował nawet o polskie obywatelstwo, ale nie dostał, bo był ewangelikiem. Uważał Polskę za naród wybrany, za kraj i lud o Wielkiej Misji Dziejowej i w ogóle noch ist Polen nicht verloren, hurra. Normalnego miał, powiadam wam, zajoba na tym punkcie. Dlatego też po przeprowadzeniu się do Suwałk posłał córkę do polskiej szkoły. Ausgerechnet do naszej szkoły, do gimnazjum Świętego Ducha. Oczywiście córka nominalnie była katoliczką. Ciągle nazywała się Anneliese Budischewsky, ale wszyscy mówili na nią Analiza. Matka Analizy, której nie znałem, zmarła w 1996 podczas epidemii cholery, zawleczonej przez Rumunów. Pamiętacie, zmarło wtedy coś około sześćdziesięciu tysięcy ludzi, na tę cholere, którą nazywano "Ceaurescu" albo "Dracul". Tych, którzy wtedy zachorowali i przeżyli, nazywano zaś dowcipnie "dupa boli", co oznacza po rumuńsku "po chorobie"; od tamtej pory stało się to popularnym określeniem rekonwalescenta.

Obok leja z hukiem rozerwał się pocisk moździerzowy. Analiza zapiszczała i mocno przyłgnęła do mnie, a przy tym tak wczepiła się w moje ramiona, że nie mogłem strzepnąć ziemi, która poleciała mi na głowę.

- No już, już dobrze, Ania - powiedziałem, zgrzytając piaskiem w zębach. Analiza chlipała cicho.

Indyk, założywszy na uszy słuchawki od mojego walkmana, dał nura pomiędzy różnokolorowe spaghetti kabli z rozwalonej centrali telefonicznej. Wysunąwszy lekko język, grzebał tam, targał przewody i dźgał złącza wyciągniętym z kieszeni śrubokrętem.

Indyk pasjonuje się elektrotechniką, to jego hobby. Zdradza do tych rzeczy nieprawdopodobny i samorodny talent. Wszystko potrafi naprawić i zmontować. Ma w domu krótkofalówkę i samodzielnie skonstruowane stereo. Wielokrotnie naprawiał i udoskonaliał mojego sony i mojego kenwooda. Indyk, myślę, umiałby wkręcić żarówkę w piasek tak, by zaświeciła. Nie mogę wyjść z podziwu - sam jestem w technice kompletny jełop, nie potrafię nawet naprawić bezpieczników drutem. Dlatego też mamy z Indykiem spółkę - on podpowiada mi na matmie i fizyce, a ja jemu na polskim i historii. Taka mała Samopomoc Chłopska, Consulting Company Limited.

Park znowu trząsł się od eksplozji, Freikorps zwałił na linie Litwinów wszystko, co miał - mózdzierze, działa bezodrzutowe, rakiety. Szalet, trafiany co i rusz, bardzo zmałał. Dym płożył się po ziemi, wpływał do naszego leja, dusił.

- Analiza?

- Aha?

- Byłaś w parku, gdy to się zaczęło?

- Nie - pociągnęła nosem. - Szłam do szkoły i... złapali mnie... I zaciągnęli do parku... w krzaki...

- Już, już, Ania. Już dobrze. Nie płacz. Teraz jesteś bezpieczna.

Guzik prawda.

Od zachodniej strony parku zajazgotały kaemy, huknęły granaty. Z obu stron rozległy się bojowe wrzaski.

- Vorwärts!!! Gott mit uns!!!

- Lietuuuuva!!!

Tego jeszcze brakowało. Obie wojujące strony wpadły na ten sam pomysł, a tym pomysłem było natarcie. Co gorzej, jakiś domorosły Guderian z Freikorpsu postanowił poprowadzić swój blitzkrieg prosto na nasz lej, by uderzyć na szaulisów z flanki.

Przywarliśmy do ziemi, wciskając się jak robaki pomiędzy bryły i druty zbrojeniowe.

- Feuer frei! - rozdarł się ktoś przy samym leju. - Verdammt noch Mal, Feuer frei! Schiess doch, du Hurensohn!

Dalsze ryki przygłuszyła wściekła seria z M-60 - tak blisko, że słyszałem, jak łuski gradem sypią się na beton. Ktoś wrzasnął, wrzasnął okropnie. Tylko raz - i natychmiast ucichł. Buty zgrzytały po żwirze, grzmiała kanonada.

- Zurück! - krzyczał ktoś z góry, z głębi parku - Beeilung, Beeilung! Zurück!

- Lietuuuuva!

No jasne, pomyślałem. Zeligauskas kontratakuję. Też prosto na nasz lej, motherfucker jeden.

Z okolic leja zaszczekały AK-74, inne niż M-16 Freikorpsu, bardziej tępe, głośniejsze, a na nie natychmiast nałożył się huk wybuchających granatów i rwące uszy eksplozje min mózdzierzowych.

- O Jezuuuuuu! - zawył potępieńczo ktoś przy samej krawędzi leja.

Analiza, leżąc tuż obok mnie, dygotała skulona; trzęsła się tak potwornie, że musiałem siłą przyciskać ją do ziemi, inaczej ten dygot uniósłby ją chyba do góry.

- O Je... zuuuu! - powtórzył ktoś obok, runął ciężko na skraj leja i sturlał się prosto na nas. Analiza wrzasnęła. Ja nie wrzasnąłem, bo mi głos odjęło ze strachu.

Był to szaulis, bez czapki; jasne jak słoma włosy miał zlepione krwią. Krew wypełniała mu też lewy oczodół i zalewała całą szyję. Wyglądało to tak, jak gdyby pod mundurem miał karminowy T-shirt. Leżał na dnie leja, zwinięty, kopał gruz krótkimi uderzeniami butów, potem przewrócił się na bok i zawył, zastękał i otworzył oko. I spojrzał na mnie. I wrzasnął, dławiąc się krwią. Gdy zacisnął powieki, cała twarz aż mu się zatrzęsła.

Nie wiem, czy wspomniałem wam o tym. Nie jestem piękny. Czernobyl, rozumiecie. Zmiany genetyczne.

Nic na to nie poradzę. Nic.

Zmiany genetyczne.

Szaulis otworzył oko i spojrzał na mnie po raz wtóry. Spokojniej. Uśmiechnąłem się. Przez łzy. Szaulis też się uśmiechnął. Chciałem wierzyć, że to był uśmiech. Ale nie wierzyłem.

- Chcę... pić... - powiedział wyraźnie. Po polsku.

Spojrzałem rozpaczliwie na Indyka, a Indyk równie rozpaczliwie spojrzał na mnie. Obaj absolutnie rozpaczliwie spojrzeliśmy na Analizę. Analiza bezradnie wzruszyła szczupłutkimi ramionami, a broda trzęsła się jej paskudnie.

Blisko naszego leja z hukiem rozerwał się handgranat, zasypując nas żwirem. Usłyszeliśmy przejmujący wrzask, a zaraz potem ostrą serię z ingrama. Ingramy są wysoce szybkostrzelne i seria ta zabrzmiała tak, jak gdyby ktoś gwałtownie rozdarł na pół gigantyczne prześcieradło. Tuż nad nami coś zakotłowało się, wrzasnęło: "Scheisse!" i stoczyło się na nas.

Przypadliśmy znowu do ziemi.

Tym, co stoczyło się na nas, był ochotnik z Freikorpsu, ubrany w plamiasty kombinezon, malowniczy, ale absolutnie bezsensowny w walkach w mieście. Cały przód kombinezonu, od wiszącego na szyi walkie-talkie po udekorowany futerałami pas, był ciemnoczerwony od krwi. Ochotnik sturlał się na dno leja, jakoś tak dziwnie się wyprężył i wypuścił powietrze, przy czym większość powietrza uszła, bulgocąc, przez dziury, które miał w piersi.

- Pić - powtórzył szaulis. - O, Jezu... Pić... Wodyyyy!

- Wasser - zbulgotał ochotnik, bardzo niewyraźnie, bo usta miał pełne krwi i żwiru. - Wasser... Bitte... Hil... fe, bitte... Hilfeeee!

Analiza pierwsza dostrzegła charakterystyczny kształt wydymający chlebak ochotnika. Sięgnęła tam, rozrywając rzepy zapięcia, i wydostała butelkę coca-coli. Indyk wziął ją i zręcznie zerwał kapsel o wystający z ziemi kawałek drutu zbrojeniowego.

- Jak myślisz, Jarek? Można im dać?

- Nie można - powiedziałem, a z moim głosem działo się coś dziwnego. - Ale trzeba. Trzeba, kurwa.

Najpierw daliśmy szaulisowi - w końcu jakaś kolejność obowiązywała, a on wpadł do naszego leja pierwszy. Potem, wytarłszy mu wpierw usta chusteczką, daliśmy się napić ochotnikowi z Freikorpsu. A później oczyściliśmy z krwi szyjkę butelki i wypiliśmy po maleńkim łyku my - Analiza, Indyk i ja.

Dookoła na moment prawie ucichło; pykały pojedyncze strzały, łomotał równo M-60 od strony stadionu. Ochotnik z Freikorpsu wyprężył się nagle - tak gwałtownie, że z trzaskiem puściły zapięcia Velcro na jego kombinezonie.

- O... Jezu... - powiedział nagle szaulis i umarł.

- You... can't beat the feeling... - jęknął ochotnik, po czym spienił się na piersi krwią i coca-colą.

I umarł również.

Analiza usiadła na dnie leja, objęła kolana rękami i rozryczała się. I prawidłowo. Ktoś, do cholery, musiał pożałować obu wojowników. Należało im się to. Należało im się chociaż takie requiem - szloch małej Analizy, jej łzy jak grochy toczące się po brudnej buzi. Należało im się to.

A my z Indykiem przepatrzyliśmy im kieszenie. Tak też trzeba było, tego uczą nas na lekcjach przetrwania.

Zgodnie z tym, czego nas uczono, nie tknęliśmy broni - szaulis miał granaty, a Freikorps berettę i kampfmesser. Indyk wziął natomiast walkie-talkie i natychmiast zaczął nim kręcić.

Zajrzałem do kieszeni kombinezonu ochotnika i znalazłem pół tabliczki czekolady. Na tabliczce napisane było: "Milka Poland, dawniej E. Wedel". Wytarłem tabliczkę i dałem Analizie. Wzięła, ale nie poruszyła się - siedziała dalej, skurczona, smarczając i tępo patrząc przed siebie. Zajrzałem do kieszeni szaulisa, bo na widok czekolady aż mi się dziwnie zrobiło w ustach i w żołądku. Szczerze mówiąc, najchętniej zeżarłbym sam całe te pół tabliczki. Ale tak nie wolno, no nie? Jeśli jest w kompanii dziewczyna, trzeba o nią dbać w pierwszej kolejności, trzeba ją hołubić, ochraniać, trzeba ją karmić. To przecież jasne. To przecież takie... takie...

Ludzkie.

No nie?

Szaulis nie miał czekolady.

W kieszeni munduru miał za to złożony na czworo list. Koperta też była obok, bez znaczka, ale zaadresowana, a jakże, do Polski, do Krakowa. Do kogoś, kto nazywał się Maryla Wojnarowska.

Zerknąłem na moment do listu. Bo szaulis nie żył, a przecież go nie wysłał. Zerknąłem tam na moment. "Śniłaś mi się". Tak pisał szaulis. "To był bardzo krótki sen. Sen, w

którym stoję obok Ciebie i dotykam Twojej ręki, a Twoja ręka jest taka ciepła, Marylu, taka miękka i ciepła, i wówczas, w moim śnie, pomyślałem, że kocham Cię, Marylu, bo przecież ja Cię kocham..."

Nie czytałem dalej. Nie czułem jakoś potrzeby poznania dalszego ciągu, którego zresztą nie było wiele - tylko do końca strony, do podpisu: "Witek". Witek, nie Vytautas.

Włożyłem list do koperty i schowałem do kieszeni. Pomyślałem, że może wyślę ten list, wyślę go do Maryli Wojnarowskiej, do Krakowa. Wykosztuję się na znaczek za złotówkę i wyślę ten list. Kto wie, może dojdzie do Maryli Wojnarowskiej. Kto wie. Może dojdzie. Chociaż podobno sporo listów ginie na granicy podczas kontroli wagonów pocztowych.

Indyk, siedząc wśród kabli niczym kormoran w gnieździe, kręcił przy walkie-talkie, z którego dobiegały gwizdy, trzaski i strzępki rozmów.

- Zostawiłbyś to - powiedziałem, robiąc się zły.

- Cicho - rzekł Indyk, przyciskając słuchawki od walkmana do uszu. - Nie przeszkadzaj. Łapię częstotliwość.

- A na cholerę - nie wytrzymałem - łapiesz częstotliwość? Za dupę się złap, jeśli już musisz coś łapać, kretynie ty. Piszczysz, kurwa, i piszczysz, jeszcze ktoś usłyszy i wrzuci nam tu granat!

Indyk nie odpowiedział; schylony, nadal motał kable w centralce telefonicznej. Nad lejem bzykały kule.

Analiza popłakiwała. Usiadłem obok i objąłem ją. Tak trzeba, prawda? Takie to małe i bezbronne, w takim parszywym leju, w zasranym Parku Króla Sobieskiego, gdzie dookoła trwa zaszracona wojna.

- Jarek? - Analiza pociągnęła nosem.

- Co?

- Nie mam majtek.

- Co?

- Nie mam majtek. Ojciec mnie zabije, gdy wrócę bez majtek.

Ha, to nie było wykluczone. Inżynier Budischewsky słynął z żelaznej ręki i żelaznej moralności. Miał na tym punkcie zwykłego zajoba - zdaje się, że już wam o tym wspominałem. Oczyma duszy zobaczyłem Analizę na fotelu aeroplanie u doktora Zduna, mającego wystawić zaświadczenie o niepokalaniu. Doktor Zdun, który od jakiegoś czasu nie zarabiał już na tym co dawniej, odbijał sobie na zaświadczeniach, bo bez takiego zaświadczenia były trudności ze ślubem kościelnym, a jeśli dziewczyna była niepełnoletnia, mogła wylądować w domu poprawczym w Waplewie. Lewe zaświadczenie, jak wiedziałem, kosztowało sześć tysięcy złotych. Majątek.

- Ania?

- Aha?

- Zrobili ci coś? Przepraszam, że pytam, wiem, że gównu mi do tego, ale...

- Nie. Niczego mi nie zrobili. Ściągnęli mi majtki i... dotykali mnie. Nic więcej. Oni się bali, Jarek... Dotykali mnie i ciągle się rozglądali, i nie odkładali tych karabinów...

- Cicho, Ania, cicho.

- ...śmierdzieli tym strachem, potem, dymem, śmierdzieli tym, co śmierdzi tu, w tym dole, tym, co zostaje po wybuchu... I tym, czym śmierdzą mundury, wiesz, czymś takim, od czego łzawią oczy. Nie zapomnę tego... to mi się będzie po nocach śniło...

- Cicho, Ania.

- Ale nic mi nie zrobili - szepnęła. - Nic. Jeden chciał... Cały się trząsał... Uderzył mnie. W twarz mnie uderzył. Ale zostawili mnie i uciekli... Jarek... To już nie są ludzie... Już nie.

- To ludzie, Ania - powiedziałem z przekonaniem, dotykając listu szeleszczącego w mojej kieszeni.

- Jarek?

- Co?

- Powiedzieć księdzu? O tym, co mi zrobili?

Dziewczyna była zaiste niedzisiejsza. Ewangelicko-neofickie wpływy inżyniera Budischewsky'ego zupełnie zabiły w niej instynkt samozachowawczy.

- Nie, Ania. Nic nie mów księdzu.

- Nawet na spowiedzi?

- Nawet. Analiza, co ty, spałaś na religii czy jak? Spowiadać się trzeba z grzechów. Jeśli coś ukradniesz albo będziesz wymawiać imię nadaremno. Jeśli nie będziesz czcić ojca swego. Ale nie jest napisane, że trzeba się spowiadać, jeśli ktoś ściągnie ci przemocą majtki.

- Eee - powiedziała niepewnie Analiza. - A grzech nieczystości? Co ty się na tym znasz? Ksiądz mówi, że ty i twój ojciec jesteście ateusze głusi i ślepi czy jakoś tak... Że ty nie jesteś... Jak to się mówi? Aha, że nie jesteś na podobieństwo. Nie, muszę się wyspowiadać... A ojciec mnie zabije...

Analiza opuściła głowę i znowu zaczęła szlochać. Cóż, nie było wyjścia. Pokonałem w sobie słuszny gniew na księdza Kociubę. Mężczyzna, który siedzi razem z kobietą w leju po bombie, musi się nią opiekować. Uspokajać ją. Dać poczucie bezpieczeństwa. Prawda? Mam rację czy nie?

- Analiza - powiedziałem szorstko. - Ksiądz Kociuba jest bałwan i pieprzy farmazony. Zaraz ci udowodnię, że znam się na katechizmie i Piśmie. Albowiem napisane jest w... liście Ambrożego do Efezjan...

Analiza przestała płakać i patrzyła na mnie z otwartymi ustami. Nie było wyjścia. Jechałem dalej Ambrożym.

- Napisane jest - trulem, robiąc mądrą minę - że przyszli kaduceusze...

- Chyba saduceusze?

- Nie przeszkadzaj. Przyszli, jak mówię, saduceusze i ci... no... celnicy do Ambrożego

i rzekli: "Zaprawdę, święty mężu, czy popełniła grzech Żydówka, której rzymscy legioniści ściągnęli przemocą majtki?" A Ambroży narysował na piasku kółko i krzyżyk...

- Co?

- Nie przerywaj. I rzekł święty: "Cóż oto widzicie?" "Zaprawdę to widzimy kółko i krzyżyk" - odrzekli celnicy. "Tak tedy zaprawdę powiadam wam - rzekł Ambroży - oto dowód, że nie popełniła grzechu owa niewiasta i lepiej idźcie sobie do domów waszych, celnicy, bo nie jesteście wszak bez winy i nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni. Idźcie sobie, albowiem zaprawdę powiadam wam - zaraz wezmę kamień i rzucę w was tym kamieniem". I odeszli celnicy z wielkim wstydem, albowiem zbłądzili, oczerniając ową niewiastę. Zrozumiałaś, Anka?

Analiza przestała ryczeć i przytuliła się do mnie. Dzięki ci, święty Ambroży - pomyślałem.

- A teraz - wstałem, rozpiąłem spodnie i wymaszerowałem z nich - ściągaj tę podartą kieckę i zakładaj moje le. Guzik twój ojciec wie, co miałaś na sobie wychodząc z domu. No już.

Odwróciłem się.

- A o tamtym - dodałem - zapomnij. Nic takiego się nie zdarzyło, rozumiesz? To był sen, Analiza. To wszystko jest sen, zły sen, ten park, ta wojna, ten lej, ten smród i ten dym. I te trupy. Rozumiesz?

Analiza nie odpowiedziała, przytuliła się tylko do mnie mocno. Indyk przyglądał się nam przez chwilę z dziwną miną, potem wrócił do swoich kabli i złączy. Właśnie wyregulował walkie-talkie, tak że słyszać było ożywiony dialog, przerywany pyknięciami overu, brzmiącymi tak, jak gdyby rozmówcy kończyli każdą kwestię wypinając się na mikrofony i puszczając baki.

Ściągnąłem, pokonując wstręt, stosunkowo mało zakrwawione spodnie z szaulisa i ubrałem się w nie. Opadały ze mnie, usiadłem więc i zacząłem regulować parciany pas. Indyk zostawił w spokoju radiostację, wydobył z przepastnych kieszeni swojej kurtki małe radyjko i dziwnie wyglądające urządzenie. Włączył radyjko - rozległa się muzyka kościelna, co oznaczało, że to jakaś polska stacja. Nie protestowałem. Muzyka nie była głośna, a z najbliższej okolicy od pewnego czasu nie słyszało się już strzałów ani krzyków.

Analiza, kucnąwszy, wycierała chusteczką twarz i ręce. Indyk przymocował dziwne urządzenie do sterczących z ziemi kabli, położył obok walkie-talkie i słuchawki od mojego walkmana. Znowu zaczął kręcić przy radyjku - słyszać było trzaski i wizgi, urywki melodii i static.

- Słuchajcie - powiedział nagle. - Ausgerechnet złapałem Warszawę. Coś tam się dzieje. Jakaś awantura chyba jest albo coś.

- Pewnie palą synagogę - wypłułem żwir, zgrzytający mi w zębach. - Jak zwykle. Jest się czym przejmować.

- Albo cerkiew palą - odezwała się Analiza. - Tak jak w Łodzi. W Łodzi spalili cerkiew. Ci, no... mówili w telewizji. Jak oni się nazywali? Aha, Cyryl Rosiak i Metody Pruchno.

- Właśnie. Zostaw Warszawę, Indyk, złap Gdańsk albo Królewiec. Dowiemy się, co na froncie. Nadojadło mi już siedzieć w tym leju i głodny jestem jak cholera.

- No - powiedziała Analiza. - Ja też jestem...

- Cicho - rzekł Indyk, nachylając się nad radjkiem. - To nie to. To coś innego jest. Jakaś demonstracja.

- Mówię, że to cerkiew.

- A jest w Warszawie cerkiew?

- Wczoraj była. Bo padało.

- Cicho, mówię. Demonstracja jest w Warszawie, przed International Harvester w Ursusie. Kupa ludzi jakoby. O, właśnie przemawia Marcin Kenig.

- Marcin Kenig? - Analiza obciągnęła na sobie moje lecie i podwinęła nogawki. - To już wypuścili go z więzienia?

- Aleś ty głupia, Analiza - powiedział Indyk. - W więzieniu to on siedział jeszcze za Unii, a teraz od pół roku jest tym, no, przewodniczącym Ruchu. Capisco?

- Si - kiwnęła głową Analiza, ale wiedziałem, że buja. Nie mogła capisco, bo tego nikt nie capisco.

- Zrób głośniej, Indyk - powiedziałem. Bo, widzicie, byłem odrobinę zainteresowany tym, co ma do powiedzenia Marcin Kenig. Ostatnio wiele się mówi o Marcinie Kenigu.

- Głośniej? - spytał Indyk. - Chcesz głośniej, Jarek?

- Przecież mówię ausgerechnet. Ogłuchłeś?

- No, to proszę bardzo.

I w tym momencie Marcin Kenig zaryczał na cały park. Zewsząd. Ze wszystkich stron. Na cały park, na stadion, a kto wie, czy nie na całe miasto. Indyk zarechotał, najwyraźniej zadowolony z siebie.

- Scheisse! - wrzasnąłem. - Co to jest?

- Megafony stadionu - pochwalił się Indyk. - Dobrałem się do nich przez centralkę. Sprzągłem...

- Wyłącz to, psiakrew!

- Chciałeś głośniej - zarechotał znowu zdolny elektrotechnik - to masz głośniej. Niech wszyscy posłuchają. Nie bój się, Jarek. Kto się kapnie, że to z naszego leja? Posłuchaj lepiej, co ten facet gada.

Posłuchałem.

- Miałem sen! - krzyknął nagle Marcin Kenig, a tłum zgromadzony pod fabryką International Harvester w Ursusie ryczał i wrzeszczał. - Miałem sen!

Strzelanina zanikła, trzasnęło jeszcze kilka pojedynczych wystrzałów, tąpnęła gdzieś mina moździerzowa, poterkotał śmigłowiec. A potem ucichło wszystko. Całe miasto. Był

tylko Marcin Kenig i tłum zebrany pod International Harvester.

- Miałem sen, a w śnie tym nadszedł dzień, dzień prawdy! Dzień, w którym prawdą oczywistą i zrozumiałą dla wszystkich stało się oto, że jesteśmy braćmi, że jesteśmy sobie równi! Dzień, w którym pojęliśmy oto, że nie ma granic, że granice są niczym innym, jak tylko kreskami na kartkach nic nie znaczącego papieru! Dzień, w którym wyrzuciliśmy z naszych dusz jad nienawiści, jakim pojono nas od pokoleń! Nadchodzi oto taki dzień, bracia!

Tłum krzyczał, buczał, szumiał. Ktoś klaskał. Ktoś śpiewał "We Shall Overcome". Ktoś skandował: "Juden raus!". Ktoś gwizdał.

- Miałem sen, a w moim śnie ten świat stał się wreszcie królestwem Boga na ziemi! Miałem sen i zaprawdę powiadam wam, bracia: był to sen proroczy! W moim śnie ludzie wszystkich ras, wyznań, przekonań, koloru skóry i narodowości wyciągnęli ku sobie dłonie i uścisnęli je! Stali się braćmi!

Nad parkiem wciąż unosił się dym, ale dym ten zdawał się rzednąć, jakby przeganiał go z wielokrotnionym przez echo głosem Marcina Keniga, dudniący z megafonów stadionu o nic nie znaczącej nazwie, w parku o nic nie znaczącej nazwie. Nad miastem o nic nie znaczącej nazwie nagle błysnęło słońce. Tak mi się wydawało. Ale mogłem się mylić.

- Miałem sen! - krzyknął Marcin Kenig.

- Miałem sen! - odpowiedział tłum. Nie cały. Ktoś gwizdał przeszywająco.

- Won! - krzyknął ktoś. - Won, na Kubę!

- Mówią nam - krzyczał Marcin Kenig - że nastąpiła era wolności, szczęśliwości powszechnej i ogólnego dobrobytu. Każą nam pracować, jeść, spać i wydalać, każą nam kłaniać się złotemu cielcowi pod sączoną w nasze uszy muzykę! Zaplątali nas w sieć przykazań, zakazów i nakazów, mających zastąpić w nas sumienie, rozsądek i miłość! Pragną, byśmy stali się bydlęciem, zadowolonym z ogrodzonego pastwiska, bydlęciem zadowolonym nawet z więżącego nas drutu pod napięciem! Każą nam mordować, mówiąc: "Deus vult". Otoczyli nas granicami, które biegną przez nasze miasta, nasze ulice i nasze domy! Granicami, które biegną przez nasze dusze! Ale my mamy dość! My mówimy: "Nie!" Bo oto miałem sen! Sen o tym, że era nienawiści odchodzi w niepamięć! Że nadchodzi nowa era, Era Spełnienia Marzeń!

Tłum krzyczał.

- Miałem sen! Miałem...

I nagle Marcin Kenig zamilkł, a z głośników uderzył jeden wielki przerażony ryk tłumu; coś trzasnęło, ktoś, tuż przy mikrofonie, krzyknął: "Jezus Maria", a ktoś inny wrzasnął: "Lekaaaaaaaarza!"

Znowu coś trzasnęło i zgrzytnęło z głośników.

- Stamtąd strzelano, stamtąd... Z dachu... - zawołał ktoś roztrzęsionym, rwącym się głosem.

A potem była cisza.

Była cisza w radyjku Indyka i cisza w Parku Króla Sobieskiego. Podejrzewam, że było cicho także na placu przed fabryką International Harvester w Ursusie.

Po dłuższej chwili radyjko Indyka zaczęło grać, a grało muzykę fortepianową. Przez jakiś czas nokturn rozbrzmiewał z megafonów stadionu Ostmark Sportverein, ale zaraz potem Indyk rozerwał swoje zmyślne połączenie i grał cichutko już tylko jego mikroskopijny odbiorniczek.

Analiza nie płakała. Siedziała, opuściwszy głowę, w całkowitym milczeniu, a potem patrzyła na mnie. Patrzyła długo; wiedziałem, że chce o coś zapytać. Indyk też milczał i też patrzył na mnie. Być może i on chciał o coś zapytać.

Nie zapytał.

- Shit - powiedział wreszcie.

Nie skomentowałem.

- No future - dodał po chwili. Tego nie skomentowałem również.

Siedzieliśmy w leju jeszcze jakiś czas. Dookoła panował spokój. Umilkły silniki odlatujących litewskich śmigłowców, wycie karetek i komendy patroli, które przeczesywały północny skraj parku. Nie wiedzieć kiedy zrobił się wieczór.

Wyleźliśmy z leja. Było cicho, wiała spokojna wieczorna bryza, odświeżająca, nie przymierzając, jak jakiś Old Spice. Poszliśmy, omijając trupy, płonące samochody, dziury w asfalcie i połacie tłuczonego szkła.

Przeszliśmy przez kładkę na Czarnej Hańczy. Rzeka, jak nam się zdawało, śmierdziała tego wieczora znacznie silniej niż zwykle.

McDonald's był czynny.

Na ulicach panowały pustki, ale ze wszystkich okien słyszeliśmy MTV, Jukebox i Radio Moskwa. Zespół April, May, Decay wykonywał swój ostatni hit z albumu "Mental Disease".

Hail, we greet you

We, children of the past

Those about to die

In our rags of light, translucent and pale

Hail!

Pożegnaliśmy się na Nowym Rynku. Nie mówiliśmy wiele. Wystarczyło nam zwykle: "Do jutra", "Tschüss", "A rivederci". Nic więcej.

Na mojej ulicy też było pusto. Nowakowski uspokoił się, grał na pianinie Brahmsa - głośno, jak gdyby uparł się, że zagłuszy MTV, rozbrzmiewające z mieszkań sąsiadów.

Hail!
You've come at last
Not a minute too late
Hail, long awaited Age
Age of Hate!

Nic się już tego dnia nie wydarzyło.
Ot, tuż po zmierzchu spadł deszcz, a razem z kroplami wody spadły tysiące małych,
zielonych żab.
Więcej nic.

Coś się kończy, coś się zaczyna

Wszystkim nowożeńcom, a szczególnie dwojgu z nich

I

Słońce przecisnęło swe ogniste macki przez szpary w okiennicach, przeszło komnatę skośnymi, pulsującymi od wirującego kurzu smugami światła, rozlało jasne plamy na posadzce i pokrywających ją skórach niedźwiedzi, oślepiającym refleksem rozbłysło na klamrze paska Yennefer. Pasek Yennefer leżał na wysokim trzewiczku. Wysoki trzewiczek leżał na białej koszuli z koronkami, a biała koszula leżała na czarnej spódnicy. Jedna czarna pończocha wisiała na poręczy krzesła, wyżłobionej w kształt głowy chimery. Drugiej pończochy i drugiego trzewiczka nigdzie nie było widać. Geralt westchnął. Yennefer lubiła rozbierać się szybko i z rozmachem. Musiał zacząć się do tego przyzwyczajać. Nie miał innego wyjścia.

Wstał, otworzył okiennice, wyjrzał. Z jeziora, gładkiego jak tafla zwierciadła, wstawał opar, liście nadbrzeżnych brzoź i olch połyskiwały od rosy, odległe łąki kryła niska, gęsta mgła, wisząca niby pajęczyna tuż ponad wierzchołkami traw.

Yennefer poruszyła się pod pierzyną, zamruczała niewyraźnie. Geralt westchnął.

- Piękny dzień, Yen.

- Eee? Co?

- Piękny dzień. Wyjątkowo piękny dzień.

Zaskoczyła go. Zamiast zakłąć i nakryć głowę poduszką, czarodziejka usiadła, przeczesła włosy palcami i zaczęła szukać wśród pościeli nocnej koszuli. Geralt wiedział, że nocna koszula leży za wezgłowiem łóżka, tam, gdzie Yennefer cisnęła ją wczoraj w nocy. Ale nie odezwał się. Yennefer nie znosiła takich uwag.

Czarodziejka zakłęła z cicha, kopnęła pierzynę, uniosła dłoń i strzeliła palcami. Nocna koszula wyfrunęła zza wezgłowia, powiewając falbankami niby pokutujący duch, spłynęła wprost do oczekującej dłoni. Geralt westchnął.

Yennefer wstała, podeszła do niego, objęła i ugryzła w ramię. Geralt westchnął. Lista rzeczy, do których musiał się przyzwyczaić, wydawała się nie mieć końca.

- Chciałeś coś powiedzieć? - spytała czarodziejka, mrużąc oczy.

- Nie.

- Dobrze. Wiesz co? Dzień rzeczywiście jest piękny. Dobra robota.

- Robota? Co masz na myśli?

Zanim Yennefer zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli z dołu wysoki, przeciągły krzyk i gwizd. Brzegiem jeziora, rozpryskując wodę, galopowała Ciri na karej klaczy. Klacz była rasowa i wyjątkowo piękna. Geralt wiedział, że należała niegdyś do pewnego półelfa, który ocenił szarowłosą wiedźminkę na podstawie pozorów i okropnie się pomylił. Ciri nadała zdobycznej klaczy imię Kelpie, co w języku wyspiarzy ze Skellige oznaczało groźnego i złośliwego ducha morza, niekiedy przybierającego postać konia. Imię pasowało do klaczy idealnie. Nie tak dawno temu pewien hobbit, który zapragnął Kelpie ukraść, przekonał się o tym bardzo boleśnie. Hobbit nazywał się Sandy Frogmorton, ale od tamtego wypadku wszyscy mówili na niego "Kalafior".

- Skręci kiedyś kark - mruknęła Yennefer, patrząc na Ciri, galopującą wśród bryzgów wody, schyloną, uniesioną w strzemionach. - Skręci kiedyś kark ta wariatka, twoja córka.

Geralt odwrócił głowę, nie mówiąc ani słowa, spojrzał wprost we fiołkowe oczy czarodziejki.

- No, dobrze - uśmiechnęła się Yennefer, nie spuszczać wzroku. - Przepraszam. Nasza córka.

Objęła go ponownie, przytulając się mocno, powtórnie pocałowała i znowu ugryzła. Geralt dotknął ustami jej włosów i ostrożnie zsunął koszulę z ramion czarodziejki.

A potem znaleźli się ponownie w łóżku, w rozburzonej pościeli, jeszcze ciepłej i pachnącej snem. I zaczęli się nawzajem poszukiwać, i poszukiwali się długo i bardzo cierpliwie, a pewność, że przecież się odnajdą, napełniała ich radością i szczęściem, i radość i szczęście były we wszystkim, co robili. I chociaż tak bardzo się różnili, rozumieli, jak zawsze, że nie są to różnice z tych, które dzielą, ale z tych, które łączą i wiążą, wiążą twardo i mocno, jak wysieczony siekierą zacios krokwi i kalenicy, zacios, z którego rodzi się dom. I było tak, jak za pierwszym razem, gdy jego zachwyciła jej olśniewająca nagość i gwałtowne pożądanie, a ją zachwyciła jego delikatność i czułość. I tak, jak za pierwszym razem, ona chciała mu o tym powiedzieć, ale on przerwał jej pocałunkiem i pieszczotami, i odebrał jej słowom wszelki sens. A później, gdy on chciał jej o tym powiedzieć, nie mógł wydobyć głosu, a później szczęście i rozkosz spadły na nich z siłą walącej się skały i było coś, co było bezgłośnym krzykiem, i świat przestał istnieć, coś się skończyło i coś się zaczęło, i coś trwało, i była cisza, cisza i spokój.

I zachwycenie.

Świat powolutku wracał do siebie i znowu była pościel pachnąca snem, i zalana słońcem komnata i dzień. Dzień...

- Yen?

- Mhm?

- Gdy mówiłaś, że dzień jest piękny, dodałaś: "Dobra robota". Czy to miało oznaczać...

- Miało - potwierdziła i przeciągnęła się, wyprężając ramiona i łapiąc za rogi

poduszki, a jej piersi nabrały wówczas kształtu, który odezwał się wiedźminowi dreszczem w dole pleców. - Widzisz, Geralt, myśmy tę pogodę zrobili. Wczoraj wieczorem. Ja, Nenneke, Triss i Dorregaray. Nie mogłam przecież ryzykować, ten dzień musiał być piękny...

Urwała, trąciła go kolaniem w biodro.

- Bo to przecież najważniejszy dzień w twoim życiu, głupku.

II

Stojący na śródjeziornym cyplu zamek Rozrog prosił się o generalny remont, z zewnątrz i wewnątrz, i to nie od wczoraj. Mówiąc oględnie, Rozrog był ruiną, bezkształtnym zlepkiem kamieni, porośniętych gęsto bluszczem, powojem i tradescantią, ruiną stojącą wśród jezior, błot i bagien rojących się od żab, zaskrońców i żółwi. Był ruiną już wówczas, gdy подарowano go królowi Herwigowi. Zamek Rozrog i otaczające go tereny były bowiem czymś w rodzaju dożywotniego nadania, pożegnalnego prezentu dla Herwiga, który dwanaście lat temu abdykował na rzecz swojego siostrzeńca Brennana, od niedawna zwanego Dobrym.

Geralt poznał eks-króla przez Jaskra, bo trubadur bywał w Rozrogu często, jako że Herwig był przemiłym i radym gościom gospodarzem. O Herwigu i jego zamczysku przypomniał właśnie Jaskier, wtedy, gdy wszystkie miejscowości z opracowanej przez wiedźmina listy zostały odrzucone przez Yennefer jako nie nadające się. O dziwo, na Rozrog czarodziejka zgodziła się natychmiast i bez kręcenia nosem.

I tym sposobem ślub Geralta i Yennefer miał odbyć się na zamku Rozrog.

III

Początkowo ślub miał być cichy i nieformalny, ale z biegiem czasu okazało się to - z różnych względów - niemożliwe. Potrzebny był więc ktoś o talentach organizacyjnych. Yennefer, rzecz jasna, odmówiła, nie wypadało jej organizować własnego ślubu. Geralt i Ciri, nie wspominając o Jaskrze, żadnych talentów w tym kierunku nie mieli. Sprawę powierzono więc Nenneke, kapłance bogini Melitele z Ellander. Nenneke przybyła natychmiast, a wraz z nią dwie młodsze kapłanki, Iola i Eurneid.

I zaczęły się kłopoty.

IV

- Nie, Geralt - Nenneke nadeła się i tupnęła nogą. - Nie biorę żadnej odpowiedzialności ani za ceremonię, ani za ucztę. Ta rudera, którą jakiś idiota nazwał zamkiem, nie nadaje się do niczego. Kuchnia jest zrujnowana, sala balowa nadaje się wyłącznie na stajnię, a kaplica... To w ogóle nie jest kaplica. Czy możesz mi powiedzieć, jakiego boga czci ten kulawiec Herwig?

- O ile wiem, nie czci żadnego. Twierdzi, że religia to mandragora dla mas.

- Byłam pewna - rzekła kapłanka, nie kryjąc pogardy. - W kaplicy nie ma ani jednego posągu, niczego tam nie ma, jeśli nie liczyć mysich bobków. I do tego to cholerne odludzie! Geralt, dlaczego nie chcecie wziąć ślubu w Vengerbergu, w cywilizowanej okolicy?

- Przecież wiesz, że Yennefer jest kwarteronką, a w twoich cywilizowanych okolicach nie tolerują mieszanych małżeństw.

- Na Wielką Melitele! Cóż znaczy jedna czwarta elfiej krwi? Przecież prawie każdy ma jakąś tam domieszkę krwi Starszego Ludu! To nic innego, jak idiotyczny przesąd!

- Nie ja go wymyśliłem.

V

Listę gości - niezbyt długą - narzeczeni ułożyli wspólnie, a zapraszaniem miał zająć się Jaskier. Wkrótce wyszło na jaw, że trubadur listę zgubił, i to zanim jeszcze zdążył ją przeczytać. Zawstydzony, nie przyznał się i poszedł na łatwiznę - zaprosił kogo tylko się dało. Oczywiście, Jaskier znał Geralta i Yennefer na tyle dobrze, by nikogo istotnego nie pominąć, nie byłby jednak sobą, gdyby nie wzbogacił spisu gości o przerażającą liczbę osób całkiem przypadkowych.

Zjawił się zatem stary Vesemir z Kaer Morhen, wychowawca Geralta, a wraz z nim wiedzmin Eskel, z którym Geralt przyjaźnił się od lat dziecińczych.

Przybył druid Myszowór w towarzystwie wyższej od niego o głowę i młodszej o jakieś sto lat ogorzałej blondynki o imieniu Freya. Wraz z nimi zjawił się jarl Crach an Craite ze Skellige w towarzystwie synów Ragnar i Lokiego. Ragnarowi, gdy jechał konno, nogi sięgały prawie do ziemi, a Loki przypominał filigranowego elfa. Nie było w tym nic dziwnego, byli braćmi przyrodnimi, synami różnych nałożnic jarla.

Zameldował się wójt Caldemeyn z Blaviken z córką Anniką, dość atrakcyjną, choć potwornie nieśmiałą panną.

Przybył krasnolud Yarpén Zigrin, co ciekawe, sam, bez towarzyszących mu zwykle brodatych bandytów nazywanych "chłopcami". Do Yarpéna dołączył w drodze elf Chireadan, osobnik o nie do końca jasnej, ale niewątpliwie wysokiej pozycji wśród

Starszego Ludu, eskortowany przez kilku nieznanych nikomu małomównych pobratymców.

Przybyła też rozwrzeszczana gromada niziołków, spośród których Geralt znał jedynie Dainty Biberveldta, farmera z Rdestowej Łąki i - ze słyszenia - jego gderliwą żonę Gardenię. Był w gromadzie niziołków jeden niziołek, który niziołkiem nie był - słynny przedsiębiorca i kupiec Tellico Lunngrevink Letorte z Novigradu, zmiennokształtny doppler, występujący pod postacią niziołka i przybranym imieniem Dudu.

Zjawił się baron Freixenet z Brokilonu z żoną, urodziwą driadą Braenn, i pięcioma córkami, zwanymi Morenn, Cirilla, Mona, Eithne i Kashka. Morenn wyglądała na piętnaście lat, a Kashka na pięć. Wszystkie były rude jak ogień, choć Freixenet miał włosy czarne, a Braenn miodowozłote. Braenn była w zaawansowanej ciąży. Freixenet poważnie twierdził, że tym razem musi być syn, na co wataha jego rudych driad patrzyła po sobie i chichotała, a Braenn, uśmiechając się lekko, dodawała, że "syn" będzie nosił imię Melissa.

Przybył Jednoręki Jarre, młody kapłan i kronikarz z Ellander, wychowanek Nenneke. Jarre przybył głównie z powodu Ciri, w której się podkochiwał. Ciri, ku rozpaczy Nenneke, zdawała się całkowicie lekceważyć kalekiego młodzieńca i jego niezręczne zaloty.

Listę gości nieoczekiwanych otwierał książę Agloval z Bremervoord, którego przybycie graniczyło z cudem, bo książę i Geralt szczerze się nie cierpieli. Jeszcze dziwniejszy był fakt, że Agloval zjawił się w towarzystwie małżonki, syreny Sh'eenaz. Sh'eenaz zrezygnowała niegdyś dla księcia z rybiego ogona na rzecz dwóch niebywale pięknych nóg, ale znana była z tego, że nigdy nie oddalała się od morskiego wybrzeża, bo ląd budził w niej strach.

Mało kto oczekiwał przybycia innych koronowanych głów, bo też i nikt ich nie zapraszał. Mimo tego monarchowie przysłali listy, podarki, posłów - lub wszystko na raz. Musieli przy tym się zmówić, bo posłowie podróżowali w grupie, która po drodze zdążyła się zaprzyjaźnić. Rycerz Yves reprezentował króla Ethaina, komes Sulivoy króla Venzlava, sir Matholm króla Sigismunda, a sir Devereux królową Addę, była strzygę. Podróż musiała być wesoła, bo Yves miał rozciętą wargę, Sulivoy rękę na temblaku, Matholm kuszykał, a Devereux miał takiego kaca, że ledwie trzymał się w siodle.

Nikt nie zapraszał złotego smoka Villentretenmertha, bo nikt nie wiedział, jak go zaprosić i gdzie go szukać. Ku ogólnemu zdziwieniu smok zjawił się, oczywiście incognito, pod postacią rycerza Borchy herbu Trzy Kawki. W miejscu, gdzie był Jaskier, o żadnym incognito mowy, rzecz jasna, być nie mogło, niemniej jednak mało kto wierzył, gdy poeta wskazywał kędzierzawego rycerza i twierdził, że to smok.

Nikt też nie zapraszał i nikt nie oczekiwał malowniczej hałastry, określającej siebie mianem "przyjaciół i znajomych" Jaskra. Byli to głównie poeci, muzycy i trubadurzy, a do tego akrobata, zawodowy gracz w kości, treserka krokodyli i cztery kolorowe panienki, z

których trzy wyglądały na nierządnicę, a czwarta, która na nierządnicę nie wyglądała, ponad wszelką wątpliwość była nią. Grupę uzupełniało dwóch proroków, z czego jeden fałszywy, jeden rzeźbiarz w marmurze, jedno jasnowłose i wiecznie pijane medium płci żeńskiej i jeden ospowaty gnom, który twierdził, że nazywa się Schuttenbach.

Magicznym statkiem amfibią, przypominającym skrzyżowanie łabędzia z wielką poduszką, przybyli czarodzieje. Było ich czterokrotnie mniej, niż zaproszono, i trzykrotnie więcej, niż oczekiwano, bo konfratry Yennefer, jak wieść niesła, potępiali jej związek z mężczyzną "z zewnątrz", a do tego wiedźminem. Część w ogóle zignorowała zaproszenia, część wymówiła się brakiem czasu i koniecznością bytności na dorocznym, ogólnoswiatowym konwencie czarodziejów. Tak więc na pokładzie - jak go określił Jaskier - "poduszkowca" byli tylko Dorregaray z Vole i Radcliffe z Oxenfurtu.

I była Triss Merigold o włosach jak paździenikowy kasztan.

VI

- To ty zaprosiłeś Triss Merigold?

- Nie - pokręcił głową wiedźmin, wielce rad z faktu, że mutacja naczyń krwionośnych uniemożliwia mu rumienienie się. - Nie ja. Podejrzewam Jaskra, chociaż oni wszyscy twierdzą, że o ślubie dowiedzieli się z magicznych kryształów.

- Nie życzę sobie Triss na moim ślubie!

- Dlaczego? Przecież to twoja przyjaciółka.

- Nie rób ze mnie idiotki, wiedźminie! Wszyscy wiedzą, że z nią spałeś!

- Nieprawda!

Fiołkowe oczy Yennefer zwęziły się niebezpiecznie.

- Prawda!

- Nieprawda!

- Prawda!

- No dobrze - odwrócił się ze złością. - Prawda. I co z tego?

Czarodziejka milczała przez chwilę, bawiąc się gwiazdą z obsydianu, przypiętą do czarnej aksamitki.

- Nic - powiedziała wreszcie. - Ale chciałam, żebyś się przyznał. Nigdy nie próbuj kłamać przede mną, Geralt. Nigdy.

VII

Mur pachniał mokrym kamieniem i kwaśnym zielskiem, słońce prześwietlało brunatną

wodę w fosie, wydobywało ciepłą zielen z porastającej dno moczarki i jaskrawą żółć z grażeli pływających po powierzchni.

Zamek powoli budził się do życia. W zachodnim skrzydle ktoś strzelił okiennicą i roześmiał się. Ktoś inny słabym głosem dopraszał się soku z kiszonej kapusty. Jeden z goszczących w Rozrogu kolegów Jaskra, niewidoczny, śpiewał przy goleniu:

Za stodołą, gdzieś na płocie, Kogut gromko pieje. Zaraz przyjdę, miła, do cię Tylko się odleję.

Skrzypnęły drzwi, na podwórzec wyszedł Jaskier, przeciągając się i trąc twarz.

- Jak się masz, żonkosiu - rzekł zmęczonym głosem. - Jeżeli masz zamiar zwiać, to teraz jest ostatnia okazja.

- Ranny z ciebie ptaszek, Jaskier.

- W ogóle się nie kładłem - zamamrotał poeta, siadając obok wiedźmina na kamiennej ławeczce i opierając się plecami o porośnięty tradescantią mur. - Bogowie, to była ciężka noc. Ale cóż, nie codziennie żenią się przyjaciele, trzeba było to jakoś uczcić.

- Uczta weselna jest dzisiaj - przypomniał Geralt. - Wytrzymasz?

- Nie obrażaj mnie.

Słońce grzało mocno, ptaki hałasowały wśród krzewów. Od strony jeziora słychać było pluski i piski. Morenn, Cirilla, Mona, Eithne i Kashka, rude driady, córki Freixeneta, kąpały się, jak zwykle nago, w towarzystwie Triss Merigold i Freyi, przyjaciółki Myszowora. Na górze, na zrujnowanych blankach zamku posłowie królewscy, rycerze Yves, Sulivoy, Matholm i Devereux wyrywali sobie lunetę.

- Dobrzeście się chociaż bawili, Jaskier?

- Nie pytaj.

- Jakiś większy skandal?

- Kilka.

Pierwszy skandal, zrelacjonował poeta, miał podłoże rasowe. Tellico Lunngrvink Letorte oznajmił oto nagle wśród zabawy, że ma dość występowania jako niziołek. Wskazawszy palcem obecne na sali driady, elfy, hobbitów, syrenę, krasnoluda i gнома, który twierdził, że nazywa się Schuttenbach, doppler uznał za dyskryminację fakt, iż wszyscy mogą być sobą, a wyłącznie on, Tellico, musi stroić się w cudze piórka. Po czym przybrał - na chwilę - naturalną postać. Na ten widok Gardenia Biberveldt zemdląa, książę Agloval niebezpiecznie zadławił się sandaczem, a Annika, córka wójta Caldemeyna, dostała ataku hysterii. Sytuację zażegnał smok Villentretenmerth, wciąż pod postacią rycerza Borchy Trzy Kawki, wyjaśniając dopplerowi spokojnie, że zmienność kształtu jest przywilejem, który zobowiązuje, a zobowiązuje między innymi do przybierania postaci ogólnie uważanych za przyzwoite i akceptowane w towarzystwie, i że to nic innego jak zwykła grzeczność w stosunku do gospodarza. Doppler zarzucił Villentretenmerthowi rasizm, szowinizm i brak elementarnego pojęcia o przedmiocie dyskusji. Urażony Villentretenmerth przybrał więc na chwilę postać smoka,

niszcząc trochę mebli i doprowadzając do ogólnej paniki. Gdy się uspokoiło, rozgorzał ostry spór, w którym ludzie i nieludzie nawzajem wytykali sobie przykłady braku tolerancji i rasowe uprzedzenia. Dość nieoczekiwanym akcentem w dyskusji był głos piegowatej Merle, dziwki, która nie wyglądała na dziwkę. Merle oznajmiła, że cała ta sprzeczka jest głupia i bezprzedmiotowa, i nie dotyczy prawdziwych zawodowców, którzy nie wiedzą, co to uprzedzenia, co ona jest gotowa natychmiast udowodnić za stosowną opłatą, choćby i ze smokiem Villentretenmerthem w naturalnej postaci. W ciszy, jaka zapadła, usłyszano medium płci żeńskiej, deklarujące, że może zrobić to samo za darmo. Villentretenmerth szybko zmienił temat i zaczęto dyskutować na tematy bezpieczniejsze, jak ekonomia, polityka, łowy, rybołówstwo i hazard.

Reszta skandali miała wymiar raczej towarzyski. Myszowór, Radcliffe i Dorregaray założyli się o to, który z nich siłą woli zmusi do lewitacji więcej przedmiotów na raz. Wygrał Dorregaray, utrzymując w powietrzu dwa krzesła, paterę z owocami, wazę zupy, globus, kota, dwa psy i Kashkę, najmłodszą córkę Freixeneta i Braenn.

Potem Cirilla i Mona, dwie średnie córki Freixeneta, pobiły się i trzeba je było wyprowadzić. Krótco potem pobili się Ragnar i rycerz Matholm, a powodem bitki była Morenn, najstarsza córka Freixeneta. Zdenerwowany Freixenet nakazał Braenn pozamykać w komnatach wszystkie swoje rude latorośle, a sam dołączył do zawodów w piciu, które zorganizowała Freya, przyjaciółka Myszowora. Rychło okazało się, że Freya ma niewyobrażalną, graniczącą z totalnym immunitetem odporność na alkohol. Większość poetów i bardów, koleżków Jaskra, wnet wylądowała pod stołem. Freixenet, Crach an Craite i wójt Caldemeyn walczyli dzielnie, ale musieli ulec. Twardo trzymał się czarodziej Radcliffe, do czasu, gdy udowodniono, że oszukiwał - miał przy sobie róg jednorożca. Gdy mu go odebrano, nie miał z Freyą żadnych szans. Wkrótce zajmowany przez wyspiarkę koniec stołu opustoszał zupełnie - przez jakiś czas pił z nią jeszcze nieznany nikomu, bladej mężczyzna w staromodnym kaftanie. Po jakimś czasie mężczyzna ów wstał, zatoczył się, uklonił grzecznie i przeszedł przez mur jak przez mgłę. Lustracja zdobiących sale starożytnych portretów pozwoliła na stwierdzenie, że był to Willem zwany Diabłem, dziedzic Rozroga, zasztyletowany w czasie biesiady kilkaset lat temu.

Starodawne zamczysko kryło liczne tajemnice i cieszyło się w przeszłości dość ponurą sławą, nie obyło się więc bez dalszych wydarzeń o charakterze nadprzyrodzonym. Około północy przez otwarte okno wleciał wampir, ale krasnolud Yarpen Zigrin przepędził krwiopijcę, zionąc na niego czosnkiem. Przez cały czas coś wyło, jęczało i dzwoniło łańcuchami, ale nikt nie zwracał uwagi, wszyscy myśleli, że to Jaskier i jego nieliczni trzeźwi koledzy. Były to jednakowoż duchy, bo na schodach stwierdzono mnóstwo ektoplazmy - kilka osób pośliznęło się i dotkliwie potłukło.

Granice przyzwoitości przekroczył rozczochrany i ognistooki upiór, który z zasadzki uszczypnął w tyłek syrenę Sh'eenaz. Z trudem zażegnano awanturę, bo Sh'eenaz myślała, że winowajcą jest Jaskier. Upiór, korzystając z zamieszania, krążył po sali i szczypał, ale

Nenneke wypatrzyła go i przepędziła za pomocą egzorcyzmów.

Kilku osobom objawiła się Biała Dama, którą, jeśli wierzyć legendzie, zamurowano niegdyś żywcem w lochach Rozroga. Byli jednak sceptycy, twierdzący, że to nie Biała Dama, a medium płci żeńskiej, krążące po krużgankach w poszukiwaniu czegoś do picia.

Potem rozpoczęło się ogólne znikanie. Pierwsi zniknęli rycerz Yves i treserka krokodyli. Wkrótce potem ślad zagał po Ragnarze i Eurneid, kapłance Melitele. Potem zniknęła Gardenia Biberveldt, ale okazało się, że poszła spać. Nagle okazało się, że brakuje Jednorękiego Jarre i Ioli, drugiej kapłanki Melitele. Ciri, choć twierdziła, że Jarre jest jej obojętny, wykazała pewne zaniepokojenie, ale wyjaśniło się, że Jarre wyszedł za potrzebą i wpadł do płytkiej fosy, gdzie usnął, a Iolę znaleziono pod schodami. Z elfem Chireadanem.

Widziano też Triss Merigold i wiedźmina Eskela z Kaer Morhen, znikających w altanie parkowej, zaś nad ranem ktoś doniósł, że z altany tej wychodził doppler Tellico. Gubiono się w domysłach, czyją postać przyjął doppler - Triss czy Eskela. Ktoś nawet zaryzykował pogląd, że na zamku może być dwóch dopplerów. Chciano spytać o zdanie smoka Villentretenmertha jako specjalistę od zmiennokształtności, ale okazało się, że smok zniknął, a wraz z nim dziwka Merle.

Zginęła także druga dziwka i jeden z proroków. Prorok, który nie zginął, twierdził, że jest prawdziwym, ale nie umiał tego udowodnić.

Zginął także podający się za Schuttenbacha gnom i nie odnaleziono go do tej pory.

- Żałuj - dokończył bard, ziewając szeroko. - Żałuj, że cię przy tym nie było, Geralt. Tęgi był bal.

- Żałuję - mruknął wiedźmin. - Ale wiesz... Nie mogłem, bo Yennefer... Sam rozumiesz...

- Pewnie, że rozumiem - rzekł Jaskier. - Dlatego się nie żenię.

VIII

Z kuchni zamkowej dobiegały brzęki saganów, wesołe śmiechy i przyśpiewki. Wyżywienie całej bandy gości stanowiło niejaki problem, bo król Herwig praktycznie służby nie posiadał. Obecność czarodziejów także nie rozwiązywała sprawy, bo w drodze powszechnego consensusu postanowiono jeść naturalnie i zrezygnować z kulinarnych czarów. Skończyło się więc tym, że Nenneke zagoniła do pracy, kogo tylko mogła. Z początku nie było to łatwe - ci, których kapłanka dopadała, o pracach kuchennych pojęcia nie mieli, a ci, którzy mieli, uciekli. Nenneke znalazła jednak niespodziewaną pomoc w osobach Gardenii Biberveldt i hobbitek z jej świty. Znakomitymi i sympatycznymi we współpracy kucharkami okazały się też, o dziwo, wszystkie cztery nierządnicze z grupy Jaskra.

Z zaopatrzeniem kłopot był mniejszy. Freixenet i książę Agloval zorganizowali polowanie i dostarczyli nieco grubszej dziczyzny. Braenn i jej córkom wystarczyło dwóch godzin na zapelnienie kuchni dzikim ptactwem, bo nawet najmłodsza z driad, Kashka, umiała nad podziw zręcznie obchodzić się z łukiem. Król Herwig, który uwielbiał rybołówstwo, wypływał bladym świtem na jezioro i przywoził szczupaki, sandacze i ogromne okonie. Towarzyszył mu zwykle Loki, młodszy syn Cracha an Craite. Loki znał się na rybactwie i łodziach, a ponadto bywał o świecie osiągalny, albowiem podobnie jak Herwig nie pił.

Dainty Biberveldt i jego krewni, wspomagani przez dopplera Tellico, zajmowali się dekoracją sal i komnat. Do zmywania i sprzątania zagoniono zaś obu proroków, treserkę krokodyli, rzeźbiarza w marmurze i wiecznie pijane medium płci żeńskiej.

Opiekę nad piwniczką i trunkami początkowo powierzono Jaskrowi i jego kolegom poetom, ale okazało się to strasznym błędem. Bardów przepędzono więc, a klucze oddano Freyi, przyjaciółce Myszowora. Jaskier i poeci całymi dniami przesiadywali pod drzwiami do loszku i starali się wzruszyć Freyę miłosnymi balladami, na które jednak wyspiarka miała równie dużą odporność jak na alkohol.

Geralt uniósł głowę, wyrwany z drzemki stukiem kopyt na kamieniach podwórca. Zza przytulonych do muru krzewów wyłoniła się lśniąca od wody Kelpie z Ciri w siodle. Ciri nosiła swój czarny kostium, a na plecach miała miecz, słynny Gveir, zdobyty w pustynnych katakumbach Korath.

Przez chwile patrzyli na siebie w milczeniu, po czym dziewczyna trąciła klacz piętą, podjechała bliżej. Kelpie schyliła łeb, chcąc dosięgnąć wiedźmina zębami, ale Ciri powstrzymała ją ostrym szarpnięciem wodzy.

- Więc to dziś - odezwała się wiedźminka, nie zsiadając. - Dziś, Geralt.
- Dziś - potwierdził, opierając się o mur.
- Cieszę się - powiedziała niepewnie. - Myślę... Nie, jestem pewna, że będziecie szczęśliwi, i cieszę się...
- Zsiądź, Ciri. Porozmawiajmy.

Dziewczyna potrząsnęła głową, odrzucając włosy do tyłu, za ucho. Geralt widział przez chwilę rozległą, brzydką bliznę na jej policzku - pamiątkę tamtych strasznych dni. Ciri pozwoliła, by włosy odrosły jej do ramion i zaczesywała je tak, by ukrywać szramę, ale zapominała często.

- Wyjeżdżam, Geralt - powiedziała. - Zaraz po uroczystości.
- Zsiądź, Ciri.

Wiedźminka zeskoczyła z siodła, usiadła obok. Geralt objął ją. Ciri przytuliła mu głowę do ramienia.

- Wyjeżdżam - powtórzyła. Milczał. Słowa cisnęły mu się na usta, ale nie było wśród tych słów żadnego, które mógłby uznać za właściwe. Za potrzebne. Milczał.
- Wiem, co myślisz - powiedziała wolno. - Myślisz, że uciekam. Masz rację.

Milczał. Wiedział.

- Nareszcie, po tylu latach, macie siebie. Yen i ty. Należy wam się szczęście, spokój. Dom. Ale mnie to przeraża, Geralt. Dlatego... uciekam.

Milczał. Myślał o własnych ucieczkach.

- Wyruszę zaraz po uroczystości - powtórzyła Ciri. - Chcę znowu widzieć gwiazdy nad traktem, chcę gwizdać wśród nocy balladę Jaskra. I pragnę walki, tańca z mieczem, pragnę ryzyka, pragnę rozkoszy, jaką daje zwycięstwo. I pragnę samotności. Rozumiesz mnie?

- Oczywiście, że cię rozumiem, Ciri. Jesteś moją córką, jesteś wiedźminką. Zrobisz to, co musisz zrobić. Ale jedno muszę ci powiedzieć. Jedno. Nie uciekniesz, chociaż będziesz uciekać.

- Wiem - przytuliła się mocniej. - Ciągłe jeszcze mam nadzieję, że kiedyś... Jeśli poczekam, jeśli będę cierpliwa, to i dla mnie nastanie kiedyś taki piękny dzień... Taki piękny dzień... Chociaż...

- Co, Ciri?

- Nigdy nie byłam ładna. A z tą blizną...

- Ciri - przerwał jej. - Jesteś najpiękniejszą dziewczyną świata. Zaraz po Yen, ma się rozumieć.

- Och, Geralt...

- Jeśli mi nie wierzysz, spytaj Jaskra.

- Och, Geralt.

- Dokąd...

- Na Południe - przerwała natychmiast, odwracając twarz. - Kraj jeszcze dymi tam po wojnie, trwa odbudowa, ludzie walczą o przetrwanie. Potrzebują ochrony i obrony. Przydam się. I jeszcze jest pustynia Korath... Jest jeszcze Nilfgaard. Mam tam moje rachunki. Mamy tam rachunki do wyrównania, Gveir i ja...

Zamilkła, twarz jej stwardniała, zielone oczy zwęziły się, usta wykrzywił zły grymas. Pamiętam, pomyślał Geralt, pamiętam. Tak, to było wtedy, na śliskich od krwi schodach zamczyska Rhys-Rhun, gdy walczyli ramię w ramię, on i ona, Wilk i Kotka, dwie maszyny do zadawania śmierci, niehumanie szybkie i niehumanie okrutne, bo doprowadzone do ostateczności, rozwścieczone, przyparte do muru. Tak, wtedy Nilfgaardzcy cofnęli się, zdjęci grozą, przed blaskiem i świstem ich kling, a oni poszli wolno w dół, w dół schodami zamczyska Rhys-Rhun, mokrymi od krwi. Poszli oparci o siebie, złączeni, a przed nimi szła śmierć, śmierć w dwóch jasnych ostrzach mieczy. Zimny, spokojny Wilk i szalona Kotka. Błysk klingi, krzyk, krew, śmierć... Tak, to było wtedy... Wtedy...

Ciri ponownie odrzuciła włosy do tyłu, a wśród popielatych kosmyków załśnił śnieżną bielą szeroki pas u skroni.

Wtedy zbieleły jej włosy.

- Mam tam moje rachunki - syknęła. - Za Mistle. Za moją Mistle. Pomściłam ją, ale za

Mistle nie wystarczy jedna śmierć.

Bonhart, pomyślał. Zabiła go, nienawidząc. Och, Ciri, Ciri. Stoisz nad przepaścią, córeczko. Za twoją Mistle nie wystarczy tysiąc śmierci. Strzeż się nienawiści, Ciri, ona żre jak rak.

- Uważaj na siebie - szepnął.

- Wolę uważać na innych - uśmiechnęła się złowrogo. - To się bardziej sprawdza, na dłuższą metę.

Nie zobaczę jej już nigdy, pomyślał. Jeżeli odjedzie, nie zobaczę jej już nigdy.

- Zobaczysz - powiedziała i uśmiechnęła się, a był to uśmiech czarodziejki, nie wiedźminki. - Zobaczysz, Geralt.

Zerwała się nagle, wysoka i chuda jak chłopak, ale zwinna jak tancerka. Jednym skokiem znalazła się w siodle.

- Yaaa, Kelpie!!!

Spod kopyt klaczy trysnęły iskry, krzesane podkowami.

Zza muru wysunął się Jaskier, z lutnią przerzuconą przez ramię, dzierżąc w dłoniach dwa wielkie kufle piwa.

- Masz, napij się - powiedział, siadając obok. - Dobrze ci robi.

- Bo ja wiem? Yennefer zapowiedziała mi, że jeśli będzie ode mnie zalatywać...

- Pogryziesz nać pietruszki. Pij, pantoflarzu.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, wolno popijając z kufli. Jaskier westchnął wreszcie.

- Ciri odjeżdża, prawda?

- Tak.

- Wiedziałem. Słuchaj, Geralt...

- Nic nie mów, Jaskier.

- Dobrze.

Milczeli znowu. Z kuchni dolatywał miły zapach pieczonej dziczyzny, ostro doprawionej jałowcem.

- Coś się kończy - powiedział Geralt z wysiłkiem. - Coś się kończy, Jaskier.

- Nie - zaprzeczył poważnie poeta. - Coś się zaczyna.

IX

Popołudnie upłynęło pod znakiem ogólnego płaczu. Zaczęło się od eliksiru piękności. Eliksir, a dokładniej maść, zwana feenglancem, a w Starszej Mowie glamarye, umiejętnie stosowana, w sposób zadziwiający poprawiała urodę. Triss Merigold, poproszona przez goszczące na zamku panie, przyrządziła większą ilość glamarye, po czym panie przystąpiły do zabiegów kosmetycznych. Zza zamkniętych drzwi komnat dobiegał szloch

Cirilli, Mony, Eithne i Kashki, którym zabroniono użyć glamarye - zaszczytu tego miała dostąpić jedynie najstarsza driada, Morenn. Najgłośniej ryczała Kashka.

Piętro wyżej ryczała Lily, córka Dainty Biberveldta, bo okazało się, że glamarye, jak większość czarów, w ogóle nie działa na hobbitki. W ogrodzie, w krzakach tarniny, popłakiwało medium płci żeńskiej, nieświadome, że glamarye powoduje raptowne wytrzeźwienie i towarzyszące temu objawy, między innymi ostrą melancholię. W zachodnim skrzydle zamku ryczała Annika, córka wójta Caldemeyna, która nie wiedziała, że glamarye należy wcierać pod oczy, zjadła swój przydział i dostała rozwolnienia. Ciri przyjęła swoją porcję glamarye i natarła nią Kelpie.

Popłakały się też kapłanki Iola i Eurneid, albowiem Yennefer zdecydowanie odmówiła włożenia białej sukni ślubnej, którą uszyły. Nie pomogła interwencja Nenneke. Yennefer klęła, rzucała sprzętami i zaklęciami, powtarzając, że w białym wygląda jak jakaś pieprzona dziewczina. Zdenerwowana Nenneke też zaczęła wrzeszczeć, zarzucając czarodziejce, że zachowuje się gorzej niż trzy pieprzone dziewice naraz. W odpowiedzi Yennefer wyczarowała piorun kulisty i rozwalila dach na narożnej baszcie, co zresztą miało swoją dobrą stronę - huk był tak straszny, że córka Caldemeyna dostała szoku i przeszło jej rozwolnienie.

Ponownie widziano Triss Merigold i wiedźmina Eskela z Kaer Morhen, czule objętych, przemykających chyłkiem do altany w parku. Tym razem nie było wątpliwości, że to oni we własnych osobach, bo doppler Tellico pił piwo w towarzystwie Jaskra, Dainty Biberveldta i smoka Villentretenmertha.

Mimo zawziętych poszukiwań nie odnaleziono gнома podającego się za Schuttenbacha.

X

- Yen...

Wyglądała czarująco. Czarne, falujące, upięte złotym diademikiem loki opadały lśniąca kaskadą na ramiona i wysoki kołnierzyk długiej brokatowobiałej sukni o bufiastych, czarno prążkowanych rękawkach, ściągniętej w stanie niezliczoną liczbą udrapowań i liliowych wstążek.

- Kwiaty, nie zapomnij o kwiatach - powiedziała Triss Merigold, cała w głębokich błękitach, wręczając narzeczonej bukiet białych róż.

- Och, Yen, tak się cieszę...

- Triss, kochana - załkała niespodziewanie Yennefer, po czym obie czarodziejki objęły się ostrożnie i pocałowały sobie powietrze obok uszu i brylantowych kolczyków.

- Dość tych czułości - powiedziała Nenneke, wygładzając na sobie fałdy

śnieżnobiałego stroju kapłanki. - Idziemy do kaplicy, Iola, Eurneid, podtrzymajcie jej suknię, bo wywali się na schodach.

Yennefer zbliżyła się do Geralta, dłonią w białej koronkowej rękawiczce poprawiła mu kołnierz czarnego, szamerowanego srebrem kaftana. Wiedźmin podał jej ramię.

- Geralt - szepnęła mu tuż obok ucha - wciąż nie mogę w to uwierzyć...

- Yen - odszepnęła. - Kocham cię.

- Wiem.

XI

- Gdzie, do jasnej cholery, jest Herwig?

- Nie mam pojęcia - rzekł Jaskier, przecierając rękawem kłamry modnego kubraka barwy wrzосу. - A gdzie jest Ciri?

- Nie wiem - zmarszczyła się Yennefer i pociągnęła nosem. - Ależ śmierdzi od ciebie pietruszką, Jaskier. Przeszedłeś na wegetarianizm?

Goście schodzili się, powoli zapelniając ogromną kaplicę. Agloval, cały w ceremonialnej czerni, prowadził biało-seledynową Sh'eenaz, obok nich dreptała gromada niziołków w brązach, beżach i ochrach, Yarpen Zigrin i smok Villentretenmerth, obaj skrzący się od złota, Freixenet i Dorregaray we fioletach, królewscy posłowie w barwach heraldycznych, elfy i driady w zieleniach i znajomi Jaskra we wszystkich kolorach tęczy.

- Widział ktoś Lokiego? - spytał Myszowór.

- Loki? - Eskel, podchodząc, spojrzał na nich zza bażancich piór, dekorujących beret.

- Loki był z Herwigiem na rybach. Widziałem ich w łódce na jeziorze. Ciri tam pojechała, by im powiedzieć, że się zaczyna.

- Dawno?

- Dawno.

- Niech ich zaraza, zasranych rybaków - zaklął Crach an Craite. - Gdy im ryba bierze, zapominają o bożym świecie. Ragnar, leć po nich.

- Zaraz - powiedziała Braenn, strzepując dmuchawiec z głębokiego dekoltu. - Tu potrzebny jest ktoś, kto szybko biega. Mona, Kashka! Raenn'ess aen laeke, va!

- Mówiłam - parsknęła Nenneke - że na Herwiga liczyć nie można.

Nieodpowiedzialny głupek, jak wszyscy ateści. Kto wpadł na to, by właśnie jemu powierzyć rolę mistrza ceremonii?

- Jest królem - rzekł niepewnie Geralt. - Chociaż byłem, ale królem...

- Sto lat, sto lat... - zaśpiewał niespodziewanie jeden z proroków, ale treserka krokodyli uciszyła go ciosem w kark. W gromadce niziołków zakotłowało się, ktoś zaklął, a ktoś inny dostał kuksańca. Gardenia Biberveldt wrzasnęła, bo doppler Tellico

przydeptał jej suknię. Medium płci żeńskiej zaczęło szlochać, zupełnie bez powodu.

- Jeszcze chwila - zasyczała Yennefer zza mile uśmiechniętych warg, mnąc bukiet. - Jeszcze chwila, a szlag mnie trafi. Niech to się wreszcie zacznie. I niech to się wreszcie skończy.

- Nie wierć się, Yen - warknęła Triss. - Bo tren się urwie!

- Gdzie jest gnom Schuttenbach? - wrzasnął któryś z poetów.

- Pojęcia nie mamy! - odwrzasnęły chórem cztery dziwki.

- To niech go ktoś poszuka, do cholery! - krzyknął Jaskier. - Obiecał nazrywać kwiatów! I co teraz? Ani Schuttenbacha, ani kwiatów! I jak my wyglądamy?

Przy wejściu do kaplicy zakotłowało się i do środka wbiegły obie wysłane nad jezioro driady, krzycząc cienko, a za nimi wpadł Loki, ociekający wodą i szlamem, krwawiący z rany na czole.

- Loki! - krzyknął Crach an Craite. - Co się stało?

- Maaamaaaaa! - rozdarła się Kashka.

- Que'ss aen? - Braenn dopadła córek, cała roztrzęsiona, w podnieceniu przechodząc na dialekt brokilońskich driad. - Que'ss aen? Que suecc'ss feal, caer me?

- Wywalił nam łódkę... - wydyszał Loki. - Przy samym brzegu... Straszny potwór! Walnąłem go wiosłem, ale przegryzł, przegryzł wiosło!

- Kto? Co?

- Geralt! - krzyknęła Braenn. - Geralt, Mona mówi, że to cinerea!

- Żyrytwa! - wrzasnął wiedźmin. - Eskel, leć po mój miecz!

- Moja różdżka! - krzyknął Dorregaray. - Radcliffe! Gdzie moja różdżka?

- Ciri! - zawołał Loki, ocierając krew z czoła. - Ciri się z nim bije! Z tym potworem!

- Psiakrew! Ciri nie ma z żyrytwą żadnych szans! Eskel! Konia!

- Czekać! - Yennefer zdarła diademik i cisnęła nim o posadzkę. - Teleportujemy was! Będzie prędzej! Dorregaray, Triss, Radcliffe! Dajcie ręce...

Wszyscy zamilkli, a potem wrzasnęli głośno. W drzwiach kaplicy stanął król Herwig, mokry, ale cały. Obok niego stał młodzutki chłopak z gołą głową, w błyszczącej zbroi dziwnego systemu. A za nimi weszła Ciri, ociekająca wodą, ubłocona, rozczochrana, z Gveirem w dłoni. W poprzek jej policzka, od skroni po podbródek, biegło głębokie, paskudne cięcie, krwawiące silnie przez przyciskany do twarzy udarty rękaw koszuli.

- Ciri!!!

- Zabiłam ją - powiedziała niewyraźnie wiedźminka. - Rozwaliłam jej łeb.

Zachwiała się. Geralt, Eskel i Jaskier podtrzymali ją, unieśli. Ciri nie wypuściła miecza.

- Znowu... - stęknął poeta. - Znowu dostała prosto w buzię... Co za cholernego pecha ma ta dziewczyna...

Yennefer jęknęła głośno, dopadła Ciri, odpychając Jarre, który z jedną ręką tylko zawadzał. Nie bacząc, że zmieszana z mułem i wodą krew plami i niszczy jej suknię,

czarodziejka przyłożyła wiedźmince palce do twarzy i wykrzyczała zaklęcie. Geraltowi wydało się, że cały zamek zadygotał, a słońce na sekundę przygasło.

Yennefer odjęła dłoń od twarzy Ciri i wszyscy ochnęli z podziwu - ohydna rana ściągnęła się w cieniutką, czerwoną kreskę, zaznaczoną kilkoma małymi kropelkami krwi. Ciri obwisała w trzymających ją ramionach.

- Brawo - rzekł Dorregaray. - Ręka mistrza.

- Moje uznanie, Yen - powiedziała głucho Triss, a Nenneke rozplakała się.

Yennefer uśmiechnęła się, przewróciła oczami i zemdląła. Geralt zdołał chwycić ją, nim osunęła się na ziemię, miękka jak jedwabna wstęga.

XII

- Spokojnie, Geralt - powiedziała Nenneke. - Bez nerwów. To jej zaraz minie. Wysiliła się i to wszystko, a do tego emocja... Ona bardzo kocha Ciri, wiesz przecież.

- Wiem - Geralt uniósł głowę, popatrzył na młodzika w błyszczącej zbroi, stojącego przed drzwiami komnaty.

- Słuchaj no, synku, wracaj do kaplicy. Nic tu po tobie. A tak między nami, to ktoś ty taki?

- Jestem... Jestem Galahad - bąknął rycerzyk. - Czy mogę... Czy wolno mi zapytać, jak się czuje ta piękna i waleczna panna?

- Która? - uśmiechnął się wiedźmin. - Są dwie, obie piękne, obie waleczne i obie panny, z czego jedna jest jeszcze panną przez przypadek. O którą ci chodzi?

Młodzik zaczerwienił się wyraźnie.

- O tę... młodszą... - powiedział. - O tę, która bez wahania rzuciła się, by ratować Króla Rybaka.

- Kogo?

- On ma na myśli Herwiga - wtrąciła Nenneke. - Żyrytwa zaatakowała łódź, z której Herwig i Loki łowili ryby. Ciri rzuciła się na żyrytwę, a ten młodzian, który przypadkowo znalazł się w okolicy, pospieszył jej z pomocą.

- Pomogłeś Ciri - wiedźmin spojrzał na rycerzyka uważniej i życzliwiej. - Jak cię zwą? Zapomniałem.

- Galahad. Czy to jest Avalon, zamek Króla Rybaka?

Drzwi otworzyły się, stanęła w nich Yennefer, trochę blada, podtrzymywana przez Triss Merigold.

- Yen!

- Idziemy do kaplicy - oznajmiła cichym głosem czarodziejka. - Goście czekają.

- Yen... może przełożymy...

- Zostanę twoją żoną, choćby mnie mieli diabli porwać! I zostanę nią zaraz!

- A Ciri?

- Co, Ciri? - wiedźminka wyłoniła się zza pleców Yennefer, wcierając glamarye w zdrowy policzek. - Wszystko jest w porządku, Geralt. To głupie draśnięcie, nawet nie poczułam.

Galahad, skrzypiąc i brzęcząc zbroją, ukląkł, a raczej zwałił się na jedno kolano.

- Piękna pani...

Wielkie oczy Ciri zrobiły się jeszcze większe.

- Ciri, pozwól - rzekł wiedźmin. - To jest rycerz... hmm... Galahad. Znacie się już. Pomógł ci, gdy walczyłeś z żyrytwą.

Ciri oblała się rumieńcem. Glamarye zaczynało działać, więc rumieniec ten był naprawdę uroczy, a blizny prawie nie było widać.

- Pani - wybąkał Galahad - uczyn mi łaskę. Pozwól, o piękna, bym u stop twoich...

- Jak znam życie, on pragnie być twoim rycerzem, Ciri - powiedziała Triss Merigold.

Wiedźminka założyła ręce za plecy i dygnęła z wdziękiem, wciąż nic nie mówiąc.

- Goście czekają - przerwała Yennefer. - Galahad, widzę, że nie tylko waleczny, ale i uprzejmy z ciebie chłopak. Walczyłeś ramię w ramię z moją córką, podasz jej więc ramię w czasie uroczystości. Ciri, biegiem, przebieraj się w suknię. Geralt, uczesz się i włóż koszulę do spodni, bo ci wylazła. Chcę was wszystkich widzieć w kaplicy za dziesięć minut!

XIII

Ślub udał się znakomicie. Panie i panny popłakały się gremialnie. Ceremonię poprowadził Herwig, chociaż były, ale jednak król. Vesemir z Kaer Morhen i Nenneke odegrali role rodziców narzeczonych, a Triss Merigold i Eskel robili za drużbów. Galahad prowadził Ciri, a Ciri czerwieniła się jak piwonია.

Ci, którzy mieli miecze, utworzyli szpaler. Koledzy Jaskra brzdąkali na lutniach i gęślach i śpiewali pieśń specjalnie ułożoną na tę okazję, przy czym w refrenie wspomogły ich rude córki Freixeneta i syrena Sh'eenaz, słynąca szeroko z pięknego głosu.

Jaskier wygłosił mowę, życzył nowożeńcom szczęścia, powodzenia, a nade wszystko udanej nocy poślubnej, za co dostał od Yennefer kopniaka w kostkę.

Potem wszyscy kopnęli się do sali tronowej i oblegli stół. Geralt i Yennefer, z dłońmi wciąż związanymi jedwabną szarfą, zasiedli w szczycie, skąd uśmiechali się, odpowiadając na toasty i życzenia.

Goście, którzy w większości wyhulali się i wyswawolili ubiegłej nocy, ucztowali statecznie i dystygowanie - i przez zadziwiająco długi czas nikt się nie urzynał.

Niespodziewanym wyjątkiem był Jednoręki Jarre, który przebrał miarę, nie mogąc znieść widoku Ciri, płonącej rumieńcami pod maślanym wzrokiem Galahada. Nikt również nie zniknął, jeśli nie liczyć Kashki, którą jednak wkrótce odnaleziono pod stołem, śpiącą na psie.

Upiorom zamczyska Rozrog poprzednia noc także musiała dać się we znaki, bo nie dawały znaku życia. Wyjątek stanowił obwieszony resztkami całunu kościotrup, który znieńacka wychynął z podłogi za plecami Aglovala, Freixeneta i Myszowora. Książę, baron i druid zajęci jednak byli dyskusją o polityce i zlekceważyli zjawę. Kościotrup rozeźlił się brakiem uwagi, przesunął się wzdłuż stołu i zaszczekał zębami tuż nad uchem Triss Merigold. Czarodziejka, czule przytulona do ramienia Eskela z Kaer Morhen, uniosła wdzięcznie białą rączkę i strzeliła palcami. Kośćmi zajęły się psy.

- Niechaj wielka Melitele wam sprzyja, kochani - Nenneke pocałowała Yennefer i stuknęła pucharem w kielich Geralta. - Cholernie wiele czasu wam to zajęło, ale nareszcie jesteście razem. Cieszę się ogromnie, ale mam nadzieję, że Ciri nie weźmie z was przykładu i jeżeli sobie kogoś znajdzie, będzie krócej zwlekać.

- Wygląda - Geralt ruchem głowy wskazał na zapatrzonego w wiedźminkę Galahada - że już sobie kogoś znalazła.

- Mówisz o tym dziwaku? - zachnęła się kapłanka. - O nie. Nie będzie chleba z tej mąki. Przyjrzałeś mu się? Nie? To zobacz, co on robi. Niby migdali się do Ciri, a bez przerwy ogląda i obmacuje wszystkie puchary i kubki na stole. Sam przyznasz, to niezbyt normalne zachowanie. Dziwię się tej dziewczynie, że gapi się na niego jak na obraz. Jarre, o, to co innego. Chłopak rozumny, stateczny...

- Twój rozumny i stateczny Jarre właśnie osunął się pod stół - przerwała zimno Yennefer. - Dość już o tym, Nenneke. Ciri idzie do nas.

Popielatowłosa wiedźminka usiadła na zwolnionym przez Herwiga miejscu i przytuliła się mocno do czarodziejki.

- Wyjeżdżam - powiedziała cicho.

- Wiem, córeczko.

- Galahad... Galahad... jedzie ze mną. Nie wiem, po co. Ale przecież nie mogę mu zabronić, prawda?

- Prawda. Geralt! - Yennefer uniosła na męża oczy, płonące ciepłym fioletem. - Przejdź się dookoła stołu, porozmawiaj z gośćmi. Pozwalam ci też wypić. Jeden puchar. Mały. A ja chciałabym porozmawiać tu z moją córką, jak kobieta z kobietą.

Wiedźmin westchnął.

Przy stole robiło się coraz weselej. Kompania Jaskra śpiewała piosenki, i to takie, że Annice, córce wójta Caldemeyna, krew uderzyła na policzki. Smok Villentretenmerth, mocno podchmielony, obejmował jeszcze bardziej podchmielonego dopplera Tellico i przekonywał go, że zamienienie się w księcia Aglovala celem zastąpienia tegoż w łóżu syreny Sh'eenaz byłoby nietaktem towarzyskim.

Rude córki Freixeneta wylażyły ze skóry, by spodobać się posłom królewskim, a posłowie królewscy próbowali na rozmaite sposoby imponować driadom, co w sumie powodowało istne pandemonium. Yarpen Zigrin, pociągając perkatym nosem, tłumaczył Chireadanowi, że jako dziecko pragnął być elfem. Myszowór wrzeszczał, że rząd się nie utrzyma, a Agloval, że wręcz przeciwnie. Nikt nie wiedział, o jaki rząd chodziło. Herwig opowiadał Gardenii Biberveldt o ogromnym karpiu, którego wyholował na wędkę z pojedynczego końskiego włosa. Hobbitka sennie kiwała głową, od czasu do czasu wrzeszcząc na męża, by przestał chlać.

Po kruzgankach biegali prorocy i treserka krokodyli, nadaremnie próbując odnaleźć gnoma Schuttenbacha. Freya, dosyć widocznie mając słabowitych mężczyzn, piła ostro z medium płci żeńskiej, przy czym obie zachowywały pełne powagi i godności milczenie.

Geralt okrążył stół, stukając się, podstawiając plecy pod gratulacyjne ciosy i policzki pod gratulacyjne całusy. Zbliżył się wreszcie do miejsca, gdzie do opuszczonego przez Ciri Galahada przysiadł się Jaskier. Galahad, wpatrując się w puchar poety, przemawiał, a poeta mrużył oczy i udawał zainteresowanie. Geralt przystanął za nimi.

- Wsiadłem tedy do tej łodzi - mówił Galahad - i odpłynąłem we mgłę, choć przyznam się wam, panie Jaskier, że serce zamierało we mnie ze zgrozy... I wyznam wam, że wówczas zwątpił. Myślałem, że oto nastał mój koniec, zginę niechybnie w tej mgle nieprzejrzanej... I wtedy weszło słońce, zaśniło na wodzie jak... jak złoto... I oto widzę przed oczami mymi... Avalon. Bo to wszak jest Avalon, prawda?

- Nie - zaprzeczył Jaskier, nalewając. - To jest Schwemmland, co się tłumaczy jako "Mokradło". Pij, Galahad.

- A ten zamek... Wszakże jest to zamek Montsalvat?

- Pod żadnym pozorem. To jest Rozrog. Nigdy nie słyszałem, synku, o zamku Montsalvat. A jeśli ja o czymś nie słyszałem, to znaczy, że nic takiego nie istnieje. Zdrowie młodej pary, synku!

- Zdrowie, panie Jaskier. Ale wszakże ów król... Jest-li on Królem Rybakiem?

- Herwig? Fakt, lubi wędkować. Dawniej wołał polowania, ale odkąd okalawili go w bitwie pod Orth, nie może jeździć konno. Ale nie nazywaj go Królem Rybakiem, Galahad, raz, że to brzmi wielce głupio, a dwa, że Herwigowi może być przykro.

Galahad milczał długo, bawiąc się pustym w połowie pucharem. Wreszcie westchnął ciężko, rozejrzał się.

- Mieli rację - szepnął. - To tylko legenda. Baśń. Fantazja. Krótko mówiąc: kłamstwo. Zamiast Avalonu, zwykłe Mokradło. I znikąd nadziei...

- Ejże - poeta trącił go łokciem w bok - nie popadaj w przygnębienie, synku. Skąd ta cholerna melancholia? Jesteś na swadźbie, baw się, pij, śpiewaj. Jesteś młody, życie przed tobą.

- Życie - powtórzył rycerz w zamyśleniu. - Jak to jest, panie Jaskier? Czy coś się zaczyna, czy coś się kończy?

Jaskier spojrzał na niego szybko i uważnie.

- Nie wiem - powiedział. - Ale jeśli ja tego nie wiem, to nikt tego nie wie. Wniosek: nic nigdy się nie kończy i nic się nie zaczyna.

- Nie rozumiem.

- Nie musisz.

Galahad ponownie pomyślał, marszcząc czoło.

- A Graal? - spytał wreszcie. - Co z Graalem?

- Co to jest Graal?

- Coś, czego się szuka - Galahad uniósł na poetę swoje rozmarzone oczy. - Coś, co jest najważniejsze. Coś, bez czego życie traci sens. Coś, bez czego jest się niepełnym, niedokończonym, niedoskonałym.

Poeta wydał wargi i spojrzał na rycerza swym słynnym spojrzeniem, wzrokiem, w którym wyniosłość mieszała się z wesołą życzliwością.

- Cały wieczór - powiedział - siedziałeś obok twego Graala, matolku.

XIV

Około północy, gdy goście zaczęli już na dobre wystarczać sami sobie, a Geralt i Yennefer, zwolnieni z ceremoniału, mogli w spokoju popatrzeć sobie w oczy, drzwi otwały się z hukiem i do halli wkroczył rozbójnik Vissing, znany powszechnie pod przezwiskiem Łup-Cup. Łup-Cup miał około dwóch metrów wzrostu, brodę do pasa i nos kształtu i koloru rzodkiewki. Na jednym ramieniu rozbójnik niósł swoją słynną maczugę Słomkę, a na drugim ogromny wór.

Geralt i Yennefer znali Łup-Cupa jeszcze z dawnych czasów. Żadne z nich nie pomyślało jednak o tym, by go zaprosić. Była to ewidentnie robota Jaskra.

- Witaj, Vissing - rzekła z uśmiechem czarodziejka. - To miło, żeś o nas pamiętał. Rozgość się.

Rozbójnik uklonił się dystyngowanie, opierając się na Słomce.

- Wiele lat radości i kupę dzieci - oznajmił gromko. - Tego życzę wam, kochani. Sto lat w szczęściu, co ja gadam, dwieście, kurwa, dwieście! Ach, jakem rad, Geralt, i wy, pani Yennefer. Zawszem wierzył, że się pobierzecie, chociażście się zawsze kłócili i żarli jak te, nie przymierzając, psy. Ach, kurwa, co ja gadam...

- Witaj, witaj, Vissing - powiedział wiedźmin, nalewając wina w największy puchar, jaki stał w okolicy. - Wypij nasze zdrowie. Skąd przybywasz? Rozeszła się wieść, że siedzisz w lochu.

- Wyszedłem - Łup-Cup wypił duszkiem, westchnął głęboko. - Wyszedłem za tą, jak jej tam, kurwa, kaucją. A tu, moi drodzy, jest dla was podarek. Macie.

- Co to jest? - mruknął Geralt, patrząc na wielki worek, w którym coś się poruszało.

- Po drodze złapałem - rzekł Łup-Cup. - Nadybałem go na kwietniku, kędy stoi owa goła baba, w kamieniu kuta. Wiecie, ta, co ją gołębie obsrały...

- Co jest w tym worku?

- A, taki, jakby to powiedzieć, diabeł. Złapałem go dla was, w podarunku. Macie tu zwierzyniec? Nie? To go sobie wypchacie i powiesicie w sieni, będą się wasi goście dziwować. Zmyślne bydlę, mówię wam, ten diabeł. Gada, że nazywa się Schuttenbach.

"Battle dust"

Szyby z okien wyleciały już wcześniej - teraz, gdy "Nashville" odpalił torpedy, wyleciały ramy i futryny. Rzecz jasna, "Nashville" nie strzelał do nas, tego budynek biurowca nie wytrzymałby z pewnością. Torpedy walnęły w kompleks siłowni, której wciąż broniły niedobitki grupy szturmowej Novaka. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, grupa Novaka wciąż odpowiadała ogniem - świetliste nitki ciężkich laserów tańczyły płomieniem na kadłubie flagowego krążownika Kompanii Ifigenia-Thetis. Niestety, tungstenowy pancerz krążownika niewiele od tego cierpiał.

Yamashiro powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, a wówczas okazało się, że z całego korpusu oficerskiego naszej wspaniałej, najemnej bandy tą najbardziej impulsywną i najmniej opanowaną jest Valerie van Houten. Wszyscy znaliśmy Valerie van Houten. Dlatego absolutnie nie zdziwiło nas to, co zrobiła.

Valerie kopniakiem przewróciła krzesło, strącając z niego całą kupę klipów do karabinów typu Craftsman MkIII, po czym soczyście napluła na migocący, poprzecinany liniami zakłóceń ekran monitora.

- Ty pierdolony skurwysynu! - rozdarła się niemelodyjnie. - Ty...

Darła się przez jakieś pół minuty i ani razu nie powtórzyła. A nam wszystkim wydawało się, że to, co wstrząsa ścianami budynku, to nie wybuchy pocisków, rakiet i fotonowych torped, ale jej wrzaski.

Yamashiro skrzywił się na ekranie, zupełnie jakby mógł widzieć spływającą po kryształach ślinę Valerie.

- Jakież to płaskie - powiedział. - Jakież trywialne...

- I jakież prawdziwe - nie wytrzymałem. - Jesteś pierdolonym skurwysynem, Yamashiro-san, i nie tylko. Tym, co właśnie nam zakomunikowałeś, udowodniłeś, czym jesteś. I świetnie wiesz, jaki z ciebie skurwysyn. Teraz, gdy opanowaliśmy cały kompleks, gdy praktycznie panujemy nad miastem, ty, zamiast przysłać tu patrolowce Koncernu, beczelnie każesz nam kapitulować, bo twoja firma dogadała się tymczasem z Ifigenią-Thetis i wyszło na to, że cała ta cholerna wojna nie była nikomu potrzebna? Teraz nam to mówisz? Teraz, gdy "Nashville" masakruje nas torpedami?

- Przypominam - powiedział Yamashiro zza pasków zakłóceń - że mówimy o faktach. O faktach, na które nikt z nas nie ma wpływu. Ani wy, ani tym bardziej ja. Ja o tych faktach po prostu informuję, więc obrzucanie mnie inwektywami nie wydaje się ani słuszne, ani celowe. Sytuacji to również nie zmieni. To jest, moi panowie - i panie - force majeure, siła wyższa. Przekazuję wam ultimatum Ifigenii-Thetis. Jeżeli się natychmiast nie poddadacie, "Nashville" i "Electra" będą kontynuować ostrzał kompleksu. A potem wysadzą desant. Stawiający opór będą rozstrzeliwani na miejscu...

- Yamashiro - przerwałem, starając się zachować spokój. - To ty podpisywałeś nasz kontrakt w imieniu Koncernu. Tym samym złotym Parkerem, który wystaje ci z

butonierki. A w tym pieprzonym kontrakcie jest klauzula, gwarantująca nam opiekę i ochronę na wypadek niepowodzenia akcji. Wiesz, dlaczego ta klauzula znalazła się w kontrakcie. Ifigenia-Thetis nie przyznaje żołnierzom najemnym żadnych praw konwencyjnych. Jeżeli się poddamy, wykończą nas. Wywiąż się z kontraktu, Yamashiro!

- Przykro mi, komandorze Lemoine, ale kontraktu już nie ma. Podpisywałem go, mając pełnomocnictwa Rady Nadzorczej Koncernu Schraeder & Haikatsu. A teraz, na mocy podobnych pełnomocnictw, czynię kontrakt nieważnym. Null and void. Rzecz jasna, na podstawie klauzuli trzeciej aneksu do kontraktu możecie wystąpić o odszkodowanie na drodze sądowej...

Culture Vulture odrzucił głowę do tyłu i zaryczał dzikim, oślim rechotem. Śmiech był tak zaraźliwy, że wszyscy, kolejno, zaczęliśmy ryczeć i zataczać się i ronić łzy. Najpierw Papa Cuxart. Potem Muireann Tully, cienko, piskliwie, po dziewczęcemu. Potem Jaime Santacana, krzywiąc się, bo spazmy wesołości powodowały ból w poparzonym laserem ramieniu. Potem dołączyłem ja, a na końcu Valerie.

Yamashiro to nie rozbawiło. Skrzywił się, otworzył usta, by coś powiedzieć. Nie zdążył. Muireann Tully wyciągnęła z kabury swego staromodnego Walthera i władowała w ekran trzy pociski, dzięki czemu po przenośnym monitorze zostały tylko dymiące bryzgi na ścianach i suficie.

- End of transmission - powiedziała spokojnie. - No confirmation required. Co robimy, Thierry?

- Padamy na podłogę!

Padliśmy, i w samą porę. "Nashville" i "Electra", która dołączyła do niego, zasypały kompleks lawiną ognia. Wyplułem tynk i poliuretanowe kłaki z wykładziny podłogowej, po czym włączyłem transmitter.

- Novak! - wrzasnałem, starając się przekrzyczeć rumor i łomot. - Melduj, co u ciebie, over!

Transmitter zatrzeszczał. Novak mówił szybko, niewyraźnie i też przekrzykiwał huk eksplozji i wystrzałów. Rozróżniałem co trzecie słowo, ale rozumiałem sens. Po wyeliminowaniu z wypowiedzi Novaka wszystkich plugawych słów zostawało samo gęste: na Promenadzie jest beznadziejnie, lustrzaki nacierają bez przerwy, kończy się amunicja, nie utrzymam się, kurwa ich mać, over.

Culture Vulture odwrócił się od komputera, przy którym klęczał.

- Mam ich - powiedział. - Mam "Nashville". Wywołać? Będiesz paktował?

- Wywołaj - zdecydowałem. - Będę paktował. Trudno, Koncern zostawił nas na lodzie, jedyne, co możemy zrobić, to ratować ludzi. Koniec, chłopcy. Nie mamy już o co się bić, kontraktu nie ma, pieniędzy nie ma. Dobrze, że chociaż zaliczka jest bezpieczna w Credit Betelgeuse. Jaime, wydaj rozkaz dla grup. Cease fire, złożyć broń, emitować sygnał kapitulacji na wszystkich kanałach. Valerie, zamknij się! Zamiast pyskować,

spróbuj złapać "Hermione", a potem wjedą na Private Mode Novaka, Cuypersa i Raikinnena. Nadaj im... S.Y.A. Od tej chwili każdy za siebie.

- A my?

- My też. Zrób, co powiedziałem.

- Do centrum dowodzenia Kompanii Ifigenia-Thetis - powtarzał do mikrofonu Culture Vulture. - Do centrum dowodzenia Kompanii Ifigenia-Thetis na pokładzie krążownika "Nashville"...

Santacana bluznął nagle do transmittera serią malowniczych, hiszpańskich wyzwick, opartych głównie na procesie zanieczyszczania mleka matki różnymi cieczami, wytwarzanymi przez ludzki organizm. Domyśliłem się, że któraś z bardziej wojowniczych grup szurmowych protestowała przeciwko "Cease fire". I rzeczywiście, kanonada nie ustawała. Lasery i czterolufowe Oerlikony z Promenady nadal smoliły kostropate kadłuby wiszących nad kompleksem krążowników.

- "Hermione" dostała torpedę - Valerie wyciągnęła słuchawkę z ucha. - Słyszysz, Thierry? "Electra" ostrzelała platformę. Raikinnen odparł natarcie lustrzaków, ale "Hermione" nie jest zdolna do startu!

- Nadałaś Einarowi S.Y.A.?

- Już to robię. Raikinnen, słyszysz mnie, over? Masz S.Y.A. od Lemoina! S.Y.A., over! Jak to, nie rozumiesz? Save your ass! Ratuj dupę! A skąd ja mam wiedzieć, w jaki sposób? E.O.T., no confirmation! Co teraz, Thierry?

- Kontaktuj "Sterreta"!

- Do centrum dowodzenia....- powtarzał Culture Vulture.

Od strony kompleksu energetycznego zrobiło się ciszej. Strzelały tylko "Nashville" i "Electra", orząc ziemię i budynki promieniami laserów i bąblami fotonowych torped. Spojrzałem na Santacanę, Santacana potwierdził skinieniem głowy, po czym wybrał na transmitterze kod następnej grupy. Culture Vulture wciąż wywoływał "Nashville". A Muireann Tully i Papa Cuxart, którym nigdy nie trzeba było wiele tłumaczyć, nie tracili czasu - pospiesznie ładowali klipy i energizery do naszego podręcznego arsenału - sześciu Craftsmanów, ręcznego lasera typu SACO Mini Silverlode, dwóch termitowych granatników Mitsuoki AGS i naszej dumy - supernowoczesnego flamera "Stalwart" firmy "Interdynamic".

- Myślisz o przebiciu się? - Valerie spojrzała na arsenał kątem oka. - Dokąd? "Sterret" nie odpowiada, pewnie rozpieprzyli go, tak jak "Hermione". Nie mamy do czego się przebijać. Thierry ma rację. To koniec, Siobhan.

- Valerie - Muireann Tully uniosła głowę, odgarnęła z czoła rude, lekko kręcone włosy. "Siobhan", to był jej pseudonim, jeszcze z IRA. - Nie wiem, jak ty, ale ja nie zamierzam się poddawać.

- Ani ja - powiedział Papa Cuxart, nie podnosząc głowy. - Ja mam dwa wyroki śmierci, w "Marubeni Ito" i w Federacji. Nawet jeśli lustrzaki mnie na miejscu nie

rozwałą, podpadnę pod ekstradycję...

- "Nashville" na linii - przerwał Culture Vulture. - Thierry, nie zgadniesz, kto...

- Zgadnę - powiedziałem. - Daj mnie na fonię. I zakłóć wizję. Nie chcę patrzeć na skurwysyna, i nie chcę, żeby on na mnie patrzył.

- Możesz mówić.

- Komandor Lemoine do "Nashville" - odchrząknąłem, nie będąc specjalnie zadowolonym z brzmienia mego głosu. - Komandor Lemoine...

- Nie traćmy czasu na zbędne gadanie - rozległ się w pomieszczeniu wredny, zimny i trzaskliwy głos Żaby. - Bezwarunkowa kapitulacja, Lemoine. Surrender U.C. Żadnych przetargów ani negocjacji. Natychmiastowe przerwanie ognia, blokada łączności i komputerów dowodzenia, wyłączenie laserów naprowadzających, złożenie broni i zabezpieczenie sprzętu. Confirm.

- Jedyne, co w tej chwili prowadzi ogień, to twoje krążowniki, Ruskin.

- Chciałbym wierzyć, że to prawda. Dobrze więc, Lemoine. Wydaję rozkaz wstrzymania ostrzału. Wysadzam desant na teren kompleksu. Ostrzegam jednak, że jakakolwiek próba stawiania oporu lub niszczenie własności Kompanii będą karane. Na miejscu i surowo. Podaj mi twoje koordynaty, komandorze. Wyślę oddział specjalny, po ciebie i po... następujących oficerów: John Cuxart...

Papa skrzywił się ironicznie.

- Maynard Mannering...

Culture Vulture splunął na zagruzowaną podłogę.

- Jaime Santacana - kontynuował zimno Żaba. - Muireann "Siobhan" Tully, Leslie Novak, Einar Raikinen, Jan Willem Cuypers, Valerie van Houten...

Muireann uśmiechnęła się słodko do Valerie, po czym wręczyła jej Craftsmana, torbę klipów i bandolier z granatami. Valerie przyjęła.

- Confirm and re-confirm - zażądał Ruskin, skończywszy wyszczekiwać nazwiska tych, na których ciążyły wyroki. Admirał Ruskin. Dawniej, gdy jeszcze był najemnikiem, jak my, i nie był jeszcze admirałem, zwany był Żabą z racji specyficznej urody.

Culture Vulture mrugnął do mnie, po czym wystukał na klawiaturze koordynaty Platformy Rogersa, od której dzieliło nas sześć kilometrów.

- Confirm, Ruskin - odmrugnąłem, biorąc z rąk Muireann naładowanego Craftsmana. - Surrender U.C. in force. Czekamy na twój oddział w podanych koordynatach. See you later, alligator. E.O.T., N.C.R. Rozłączyłeś, Vulture?

- Jasne, że tak.

- No, to... - zważyłem karabin w rękę. - Pocałuj nas w dupę, Żabo.

Dopadli nas na Trzecim Poziomie. Być może orientowali się, że wiemy o doku, w którym stoi "Isogi Maru". Być może Żaba znał nas na tyle dobrze, by antycypować nasze ruchy. A może po prostu mieli szczęście. Szczęście, którego nam zabrakło.

Nadjechali w czterech ATV wyposażonych w czujniki i lokatory Infra-R, bo zmacali nas ogniem jeszcze wtedy, gdy zdawało się nam, że kryją nas ciemność i dym. Z punktu rąbnęli w nas wszystkim, co mieli - rakietami, plazmą, napalmem, pociskami SLAP. Istny overkill.

Załatwili połowę chłopaków z plutonu ochrony. Niestety, załatwili również Santacanę, który ich prowadził. Jaime zginął na miejscu. Szybko. Miał szczęście, drań. Ci mniej szczęśliwi, poparzeni i ranni wyli tak, że niektórzy z nas zdarli na chwilę hełmy z głów, by uciec przed tym, co dawało w słuchawkach.

Ale pozbieraliśmy się szybko. I odpowiedzieliśmy im jeszcze większym overkillem. Daliśmy im wszystko, co mieliśmy.

Muireann Tully rozwalila jeden ATV z lasera SACO, Papa rypnął drugi termitowym pociskiem z Mitsuoki. Z obu transporterów nikomu nie udało się wyjść. Z pozostałych, które zresztą też się paliły, wysypali się rangersi z Ifigenia-Thetis Interplanetary Security Forces, w swoich czarnych, kevlarowych pancerzach i hełmach z lustrzaną zasłoną, od których brali swą żargonową nazwę.

I poszło na ostro. Wśród dymu, wśród ognia i huku, wśród wrzasku, wśród szumu i syku lejącej się ze sprinklerów wody. Lustrzaki myśleli widocznie, że nas zepchną samym impetem, że wtłoczą nas w korytarze, na Drugi Poziom. Ale my nie mieliśmy wyjścia - my musieliśmy iść naprzód, do doku, w którym stał "Isogi Maru" - frachtowiec, który był naszą jedyną szansą.

Zanim Valerie i Papa Cuxart ustawili trójnog Stalwarta, trochę nas przycisnęli - granaty i pociski z Craftsmanów nie stanowiły dostatecznej zapory, mieli zresztą swe własne Craftsmany, mieli dwulufowe Daihatsu. I umieli ich używać. Zaczęliśmy topnieć. Oni też topnieli, ale ich było więcej.

Ale za moment przemówił Stalwart. Lasciate ogni speranza, powiedział, a Trzeci Poziom zamienił się w dantejskie piekło. Valerie, na kolanach, z policzkiem przy obudowie celownika, wrzeszczała jak opętana, a flamer ział i sikał ogniem, od którego topił się beton i stalowe zbrojenia. Muireann i Culture Vulture walili w płomienie granat za granatem, a Papa fastrygował to wszystko cienką, czerwoną nitką z SACO.

- Dość! - wrzasnąłem, widząc, że naprawdę dość. - Dość, Valerie! Przerwij ogień!

Podniosła głowę znad celownika. Oczy miała błędne, na brudnej twarzy łzy wyrysowały makabryczny wzór. Podniosłem z ziemi Mitsuoki. Był załadowany. Odpaliłem go spod pachy, nie celując. Termit wypalił w ścianie hali dziurę, przez którą bez trudu przejechałby ATV. Papa Cuxart delikatnie odsunął Valerie, podniósł Stalwarta razem z trójnogiem.

- Zostaw - warknąłem. - Zrobił, co do niego należało. Nie możemy taszczyć ze

sobą ciężkiego sprzętu! Bierzcie tylko karabiny i SACO. Siobhan, Vulture, do dziury, wymiatajcie front! Idziemy do doku! Za chwilę otoczą kompleks! Valerie, co z tobą? Na nogi, kurwa, wstawaj!

Valerie zachłysnęła się, rozkaszała, patrząc na to, co leżało dookoła nas, a tym, co leżało dookoła, były krwawe ochłapy, które zostały z grupy ochrony. Szarpnąłem ją brutalnie, poderwałem z kolan. Spojrzała mi prosto w oczy. A ja nagle poczułem żal. Żałowałem, że nic mnie z Valerie nie łączyło. Nic, choć był taki czas, że coś nas mogło połączyć. A ja już wtedy wiedziałem, że ten czas nie wróci już nigdy.

Pobiegliśmy. Z dala, zza dymu, ognia i wody, słyszałem już ryk kolejnych transporterów, wdzierających się na gruzy na balonowych kołach.

"Isogi Maru"!

Stalowe schody. Platforma z poręczami. Huk i krzyk, czarne sylwetki w lustrzanych hełmach. Na górze i na dole. A my w środku. Dookoła nas żelastwo zaiskrzyło się od pocisków. "Isogi Maru"!

Cuda zdarzają się rzadko. Nie każdego dnia. Nie tego dnia. Gdy wpadaliśmy, dysząc, w zbawczy korytarz, Papa Cuxart dostał w kark pociskiem SLAP. Jego głowa po prostu znikła, razem z hełmem i zatknęta za opaskę hełmu paczką Cameli. Jedna ręka upadła na blachę. Druga trzymała się ciała, choć trudno było powiedzieć, na czym. Przyjęliśmy to bez emocji - każde z nas miało swoje zmartwienia. Nikt nie był cały. Ociekaliśmy krwią, potykaliśmy się, padaliśmy, wstawaliśmy. "Isogi Maru"!

Na drugim podeście Muireann upadła i już nie mogła wstać. Valerie zerwała z siebie webbing, przypięła klamerki do pasów Irlandki, powlokła ją po stalowych płytach, a ja, na kolanach, wystrzelałem do ścigających nas lustrzaków wszystkie kumulacyjne rakiety z Mitsuoki. Wszystkie trzy. Ale ostatnią rozpieprzyłem schody - termit zamienił pół podestu w malowniczą pajęczynę, ociekającą iskrami i łzami stopionego metalu.

Z korytarza załomotały Craftsmany, w słuchawkach zawibrował krzyk obu dziewczyn. Pobiegłem za nimi - pobiegłem za szerokim, błyszczącym pasem krwi, jaki wleczona Muireann zostawiła na płytach.

Osaczyli nas, wyciąwszy laserami przejścia w ścianach kompleksu. Ale podest był wąski, ciasny, a wielgachna beczka zbiornika na wodę dawała nam nieco ukrycia i ochrony. Leżeliśmy, czując gorąco naszych ciał i robiliśmy wszystko, żeby przeżyć. Lustrzaki podeszli tak blisko, że niektórzy wysunęli nawet teleskopowe bagnetki na lufach swoich Daihatsu. Ale my bardzo chcieliśmy przeżyć. Ostatnich załatwiliśmy z odległości paru metrów - ja z mojego Glocka, Muireann ze swego staromodnego Walthera.

A gdy się cofnęli i dali nam odetchnąć, gdy stwierdziłem, że Culture Vulture nie żyje, gdy Muireann, wstrząsana dreszczem, leżała z twarzą na stalowej płycie, gdy Valerie skończyła bandażować sobie udo osobistym first aid packetem, ja znalazłem wyjście. Przez szyb wentylacyjny, którego pokrywę rozwaliły SLAP-y.

- Valerie! Siobhan! Prędko!

Muireann podniosła głowę.

- Nie mogę wstać - powiedziała krótko i zimno. - Nie mogę poruszyć nogami.

Kręgosłup. Zostawcie mnie.

Prawdopodobnie nie uwierzycie mi, ale wcale nie zabrzmiało to patetycznie.

Nasza profesja ma swoje zasady, swój niepisany kodeks. Uklęknałem i pocałowałem ją w brudny i zakrwawiony policzek. Potem pomogłem jej usiąść, oparłem plecami o zbiornik. Dałem jej Craftsmana i ostatni klip, jaki mi został. Valerie, też nic nie mówiąc, położyła obok niej bandolier z granatami. Obydwoma. A potem, nie oglądając się, wpęzliśmy do szybu. Ja i Valerie. Więcej nie mogliśmy zrobić dla Muireann. Naprawdę.

Nie odpełziliśmy daleko, gdy usłyszeliśmy, jak wali z Craftsmana. A w chwilę później usłyszeliśmy jej krzyk. Nie, nie krzyk. Śpiew. Muireann Siobhan Tully, ruda Muireann Siobhan Tully z Dublina, z kolorowej Fenian Street śpiewała, wypruwając ostatni klip do lustrzaków, idących ku niej po schodach z teleskopowymi bagnetami na lufach Daihatsu.

In Dublin's fair city

Where the girls are so pretty...

Craftsman zachłysnął się i zamilkł, po czym oba granaty eksplodowały w krótkich odstępach.

I first set my eyes on sweet Molly Malone...

Wystrzały z jej staromodnego Walthera. Jeden, drugi, trzeci... I śpiew, coraz dzikszyszy, coraz rozpaczliwszy.

As she wheeled her wheelbarrow

Thru' streets broad and narrow,

Crying...

Strzał. I cisza.

Muireann Siobhan Tully z Fenian Street.

Nic nie mogliśmy zrobić. Nic.

Kiedy wyciągnąłem ją z rury wywietrznika, na Platformę, Valerie van Houten umarła. Miała rozerwaną arterię udową. Wykrwawiła się pod byle jak założonym opatrunkiem. Przed i w czasie walki łykała Euphoral i Battle Dust, a gdy obrywała, wstrzykiwała sobie stymulanty i analgeny. Nie czuła bólu i nie zorientowała się, że umiera. Umarła w dokładnie w tym momencie, gdy znaleźli nas chłopcy Jana Cuypersa. Cuypers, gdy usłyszał, że ma S.Y.A., przypomniał sobie o doku, w którym stał zapomniany frachtowiec "Isogi Maru". I uratował dupę. Swoją, jak również tych chłopaków i dziewczyn, których prowadził, a którym udało się przebić. I moją dupę również uratował. Chociaż nie powinien się mną przejmować. Bo dając mu S.Y.A., nie powiedziałem o frachtowcu, nie powiedziałem ani jemu, ani Novakowi, ani

Raikinnenowi. Nasza profesja ma swoje prawa i zasady. Cuypers, Novak i Raikinnen mieli odwrócić uwagę, mieli ściągnąć lustrzaków na siebie. A "Isogi Maru" miał zabrać z planety mnie, Papę Cuxarta, Santacanę, Culture Vulture i Muireann Tully. I Valerie.

Ale Valerie umarła.

Odlecieliśmy, wyobraźcie sobie, bez kłopotów. Nie rozwały nas torpedy "Nashville" i "Electry", nie złapano nas na traktor, nie posłano za nami niszczycieli i ścigaczy. Cuda nie zdarzają się codziennie. Ale dla nas to był najwyraźniej ten dzień.

Odlecieliśmy.

I wtedy, na pokładzie "Isogi Maru", który po odrzuceniu ładowni okazał się wcale rączym stakiem, złożyłem bardzo głupią, wręcz szaleńczą obietnicę. Omotany bandażami i opatrunkami, nafaszerowany zastrzykami, przyrzekłem coś admirałowi Ruskinowi, zwanemu Żabą, przyrzekłem coś mecenasowi Yamashiro z Koncernu Schraeder & Haikatsu, jak również Kahlenbergowi, prezydentowi tegoż Koncernu. Ma się rozumieć, nie zapomniałem w mojej obietnicy o Kompanii Ifigenia- Thetis ani o jej zbrojnym ramieniu, o lustrzakach z Interplanetary Security Forces. Uwzględniłem wszystkich. I dodałem - na zapas - wszystkich tych, którzy chcieliby stanąć na drodze, którzy chcieliby przeszkodzić.

Złożyłem obietnicę. I dotrzymam jej. Niech to trwa lata, nawet dziesiątki lat, ja nie zapomnę, komu i co obiecałem. Słyszysz, Siobhan? Słyszycie mnie, Jaime, Papa, Vulture? Novak, Einar?

Słyszysz mnie, Valerie?

Cierpliwości. Ja nie zapomnę.

"Złote popołudnie"

*All in the golden afternoon
Full leisurely we glide...*

Lewis Carroll

Popołudnie zapowiadało się naprawdę ciekawie, jako jedno z tych wspaniałych popołudni, które istnieją wyłącznie po to, by spędzać je na długotrwałym i słodkim far niente, aż do rozkosznego zmęczenia się lenistwem. Rzecz jasna, błogostanu takiego nie osiąga się ot, tak sobie, bez przygotowania i bez planu, uwaliwszy się w pozycji horyzontalnej byle gdzie. Nie, moi drodzy. Wymaga to poprzedzającej go aktywności, tak intelektualnej, jak i fizycznej. Na nieróbstwo, jak mawiają, trzeba sobie zapracować.

Aby tedy nie stracić ani jednej ze ściśle wyliczonych chwil, z których zwykły się składać rozkoszne popołudnia, przystąpiłem do pracy. Udałem się do lasu i wkroczyłem weń, lekceważąc ostrzegawczą tabliczkę: BEWARE THE JABBERWOCK, ustawioną na skraju. Bez zgubnego w takich razach pośpiechu odszukałem odpowiadające kanonom sztuki drzewo i wlałem na nie. Następnie dokonałem wyboru właściwego konara, kierując się w wyborze teorią o revolutionibus orbium coelestium. Za mądrze? Powiem więc prościej: wybrałem konar, na którym przez całe popołudnie słońce będzie wygrzewać mi futro.

Słoneczko przygrzewało, kora pachniała, ptaszęta i owady śpiewały na różne głosy swą odwieczną pieśń. Położyłem się na konarze, zwiesiłem malowniczo ogon, oparłem podbródek na łapach. Już miałem zamiar zapaść w błogi letarg, już gotów byłem zademonstrować całemu światu bezbrzeżne lekceważenie, gdy nagle wysoko na niebie dostrzegłem ciemny punkt.

Punkt zbliżał się szybko. Uniosłem głowę. W normalnych warunkach może nie zniżyłbym się do skupiania uwagi na zbliżających się ciemnych punktach, albowiem w normalnych warunkach takie punkty najczęściej okazują się ptakami. Ale w Krainie, w której chwilowo zamieszkiwałem, nie panowały normalne warunki. Lecący po niebie ciemny punkt mógł przy bliższym poznaniu okazać się fortepianem.

Statystyka po raz nie wiadomo który okazała się jednakowoż być królową nauk. Zbliżający się punkt nie był, co prawda, ptakiem w klasycznym znaczeniu tego słowa, ale też i daleko było mu do fortepianu. Westchnąłem, albowiem wolałbym fortepian.

Fortepian, o ile nie leci po niebie razem ze stołkiem i siedzącym na stołku Mozartem, jest zjawiskiem przemijającym i nie drażniącym uszu. Radetzky natomiast - albowiem to właśnie Radetzky nadlatywał - potrafił być zjawiskiem hałaśliwym, upierdliwym i męczącym. Powiem nie bez złośliwości: to było w zasadzie wszystko, co Radetzky potrafił.

- Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty? - zaskrzeczał, zataczając koła nad moją głową i moim konarem. - Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty?

- Spierdalaj, Radetzky.

- Aleś ty wulgarny, Chester. Haaa-haaa! Do cats eat bats? Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty? A czy nie miewają czasami na koty nietoperze ochoty?

- Najwyraźniej pragniesz mi o czymś opowiedzieć. Zrób to i oddal się.

Radetzky zaczepił pazurki o gałąź powyżej mojego konara, zawisł głową w dół i zwinął błoniaste skrzydełka, przybierając tym samym sympatyczniejszy dla moich oczu wygląd myszy z antypodów.

- Ja coś wiem! - wrzasnął cienko.

- Nareszcie. Natura jest nieogarnięta w swej łaskawości.

- Gość! - zapiszczał nietoperz, wyginając się jak akrobata. - Gość zawitał do Krainy! Wesoooooły nam dzień nastaaaa! Mamy gościa, Chester! Prawdziwego gościa!

- Widziałeś na własne oczy?

- Nie... - stropił się, strzygąc wielkimi uszami i śmiesznie poruszając połyskliwym guziczkiem nosa. - Nie widziałem. Ale mówił mi o tym Johnny Caterpillar.

Miałem przez moment chęć zganić go surowo i nie przebierając w słowach za zakłócanie mi sjesty poprzez rozpuszczanie nie potwierdzonych plotek, powstrzymałem się jednak. Po pierwsze, Johnny "Blue" Caterpillar miał wiele przywar, ale nie było wśród nich skłonności do bujdy i konfabulowania. Po drugie, goście w Krainie byli rzeczą dość rzadką, zwykle bulwersującą, ale tym niemniej zdarzającą się wcale regularnie. Nie uwierzycie, ale raz trafił się nam nawet Inka, kompletnie odurniały od liści koki czy innej prekolumbijskiej cholery. Z tym dopiero była uciecha! Plątał się po całej okolicy, zaczepiał wszystkich, gadał w niepojętym dla nikogo narzeczu, krzyczał, pluł, bryzgał śliną, wygrażał nam nożem z obsydianu. Ale wkrótce odszedł, odszedł na zawsze, jak wszyscy. Odszedł w sposób spektakularny, okrutny i krwawy. Zajął się nim królowa Mab. I jej świta, lubiąca określać się mianem "Władców Serc". My nazywamy ich po prostu Kierami. Les Coeurs.

- Lecę - oznajmił nagle Radetzky, przerywając moją zadumę. - Lecę powiadomić innych. O gościu, znaczy się. Bywaj, Chester.

Wyciągnąłem się na konarze, nie zaszczycając go odpowiedzią. Nie zasługiwał na żaden zaszczyt. W końcu ja byłem kotem, a on tylko latającą myszą, nadaremnie usiłującą wyglądać jak miniaturowy hrabia Dracula.

Co może być gorszego od idioty w lesie?

Ten z was, który krzyknął, że nic, racji nie miał. Jest coś, co jest gorsze od idioty w lesie.

Tym czymś jest idiotka w lesie.

Idiotkę w lesie - uwaga - poznać można po następujących rzeczach: słysząc ją z odległości pół mili, co trzy lub cztery kroki wykonuje niezgrabny podskok, nuci, mówi do siebie, leżące na ścieżce szyszki stara się kopnąć, żadnej nie trafia.

A gdy dostrzeże was, leżących sobie na konarze drzewa, mówi: "Och!", po czym gapi się na was beczelnie.

- Och - powiedziała idiotka, zadzierając głowę i gapiąc się na mnie beczelnie. - Witaj, kocie.

Uśmiechnąłem się, a idiotka, choć i tak niezdrowo blada, zbladła jeszcze bardziej i założyła rączki za plecy. By ukryć ich drżenie.

- Dzień dobry, Panie Kotku - wybąkała, po czym dygnęła niezgrabnie.

- Bonjour, ma fille - odpowiedziałem, nie przestając się uśmiechać. Francuszczyzna, jak się domyślacie, miała na celu zabicie idiotki z pantałyku. Nie zdecydowałem jeszcze, co z nią zrobię, ale nie mogłem sobie odmówić zabawy. A skonfundowana idiotka to rzecz wielce zabawna.

- Ou est ma chatte? - pisnęła nagle idiotka.

Jak słusznie się domyślacie, nie była to konwersacja. To było pierwsze zdanie z jej podręcznika francuskiego. Tym niemniej ciekawa reakcja.

Poprawiłem mą pozycję na konarze. Powoli, by nie płoszyć idiotki. Jak wspomniałem, nie byłem jeszcze zdecydowany. Nie bałem się zdrzeć z Les Coeurs, którzy uzurpowali sobie wyłączne prawo do unicestwiania gości i stawiali się ostro, gdy ktoś ośmielił się ich w tym wyręczyć. Ja, będąc kotem, naturalnie olewałem ich wyłączne prawa. Olewałem, nawiasem mówiąc, wszelkie prawa. Dlatego zdarzały mi się już drobne konflikty z Les Coeurs i z ich królową, rudowłosą Mab. Nie bałem się takich konfliktów. Wręcz prowokowałem je, gdy tylko miałem chęć. Teraz jednak jakoś nie czułem specjalnej chęci. Ale pozycję na konarze poprawiłem. W razie czego wolałem załatwić sprawę jednym skokiem, bo na uganianie się za idiotką po lesie nie miałem ochoty za grosz.

- Nigdy w życiu - powiedziała dziewczynka lekko drżącym głosem - nie widziałam kota, który się uśmiecha. W taki sposób.

Poruszyłem uchem na znak, że nic to dla mnie nowego.

- Ja mam kotkę - oznajmiła. - Moja kotka nazywa się Dina. A ty jak się nazywasz?

- Ty tu jesteś gościem, drogie dziewczę. To ty powinnaś przedstawić się pierwsza.

- Przepraszam. - Dygnęła, spuszczać wzrok. Szkoda, albowiem oczy miała ciemne i jak na człowieka bardzo ładne. - Rzeczywiście, to nie było grzeczne, powinnam wpierw się przedstawić. Nazywam się Alicja. Alicja Liddell. Jestem tu, bo weszłam do króliczej nory. Za białym królikiem o różowych oczach, który miał na sobie kamizelkę. A w kieszonce kamizelki zegarek.

Inka, pomyślałem. Mówi zrozumiale, nie pluje, nie ma obsydianowego noża. Ale i tak Inka.

- Paliliśmy trawkę, panienko? - zagadnąłem grzecznie. - Łykaliśmy barbituraniki? Czy może naćpaliśmy się amfetaminki? Ma foi, wcześniej teraz dzieci zaczynają.

- Nie rozumiem ani słowa - pokręciła głową. - Nie pojęłam ani słowa z tego, co mówisz, kocie. Ani słóweczka. Ani słówenienieczka.

Mówiła dziwnie, a ubrana była jeszcze dziwniej, teraz dopiero zwróciłem na to uwagę. Rozkloszowana sukienka, fartuszek, kołnierzyk z zaokrąglonymi rogami, krótkie bufiaste rękawki, pończoszki... Tak, cholera jasna, pończoszki. I trzewiczki na rzemyczki. Fin de siecle, żebym tak zdrów był. Narkotyki i alkohol należało zatem raczej wykluczyć. O ile, rzecz jasna, jej ubiór nie był kostiumem. Mogła trafić do Krainy wprost z przedstawienia w teatrze szkolnym, gdzie grała Małą Miss Muffet siedzącą na piasku obok pajaka. Albo wprost z imprezy, na której młodociana trupa świętowała sukces spektaklu garściami prochów. I to właśnie, uznałem po namyśle, było najbardziej prawdopodobne.

- Cóż tedy zażywaliśmy? - spytałem. - Jakaż to substancja pozwoliła nam osiągnąć odmienny stan świadomości? Jakiż to preparat przeniósł nas do krainy marzeń? A może po prostu piliśmy bez umiaru ciepławy gin and tonic?

- Ja? - zarumieniła się. - Ja niczego nie piłam... To znaczy, tylko jeden, jeden maciupęńki łyżeczek... No, może dwa... Lub trzy... Ale na buteleczce była przecież karteczka z napisem: "Wypij mnie". To w żaden sposób nie mogło mi zaszkodzić.

- Zupełnie jakbym słyszał Janis Joplin.

- Słucham?

- Nieważne.

- Miałeś mi powiedzieć, jak masz na imię.

- Chester. Do usług.

- Chester leży w hrabstwie Cheshire - oznajmiła dumnie. - Uczyłam się o tym niedawno w szkole. Jesteś więc Kotem z Cheshire! A jak mi usłuszysz? Zrobisz mi coś przyjemnego?

- Nie zrobię ci niczego nieprzyjemnego - uśmiechnąłem się, szczerząc zęby i ostatecznie decydując, że jednak zostawię ją do dyspozycji Mab i Les Coeurs. - Potraktuj to jako usługę. I nie licz na więcej. Do widzenia.

- Hmmm... - zawahała się. - Dobrze, zaraz sobie pójdę... Ale wpierw... Powiedz mi, co robisz na drzewie?

- Leżę w hrabstwie Cheshire. Do widzenia.
- Ale ja... Ja nie wiem, jak stąd wyjść.
- Chodziło mi wyłącznie o to, byś się oddaliła - wyjaśniłem. - Bo jeżeli chodzi o wychodzenie, to daremny trud, Alicjo Liddell. Stąd nie da się wyjść.
- Słucham?
- Stąd nie da się wyjść, głupiutka. Należało spojrzeć na rewers karteczki na buteleczce.
- Nieprawda.

Machnąłem zwisającym z konara ogonem, co u nas, kotów, odpowiada wzruszeniu ramionami.

- Nieprawda - powtórzyła zadziornie. - Pospaceruję tu, a potem wrócę do domu. Muszę. Chodzę do szkoły, nie mogę opuszczać lekcji. Poza tym, mama tęskniłaby za mną. I Dina. Dina to moja kotka. Mówiłam ci o tym? Do widzenia, Kocie z Cheshire. Czy byłbyś jeszcze łaskaw powiedzieć mi, dokąd prowadzi ta dróżka? Dokąd trafię, gdy nią pójdę? Czy ktoś tam mieszka?

- Tam - wskazałem nieznacznym ruchem głowy - mieszka Archibald Haigha, dla przyjaciół Archie. Jest bardziej szalony niż marcowy zając. Dlatego mówimy na niego: Marcowy Zając. Tam zaś mieszka Bertrand Russell Hatta, który jest szalony jak kapelusznik. Dlatego też mówimy na niego: Kapelusznik. Obaj, jak się już zapewne domyśliłaś, są obłąkani.

- Ale ja nie mam ochoty spotykać obłąkanych ani furiatów.
- Wszyscy tu jesteśmy obłąkani. Ja jestem obłąkany. Ty jesteś obłąkana.
- Ja? Nieprawda! Dlaczego tak mówisz?
- Gdybyś nie była obłąkana - wyjaśniłem, trochę już znudzony - nie trafiłabyś tutaj.
- Mówisz samymi zagadkami... - zaczęła, a oczy rozszerzyły się jej nagle. - Ejże... Co się z tobą dzieje? Kocie z Cheshire! Nie znikaj! Nie znikaj, proszę!

- Drogie dziecko - powiedziałem łagodnie. - To nie ja znikam, to twój mózg przestaje funkcjonować, przestaje być zdolny nawet do delirycznego majaczenia. Ustają czynności. Innymi słowy...

Nie dokończyłem. Nie mogłem jakoś zdobyć się na to, by dokończyć. By uświadomić jej, że umiera.

- Widzę cię znowu! - zawołała triumfalnie. - Znowu jesteś. Nie rób tego więcej. Nie znikaj tak nagle. To okropne. W głowie się od tego kręci.
- Wiem.
- Muszę już iść. Do widzenia, Kocie z Cheshire.
- Żegnaj, Alicjo Liddell.

Uprzedzę fakty. Nie poleniuchowałem już sobie tego dnia. Wyczuwany ze snu i wyrwany z błędnego letargu nie byłem już w stanie odbudować w sobie poprzedniego nastroju. Cóż, na psy schodzi ten świat. Żadnych względów i żadnego szacunku nie okazuje się już śpiącym lub odpoczywającym kotom. Gdzie te czasy, gdy prorok Mahomet, chcąc wstać i iść do meczetu, a nie chcąc budzić kotki uspiętej w rękawie jego szaty, uciął rękaw nożem. Nikt z was, założył się o każde pieniądze, nie zdobyłby się na równie szlachetny czyn. Dlatego też nie przypuszczam, by komukolwiek z was udało się zostać prorokiem, choćby jak rok długi biegał z Mekki do Medyny i z powrotem. Cóż, jak Mahomet kotu, tak kot Mahometowi.

Nie zastanawiałem się dłużej niż godzinkę. Potem - sam się sobie dziwiąc - znalazłem z drzewa i nie spiesząc się nadmiernie podążyłem wąską leśną ścieżką w stronę domostwa Archibalda Haighy, zwanego Marcowym Zającem. Mogłem oczywiście, gdybym chciał, znaleźć się u Zajęcia w ciągu kilku sekund, ale uznałem to za zbytek łaski, mogący sugerować, że na czymkolwiek mi zależy. Może i zależało mi trochę, ale nie miałem zamiaru tego okazywać.

Czerwone dachówki domku Zajęcia rychło wkomponowały się w ochrę i żółć jesiennych liści okolicznych drzew. A do moich uszu dobiegła nastrojowa muzyka. Ktoś - lub coś - cichutko grało i śpiewało "Greensleeves". Melodię znakomicie dopasowaną do czasu i miejsca.

*Alas, my love, you do me wrong
To cast me off discourteously
And I have loved you oh so long
Delighting in your company...*

Na podwórko przed domkiem wystawiono nakryty czystym obrusem stół. Na stole ustawiono talerzyki, filiżanki, imbryk do herbaty i flaszkę whisky Chivas Regal. Za stołem siedział gospodarz, Marcowy Zając, i jego goście: Kapelusznik, bywający tu niemal stale i Pierre Dormousse, bywający tu - i gdziekolwiek - niezmiennie rzadko. W szczyście stołu siedziała natomiast ciemnooka Alicja Liddell, z dziecięcą bezczelnością rozparta w wiklinowym fotelu i trzymająca oburącz filiżankę. Wyglądała na zupełnie nie przejętą faktem, że przy five o'clock whisky and tea towarzyszą jej zając o nieporządnym wąsach, karzełek w kretyńskim cylindrze, sztywnym kołnierzyku i muszce w grochy oraz grubiotki suseł, drzemający z głową na stole.

Archie, Marcowy Zając, dostrzegł mnie pierwszy.

- Popatrzcie, ktoś to nadchodzi - zawołał, a tembr jego głosu wskazywał

niedwuznacznie, że herbatę w tym towarzystwie piła tylko Alicja. - Któż to zbliża się? Czy mnie wzrok nie myli? Byłobyż to, że zacytuję proroka Jeremiasza, najszlachetniejsze ze zwierząt, mające chód wspaniały, a krok wyniosły?

- Musiano gdzieś potajemnie otworzyć siódmą Kapelusznik, łyknąwszy z porcelanowej filiżanki czegoś, co ewidentnie nie było herbatą. - Spójrzcie bowiem, oto kot blady, a piekło postępuje za nim.

- Zaprawdę powiadam wam - oznajmiłem bez emfazy, podchodząc bliżej - jesteście jako cymbały brzmiące.

- Siadaj, Chester - powiedział Marcowy Zając. - I nalej sobie. Jak widzisz, mamy gościa. Gość zabawia nas właśnie opowiadaniem o przygodach, jakich zaznał od momentu przybycia do naszej Krainy. Założę się, że też chętnie posłuchasz. Pozwól, że przedstawię ci...

- My się już znamy.

- No pewnie - powiedziała Alicja, uśmiechając się uroczo. - Znamy się. To właśnie on wskazał mi drogę do waszego ślicznego domku. To jest Kot z Cheshire.

- Czegoś to napłótl dzieciakowi, Chester? - poruszył wąsami Archie. - Znowu popisywałeś się elokwencją, mającą dowieść twej wyższości nad innymi istotami? Co? Kocie?

- Ja mam kotkę - powiedziała ni z gruszki, ni z pietruszki Alicja. - Moja kotka nazywa się Dina.

- Wspominałaś.

- A ten kot - Alicja niegrzecznie wskazała mnie palcem - czasami znika, i to tak, że widać tylko uśmiech wiszący w powietrzu. Brrr, okropność.

- A nie mówiłem? - Archie uniósł głowę i postawił sztorcem uszy, do których wciąż przyczepione były źdźbła trawy i kłosa pszenicy. - Popisywał się! Jak zwykle!

- Nie sądzicie - odezwał się Pierre Dormousse, całkiem przytomnie, choć wciąż z głową na obrusie - abyście nie byli sądzeni.

- Zamknij się, Dormousse - machnął łapą Marcowy Zając. - Śpij i nie wtrącaj się.

- Ty zaś kontynuuj, kontynuuj, dziecko - ponaglił Alicję Kapelusznik. - Radziłyśmy posłuchać o twych przygodach, a czas nagli.

- Jeszcze jak nagli - mruknąłem, patrząc mu w oczy. Archie prychnął lekceważąco.

- Dziś jest środa - powiedział. - Mab i Les Coeurs grają w ich idiotycznego krokietu. Założę się, że jeszcze nic nie wiedzą o naszym gościu.

- Nie doceniasz Radetzkiego.

- Mamy czas, powtarzam. Wykorzystajmy go zatem. Taka zabawa nie trafia się każdego dnia.

- A cóż wy, jeśli wolno spytać, znajdujecie w tym zabawnego?

- Zobaczysz. No, droga Alicjo, opowiadaj. Zamieniamy się w słuch.

Alicja Liddell powiodła po nas zainteresowanym spojrzeniem swych ciemnych oczu,

jak gdyby oczekiwała, że faktycznie w coś się zamienimy.

- Na czym to ja stałam? - zastanowiła się, nie doczekawszy żadnej metamorfozy. - Aha, już wiem. Na ciasteczkach. Tych, które miały napis: "Zjedz mnie", ślicznie ułożony z czerwonych porzeczek na żółtym kremie. Ach, jakże smaczne były te ciasteczka! Naprawdę czarowny miały smak! I były czarodziejskie, w samej rzeczy. Gdy zjadłam kawałek, zaczęłam rosnać. Przeraziłam się, sami rozumiecie... I prędko ugryzłam drugie ciasteczko, równie smaczne, jak to pierwsze. Wtedy zaczęłam maleć. Takie to były czary, ha! Mogłam raz być duża, a raz mała. Mogłam się kurczyć, mogłam się rozciągać. Jak chciałam. Rozumiecie?

- Rozumiemy - rzekł Kapelusznik i zatarł dłonie. - No, Archie, twoja kolej. Słuchamy.

- Sprawa jest jasna - oświadczył dumnie Marcowy Zając. - Majaczenie ma podtekst erotyczny. Zjadanie ciasteczek to wyraz typowo dziecięcych fascynacji oralnych, mających podłoże w drzemiącym jeszcze seksualizmie. Lizać i ciamkać, nie myśląc, to typowe zachowanie pubertalne, chociaż, przyznać trzeba, znam takich, którzy z tego nie wyrosli do późnej starości. Co do spowodowanego jakoby zjedzeniem ciasteczka kurczenia się i rozciągania, to nie będę chyba zbyt odkrywczy, gdy przypomnę mit o Prokruscie i Prokrustowym łożu. Chodzi o podświadome pragnienie dopasowania się, wzięcia udziału w misterium wtajemniczenia i wkroczenia do świata dorosłych. Ma to również podłoże seksualne. Dziewczynka pragnie...

- Na tym więc polega wasza zabawa - stwierdziłem, nie zapytałem. - Na psychoanalizie mającej dociec, jakim cudem ona się tu znalazła. Szkopuł wszakże w tym, że u ciebie, Archie, wszystko ma podłoże seksualne. To zresztą typowe dla zająców, królików, łasic, nutrii i innych gryzoni, którym tylko jedno w głowie. Powtarzam jednak moje pytanie: co w tym jest zabawnego?

- Jak w każdej zabawie - powiedział Kapelusznik - zabawne jest zabicie nudy.

- A fakt, że kogoś to nie bawi, bynajmniej nie dowodzi, że ten ktoś jest wyższą istotą - warknął Archie. - Nie uśmiechaj się, Chester, nikomu tu nie zaimponujesz twoim uśmiechem. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że choćbyś nie wiem jak się wymądrzał, nikt z tu obecnych nie obdarzy cię boską czcią? Nie jesteśmy w Bubastis, ale w Krainie...

- Krainie Czarów? - wtrąciła Alicja, wodząc po nas spojrzeniem.

- Dziwów - poprawił Kapelusznik. - Kraina Czarów to Faërie. To jest Wonderland. Kraina Dziwów.

- Semantyka - burknął znad obrusa Dormousse. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

- Kontynuuj, Alicjo - ponaglił Kapelusznik. - Co było dalej, po tych ciasteczkach?

- Ja - oświadczyła dziewczynka, bawiąc się uszkiem filizanki -- bardzo chciałam odszukać tego białego królika w kamizelce, tego, który nosił rękawiczki i zegarek z dewizką. Tak sobie myślałam, że jeśli go odszukam, to może trafię też do tej nory, w którą wpadłam... I będę mogła tą norą wrócić. Do domu.

Milczeliśmy wszyscy. Ten fragment nie wymagał wyjaśnień. Nie było wśród nas

takiego, który nie wiedziałby, czym jest i co symbolizuje czarna nora, upadek, długie, nie kończące się spadanie. Nie było wśród nas takiego, który nie wiedziałby, że w całej Krainie nie ma nikogo, kto choćby z oddali mógłby przypominać białego królika noszącego kamizelkę, rękawiczki i zegarek.

- Szłam - podjęła cicho Alicja Liddell - przez ukwieconą łąkę i nagle pośliznęłam się, bo cała łąka była mokra od rosy i bardzo śliska. Upadłam. Sama nie wiem jak, ale nagle chlupnęłam do morza. Tak myślałam, bo woda była słona. Ale to nie było wcale morze, wiecie? To była wielka kałuża łez. Bo ja płakałam wcześniej, bardzo płakałam... Bo bałam się i myślałam, że już nigdy nie odnajdę tego królika i tej nory. Wszystko to wyjaśniła mi jedna mysz, która pływała w tej kałuży, bo też tam przypadkiem wpadła, tak samo jak ja. Wyciągnęłyśmy się z tej kałuży nawzajem, to znaczy trochę mysz wyciągnęła mnie, a trochę ja wyciągnęłam mysz. Cała była mokra, biedaczka, i miała długi ogonek...

Zamilkła, a Archie popatrzył na mnie z wyższością.

- Niezależnie od tego, co myślą o tym różne koty - oświadczył, wystawiając na widok publiczny swe dwa żółte zęby - ogonek myszy to symbol falliczny. Tym tłumaczy się, nawiasem mówiąc, paniczny lęk, który na widok myszy ogarnia niektóre kobiety.

- Jesteście obłąkani - powiedziała z przekonaniem Alicja. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

- A słone morze - zadrwiłem - powstałe z dziewczęcych łez, to oczywiście doprowadzająca do płaczu zazdrość o penisa? Co, Archie?

- Tak jest! Piszą o tym Freud i Bettelheim. Zwłaszcza Bettelheima godzi się tu przywołać, albowiem zajmuje się on psychiką dziecka.

- Nie będziemy - skrzywił się Kapelusznik, nalewając whisky do filiżanek - przywoływać tu Bettelheima. Freud też niech sobie requiescat in pace. Ta flaszka to w sam raz na nas czterech, comme il faut, nikogo więcej nam tu nie potrzeba. Opowiadaj, Alicjo.

- Później... - zastanowiła się Alicja Liddell. - Później przypadkowo napotkałam lokaja. Ale gdy się lepiej przyjrzałam, okazało się, że to nie lokaj, ale wielka żaba ubrana w lokajską liberię.

- Aha! - ucieszył się Marcowy Zając. - Jest i żaba! Płaz wilgotny i oślizgły, który pobudzony nadyma się, rośnie, zwiększa swe rozmiary! Czego to symbol, jak wam się zdaje? Penisa przecież!

- No pewnie - kiwnąłem głową. - Czegóżby innego. Tobie wszystko kojarzy się z penisem i z dupą, Archie.

- Jesteście obłąkani - powiedziała Alicja. - I wulgarni.

- No pewnie - przytaknął Dormousse, unosząc głowę i patrząc na nią sennie. - Każdy to wie. Och, ona tu jeszcze jest? Jeszcze po nią nie przyszli?

Kapelusznik, wyraźnie zaniepokojony, obejrzał się na las, z głębi którego dobiegały jakieś trzaski i chrupotanie. Ja, będąc kotem, słyszałem te odgłosy już od dawna, zanim

jeszcze się przybliżyły. To nie byli Les Coeurs, to była wataha zbłąkanych szukających wśród ściółki czegoś do żarcia.

- Tak, tak, Archie - nie zamierzałem uspokajać Zająca, który również słyszał chrupotanie i płochliwie postawił uszy. - Powinieneś pospieszyć się z psychoanalizą, w przeciwnym razie Mab dokończy jej za ciebie.

- Może więc ty dokończysz? - Marcowy Zając poruszył wąsami. - Ty, jako istota wyższa, znasz wszakże na wylot mechanizmy zachodzących w psychice procesów. Niewątpliwie wiesz, jak to się stało, że umierająca córka dziekana Christ Church, miast odejść w pokoju, nie budząc się z letargu, błąka się po Krainie?

- Christ Church - pohamowałem zdziwienie. - Oksford. Który rok?

- Tysiąc osiemset sześćdziesiąt dwa - burknął Archie. - Noc z siódmego na ósmy lipca. Czy to ważne?

- Nieważne. Uczyni podsumowanie twego wywodu. Bo przecież masz już gotowe podsumowanie?

- Jasne, że mam.

- Płonę z ciekawości.

Kapelusznik nalał. Archie łyknął, jeszcze raz popatrzył na mnie wyniośle, odchrząknął, zatarł łapy.

- Mamy tu - zaczął uroczyście i podniośle - do czynienia z typowym przypadkiem konfliktu id, ego i superego. Jak szanownym kolegom wiadomo, w psychice ludzkiej id jest tym, co niebezpieczne, co popędowe, co groźne i niezrozumiałe, tym, co wiąże się z niemożliwą do pohamowania tendencją do bezmyślnego zaspokajania przyjemności. Owo bezmyślne uleganie popędowi usiłuje dana osoba - jak to przed chwilą obserwowaliśmy - niezdarnie usprawiedliwiać imaginowanymi instrukcjami typu: "wypij mnie" czy "zjedz mnie", co - oczywiście fałszywie - pozorować ma poddanie id kontroli racjonalnego ego. Ego danej osoby to bowiem wpojona jej wiktoriańska zasada rzeczywistości, realności, konieczności poddania się nakazom i zakazom. Realność to surowe wychowanie domowe, surowa, choć pozornie barwna realność "Young Misses Magazine", jedynej lektury tego dziecka...

- Nieprawda! - wrzasnęła Alicja Liddell. - Czytałam jeszcze Robinsona Crusoe! I sir Waltera Scotta!

- Nad tym wszystkim - Zając nie przejął się wrzaskiem - próbuje bez rezultatu zapanować nierozbudowane superego rzeczowej i - sit licentia verbo - przytomnej tu osoby. A superego, nawet szczątkowe, przesądza między innymi o zdolności do fantazjowania. Dlatego też próbuje przekładać zachodzące procesy na wizje i obrazy. Vivere cesse, imaginare necesse est, jeśli pozwolą szanowni koledzy na parafrazę...

- Szanowni koledzy - powiedziałem - pozwolą sobie raczej na uwagę, że wywód, choć w zasadzie teoretycznie prawidłowy, niczego nie tłumaczy, stanowi więc klasyczny przypadek akademickiej gadaniny.

- Nie obrażaj się, Archie - niespodziewanie poparł mnie Kapelusznik. - Ale Chester ma rację. Nadal nie wiemy, jakim sposobem Alicja się tu znalazła.

- Toście tępaki są! - zamachał łapami Zając. - Przecież mówię! Zaniósła ją tu jej przepełniona erotyzmem fantazja! Jej lęki! Pobudzone jakimś narkotykiem utajone marzenia...

Urwał, wpatrzony w coś za moimi plecami. Teraz i ja słyszałem szum piór. Usłyszałbym wcześniej, gdyby nie jego gadanina.

Na stole, dokładnie pomiędzy butelką a imbrykiem, wylądował Edgar. Edgar jest krukiem. Edgar dużo lata, a mało gada. Dlatego w Krainie służy wszystkim głównie jako posłaniec. Tym razem również tak było, bo Edgar trzymał w dziobie sporą kopertę, ozdobioną rozdzielonymi koroną inicjałami "MR".

- Cholerna banda - szepnął Kapelusznik. - Cholerna efekciarska banda.

- To do mnie? - zdziwiła się Alicja. Egdar kiwnął głową, dziobem i listem.

Wzięła kopertę, ale Archie bezceremonialnie wyrwał ją jej, złamał pieczęć.

- Jej Królewska Wysokość Mab etc. etc. - odczytał - zaprasza do wzięcia udziału w partii krokieta, która odbędzie się...

Popatrzył na nas.

- Dziś - poruszył wąsami. - A więc dowiedzieli się. Pieprzony nietoperz rozgadał i dowiedzieli się.

- Cudownie! - Alicja Liddell klasnęła w dłonie. - Partia krokieta! Z królową! Czy już mogę iść? Byłoby niegrzecznie się spóźnić.

Kapelusznik chrząknął głośno. Archie obrócił list w dłoni. Dormousse zachrapał. Edgar milczał, strosząc czarne pióra.

- Zatrzymajcie ją tu, jak długo się da - zdecydowałem się nagle i wstałem. - Zaraz wracam.

- Nie wygłupiaj się, Chester - mruknął Archie. - Nic nie zdasz, choćbyś i dotarł na miejsce, w co wątpię. Już za późno. Mab o niej wie, nie pozwoli jej odejść. Nie uratujesz jej. Nie ma sposobu.

- Może się założymy?

* * *

Wiatr czasu i przestrzeni wciąż jeszcze szumiał mi w uszach i jeżył sierść, a ziemia, na której stałem, za nic w świecie nie chciała przestać się trząść. Równowaga i twarda realność szybko i konsekwentnie wypierały jednak horror vacui, który towarzyszył mi przez kilka ostatnich chwil. Mdłości, jakkolwiek niechętnie, ustępowały, oczy z wolna przyzwyczajały się się do euklidesowej geometrii.

Rozejrzałem się.

Ogród, w którym wylądowałem, był prawdziwie angielski, to znaczy zarośnięty i zakrzaczony jak cholera. Gdzieś z lewej załatywało bagienkiem i dał się co i raz słyszeć krótki kwak, wywnioskowałem więc, że nie brakuje tu i stawu. W głębi płonęła światłami pokryta bluszczem fasada niedużego piętrowego domu.

W zasadzie pewien byłem swego, to znaczy tego, że trafiłem we właściwe miejsce i właściwy czas. Ale wołałem się upewnić.

- Czy jest tu ktoś, u diabła? - zapytałem zniecierpliwiony.

Nie czekałem długo. Z mroku wyłonił się rudy i pręgowany jegomość. Nie wyglądał na właściciela ogrodu, choć usilnie starał się wyglądać. Głupkiem nie był, najwyraźniej wpojono mu też w wieku kocięcym nieco manier i savoir vivre'u, bo gdy mnie zobaczył, pozdrowił grzecznie, siadając i owijając łapy ogonem. Ha, chciałbym zobaczyć któregoś z was, ludzi, reagujących w sposób równie spokojny na pojawienie się istoty z waszej mitologii. I demonologii.

- Z kim mam przyjemność? - zapytałem krótko i obcesowo.

- Russet Fitz-Rourke Trzeci, Your Grace.

- To - ruchem ucha pokazałem, co mam na myśli - oczywiście Anglia?

- Oczywiście.

- Oksford?

- W samej rzeczy.

Trafiłem więc. Kaczka, którą słyszałem, pływała zapewne nie po stawie, ale po Tamizie lub Cherwell. A wieża, którą widziałem podczas lądowania, to była Carfax Tower. Problem tkwił jednak w tym, że Carfax Tower wyglądała identycznie podczas mojej poprzedniej wizyty w Oksfordzie, a było to w 1645, na krótko przed bitwą pod Naseby. Radziłem wówczas królowi Karolowi, by rzucił wszystko w cholerę i uciekł do Francji.

- Kto w tej chwili rządzi Brytanią?

- W Anglii, Merlin z Glastonbury. W Szkocji...

- Nie pytam o koty, głupcze.

- Przepraszam, Wasza Miłość. Królowa Wiktorja.

Dobra nasza. Chociaż, z drugiej strony, babsko rządziło sześćdziesiąt cztery lata, 1837-1901. Zawsze była możliwość, że przestreliliem odrobinę w przód lub w tył. Mógłbym wprost zapytać rudzielca o datę, ale nie wypadało mi, jak sami rozumiecie. Gotów sobie pomyśleć, że nie jestem wszechwiedzący. Prestiż, jak to mówią, über alles.

- Do kogo należy ten dom?

- Do Venery Whiteblack... - zaczął, ale natychmiast się poprawił. - To znaczy, ludzkim właścicielem jest pan dziekan Henry George Liddell.

- Dzieci są? Nie pytam o Venerę Whiteblack, ale o dziekana Liddella.

- Trzy córki.

- Któraś ma na imię Alicja?

- Średnia.

Odetchnąłem ukradkiem. Rudzielec też odetchnął. Był przekonany, że nie wypytuję, lecz egzaminuję.

- Jestem wielce zobowiązany, sir Russet. Udanego polowania.

- Dziękuję, Your Grace.

Nie odzajemnił życzenia udanego polowania. Znał legendy. Wiedział, jakiego rodzaju polowanie może oznaczać moje pojawienie się w jego świecie.

* * *

Przechodziłem przez mur, przez ściany oklejone krzykliwą kwiecistą tapetą, przez sztukaterię, przez meble. Przechodziłem przez zapach kurzu, lekarstw, jabłek, sherry, tytoniu i lawendy. Przechodziłem przez głosy, szepty, westchnienia i łkania. Przeszedłem przez oświetlony living room, w którym dziekan i dziekanowa Liddell rozmawiali ze szczupłym przygarbionym brunetem o bujnej fryzurze. Znalazłem schody. Minąłem dwie dziecięce sypialnie, tchnące młodym, zdrowym snem. A przy trzeciej sypialni wpakowałem się na Strażniczkę.

- Przybywam w pokoju - powiedziałem szybko, cofając się przed ostrzegawczym sykiem, łłami, pazurami i wściekłością. - W pokoju!

Leżąca na progu Venera Whiteblack płasko położyła uszy, poczęstowała mnie następną falą nienawiści, po czym przybrała klasyczną postawę bojową.

- Pohamuj się, kotko!

- Apage! - zasyczała, nie zmieniając pozycji. - Precz! Żaden demon nie przejdzie przez próg, na którym ja leżę!

- Nawet taki - zniecierpliwiłem się - który nazwie cię Diną?

Drgnęła.

- Zejdź mi z drogi - powtórzyłem. - Dino, kotko Alicji Liddell.

- Wasza Miłość? - spojrzała na mnie niepewnie. - Tutaj?

- Chcę wejść do środka. Usuń się z progu. Nie, nie, nie odchódź. Wejdź ze mną.

W pokoiku, zgodnie z obyczajem epoki, stało tyle mebli, ile wlaźło. Ściany i tu pokrywała tapeta z przeraźliwym kwietnym motywem. Nad komódką wisiała niezbyt udana grafika, przedstawiająca, jeśli wierzyć podpisowi, niejaką Mrs. West w roli Desdemony. A na łóżeczku leżała Alicja Liddell, nieprzytomna, spocona i blada jak upiór. Majaczyła tak silnie, że w powietrzu nad nią niemal widziałem czerwone dachówki domku Zająca i słyszałem "Greensleeves".

- Pływali łódką po Tamizie, ona, jej siostry i pan Charles Lutwidge Dodgson - Venera Whiteblack uprzedziła moje pytanie. - Alicja wpadła do wody, przeziębila się i dostała gorączki. Był lekarz, przepisał jej różne leki, leczono ją też domową apteczką. Przez

nieuwagę zaplątała się między lekarstwa buteleczka laudanum, a ona ją wypila. Od tego czasu jest w takim stanie.

Zamyśliłem się.

- Czy ów nieodpowiedzialny Charles, to ten z fryzurą pianisty, rozmawiający z dziekanem Liddellem? Gdy przechodziłem przez salon, czułem emanujące od niego myśli. Poczucie winy.

- Tak, to właśnie on. Przyjaciół domu. Wykładowca matematyki, ale poza tym do zniesienia. I nie nazwałabym go nieodpowiedzialnym. To nie była jego wina, na łódce. Wypadek, jaki każdemu mógł się zdarzyć.

- Czy on często przebywa w pobliżu Alicji?

- Często. Ona go lubi. On ją lubi. Gdy na nią patrzy, mruczy. Wymyśla i opowiada małej różne niestworzone historie. Ona to uwielbia.

- Aha - poruszyłem uchem. - Niestworzone historie. Fantazje. I laudanum. No, to jesteśmy w domu, pun not intended. Mniejsza z tym. Pomyślmy o dziewczynce. Życzeniem moim jest, aby wyzdrowiała. I to pilnie.

Kotka zmrużyła złote oczy i nastroszyła wąsy, co u nas, kotów, oznacza bezbrzeżne zdumienie. Opanowała się jednak szybko. I nie odezwała się. Wiedziała, że pytanie o motywy byłoby potwornym nietaktem. Wiedziała też, że nie odpowiedziałbym na takie pytanie. Żaden kot nigdy nie odpowiada na takie pytanie. Robimy zawsze to, co chcemy i nie zwykliśmy się usprawiedliwiać.

- Życzeniem moim jest - powtórzyłem dobitnie - aby choroba opuściła pannę Alicję Liddell.

Venera usiadła, mrugnęła, poruszyła uchem.

- To twój przywilej, książę - powiedziała łagodnie. - Ja... Ja mogę wyłącznie podziękować... za zaszczyt. Kocham to dziecko.

- To nie był zaszczyt. Nie dziękuj więc, tylko bierz się do roboty.

- Ja? - niemal podskoczyła z wrażenia. - Ja mam ją uleczyć? Przecież to zabronione dla zwykłych kotów! Myślałam, że Wasza Wysokość sama raczy... Zresztą, ja nie umiałabym...

- Po pierwsze, nie ma zwykłych kotów. Po drugie, mnie wolno złamać każdy zakaz. Niniejszym go łamię. Bierz się do roboty.

- Ale... - Venera nie spuszczała ze mnie oczu, w których nagle pojawił się przestach.

- Przecież... Jeśli wymruczę z niej chorobę, wtedy ja...

- Tak - powiedziałem lekceważąco. - Umrzesz zamiast niej.

Jakoby kochasz tę dziewczynkę, pomyślałem. Udowodnij to. Myślałaś może, że wystarczy leżeć na kolanach, mruczeć i pozwalać się głaskać? Umacniać przekonanie, że koty są fałszywe, że nie przywiązują się do ludzi, lecz wyłącznie do miejsca?

Oczywiście, mówienie takich banałów Venerze Whiteblack było poniżej mojej godności. I całkowicie niepotrzebne. Stała za mną potęga autorytetu. Jedyne autorytetu,

jaki akceptuje kot. Venera miauknęła cicho, wskoczyła na piersi Alicji, zaczęła mocno uciskać łapkami koldrę. Słyszałem ciche trzaski pazurków, czepiających się adamaszku. Wyczuwszy właściwe miejsce, kotka ułożyła się i zaczęła głośno mruczeć. Mimo ewidentnego braku wprawy robiła to doskonale. Niemal czułem, jak z każdym pomrukiem wyciąga z chorej to, co należało wyciągnąć.

Nie przeszkadzałem jej, rzecz jasna. Czuwałem, by nie przeszkodził nikt inny. Okazało się, że słusznie.

Drzwi otwały się cicho i do pokoiku wszedł ów blady brunet, Charles Ludwig czy Ludwig Charles, zapomniałem. Wszedł ze spuszczoną głową, cały skruszony i przepełniony żalem i winą. Natychmiast zobaczył leżącą na piersi Alicji Venerę Whiteblack i natychmiast uznał, że jest na kogo winę zwalić.

- Ejże, kkk... kocie - zająknął się. - Psik! Zejdź z łóżka nnnaaa... natychmiast!

Postąpił dwa kroki, spojrzał na fotel, na którym leżałem. I zobaczył mnie - a może nie tyle mnie, co mój uśmiech, zawieszony w powietrzu. Nie wiem, jakim cudem, ale zobaczył. I zbladł. Potrzęsnał głową. Przetarł oczy. Oblizal wargi. A potem wyciągnął ku mnie rękę.

- Dotknij mnie - powiedziałem najśłodziej, jak potrafiłem. - Tylko mnie dotknij, grubianinie, a przez resztę życia będziesz wycierał nos protezą.

- Kim ty jee... - zająknął się - jeee... steś?

- Imię moje jest legion - odrzekłem obojętnie. - Dla przyjaciół Malignus, princeps potestatis aeris. Jestem jednym z tych, którzy krążą, rozglądając się, quaerens quem devoret. Na wasze szczęście tym, co chcemy pożerać, z reguły są myszy. Ale na twoim miejscu nie wyciągałbym pospiesznych i zbyt daleko idących wniosków.

- To nnn... - zająknął się, tym razem tak gwałtownie, że oczy o mało nie wylazły mu z orbit. - To nnnieeee...

- Możliwe, możliwe - zapewniłem, nadal uśmiechnięty na białło i ostro. - Stój tam, gdzie stoisz. Ogranicz aktywność do minimum, a daruję cię zdrowiem. Parole d'honneur. Zrozumiałeś, co powiedziałem, dwunogu? Jedyne, czym wolno ci poruszyć, są powieki i gałki oczne. Zezwalam też na ostrożne wdechy i wydechy.

- Ale...

- Na gadanie nie zezwalam. Milcz i nie ruszaj się, jakby twoje życie od tego zależało. Bo zależy, nawiasem mówiąc.

Pojał. Stał, pocił się w ciszy, patrzył na mnie i intensywnie myślał. Miał bardzo powikłane myśli. Nie oczekiwałem takich u wykładowcy matematyki. W tym czasie Venera Whiteblack robiła swoje, a powietrze aż wibrowało od magii jej pomruków. Alicja poruszyła się, jęknęła. Kotka uspokoiła ją, kładąc lekko łapkę na twarzy. Charles Lutwidge Dodgson - przypomniałem sobie jego miano - drgnął na ten widok.

- Spokojnie - powiedziałem nadspodziewanie łagodnie. - Tutaj się leczy. To terapia. Bądź cierpliwy.

Przyglądał mi się przez chwilę.

- Jesteś mmm... moją własną fantazją - mruknął wreszcie. - Nie ma sensu, bym z ttt...tobą rozmawiał.

- Z ust mi to wyjąłeś.

- To - wskazał łóżko lekkim ruchem głowy - to ma być ttt... terapia? Kocia terapia?

- Zgadłeś.

- Though this be madness - wybąkał, o dziwo bez zająknięcia - yet there is method in't.

- I to także wyjąłeś mi z ust.

Czekaliśmy. Wreszcie Venera Whiteblack przestała mruczeć, położyła się na boku, ziewnęła i kilkakrotnie przeczesła futro różowym jęczorkiem.

- Chyba już - oznajmiła niepewnie. - Wyciągnęłam wszystko. Truciznę, chorobę i gorączkę. Miała jeszcze coś w szpiku kostnym, nie wiem, co to było. Ale dla pewności wyciągnęłam również.

- Brawo, My Lady.

- Your Grace?

- Słucham?

- Ja wciąż żyję.

- Chyba nie sądziłaś - uśmiechnąłem się z wyższością - że pozwolę ci umrzeć?

Kotka zmrużyła oczy w niemym podziękowaniu. Charles Lutwidge Dodgson, od dłuższej chwili śledzący niespokojnym wzrokiem nasze poczynania, chrząknął nagle głośno. Spojrzałem na niego.

- Mów - zezwoliłem wspaniałomyślnie. - Tylko nie jākaj się, proszę.

- Nie wiem, co za rytuał się tu odprawia - zaczął cicho. - Ale są rzeczy na niebie i ziemi...

- Przejdź do tych rzeczy.

- Alicja wciąż jest nieprzytomna.

Ha. Miał rację. Wyglądało na to, że operacja się udała. Ale wyłącznie lekarzom. Medice, cura te ipsum, pomyślałem. Zwlekałem z zabranieniem głosu, czując na sobie pytający wzrok kotki i niespokojny wzrok wykładowcy matematyki. Rozwahałem różne możliwości. Jedną z nich było wzruszenie ramionami i pójście sobie precz. Ale za mocno zaangażowałem się już w tę historię, nie mogłem teraz się wycofać. Flaszka, o którą założyłem się z Zajacem, to jedno, ale prestiż...

Myślałem intensywnie. Przeszkodzono mi w tym.

Charles Lutwidge podskoczył nagle, a Venera Whiteblack wyprężyła się i gwałtownie uniosła głowę. Na esach-floresach wiktoriańskiej tapety zatańczył szybki, ruchliwy cień.

- Haa-haa! - zapiszczał cień, kołując przy żyrandolu. - Czy nie miewają koty na nietoperze ochoty?

Venera położyła uszy, zasyczała, wygięła grzbiet, prychnęła wściekle. Radetzky przezornie zawisł na abażurze.

- Chester! - zawołał z wysokości, rozwijając jedno skrzydło. - Archie kazał powtórzyć, byś się pospieszył! Jest źle! Les Coeurs zabrali dziewczynę! Pospiesz się, Chester!

Zakląłem bardzo brzydko, ale po egipsku, więc nikt nie zrozumiał. Rzuciłem okiem na Alicję. Oddychała spokojniej, na jej twarzy dostrzegałem też coś na kształt rumieńca. Ale, cholera jasna, nadal była nieprzytomna.

- Ona wciąż śni - odkrył Amerykę Charles Lutwidge Dodgson. - Co najgorsze, obawiam się, że to nie jest jej sen.

- Ja też się tego obawiam - popatrzyłem mu w oczy. - Ale nie czas na teoretyzowanie. Trzeba wyrwać ją z maligny, zanim dojdzie do rzeczy nieodwracalnych. Radetzky? Gdzie jest w tej chwili dziewczyna?

- Na Wonderland Meadows! - zaskrzeczał nietoperz. - Na polu krokietowym! Z Mab i Les Coeurs!

- Lecimy.

- Lećcie - Venera Whiteblack wysunęła pazury. - A ja będę tutaj czuwać.

- Zaraz - Charles Lutwidge potarł czoło. - Nie wszystko rozumiem... Nie wiem, dokąd i po co chcecie lecieć, ale... Chyba nie obejdzie się beze mnie... To ja muszę wymyślić zakończenie tej historii. Żeby to zrobić... By Jove! Muszę pójść z wami.

- Chyba żartujesz - parsknąłem. - Nie wiesz, o czym mówisz.

- Wiem. To moja własna fantazja.

- Już nie.

* * *

W drodze powrotnej horror vacui był jeszcze gorszy. Bo spieszyłem się. Zdarza się, że podczas takich podróży pośpiech okazuje się zgubny. Mała pomyłka w obliczeniach i nagle trafia się do Florencji w roku 1348, w czas epidemii Czarnej Śmierci. Albo do Paryża, w noc z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty sierpnia 1572.

Ale miałem szczęście. Trafiłem tam, gdzie należało.

* * *

Kapelusznik nie mylił się ani nie przesadzał, zwąc całą tę paskudną bandę efekciarzami. Oni wszystko robili z efektem i dla efektu. Zawsze. Tym razem też tak było.

Usytuowany pomiędzy akacjami trawnik nieudolnie udawał pole do krokietu, dla efektu ustawiono nawet na nim półokrągłe bramki, w krokietowym żargonie zwane

arches. Les Coeurs - w liczbie około dziesięciu - trzymali w rękach rekwizyty: młotki, czyli mallets, a po murawie wałało się coś, co miało imitować piłki, ale wyglądało zupełnie jak zwinięte w kłębek jeże. Rej zaś wśród szajki wiodła oczywiście płomiennowłosa Mab, ustrojona w karminowe atłasy i krzykliwą biżuterię. Podniesionym głosem i władczymi gestami wskazywała Les Coeurs miejsca, które winni zająć. Jedną rękę trzymała przy tym na ramieniu Alicji Liddell. Dziewczynka przyglądała się królowej i przygotowaniom z żywym zainteresowaniem i płonącymi policzkami. W oczywisty sposób nie pojmowała, że szykuje się nie zabawa, lecz sadystyczna i efekciarska egzekucja.

Moje niespodziewane pojawienie się wywołało - jak zwykle - lekkie poruszenie i szumek wśród Les Coeurs, które Mab szybko jednak opanowała.

- Żałuję, Chester - powiedziała zimno, mnąc falbanki na ramieniu Alicji uzbrojonymi w pierścienie palcami. - Bardzo żałuję, ale mamy już komplet graczy. Między innymi z tego powodu nie wysłano ci zaproszenia.

- Nie szkodzi - ziewnąłem, demonstrując siekacze, kły, łamacze, przedtrzonowce i trzonowce, łącznie całą kupę zębiny i szkliwa. - Nie szkodzi, Wasza Wysokość, i tak zmuszony byłbym odmówić. Nie przepadam za krokietem, wolę inne gry i zabawy. Co zaś tyczy kompletu graczy, to tuszę, że macie i rezerwowych?

- A co ciebie - Mab zmrużyła oczy - może obchodzić, co mamy, a czego nie?

- Zmuszony jestem zabrać stąd pannę Liddell. Licząc, że nie zepsuję wam tym zabawy.

- Aha - Mab odwzajemniła mi się demonstracją użębienia, słabo imitującą uśmiech. - Aha. Rozumiem. Wytlumacz mi jednak, dlaczego nasze odwieczne spory o hegemonię mają polegać na wzajemnym wrywaniu sobie zabawek? Czy musimy zachowywać się jak dzieci? Czy nie możemy, ustaliwszy czas i miejsce, załatwić tego, co jest do załatwienia? Czy mógłbyś mi to wyjaśnić, Chester?

- Mab - odrzekłem. - Jeśli chcesz dyskutować, to ustal czas i miejsce. Ze stosownym wyprzedzeniem. Dziś nie jestem w nastroju do dysputy. Poza tym gracze czekają. Zabieram więc Miss Liddell i znikam, przestaję się narzucać.

- Po kiego grzyba - Mab, gdy się denerwowała, zawsze wpadała w jakieś okropne argot - i po kiego wała ci ten dzieciak, cholerny kocie? Dlaczego ci tak na nim zależy? A może to wcale nie chodzi o tego dzieciaka? Co? Odpowiedz mi!

- Powiedziałem, nie mam ochoty na dyskusje. Obejmuje to również odpowiedzi na pytania. Chodź tu, Alicjo.

- Ani mi się waż ruszyć, smarkulo - Mab zacisnęła palce na ramieniu Alicji, a twarz dziewczynki skurczyła się i pobladła z bólu. Z wyrazu jej ciemnych oczu wnosiłem, że chyba zaczynała rozumieć, w jaką grę tu się gra.

- Wasza Wysokość - rozejrzałem się i stwierdziłem, że Les Coeurs powoli mnie okrążają - raczy łaskawie zdjąć śliczną rączkę z ramienia tego dziecka. Bezzwłocznie. Wasza Wysokość raczy również łaskawie poinstruować swych sługusów, by wycofali się

na przewidzianą protokołem odległość.

- Doprawdy? - Mab zademonstrowała dalsze zęby. - A jeśli nie raczę, to co, jeśli można wiedzieć?

- Można wiedzieć. Wtedy, ryza szelmo, ja też zachowam się nieprotokolarnie. Powypuszczam wąpia z całej waszej zasranej bandy.

I na tym zakończyło się gadanie. Les Coeurs zwyczajnie rzucili się na mnie, nie czekając, aż przebrzmi okrzyk Mab, a jej upierścieniona dłoń zakończy władczy gest. Rzucili się na mnie wszyscy, ilu ich było. Kupą.

Ale ja byłem na to przygotowany. Poleciały kłaki z ich ozdobionych karcianymi symbolami kubraków. Poleciały kłaki z nich. I ze mnie też, ale znacznie mniej. Przewaliłem się na grzbiet. Trochę to zmniejszyło moją ruchliwość, ale mogłem robić z nich sieczkę również za pomocą tylnych łap. Wysilek pomału zaczął się opłacać - kilku Les Coeurs, zdrowo poznaczonych moimi pazurami i kłami, rzuciło się do sromotnej rejterady, lekceważąc wrzaski Mab, która w niewyszukanych słowach rozkazywała im, co i z czego mają mi wyrwać.

- A kto się w ogóle z wami liczy? - rozdarła się nagle Alicja, wnosząc do rejuwachu zupełnie nowe nuty. - Jesteście talią kart! Tylko talią kart!

- Tak? - zawyła Mab, tarmosząc nią gwałtownie. - Co ty nie powiesz?

Jeden z Les Coeurs, kędzierzawy młodzian ze znakiem trefl na piersi, chwycił mnie oburącz za ogon. Nie znoszę takich poufałości, więc urwałem mu głowę. Ale inni siedzieli już na mnie i robili użytek z pięści, obcasów i krokietowych młotków, dysząc przy tym mocno. Zawzięci byli jak cholera. Ale ja też byłem zawzięty. Po chwili trochę się dokoła przeluźniło. Mogłem przejść od wojny pozycyjnej do manewrowej. Murawa była już diabło czerwona i diabło śliska.

Alicja z całej siły kopnęła Mab w goleń. Jej królewska wysokość zakłęła plugawie i strzeliła ją z rozmachem w twarz. Dziewczynka upadła, lądując na jednym z Les Coeurs, który właśnie usiłował wstać. Nim zrzucił z siebie Alicję, wydrapałem mu jedno oko. Temu, który starał się przeszkadzać, wydrapałem oba. Dwaj pozostali dali nogę, a ja mogłem wstać.

- No, kochana Queen of Hearts? Może wystarczy na dziś? - wydyszałem, oblizując krew z nosa i wąsów. - Może dokończymy innym razem, ustaliwszy wprzód czas i miejsce?

Mab poczęstowała mnie wiązką, w której określenie: "pręgowany skurwysyn" było najłagodniejszym, choć i najczęściej się powtarzającym. Najwyraźniej nie miała zamiaru odkładać konfliktu do innego razu. Kilku Les Coeurs ochłonęło już z pierwszego szoku i szykowało się do ponownego ataku. A ja byłem nieco zmęczony i ponad wszelką wątpliwość miałem złamane żebro. Zasłoniłem sobą Alicję.

Mab wrzasnęła triumfalnie. Krzaki akacji rozstały się nagle niczym Morze Czerwone. A stamtąd, zagrzewany do boju hałłakowaniem Les Coeurs, wybiegł truchtem

Banderzwierz. Dokładniej, ładnie wyrośnięty egzemplarz Banderzwierza. Zgroźliwego Banderzwierza.

- Czapkę sobie z ciebie każę uszyć, Chester! - wrzasnęła Mab, wskazując Banderzwierzowi, na kogo ma się rzucić. - Jeśli zostanie z ciebie dość futra na czapkę! Jestem kotem. Mam dziewięć żywotów. Nie wiem jednak, czy mówiłem wam, że osiem już wykorzystałem.

- Uciekaj, Alicjo! - syknąłem. - Uciekaj!

Ale Alicja Liddell nie poruszyła się, sparaliżowana strachem. Niezbyt się jej dziwiłem.

Banderzwierz drapnął szponami murawę, jakby zamierzał wykopać stację metra albo tunel pod Mont Blanc. Zjeżył czarno-rudą sierść, przez co zrobił się blisko dwukrotnie większy, choć i tak był dostatecznie duży. Mięśnie pod jego skórą zagrały Dziewiątą Symfonię, ślepią zapłonęły piekielnym ogniem. Rozwarł paszczę w sposób, który mi bardzo pochlebiał. I rzucił się na mnie.

Broniłem się zawzięcie. Dałem z siebie wszystko. Ale on był większy i sakramencko silny. Nim zdołałem wreszcie strącić go z siebie i odpędzić, dał mi solidny wycisk.

Ledwo trzymałem się na nogach. Krew zalewała mi oczy i stygła na bokach, a ostry koniec jednego ze złamanych żeber usilnie próbował szukać czegoś w moim prawym płucu. Alicja darła się tak, że w uszach świdrowało. A Banderzwierz zamasyście wytarł jaja o trawę, poruszył resztkami uszu, spojrzał na mnie spod poharatanych powiek i sponad broczącego nosa. Znowu rozwarł paszczkę. I zupełnie niespodziewanie ją zamknął. Zamiast znowu skoczyć i dobić mnie, stał w czarsmutleniu cichym. Jak dupa wołowa.

Obejrzałem się odruchowo i powiadam wam, ostatni raz widziałem coś podobnego w Narodzinach narodu Griffitha. Bo oto spomiędzy drzew szarżowała odsiecz. Ale nie była to US Cavalry ani Ku-Klux-Klan. Był to mój znajomy, niejaki Charles Lutwidge Dodgson. Wyglądał, powiadam wam, niczym święty Jerzy na obrazie Carpaccia, a uzbrojony był w miecz worpalny, ślący oślepiające migbłystalne refleksy.

Nie uwierzycie, ale Banderzwierz uciekł pierwszy. Śladem jego podkulonego ogona salwowali się ucieczką ci z Les Coeurs, którzy jeszcze władali nogami. A ostatnia zeszła z placu boju królowa Mab, płacząc się w atłasową suknię. Ja zaś widziałem to już jak przez napełnione buraczanym barszczem akwarium. A w chwilę później...

Przyrzeknijcie, że nie będziecie się śmiać.

W chwilę później zobaczyłem królika o różowych oczach, patrzącego na cyferblat zegarka, wyciągniętego z kieszeni kamizelki. A potem wpadłem do czarnej, bezdennej nory.

Spadanie trwało długo.

Jestem kotem. Spadam zawsze na cztery łapy. Nawet jeśli tego nie pamiętam.

- Ach - powiedział nagle Charles Lutwidge Dodgson, opierając się łokciem o wiklinowy koszyk z kanapkami. - Czy znasz, Kocie z Cheshire, to rozkoszne uczucie senności, towarzyszące przebudzeniu o letnim poranku, gdy powietrze dzwoni ćwierkotaniem ptasząt, ożywczy wiaterek wieje przez otwarte okno, a ty, leżąc leniwie z półprzymkniętymi oczyma, widzisz, jakby wciąż śniąc, kołyszące się leniwie zielone gałązki, powierzchnię wody marszczoną złotymi falkami? Ach, wierzaj mi, Kocie, to rozkosz granicząca z głębokim smutkiem, rozkosz, która napętnia oczy łzami niby piękny obraz lub wiersz...

Nie uwierzycie. Nie zająknął się ani razu.

Piknik trwał w najlepsze. Alicja Liddell i jej siostry bawiły się hałaśliwie na brzegu Tamizy, po kolei wchodząc na przycumowaną łódkę i po kolei zeskakując z niej. Jeśli którejś zdarzyło się plusnąć przy tym w płyciutką wodę przy brzegu, piszczała przeraźliwie i wysoko unosiła sukieneczkę. Wówczas siedzący obok mnie Charles Lutwidge Dodgson ożywał się lekko i lekko rumienił.

- And I have loved you oh so long... - zanuciłem pod wąsem, dochodząc do wniosku, że Marcowy Zając miał sporo racji w tym, co mówił.

- Słucham?

- "Greensleeves". Mniejsza z tym. Wiesz co, drogi Charlesie? Opisz to wszystko. Bajka, jak widać na załączonej ilustracji, z wolna jak gmach urosła i pełna jest postaci osobliwych. Czas, by to opisać. Tym bardziej, że początek już został zrobiony.

Milczał. I nie odrywał wzroku od piszczącej radośnie Alicji Liddell, unoszącej sukieneczkę tak, by dokładnie widać było majtki.

- Pół życia nas rozdziela - powiedział nagle cicho. - I czas, okrutnie szybko mknący. Nigdy już o mnie nie pomyśli w latach młodości nadchodzącej...

- Sugerowałbym raczej prozę - nie wytrzymałem. - Poezja się nie sprzedaje.

Spojrzał na mnie i skrzywił się lekko.

- Czy mógłbyś się... hmmm... bardziej umaterialnić? - spytał. - To denerwujące, patrzeć na twój uśmiech zawieszony w nicości.

- Dzisiaj, drogi Charlesie, nie potrafię niczego ci odmówić. Zbyt wielki mam dług u ciebie.

- Nie mówmy o tym - powiedział z zakłopotaniem, odwracając wzrok. - Każdy na moim miejscu... Nie mogłem przecież pozwolić, by ją... i ciebie... zabiła moja własna fantazja.

- Dziękuję, że nie pozwoliłeś. A tak między nami: skąd, chłubo jazd i piechot, miałeś miecz worpalny migbłystalny?

- Skąd miałem co?

- Forget it. Charlesie, odbiegamy od tematu.
- Książka opisująca to wszystko? - zamyślił się znowu. - Czy ja wiem? Doprawdy, nie wiem, czy potrafiłbym...

- Potrafiłbyś. Twoja fantazja ma siłę, zdolną łamać żebra.

- Hmm - zrobił ruch, jakby chciał mnie pogłaskać, ale rozmyślił się w porę. - Hmm, kto wie? Może jej... spodobałaby się taka książka? Poza tym, uczelnia płaci marnie, zdałoby się parę funtów na boku... Oczywiście, musiałbym wydawać pod pseudonimem. Moja posada wykładowcy...

- Niezbędne jest ci porządne nom de plume, Charlesie - ziewnąłem. - Nie tylko ze względu na władze uczelni. Twoje rodowe nazwisko nie nadaje się na okładkę. Brzmi tak, jakby ktoś umierający na odmę płuc dyktował testament.

- Niesłychane - udał oburzenie. - Masz może jakąś propozycję? Coś, co brzmi lepiej?

- Mam. William Blake.

- Szydzisz.

- Emily Brontë.

Tym razem zamilkł i długo się nie odzywał. Panny Liddell znalazły na brzegu skorupkę szczeżui. Radosnym okrzykiem nie było końca.

- Śpisz, Kocie z Cheshire?

- Staram się.

- No, to śpij, tygrysie gorejący w gęstwie nocy. Nie będę ci przeszkadzał.

- Leżę na rękawie twojego surduta. Co będzie, gdy zechcesz wstać?

Uśmiechnął się.

- Odetnę rękaw.

Milczeliśmy długo, patrząc na Tamizę, po której pływały sobie kaczki i perkozy.

- Pisarstwo... - powiedział nagle Charles Lutwidge, sprawiając wrażenie raptownie przebudzonego o letnim poranku. - Pisarstwo jest sztuką martwą. Nadchodzi wiek dwudziesty, a ten będzie wiekiem obrazu.

- Masz na myśli zabawę, wymyśloną przez Luisa Jacquesa Monde Daguerre'a?

- Tak - potwierdził. - Właśnie fotografię mam na myśli. Literatura jest fantazją, a więc kłamstwem. Pisarz okłamuje czytelnika, wiodąc go na manowce własnej imaginacji. Zwodzi go dwuznacznością lub wieloznacznością. Fotografia nie kłamie nigdy...

- Doprawdy? - poruszyłem końcem ogona, co u nas, kotów, niekiedy oznacza szyderstwo. - Fotografia nie jest dwuznaczna? Nawet taka, która przedstawia dziewczynkę w wieku lat dwunastu, w dość dwuznacznym, daleko posuniętym dezabilu? Leżącą na szezlongu w dość dwuznacznej pozie?

Zaczerwienił się.

- Nie ma się czego wstydzić - poruszyłem znowu ogonem. - Wszyscy kochamy piękno. Mnie też, drogi Charlesie Lutwidge, fascynują młodziutkie kotki. Gdybym parał się fotografią, jak ty, też nie szukałbym innych modelek. A na konwenanse pluń.

- Nigdy nikomu nie ppp... pokazywałem tych fotografii - niespodziewanie znowu zaczął się jąkać. - I nigdy nie ppp... pokażę. Choć trzeba ci wiedzieć, że był taki mmm... moment, gdy wiązałem z fotografią pewne nadzieje... Natury finansowej.

Uśmiechnąłem się. Założę się, że nie zrozumiał tego uśmiechu. Nie wiedział, o czym myślałem. Nie wiedział, co widziałem, lecąc w dół czarną sztolnią króliczej nory. A widziałem i wiedziałem między innymi to, że za sto trzydzieści cztery lata, w lipcu 1996, cztery jego fotografie, przedstawiające dziewczynki w wieku od jedenastu do trzynastu lat, wszystkie w romantycznej i podniecającej wiktoriańskiej bieliźnie, wszystkie w dwuznacznych, lecz erotycznie sugestywnych pozach, pójdą pod młotek w Sotheby's i zostaną sprzedane za sumkę czterdziestu ośmiu tysięcy pięciuset funtów szterlingów. Ładną, jak na cztery kawałki obrobionego techniką kolotypową papieru.

Ale nie było sensu mu o tym mówić.

Usłyszałem szum skrzydeł. Na pobliskiej wierzbie usiadł Edgar. I zakrakał przyzywająco. Niepotrzebnie. Sam wiedziałem, że już czas.

- Pora kończyć piknik - wstałem. - Żegnaj, Charlesie.

Nie okazał zdziwienia.

- Jesteś w stanie iść? Twoje rany...

- Jestem kotem.

- Byłbym zapomniał. Jesteś Kotem z Cheshire. Spotkamy się jeszcze kiedyś? Jak sądzisz?

Nie odpowiedziałem.

- Spotkamy się jeszcze kiedyś? - powtórzył.

- Nevermore - powiedział Edgar.

* * *

I to byłby, moi drodzy, w zasadzie koniec. Będę się więc streszczał.

Gdy wróciłem do Krainy, popołudnie trwało w najlepsze, bo czas płynie u nas nieco inaczej niż u was. Nie poszedłem jednak do Zająca i Kapelusznika, by wspólnie wypić wygraną w zakładzie flaszkę i pochwalić się kolejnym - po upartym Szekspirze - sukcesem w naprawianiu losów światowej literatury. Nie poszedłem do Mab, by spróbować załagodzić konflikt za pomocą banalnej, acz nadzianej komplementami konwersacji. Poszedłem do lasu, by poleżeć na konarze, wylizać rany i wygrzać futro na słońcu.

Tabliczkę z napisem: BEWARE THE JABBERWOCK ktoś złamał i wyrzucił w krzaki. Prawdopodobnie zrobił to sam Jabberwock, osobiście, bo zwykł był często to robić. Lubi zaskakiwać, a ostrzegawcza tabliczka psuje mu cały efekt zaskoczenia.

Mój konar był tam, gdzie go zostawiłem. Wlażem na niego. Spuściłem malowniczo

ogon. Położyłem się, sprawdziwszy, czy gdzieś w okolicy nie kręci się Radetzky.

Słoneczko przygrzewało. W gąszczu tumtumów i tulżyc wesoło kląskały peliczaple. Zbłąkinie rykoświstąkały. Jaszmije smukwijnę robiły coś na pobliskim gargazonie, ale nie widziałem, co. Odległość była zbyt duża.

Było złote popołudnie.

Było smaszno. I smutcholijnie. Jak to u nas.

Zresztą, przeczytajcie sobie o tym sami. W oryginale. Albo w którymkolwiek z przekładów.

Tyle ich przecież jest.

"Zdarzenie w Mischief Creek"

Na trupa natknęli się zniechceni, niespodzianie, nagle spojrzeli na nich czarnymi oczodołami znad krzaków jałowca. Z uschłego drzewa, z którym, zdawało się, tworzy jedną całość. Na pierwszy rzut oka tak to właśnie wyglądało - jak gdyby człowiek i drzewo umarli razem. Jednocześnie. Jak gdyby zrosili się w chwili śmierci. Jason Rivet wzdrygnął się mocno.

Oczywista, poprawił się w myślach, nie mogło to być prawdą, to wspólne umieranie. Drzewo było białe, niemal zupełnie pozbawione gałęzi, pokraczne, strupieszale, okaleczone, rozdarte wielką rozpękliną - było jasne, że umarło już bardzo, bardzo dawno temu. Człowiek, którego resztki do drzewa przybito, z pewnością umarł później. Też dawno, ale później.

- Niech to czart... - zaczął Adam Stoughton, ale umilkł. Wuj William splunął, przechyliwszy się na kulbace. Wielebny Maddox nie poruszył się ani nie odezwał.

Abiram Thorpe zsiadł z konia, zbliżył się ostrożnie, rozgarniając jałowce łufą muszkietu. Podeszedł, stanął obok Izmaela Sassamona. Spytał o coś, Indianin odpowiedział, krótko i gardłowo.

Czaszka trupa, oddzielona od reszty szkieletu, nadziana była na sęk na wysokości dobrych sześciu stóp nad ziemią. Pod czaszką, jakąś stopę niżej, przybito klatkę piersiową, nadpróchniałe drewniane kliny sterczały między obrosniętymi mchem żebrami. Jedna ręka, upiornie rozczapierzona, wisiała u obojczyka. Druga - wraz z miednicą, femurami, goleniami i całą masą drobniejszych kosteczek - spoczywała, tworząc kopczyk, u podnóża uschłego drzewa.

- Czerwone Skóry - powiedział z przekonaniem konstabl Henry Corwin. - To robota dzikich.

- Izmael mówi, że nie - zaprzeczył Abiram Thorpe. - Prawda, Izmaelu?

- Nie Mohawk - przemówił gardłowo Indianin. - Nie Seneka. Nie Mahikan. Nie Leni Lenape.

- On sam to Czerwona Skóra - parsknął konstabl - to i tak gada. Chrześcijanin nie potraktowałby zwłok takim sposobem. A nie dałbym głowy, czy tego nieszczęśnika nie przybijano do pnia żywcem. Jak myślicie, panie Thorpe? Wy przecie czytacie ślady nie gorzej od dzikusa, wybaczenie porównanie...

- Jakie tam ślady - burknął myśliwiec. - Toż to starość. Musi tu być od lat...

- Czasu Wojny Króla Filipa - odezwał się Adam Stoughton - nie brakowało po lasach truposzków, żadna była dziwność potknąć się w krzakach o szkielet. Myślisz, Abiramie, że ten też może tu wisieć od siedemdziesiątego piątego?

- Może. Zdaje mi się...

- Trzeba pochować te szczątki - przerwał wielebny Maddox, w oczywisty sposób nieciekawym tego, co się zdaje traperowi. - Nuż, panowie, z koni.

- Nie szkoda to czasu? - skrzywił się wuj William. - To przecie jeno parę gnatów, pewnikiem dzikiego zamordowanego przez innych dzikich. Niech tam...

- Jesteśmy chrześcijanami - przerwał John Maddox głosem dla siebie zwykłym, to jest chrapliwym, nieprzyjemnym i nie tolerującym sprzeciwu. Chudy, w wysokim kapeluszu, owinięty w opończę, pastor wyglądał jak wielki czarny ptak. Wielka czarna wrona, pomyślał po raz nie wiedzieć który Jason Rivet, wychudła czarna wrona siedząca na siwku.

Wielebny odwrócił się w siodle i przewiercił chłopca wzrokiem, zupełnie jak gdyby zdołał odczytać jego myśli.

- Weź konie, chłopcze. Sprowadź je nad strumień i napój. Żywo! Ruszajże się! Z koni, panowie. Sprawimy zmarłemu pochówek.

- Nie namęczymy się - mruknął cieśla Stoughton. - Dużo tego nie ma. Wystarczy aby obcasem ziemię rozgrzebać...

Henry Corwin odrzekł coś gniewnie. Jason Rivet nie dosłyszał, sprowadzał konie w kotlinkę.

Strumień pachniał chłodem, szalwią i zbutwiałą korą. Woda była brązowa od torfu, a w głębszych miejscach, na zakolach, gdzie nurt wypłukał jamy, zdawała się czarna w cieniu schylonych nad kotlinką drzew. Nad samą wodą rosły buki, splatające w górze konary na kształt dachu. Pod bukami, za zbitym gąszczem tarniny, usadziły się sasafrasy, modrzewie i choiny.

Na zakręcie, na głębini pod wymytym brzegiem spławił się pstrąg, z pluskiem godnym bobra. Jason Rivet wzdygnął się, konie uniosły łby.

- Jeśli konie się napoiły - dobiegł z góry ostry głos wielebnego Maddoxa - to przyprowadź je tu, chłopcze. Żywo! Ruszaj się!

Niechże on przestanie mną komenderować, pomyślał Jason. Niechże on przestanie traktować mnie jak służącego, jak Negra, niech przestanie wydawać mi polecenia, w dodatku takim głosem, jak gdyby od razu karmił za opieszale i niewłaściwe tych poleceń wykonanie. Mam tego dość. Mam też dość tego, że wuj William na to pozwala, że przygląda się obojętnie albo wręcz udaje, że nie widzi i nie słyszy. Nie było by tak, gdyby ojciec żył. Ojciec nie pozwoliłby na to, nie pozwoliłby na coś podobnego nawet samemu wielebnemu Johnowi Maddoxowi.

Mam tego dość, powtórzył w myślach Jason Rivet, zbierając w dłonie wodze wszystkich sześciu koni. Poszły posłusznie, ślizgając się, tupiąc i dzwoniąc podkowami na kamieniach, siwy wałach wielebnego, kasztan cieśli Stoughtona, gniada klacz pana Abirama Thorpe'a, jabłkowita kobyłka konstabla Corwina, hreczkowaty ogier wuja, jego własny bułanek.

- Nuże, chłopcze - ponaglił pastor. - Nie mitręż!

Mam go dość, pomyślał Jason. Mam dość jego i całej tej wyprawy.

Na szczęście, jak mi się zdaje, nie jestem jedynym, który ma dość.

- Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy - powiedział ponuro Adam Stoughton. - Jesteśmy więcej niż sześćdziesiąt mil od domu. Obrok dla koni się kończy, a dostać go nie będzie gdzie, bo jeśli i są tu w lasach jakieś sadyby czy farmy, to z pewnością nędzne i biedne, nie dostaniemy tam niczego. Do czarta, panowie, jak długo wy zamierzacie ciągnąć to przedsięwzięcie? Do zimy? Dokąd zamierzacie dojść, do rzeki Connecticut? Do Appalachów? Abiramie Thorpe, do czarta, odezwijże się, powtórz, coś mi niedawno rzekł. Ktoś to, do czarta, musi wreszcie powiedzieć!

Wsparty na muszkiecie Abiram Thorpe przestąpił z nogi na nogę, mnąc w rękę ozdobioną szopim ogonem czapkę. Nie było tajemnicą, że nie lubił gadać. Pytany, odpowiadał krótko, burkliwie i nie zawsze. Nie pytany odzywał się wielce rzadko.

- Widzi mi się - burknął wreszcie myśliwiec, kaszlnąwszy w pięść - że trza wracać. Odeszliśmy ciut daleko.

- Ciut daleko! - parsknął Adam Stoughton. - Dobre sobie! Jesteśmy więcej jak sześćdziesiąt mil na zachód od Watertown! Uszliśmy dalej bez mała niżli kapitan Elizur Holyoke w tysiąc sześćset trzydziestym trzecim!

- Obaj panowie - wielebny Maddox utkwiał w cieśli i myśliwcu swe przenikliwe oczy, błyszczące niczym czarne jeziora między rondem kapelusza a przybrudzoną nieco bielą wykładanego kołnierza. - Obaj panowie na ochotnika zgłosili się do pościgu, nikt panów nie przymuszał. Dziwią tedy pana słowa, panie Stoughton, i pana nieoczekiwane zniechęcenie. Zdaje się zapominać pan o celu, który nam przyświeca. Prawo i sprawiedliwość...

- Prawo! - przerwał, parskając, cieśla Stoughton. W całej kompanii, Jason Rivet stwierdził to już dawno, był jedynym, który bez żenady zwykł był przerywać wielebnemu.
- Prawem koni nie nakarmimy, do czarta!

- Strzeż się - warknął Henry Corwin. - Strzeż się wzywać czarta, Adamie Stoughton. Bo gotów zjawić się na wezwanie.

Cieśla rozejrzał się płochliwie, spojrzał na kupkę świeżej ziemi, kryjącej zdjętego z drzewa kościotrupa. Ale zaraz dumnie podniósł głowę.

- Względem waszej sprawiedliwości - podjął, patrząc na pastora - to pewnym i was upewniam, że owej zadość się wnet stanie nawet i bez nas. Koń dziewczyny padł tuż za Penacook, zajeżdżała go, widzieliście przecie padlinę. A że dziewczka okulawiona jest, idąc pieszo przez to pustkowie, nie ma żadnych szans. Sprawiedliwość wymierzy jej chłód i głód, za kata posłuży niedźwiedź, wilk lub czerwonoskóry. Tyle z niej zostanie, co z tego tu. Parę kosteczek białych, do goła ogryzionych. Możemy tedy wracać do domu i z czystym sumieniem rzec całemu hrabstwu...

- Nie! - wpadł mu w słowo konstabl Corwin, od razu i dobitnie. - Nie zawrócę wcześniej, aż ją pochwycę. Albo zobaczę jej trupa. Zresztą wątpię, żeby dane nam było to drugie. Nie zapominajcie, z kim mamy sprawę. Gdyby to była zwyczajna dziewczucha, już byśmy ją mieli. Ale ona zwykłą nie jest. Za nic takiej jak ona głód albo dziki zwierz. Za nic takiej trud, bo siła w niej diabelska! Zapomnieliście, do czego zdolny był George Burroughs, ten z Salem? Choć postury był nikczemnej, w rękach rozpostartych dzierżył ciężki muszkiet i barylękę melasy i mógł tak dzierżyć przez bite trzy pacierze, albowiem...

- Co to do rzeczy ma? - przerwał mu ostro cieśla. - Hę?

- A to - parsknął Henry Corwin - że w przeciwieństwie do niektórych jam nie tchórzem podszyty. Ja na widok byle umarlaka dud w miech nie chowam i nie skamle, że chcę do domu.

- Sameś przed chwilką czarta się strachał, Corwin.

- Ja nie boję się niczego!

- Ani ja!

- Pokój, panowie - zażegnał sprzeczkę chrapliwy głos Johna Maddoxa. - Zgoda między wami. A bać Boga się jeno trzeba. Rozumiem, konstablu Corwin, że jesteście za kontynuowaniem pościgu?

- Jestem, jako żywo. Chcę dziewczkę widzieć na stryczku, nie myślę zdawać kary na wilki czy Czerwone Skóry. A jam nie cieśla, kościotrupów nie boję się.

- Panie Hopwood?

Wuj William językiem przesunął prymkę tytoniu pod drugi policzek, strzyknął na paprocie brunatną śliną. Milczał chwil kilka. Ale Jason Rivet nie miał wątpliwości, co odpowie. I nie pomylił się.

- Mnie tam zajędo. Co każecie, wielebny. Każecie iść dalej, pójdę. Każecie wracać, też dobrze. Ja tam tak, jak i wy.

- A ja - pastor przewiercił cieślę wzrokiem - jestem za tym, by kontynuować pościg. Tak bowiem każe prawo i tak każe Pismo. I tego by wystarczyło nawet wówczas, gdybym był w mniejszości. Ale to wy jesteście w mniejszości, panie Stoughton.

- Ciekawie liczycie, wielebny. I trochę wcześniej, widzi mi się.

- Liczę akuratnie - odrzekł zimno pastor. - Panowie Corwin i Hopwood podzielają moje zdanie. Są więc trzy głosy przeciw dwom i na tym koniec głosowania. Bo nie będziemy przecie pytać o zdanie wyrostka. Ani tym bardziej Indianina. Idziemy tedy dalej śladem.

- Nie ma śladów - powiedział swym gardłowym głosem Izmael Sassamon, jak duch wyłaniając się z gąszczu.

- Jak to, nie ma? - zmarszczył się Abiram Thorpe. - A gdzie się niby podziały? Dobrześ patrzył, Izmaelu?

- Nie ma śladów.

- Nie ma śladów - powtórzył po długiej chwili ciszy Adam Stoughton. - Za czym mamy tedy iść? Dokąd każecie, wielebny? Konstablu? A ty, Izmaelu? Twego indiańskiego zdania nie słuchają tu i nie liczą się z nim. Ale ja, do czarta, akurat chętnie bym je poznał.

Indianin patrzył na niego, a jego twarz była jak oblicze wyrzeźnionej z drewna kukły.

- Którędy - powtórzył cieśla, nie próbując maskować drwiny - przykażesz iść?

- Tam, gdzie siekiery - twarz Izmaela Sassamona nadal niczego nie wyrażała. - Słuchać siekiery. Tu niedaleko wyrąb.

Oddział znalazł się w siodłach bez komentarzy, nawet bez komend. Izmael pobiegł przodem, pozostali podążyli za nim tak szybko, jak pozwalał las. Prowadzili Abiram Thorpe, rychtujący już muszkiet, i konstabl Corwin. Jason Rivet jechał ostatni. Nauczono go już, gdzie jego miejsce.

- Ciekawe - mruczał jadący przed nim Adam Stoughton - któż to tu bydli, wśród puszczy. Małom co słyszał o osadach na zachód od Worcester i Penacook Plantation.

William Hopwood nie odpowiedział, zajęty sprawdzaniem stanu panewek pistoletu i garłacza. Jason Rivet wiedział, że wuj umie posługiwać się pistoletem i garłaczem. Wszyscy o tym wiedzieli. Był to zresztą jedyny powód, dla którego wzięto wuja do pościgu. William Hopwood cieszył się, jeśli można było to uznać za właściwe określenie, sławą zabójcy. Wszyscy wiedzieli, że za młodu polował w lasach na Penobscotów, Pequotów i Naszuów, że wyprawiał się na Seneków i Mohawków, że miał kolekcję skalpów. Jak twierdzili nieżyczliwi, w większości kobiecych.

Wielebny Maddox, zaalarmowany zgrzytem kołowego zamka, obejrzał się w siodle. On też znał obiegową opinię o wuju. On też zauważył, jak z ospałego, apatycznego i obojętnego na wszystko gnuśnika William Hopwood przemienił się nagle w drapieżcę o płonących oczach.

- Strzelać - ostrzegł syczącym głosem - dopiero na komendę, panie Hopwood. Na komendę. Nie wcześniej. Zrozumiał pan?

Jechali w górę strumienia, lawirując wśród kęp sasafrasów i sumaków. Wkrótce także i do niewprawnych uszu Jasona dobiegł budzący echa stuk kilku toporów. Po niedługiej chwili zaś przenikliwy trzask i wcale niedaleki szum i chrupot łamanych gałęzi obwieścił efekt wysiłku drwali. A po chwili oddział z Watertown wyjechał na porębę. Zabielało pociętym drewnem i wiórem. Zapachniało żywicą.

Drwali było sześciu. Trzej obciosywali konary z obalonej sosny. Dwaj odciągali ku skrajowi polany wielkie karcze, zręcznie powodując dwukonnym sprzężajem przysadzistych i kosmatych koników. Trzeci, najbliższy, zbierał i układał gałęzie w sąg.

Na widok oddziału drwale zamarli, zastygli w pozach. Byli, jak zauważył Jason, jak jeden mąż jasnowłosi. Ich twarze były jakieś dziwne.

- Nie lękajcie się, ludzie - ogłosił Maddox, odsłaniając opończę tak, by drwale mogli zobaczyć srebrne frędzle na wykładanym kołnierzu duchownego. - Jesteśmy dobrzy chrześcijanie, stronnicy króla, ładu i prawa.

Drwale nie wyglądali na przestraszonych. Zaskoczonych, tak, ale nie przestraszonych. Choć nie mogli nie widzieć muszkietu, garłacza i pistoletów, na ich szerokich, przypominających miesiąc w pełni twarzach nie znać było ni cienia lęku. Te szerokie oblicza - Jason Rivet wiedział już, że dziwny ich wygląd brał się z zupełnego braku zarostu i niezwyklej wprost jasności brwi i rzęs - wyrażały absolutną i tępą obojętność.

- Jesteśmy chrześcijanami i stróżami prawa - powtórzył wielebny, prostując się w siodle i rozglądając po porębie. - Przybywamy z Watertown, z hrabstwa Middlesex. Ścigamy zbiegłego z więzienia przestępcę, skazanego przez legalny sąd Kolonii Zatoki Massachusetts.

- Przestępcą tym jest niewiasta - dodał konstabl Corwin. - Młoda kobieta o jasnych włosach. Widzieliście taką?

Drwale patrzyli na niego tak, jak gdyby był przejrzysty. Jak gdyby w ogóle nie rozumieli słów. Jak gdyby w ogóle ich nie słyszeli. Ten najbliższy odwrócił się i spokojnie, jak gdyby nigdy nic, wznowił zbieranie gałęzi.

- Nie rozumiecie? - rozdarł się Corwin. - Czy udajecie, że nie rozumiecie?

Jeden z drwali, najwyższy, przełożył siekierę z ręki do ręki, otworzył usta, kilka razy poruszył wargami, iście niby ryba. Potem wyrzekł coś bełkotliwego. I absolutnie niezrozumiałego.

- Holendrzy - stwierdził z przekonaniem wuj William. - To są Holendrzy. Albo Niemcy.

- Holendrzy - powiedział Maddox - zazwyczaj znają francuski. Wy wszak mówicie po francusku, panie Stoughton.

- Ale tam, mówię - mruknął cieśla. - Ledwo ledwo. Ale niech tam będzie, spróbuję... Mesje! Bonżur! Nu som... Nu szersze un... Jedna dziewczucha... Fam, znaczy... Un fam, co uciekła z prison...

- Zapytajcie - wtrącił pastor - z jakiej są osady.

- Wule wu? Kompri? Parle, kel osada? Kel... Do czarta! Nie wiem, jak się mówi...

- Nie pomogłoby - przerwał konstabl Corwin - nawet gdybyś wiedział, Stoughton. Oni nie rozumieją ni w zęb. I nie we francuszczyźnie sprawa. Oni zwyczajnie głupi są. Głupi i tyle!

Jasne twarze drwali, Jason Rivet przysiągłby, wyjaśniały jeszcze bardziej, wodnistobłękitne oczy ożyły na moment. Ten najwyższy znowu poruszył ustami, jakby powtarzając za konstablem znajome mu słowo. Potem uśmiechnął się szeroko, demonstrując ładne białe zęby. Ponownie wydał z siebie serię bełkotliwych i niezrozumiałych dźwięków. A potem odwrócił się, zamachnął i ciął siekierą, odrąbując od zwalonego pnia kolejny konar. Pozostali również wrócili do swych prac, całkowicie lekceważąc przybyłych z Watertown dobrych chrześcijan i stróżów prawa.

- Nie sposób - powiedział kwaśno Maddox - nie zgodzić się z wami, konstablu. Ci ludzie niezawodnie słabowici są na umyśle. Błogosławieni ubodzy duchem, ich bowiem będzie królestwo niebieskie.

- Pierwsi napotkani od dwóch dni - pokręcił głową Stoughton. - I masz ci los: matoly. Ich będzie królestwo niebieskie. Ich szczęście, a nasz pech. I co teraz czynić? Kogo pytać?

Cieśla patrzył na Izmaela, Indianin zaś bez słowa, z twarzą równie niemal obojętną co u drwali, wskazał na wyjeżdżony przez wozy i zdeptany przez kopyta szlak wiodący z poręby. Abiram Thorpe cmoknął na swoją gniadą klacz. Konstabl Corwin i Maddox ruszyli za nim. Wuj zwolnił kurek garłacza, by nie fatygować sprężyny.

- Osada pewnie gdzieś w pobliżu - domyślił się Jason, podjeżdżając bliżej do konia cieśli. - Jak myślicie, panie Stoughton?

- A jak ty myślisz, chłopcze? Że ci drwale przyszli tu z Bostonu?

- Nie szydźcie. Ja jeno pytam. Mówili, że nie ma osad na zachód od Penacook Plantation.

- Mówili.

- I co?

- Nie mieli racji.

Jason Rivet schylił się do samej szyi konia, by móc przejechać pod niskim konarem choiny.

- Panie Stoughton?

- Co znowu?

- Ten kościotrup przybity do drzewa... A teraz ci dziwni drwale... Nie boicie się, że...

- No?

- Że to czary? Siła nieczysta?

- Nie bądź głupi, chłopcze.

Strumień przegrodził im drogę, ale szlak wiódł wprost do brodu; bez trudności, nawet bez zamoczenia strzemion sforsowali rzeczkę po piaszczystym dnie. Zaraz za brodem las rzedł, wyjeżdżona droga skręcała wzdłuż skraju, na który wkrótce wyjechali. Wyjechali na łąkę, zieloną, zalaną słońcem, pachnącą sianem zagrabionym na kilkanaście kopek. Izmael Sassamon zatrzymał się, chrząknął, wskazał ręką. Niepotrzebnie, wszyscy już widzieli.

Koło jednej z kopek, nieporządnie rozgrzebanej, stał zgrabny srokaty ogierek, zaprzężony do pomalowanej na zielono, ale mocno obłazłej z farby dwukółki. Zanim ktokolwiek z oddziału zdołał słowem, gestem lub choćby miną nawet okazać zdziwienie, z kopki siana wyskoczył jak spłoszony jeleń jasnowłosey, goły do pasa mężczyzna. Nie tracąc chwili nawet na przyglądanie się, mężczyzna rzucił się do ucieczki, sadząc zwinnie przez osty i kopki, w czym nie przeszkadzały mu nawet podtrzymywane oburącz pludry. Mimo podtrzymywania pludry opadały; nim mężczyzna w jelenich susach dopadł czarnej ściany lasu, kilkakrotnie zaświecił białym tyłkiem, silnie kontrastującym z ciemną opalenizną pleców.

- Niech mnie czart... - zaczął Adam Stoughton i urwał, widząc, jak z kopki siana unosi się następna postać. Tą była kobieta. Jason Rivet przełknął ślinę i otworzył usta.

Abiram Thorpe parsknął, cieśla zawtórował mu, wuj zarechotał. Wielebny Maddox obrócił się na kulbace i zmroził ich wzrokiem.

- Jak zwierzęta - wycedził. - Gzą się w chuci i tarzają w grzechu jak bydło. A śmiechy tu nie na miejscu, panie Hopwood, i nie ma co chichotać, panie Stoughton. To jest nie tylko bezecność i wszeteczeństwo, ale i łamanie prawa. Panie konstablu Corwin...

- Lepiej - rzekł z naciskiem Abiram Thorpe, poważniejąc - wywiedzieć się pierwiej. Drogi się u owej baby wypytać.

- Święte słowa - dodał cieśla. - Musimy wreszcie zasięgnąć języka. Nie straszcie więc niewiasty prawem i karą, bo i owa ucieknie.

Nic jednak nie wskazywało, by niewiasta zamierzała uciekać. Wstała z siana, podciągnęła pończochy, wzięła trzewiki. Zapięła sukienkę, zasłaniając różne krągłe rzeczy, widoczne do niedawna całkiem wyraźnie i przyprawiające Jasona Riveta o dreszcz i przyspieszony oddech. Chłopiec zauważył, że jakby szybciej oddychają też i wuj, i cieśla Stoughton, i konstabl. Szybciej. Tym szybciej, im bliżej niewiasta podchodziła. Bo podchodziła, palcami wyczesując źdźbła z pięknych kasztanowatych włosów, sięgających do połowy pleców.

- Nie lękaj się - Adam Stoughton oblizał wargi. - Jesteśmy chrześcijanie, służymy królowi i prawu.

- Nie lękam się bynajmniej - kobieta uśmiechnęła się, rzeczywiście bez cienia obawy unosząc na jeźdźców duże zielone oczy. Cienka lniana sukienka mocno opinała jej się na piersiach. Jason Rivet przełknął ślinę i stwierdził, że kulbaka nagle stała się niewygodna, a spodnie ciasne.

- Nie lękam się was, chrześcijanie, słudzy króla i prawa. O ile w rzeczy samej takowymi jesteście.

- Iście jesteście! - potwierdził Henry Corwin, prostując dumnie swą kościstą postać. - W strony te sprowadza nas zaś...

- Rzecz, która nas tu sprowadza - przerwał chrapliwie wielbny Maddox - przeznaczona jest dla godniejszych uszu. I dla rozumu zdolnego ją pojąć. Okryj bezwstydną nagość, niewiasto.

Chwilę potrwało, zanim kasztanowowłosa pojęła, że wielbnemu idzie o przedramiona, odsłonięte przez odwinięte powyżej łokci rękawy sukienki. Okryła je otrzepaną z siana chustką, nie spuszczając z pastora oczu, co, jak dało się miarkować, bardzo Maddoxa złościło.

- W Kolonii Zatoki Massachusetts - zagrmiał pastor, spoglądając na kobietę jakby nie z siodła siwego wałacha, lecz ze szczytu góry Synaj - nieskromne obnażanie się jest ścigane prawem. Równie jak rozpusta. To ku pamięci, której zresztą postaram się dopomóc chłostą, gdy jeno rozmówię się z kimś z tutejszych władz. A teraz wskaż drogę do osady, która, tuszę, jest tu nieopodal. Wskaż mi drogę do kogoś, z kim mógłbym się rozmówić. Z kimś o stosownej pozycji, urzędzie, rozumie i płci! Czy pojmujesz moje

słowa, niewiasto?

- Ze wszystkim.

- A kim był - spytał ostro konstabl Corwin - ten, który zbiegł?

- To mój małżonek - wyjaśniła spokojnie kasztanowowłosa. - Trudzi się tu przy wyrębie. Uciekł, albowiem lęka się obcych. Jest nadto... cudzoziemcem. Szwedem.

- Jak i tamci inni na polanie, hę? Też Szwedzi?

- Niektórzy - kobieta uśmiechnęła się ładnie. - Bo są tam też Holendrzy i jeden Norweg. Domyślam się, żeście ich spotkali. I niewiele się dowiedzieli. Cóż, słabo oni, nijak zaprzeczyć, mową naszą władają. Nadto, co tu dużo mówić, są to prostaczkowie...

- Zauważyliśmy. A osada owa gdzie?

- Nieopodal, tu, nad Mischief Creek. Zwiemy ją również Mischief Creek. Ja zaś jestem Frances Flowers.

- Nie ciekawiśmy twego miana - uciął Maddox. - Wiedź do osady, niewiasto. Mówiłem, pilno nam rozmówić się z kimś poważniejszym. Dysponującym rozumem.

- Oczywiście, oczywiście... - Ust kobiety nie skrzywił uśmiech, ale w zielonych oczach, Jason Rivet dałby głowę, zatańczyły iskierki wesołości. - Co tylko przykażecie, służy króla i prawa. Pojadę, jeśli zezwolicie, przodem, by o waszej wizycie uprzedzić właściwe i kompetentne osoby.

Maddox nie raczył odpowiedzieć. Trącił bok konia piętą i skierował go na wyraźny, skręcający za skraj lasu szlak. Indianin szedł obok niego. Kobieta - Frances Flowers - wskoczyła do dwukółki, gwizdnęła przesywającą i strzeliła lejcami. Srokacz szarpnął dyszlem i poszedł w ostry kłus, tak że oblaźła dwukółka skakała za nim niczym cętkowana żaba.

- Ależ ostro - mruknął Abiram Thorpe - dziewczucha jeździ...

- W sianie - wyszczerzył zęby Adam Stoughton - pewnie też niezgorzej.

Wuj William zarechotał.

Jechali nadal wzdłuż strumienia, który zaraz za lasem zwalniał bieg i rozszerzał się w spore rozlewisko. Zaraz za rozlewiskiem, za poletkami kukurydzy i żyta, wśród klonów,

wiązów i brzóz zabielały gonty domów. Było ich, na ile dało się ocenić, z tuzin.

- Jak ona rzekła? - odezwał się konstabl Corwin. - Mischief Creek? Nigdy nie słyszałem. Ten strumień to niezawodnie dopływ Swift River, alem ja nigdy nie słyszał o osadach na zachód od Penacook Plantation i Elwes Marsh. Dawniej były, i owszem, ale jak jedna poszły z dymem w siedemdziesiątym piątym, za Wojny Króla Filipa.

- To już osiemnaście lat - zauważył Abiram Thorpe. - Ludzie się budują. Nowych ziem szukają. Czasem daleko...

- Daleko - potwierdził cierpko pastor. - Czasem bardzo daleko. Zwłaszcza, jeśli mają powody.

- Co macie na uwadze, wielbny?

Maddox nie odpowiedział.

Zobaczyli, że jadąca isticie po kawaleryjsku dwukółka zwolniła, potem zatrzymała się. Frances Flowers wychyliła się i zamieniła kilka słów z kimś, kogo nie widzieli zza kukurydzy. Potem gwizdnęła, pokłusowała ku osadzie.

Rychło dopędzili rozmówcę, którym okazała się dziewczynka lat może dziesięciu, niosąca kosz z kolbami. Na ich widok zatrzymała się, zadarła głowę. Oczy miała tak samo zielone jak Frances Flowers, także włosy identyczne w kolorze, długie, poskręcane w loki sypiące się spod słomianego kapelusza.

- Co też ta Frances gadała - powiedziała śmiało, wodząc oczami od jednego do drugiego jeźdźca. - Jaki osioł? Same konie przecie. Żadnego osła tu nie widzę. A ty, ty jesteś Indianinem?

Izmael Sassamon potwierdził lekkim skinieniem głowy. Maddox popędził konia. Ale Adam Stoughton swego wstrzymał, został z tyłu, jechał stępa obok dziewczynki. Henry Corwin zrobił podobnie. Także Jason Rivet.

- Może - zaproponował cieśla - na łęk cię wziąć, panienczko?

Dziewczynka podniosła głowę i poruszyła nozdrzami.

- Nie, pięknie dziękuję. I nie jestem żadna panienczka, ale Verity Clarke.

- Ha. A ja myślałem, że Frances Flowers to twoja matka. Jesteś do niej podobna...

- Frances to moja kuzynka, nie żadna matka. Ona nie ma dzieci. Ale stara się, jak może. Jak tylko jest czas i sposobność. Nawet gdy Arne Lennart, jej mąż, idzie na porębę, Frances jeździ tam do niego dwukółką. I robią dziecko.

Cieśla chrząknął, zamilkł, zapatrzył się w grzywę konia. Konstabl przyglądał się dziewczynce uważnie.

- Ów Szwed - zmarszczył się - zwie się więc Lennart. A twoja kuzynka Flowers. Jakże to tedy jest z tym ich małżeństwem?

- Eee?

- Twoja kuzynka nie nosi nazwiska męża.

- A czemu miałyby nosić?

Corwin zamilkł. Ale tylko na chwilę.

- A twój ojciec? Jakie nazwisko nosi?

- Tata umarł.

Nad strumieniem, na usianej piórami łączce, pasły się gęsi. Za łączką, w cieniu klonów, zobaczyli cmentarz okolony niziutkim kamiennym murkiem. Mogił było sporo. Rzucalo się to w oczy.

Na samym skraju osady, tuż za zieloną płanią ogrodów, wznoszono duży budynek, już zaznaczający się ażurową, jaskrawo białą klatką belek i krokwi. Przy budowie trudziło się kilku mężczyzn, do uszu dobiegał stukot młotków. Spod samych niemal kopyt siwka pastora Maddoxa prysnął rudy kot, rysią pomknął ku opłotkom.

- Czy to prawda - odezwała się nagle Verity Clarke - że w miastach są maszyny?

- Jakie maszyny?

- Takie, co same robią różne rzeczy. I mają kółka.

- Jak kieraty? Młockarnie? Młoty wodne?

- Właśnie. I różne wehikuły, które jeżdżą po drogach. Są?

- Są.

- Och. To pięknie.

- A jak - wielebny Maddox nagle odwrócił się na kulbace, przeszył dziewczynkę iście jastrzębim wzrokiem - miewa się Janet Hargraves?

- Kto?

- Janet Hargraves. Ta obca pani, która przysłała do was... niedawno. Ta z chorą nogą. Czy zdrowa? Czy noga nadal ją boli?

Dziewczynka patrzyła na niego, szeroko rozwarłszy oczy i jeszcze szerzej usta. Albo tak sprytna, pomyślał Jason Rivet, albo po prawdzie nie wie nic, nic nie widziała, przebiegły fortel wielebnego spalił na panewce.

Maddox musiał dojść do podobnego wniosku, bo popędził konia, przestając poświęcać dziewczynce uwagę. Verity Clarke westchnęła głośno. Szła tuż obok konia Jasona, podskakując i nucąc.

Byli już tak blisko budowanego domu, że do stuku młotków dołączył się symfonicznie rżący śpiew pił, a wiaterek doniósł ostrą, terpentynową woń świeżo rżniętej sośniny. Widzieli już cieśli, było ich sześciu. Adam Stoughton zlustrował pracę fachowym okiem.

- Dobra robota - ocenił krótko. - Sprawnie im idzie.

- Widać.

Na widok oddziału cieśle przerwali robotę, a Jason Rivet aż westchnął ze zdumienia. Gdyby nie to, że rozsądek przeczył, przysiąc mógłby, że to niedawno spotkani drwale z poręby, ci sami, cudem jakimś tu przetransportowani. Cieśle byli bowiem tak samo jasnowłosi, mieli tak samo dziwne, pozbawione brwi i rzęs twarze. I tak samo obojętne, puste oczy, w których próżno szukałbyś jakiej bądź reakcji.

- Witajcie. Przybywamy z Watertown. Jesteśmy stronnikami króla i prawa...

Maddox urwał. Zrozumiał, jak i pozostali, że gadanie pozbawione jest sensu.

- Z nimi - Verity Clarke dźwięcznym głosem potwierdziła to, co było oczywiste - z nimi nie pogada się. Nie bój się ich, Adrianie van Rijssel. Oni cię nie skrzywdzą. Wracaj do pracy.

- Tot Uw dienst, juffrouw.

Wjechali pomiędzy budynki. I natychmiast zobaczyli te, które na nich czekały na werandzie jednego z domów.

Jedną z kobiet była znana im już Frances Flowers. Podobieństwo drugiej, starszej, do małej Verity nie mogło pozostać niezauważone, była to więc niezawodnie jej matka. Trzecia kobieta była wysoka i chuda, kości wyraźnie rysowały się jej pod woskową skórą twarzy, a spod czepka wymykały się siwe kosmyki. Czwarta kobieta, niezwykle piękna, miała włosy czarne i lśniące jak krucze pióra, a usta czerwone jak krew. Skromny kabacik, prosta bawełniana spódnica i biały fartuszek leżały na niej lepiej i atrakcyjniej niż jedwabie i atłasy na żonie gubernatora Kolonii. Ale najdziwniejsza była ta piąta.

Piąta kobieta, siedząca na bujanym fotelu z wysokim rzeźbionym oparciem, była mocno już zaawansowana w latach i tuszy. Nosiła czarny kapelusz z klamrą i krótką pelerynkę. Oczy miała seledynowe, jasne tak, że wyglądały jak pozbawione tęczówek, mające tylko ciemną plamkę źrenicy. W oczach tych było coś, stwierdził Jason Rivet, coś takiego, że z miejsca czuło się mus ukłonić, spuścić wzrok i przyznać do zjedzenia konfitur. Od otyłej kobiety promieniował autorytet. Ale Jason Rivet nie znał tego słowa.

- Spotkałam ich na polu, babko - zabrzmiał w ciszy piskliwy głosik Verity Clarke. - To są stronnicy króla i czegoś tam.

- Wiemy to już - powiedziała Frances Flowers, dość złośliwie uśmiechnięta. - Wyraziliście, panowie, ochotę rozmówić się z kimś o stosownej pozycji, urzędzie, rozumie i płci. Oto więc jesteśmy.

- Witam panów - powiedziała otyła i jasnooka. Gdyby usłyszał jej głos za plecami, Jason pewien byłby, że to głos młodej dziewczyny. - Witam panów w Mischief Creek. Jestem Dorothy Sutton.

- Co to są za jasełki? - zawarczał gromko pastor Maddox. - Co to za kpiny? Gdzie mąż twój, niewiasto?

- Nie mogliście nie spostrzec cmentarza za osadą. Tam leży, świeć Panie nad jego duszą.

- Chcę mówić z mężczyzną!

- Mówiliście - z warg Frances Flowers ani myślał zniknąć złośliwy i bezczelny uśmiešek - z drwałami. I z cieślami budującymi spichlerz. Nie wystarczyło?

- Nie ma tu innych?

- Ależ są, są - przemówiła ta piękna, czarnowłosa. - O, choćby ten.

Spomiędzy domów wyłonił się mężczyzna w podkasanych portkach, pchający taczkę pełną gnoju. Przechodząc obok, poświęcił im głupią minę i wylęknione nieco spojrzenie, po czym przyspieszył kroku. Konstabl Corwin zaklął z cicha, cieśla Stoughton parsknął, wuj William splunął. Wielebny Maddox słyszalnie zazgrzytał zębami.

- Więc nie ma tu... - zachrypiał, odkaslnął. - Nie ma tu... innych mężczyzn? Waszych ojców? Braci? Żadna z was nie ma męża?

- Nie ma - potwierdziła Dorothy Sutton. - Tak los sprawił, niezbyt nam ostatnio przychylny. Tym sposobem to ja, nikt inny, może przywitać was w Mischief Creek, przybysze z dalekich stron. Ja, a wraz ze mną panie Faith Clarke, Annabel Prentiss i Jemima Tyndall.

Jej jasne spojrzenie ewidentnie działało również na pastora, bo gdy się odezwał, powstrzymywana dotąd złość znikła z jego głosu. Pozornie.

- Cóż - wzruszył ramionami - ciężko was, miarkuję, Pan doświadczył. Nielekko wam musi być bez mężczyzn.

- Bywają takie chwile.

- Posłuchajcie tedy. Jestem John Maddox, pastor z Watertown, w hrabstwie Middlesex. To zaś jest pan Henry Corwin, konstabl tegoż hrabstwa. I inni panowie, w służbie prawa będący. Ścigamy zbiegłą z więzienia zbrodniarkę, zwącą się Janet Hargraves. Co możecie mi w tej sprawie rzec?

- Nic.

- Przypominam, że każdy poddany króla winien jest posłuch i asystę prawu. A kto zbrodniarza skrywa lub pomaga mu, na równi z owym karany jest.

- Wiem to. Czym, jeśli można spytać, zawiniła inkryminowana Janet Hargraves?

- Zbrodnią czarownictwa.

- Słucham?

- Janet Hargraves - w głosie wielebnego znowu zabrzmiały złość i zniecierpliwienie - jest czarownicą. Uprawiała czarną magię i została skazana prawomocnym wyrokiem

sądu.

- I ścigacie ową Janet Hargraves aż od Watertown? Spod samego Bostonu? Za uprawianie magii?

- Nie inaczej. Odpowiedz na moje pytanie, niewiasto.

Dorothy Sutton patrzyła na niego długo.

- Nic mi nie wiadomo o żadnej Janet Hargraves - przemówiła wreszcie. - Ani o innych osobach ściganych za czarną magię. Nie mogę panom pomóc. To znaczy, nie mogę pomóc inaczej jak gościna. Poczestunkiem, jeśli panowie nie pogardzą skromnym wiktem. Noclegiem, o ile nie nazbyt nawykliście do wielkich luksusów, których zaoferować nie mogę.

Adam Stoughton, konstabl i Abiram Thorpe dość ochoczo zsiadli z koni, wuj William poszedł za ich przykładem. Wielebny Maddox pozostał w siodle, wciąż wiercił kobietę oczami.

- Jesteśmy dobrymi purytanami - przemówił wreszcie, wskazując wzrokiem i palcem Frances Flowers. - Przestrzegamy praw Kolonii. A tę tu przychwyciliśmy na wszeteczeństwie, na bezwstydnym rozpucie. W biały dzień. Nie ma znaczenia, że z mężem. Powiada bowiem apostoł Paweł do Tesaloniczan: wolą Bożą jest wasze uświęcenie, powstrzymywanie się od rozpusty.

- Pisz - twarz Dorothy Sutton nie drgnęła nawet - jednakowoż ten sam Paweł do Koryntian: nie unikajcie jedno drugiego. A mówi Księga Przysłów: przemiała to łania i wdzięczna kozica, jej piersią upajaj się zawsze, w miłości jej stale czuj rozkosz...

- Zamilcz, kobieto - zawarczał Maddox, a twarz zrobiła mu się wilcza. - Zaiste, nie masz nic gorszego nad wypaczanie słowa Bożego, czynione przez istoty bezrozumne. Iście trąci mi to herezją, niebożnymi ideami antynomianów. Osobliwie Anny Hutchinson. Nie jest ci przypadkiem znajome to nazwisko, Anna Hutchinson? Hę? Bo coś ty mi też na taką patrzysz, której bzdura się bardziej mężem być niżli żoną, bardziej kaznodzieją niż tym, który ma słuchać, bardziej władzą niżli władzy podczynionym. Trzeba znać swoje miejsce!

- Absolutnie zgadzam się z wami, wielebny.

Maddox odczekał chwilę, by nie wyglądało, że za łatwo się poddaje, po czym zsiadł z siwka.

- Przyjmiemy twą gošcinę, niewiasto.
- Odprowadzimy wasze wierzchowce do stajni. Zadbamy o nie.
- Tym zajmie się Indianin. Weź konie, Izmaelu.
- Izmaelu - powtórzyła poważnie Dorothy Sutton. - Jakże trafnie! Izmael, syn Hagar. Napisano: będzie to człowiek dziki jak onager, będzie on walczył przeciwko wszystkim i wszyscy przeciwko niemu; będzie on utrapieniem swych pobratymców.
- Izmael Sassamon - rzekł sucho Maddox - to dzikus ochrzczony. I obłaskawiony. Choć prawdą jest, że z poganina, jak z dzikiego zwierza, dzikość ze szczeniem wykorzenić jest niemożnością, Izmael od dziecka, co rano i co wieczór, słucha w moim domu modlitwy, słów Pisma i psalmów, jak słuchała i jego rodzicielka. Nie musicie się go lękać.
- Wcale się nie lękamy. Zapraszam do środka, chrześcijańskim obyczajem. Do świetlicy. Gość w dom, Bóg w dom.
- Błogosławione imię Pana. Zaraz wejdziemy. Jenó się ochędożymy i opatrzymy juki.

Gdy tylko niewiasty skryły się wewnątrz budynku, pastor odwrócił się do reszty oddziału. Twarz, zauważył Jason, nadal miał wykrzywioną, złą, ale teraz przywodzącą na myśl lisa bardziej niż wilka. Konstabl Corwin też to dostrzegł.

- Podejrzewacie...

- Podejrzewam - uciał półgłosem Maddox. - Ci cudzoziemscy prostacy patrzą mi na zbiegów, po powrocie trzeba będzie dać znać do Hartford i Providence, posłać wieść do Albany nawet. Co do niewiast, to trącą mi sekciarstwem albo apostazją. Bezbożnymi antynomiańskimi ideami sekt bostońskich, tych Hutchinsonów i Dyerów różnych. Albo, co pewniej, są to odszczepieńczy kwakrzy, bo owi zwykli osiedlać się na odludziu. I o tym trzeba będzie po powrocie uwiadomić gubernatora. Ninie jednak co innego jest ważniejsze: wiedźma Hargraves. Nie wykluczam, że kłamią, że ją tu ukrywają. Trzeba tedy z głową. Sposobem. Posłuchajcie: wejdziemy, niby to z gošciny korzystając, ale co i trochę niech który wychodzi i patrzy dobrze, do domów i stodół zagłąda, na okienka baczy, czy z którego czarownica nie wyjrzy. Ty zaś, Izmaelu, konie zostaw w stajni, sam zaś całą osadę obejdź kołem, szukaj śladów, wiodących od sadyb do lasu, do stogów lub do inszego jakiego schowania. Gdy kto pościg widzi i skryć się chce, zwykle ucieka z osady do lasu.

- Wam - rzekł z niekłamany podziwem Henry Corwin - konstablem być, nie pastorem.

- Gdyby zaś - ciągnął Maddox, nie komentując - która z tych niewiast, gdy tam będziemy, ze świetlicy wyszła, niechaj który zaraz za nią wyjdzie i baczy...

- Toć z miejsca połapią się - bąknął Abiram Thorpe.

- W tym rzecz, by się połapały i przelekły. Na złodzieju czapka gore. Wtedy może i wiedźma się spłoszy, a gdy spróbuje ucieczki, schwyta ją Izmael.

- Iście - powtórzył Corwin - marnujecie się jako duchowny.

- Izmaelu, do stajni. Pan Stoughton z chłopakiem niechaj zaś w pierwszej kolei po osadzie się pokręca, popatrzą. Ale nie za długo, by pozoru nie dawać. Wnet wracajcie.

- Prędzej niż wnet - mruknął pod nosem cieśla. - Ze świetlicy jadłem pachnie, aż kiszki skręca. A tu masz, człeku, na przespłegi cię posyłają. Chodź, chłopcze.

Na środku wyjeżdżonej drogi bawiło się troje dzieci, trzy dziewczynki. Dwie usiłowały ustroić psa w czepek zawiązywany na tasiemki. Trzecia, którą była Verity Clarke, toczyła za pomocą patyka jakąś dziwną, składającą się z licznych kólek zabawkę. Zobaczyła ich, pomachała ręką. Adam Stoughton też pomachał, uśmiechając się krzywo i wymuszenie.

- Zaraza na tego Johna Maddoxa - mruknął. - Jak on to sobie przedstawuje to szpiegowanie? Że mamy tym babom do alków zaglądać, do komód? A może pod łóżka i do nocników?

- Mówił wielebny - przełknął ślinę Jason - by na okienka mieć uważanie. A tam, gdzie zielone okiennice, firanka się poruszyła... Widziałem...

- Obserwują nas.

Fakt, byli obserwowani, i to nie tylko skrycie, zza firanek, ale również w sposób tyleż jawny, co ostentacyjny. Dwie dziewczyny, z których z żadna nie mogła być starsza od Jasona, uważnie przyglądały się im zza płotu, wcale nie usiłując kryć się za rosnącymi tam malwami. Jedna z dziewczyn była czarniutka, druga jaśniutka. Obie były bardzo ładne. Jason poczuł, że się czerwieni. Odwrócił głowę. Po drugiej stronie drogi, na udekorowanej pękami ziół werandzie, siedziała na ławeczce młoda, ale dość korpulentna kobieta paląca fajkę. Ta też pomachała im ręką z wesołym uśmiechem. Ale tym razem cieśla nie pomachał w odpowiedzi.

- Dziwne baby - mruknął pod nosem - spotyka się po tych leśnych osadach.

- Panie Stoughton?

- Czego?

- Pastor mówił, że to anto... mianie...

- Antynomianie. Jak Anna Hutchinson. I Mary Dyer, którą powiesili w Bostonie w roku sześćdziesiątym. Obie głosiły, że przykazań bożych i praw wcale nie ma musu przestrzegać. Sporo miały zwolenników, bo nie ma, jak sam pewnie miarkujesz, takich, którym wielce miła taka wolność, że niby wolno każdemu, co i jak kto chce.

- Mówił też wielebny - Jason obejrzał się przez ramię na wesołą kobietę z fajką - że mogą to być kwakrzy. Odstępcy. A jeżeli... Panie Stoughton, jeżeli...

- Jeżeli co?

- Jeżeli to czarownice? Same czarownice? Cała osada czarownic?

- Nie bądź głupi, chłopcze.

- Ci mężczyźni, jakby zauroczeni... Ten szkielet w lesie... Panie Stoughton? W Salem przecie...

- Nie bądź głupi, rzekłem. Chodź, wracamy. Nie zdzierzę, tak to jadło pachnie smakowicie.

Dwie młode dziewczyny zza płotu z malwami, ta czarniutka i ta jaśniutka, odprowadziły ich spojrzeniami. A oczy miały błyszczące, ogniste, natrętne. Bezczelne. Niebezpieczne. Jason Rivet odwrócił głowę. Ale czuł, jak ich wzrok podnosi mu włosy na karku.

* * *

Smakowicie pachnącym jadem okazała się kukurydza z fasolą, podana w wielkich miskach w towarzystwie ogromnych chlebów o ciemnobrązowych, spękanych skórach i dzbanków klonowego syropu. Jason i cieśla jedli szybko i łapczywie. Konstabl Corwin i Abiram Thorpe skorzystali z okazji i dla towarzystwa nałożyli sobie drugie porcje. Wuj William odsunął talerz i wpakował do ust prymkę tytoniu. Wielebny Maddox ględził.

Młode kobiety, które podały strawę, znikły ze świetlicy. Wraz z nimi znikła też Faith

Clarke, matka małej Verity. I Frances Flowers. Jason odpędził wywołującą rumieniec i dreszcz w kroczu myśl, że Frances wróciła na łąkę, do kopki siana. Odpędził natrętną a nader detaliczną wizję tego, co robi tam ze swoim Szwedem.

W świetlicy została tylko jasnooka Dorothy Sutton, a z nią dwie inne: ta chudogęba, która zwano Jemimą Tyndall, i ta urodziwa, zwąca się Annabel Prentiss. Gdy Jason i cieśla weszli, wielebny Maddox właśnie sztorcował tę urodziwą. Jason słuchał nieuważnie. Był zajęty jadłem, nadto słyszał już pastora wcześniej. Bo już wcześniej, w Penacook i w Elwes Marsh, Maddox podobną mową reagował na wyrażane przez ludzi zdziwienie.

- Nie pojmuję twego zdziwienia, niewiasto, iście nie pojmuję! Gdyby szło o mordercę, zbója, koniokrada czy złodzieja, nikt by się nie dziwował pościgowi. Gdyby was tu, w tej osadzie, ograbił kto, gdyby was kto podpalił, gdyby któraś z waszych dziewczeczek zhańbił, gwałt zadawszy, jeszcze byście pościg ponaglali i chcieliby przestępcę na sam koniec świata ściganym i tropionym widzieć, i ukaranym. A gdy czarownicę ścigamy, masz, dziwują się, głowami kręcą, nosy krzywią, myślą, że nie widzę. Czarownictwo zbrodnią jest taką samą, albo i gorszą jeszcze, jak mord lub kradzież czy gwałt. Postanowili Ojcowie Pielgrzymi, że będzie Kolonia Zatoki Massachusetts rządzona wedle praw boskich, a mówi Księga Wyjścia: czarownicy...

- ...żyć nie dopuścisz - dokończyła beznamytnie Dorothy Sutton, biorąc na kolana bębenek do haftu. - Wiemy, wielebny, czytaliśmy. A że nas co niekiedy dziwi, to wybaczenie, ot, takie już nasze płocze i niedoskonałe niewieście przyrodzenie. Nie strofujcie nas już tedy, ale kontynuujcie opowieść. Rade byśmy posłuchać o tym, co się tam w Salem zdarzyło. Plotki i tu do nas, do Mischief Creek dochodziły, wszelako nie było nam nigdy dane słuchać ludzi tak mądrych i pobożnych.

Maddox sapnął, wyprostował się na ławie. Nie był pewien, czy jasnooka kpi z niego, czy też prawdziwie wyraża szacunek. Wreszcie zdecydował się na to drugie.

- W Salem, w hrabstwie Essex - wznowił opowieść - ludzie zbrodniczy i czarownicy uknuli znowę współ z szatanem. Gdyby nie czujność ludzi światłych, prawych i pobożnych, zło owo, niczym trąd, przeżarłoby serca i runęłyby kościoły... Noc zapadłaby nad światem. Wszystko zaczęło się zaś od Czarnej, Murzynki znaczy, pogańskie imię Tituba noszącej. Zaiste, dobrze rzekł ktoś, nie pamiętam, kto, ale był z Nowego Jorku, że z powodu tych pogańskich Negrów samo zło tylko nas spotyka i spotykać będzie. Niedobrze się stało, że oni tu z Afryki przybyli.

- W samej rzeczy. - Dorothy Sutton nawlekła igłę. - W rzeczy samej, nijak odmówić wam racji w tym punkcie, wielebny. Ani owemu światłemu mężowi z Nowego Jorku. Iście

kuźnia to mędrców, ów Nowy Jork.

- Tak jest, tak jest - pokiwała głową Jemima Tyndall. - Ja też słyszałam, jak ktoś, nie pamiętam jednak ani kto, ani skąd, mówił, że bardzo niedobrze się stało, żeśmy tych Afrykanów tu do nas zaprosili i przy płynąć im tu pozwolili.

Konstabl Corwin chrząknął głośno. Wuj William postrzykał śliną pod policzkiem, ale nie splunął, powstrzymany wyszorowaną i pachnącą białą podłogi. Maddox milczał przez chwilę, patrząc na chudą kobietę surowym wzrokiem.

- Kwakierstwem mi coś pośmiardujesz, niewiasto - przemówił po chwili, wolno i dobitnie wymawiając słowa. - Handel niewolnikami, wbrew temu, co kwakrzy plotą, dozwolony jest zarówno prawem ludzkim, jak i boskim. Mówi Pismo: będziecie potrzebowali niewolników i niewolnic, to będziecie ich brali od narodów, które są naokoło was. Herezję, że to proceder zły i grzeszny, wydumali kwakrzy, i będą za to potępieni. Ale ja o Negrach gadam i mówię, że Negrów tu nie chcemy. W Anglii dość jest ludzi, którzy zbłądzili, weszli w konflikt z prawem i winni to odpokutować. I nie w lochach się ich winno gnoić, ani, jakem słyszał, na wyspy żadne bezludne wywozić, jeno tu, do Kolonii, do nas i do Wirginii posyłać, tu im się trudzić ku społecznemu dobru i gwoli majątności przysparzania.

- Aaa - pokiwała głową Jemima Tyndall. - To jest różnica.

- Jest - Maddox nadal mówił, jakby kazał. - Jest, niewiasto.

- Za Czarnych słono płacić każę - wuj William znowu postrzykał śliną, ale nie splunął i tym razem. - A ptaszki z Newgate za darmo byłyby....

- Co chrześcijanin, to chrześcijanin - dodał konstabl Corwin. - Do Negrów zawsze czart ma przystęp, bo urodzeni w pogaństwie afrykańskim. Kto w diabelskim bałwochwalstwie i pośród czarów rodził się i wyrósł, z tego diabła tak łatwo nie wygonisz, choćby i wodą chrztu. Tituba z Salem przykładem.

- Właśnie - przypomniała Dorothy Sutton, klując bębenek igłą. - Tematu nie trzymamy się. Wróćmy do hrabstwa Essex, wielebny. Do Salem.

- Czarownictwo i przed Salem było - wyburczał milczący dotąd Abiram Thorpe. - Roków będzie z dziesięć, jak schwytano wiedźmę jedną... W Bostonie samym.

- Wiedźma Glover - cieśla Stoughton przełknął łyżkę fasoli, kiwnięciem głowy dał znać, że słyszał. - Powiesili ją. Uprawiała czarnoksiężski proceder, urok rzuciła na jednego

bostońskiego mularza...

- Johna Goodwina - najwięcej szczegółów, jak się okazało, znał sam wielebny Maddox. - Czarownica Glover dręczyła czarami mularza Johna Goodwina, jego żonę i dziatki jego, a to sposobem szmacianych kukiełek, nadzianych materią magiczną, kozią sierścią w głównej mierze.

- Ach! - dość przesadnie załamała ręce Annabel Prentiss. - Kozią sierścią! Straszne.

- Ta Glover - wykrzyknął konstabl - była, jak się wydało w śledztwie, Irlandką i papistką! Czart zawsze się papistów trzyma, gdzie papista, tam i czarta tylko patrz. Osobliwie tyczy się to prałatów ichnich sprzedajnych. Co złe, to przez papistów!

- No pewnie - powiedziała poważnie Dorothy Sutton.

- Na bezludne wyspy z nimi - parsknęła Jemima Tyndall, ale ścichła pod spojrzeniem rzuconym znad bębena. Dorothy Sutton obejrzała igłę, westchnęła.

- Mówcie, wielebny, mówcie. Słuchamy was pilnie.

- Szatan nie próżnuje - Maddox znowu przybrał pozę i minę kaznodziei. - Nie ustaje wodzić na pokuszenie. Kto słaby duchem i wiarą, próżny albo płochy, w pazurach diabelskich snadnie znaleźć się może. Zwłaszcza, miarkujcie to sobie, moje panie, białogłów to dotyczy.

Jemima Tyndall i Annabel Prentiss spuściły głowy i przeżegnały się jak na komendę. Pastor skinieniem i sapnięciem dał wyraz aprobachie.

- Diabeł - podjął - który do hrabstwa Essex niezawodnie z Murzynką Titubą przybył, znalazł był w Salem podatny grunt dla swego plugawego siewu. I wnet dał znać o sobie. W miesiącu lutym roku ubiegłego, to jest tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego drugiego, rozpoczął się horror. Kilka młodych dziewczeczek, wśród nich Elizabeth, córka wielebnego Parrisa, a z nią Abigail Williams, Anna Putman, Sara Vibber, Susan Sheldon i Mary Walcott zdradzać jęły objawy czarodziejskich napaści i opętań. Mówiły bez sensu i ładu, a ciała ich i oblicza najokropniejsze wykręcały paroksyzmy...

- Chryste Panie! - tym razem załamała ręce Jemima Tyndall, nie mniej przesadnie niż poprzednio Annabel Prentiss. Konstabl Corwin nie przestawał mierzyć obu złym wzrokiem.

- Nie pomogła na te konwulsje ni klistiera, ni krwi puszczenie - kontynuował Maddox,

nie zauważający niczego, bliski już, jak się wydawało, transu. - Ale dziewczeczki wyznały, kto je uroczy i dręczy. Aresztowano i wzięto na spytki czarną Titubę, ta zaś do paktu z diabłem przyznała się i wskazała innych do spisku należących. Wpierw Sarę Good.

- Sara Good! - tym razem wuj William nie zdołał się powstrzymać i soczyście napłuł na podłogę. Zaczerwienił się lekko i rozmazał plwocinę butem.

- Sara Good - usprawiedliwił się, chrząkając. - Czarcie nasienie. Najgorsza była to z nich wszystkich wiedźma. Miała w domu diabelskie stwory. Psa, ptaka dziwnego żółtego, takie coś kosmate i kota, który się zwał Tailrings. Nie kot to był, ale istna bestia jak tygrys wielka, ludojad z żelaznymi pazurami. Okropieństwo.

- Na miotle latała - dodał burkliwie Abiram Thorpe. - Na sabaty. Razem z tą... No... Akuszerką z Andover... Jak jej tam było...

- Marta Carrier - przypomniał ponuro konstabl. - A ta druga zwała się Nurse. Rebeka Nurse.

- Tematu - przemówiła łagodnym głosem Dorothy Sutton - nie trzymamy się, wciąż gubimy wśród dygresji. Wróćmy do Sary Good. Cóż więc było z ową? Czym zawiniła? Oprócz tego, że miała kosmatego psa, kota i kanarka?

- Sara Good - rzekł sucho Maddox - zaparła się, z diabelską widać pomocą, do niczego nie chciała się przyznać ani współników wydać. Na szczęście, jedna z tych wcześniej wymienionych dziewczeczek, cnotliwa Anna Putman, wyznała, kto zmuszał ją do diabelskich praktyk i kogo widziała latającego na czarcie sabaty, podczas których w nieopisanie obrzydliwy sposób drwiono z Sakramentów. Młodziutka Anna Putman...

- Oskarżyła, kogo tylko mogła - Dorothy Sutton uniosła bębenek, oceniła haft. - Zwłaszcza tych, którzy się jej kiedyś narazili.

- Oskarżyła winnych - Maddox znowu zmroził ją spojrzeniem. - Winnych, niewiasto! Tych wszystkich z hrabstwa Essex, którzy z Diabłem podpisali pakt i w ramach czarowniczych praktyk dręczyli i prześladowali ludzi, a na uwadze mieli obalenie porządku chrześcijańskiego i zaprowadzenie rządów Szatana nad całym światem. Sąd sprawę zbadał i rozpatrzył dowody, a dowody były niezbite. Winnych spotkała surowa, lecz sprawiedliwa i zasłużona kara. George Burroughs, Bridget Bishop, wzmiankowana Sara Good, Rebeka Nurse, John Proctor i małżonka jego Elżbieta, John Willard, Marta Carrier i dwoje jej potomstwa, Giles Cory i małżonka jego Marta... Zawieśli na szubienicy na Gallows Hill.

Zamilkł. W ciszy słychać było stuk młotków od strony budowanego spichrza. Potem rozległo się pianie koguta. Jemima Tyndall bawiła się nawijaną na palec wstążką. Piękna Annabel Prentiss założyła nogę na nogę i zalotnie kiwała obutą w sznurowany trzewiczek stópką. Cieśli Stoughtonowi, zauważył Jason Rivet, mało oczy nie wylazły, tak gapił się na zgrabną kostkę i odsłonięty kawałek łydki.

- Łącznie - przerwała ciszę Dorothy Sutton - dziewiętnaścioro powieszonych, dwoje zmarłych w więzieniu. I Giles Cory, którego wcale nie powieszono, lecz zakatowano, zgnieciono kamieniami na śmierć. Również i tu, na pustkowiu, docierają wieści. Ale słabo się tam starano, w Salem, słabo i marnie. W Starym Świecie jeden tylko biskup Bambergu posłał na stos sześćset kobiet. Właśnie, wielbny, czemu wieszaliście w Salem, miast palić? Wszak palić ludzi każe Biblia, gdy powiada: kto nie trwa we mnie, ten zostanie wyrzucony precz jak zeschnięta latorośl; takie zbierają i wrzucają w ogień, gdzie spłoną. A w innym miejscu: jak zbiera się chwast i spala ogniem, tak będzie przy końcu świata. Wrzucą ich w piec rozpalony; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów...

- Zamilcz, niewiasto - warknął pastor. - Zaiste, korzystamy z twej gościny, ale ścierpieć trudno, gdy ktoś, kto sam jest naczyniem grzechu, szermuje Bożym słowem. Czy ty wiesz, co to grzech? Grzechem, i to śmiertelnym, jest wątpić. I pobłażać. Bo w Piśmie, któreś tu wzorem papugi cytowała, i tak się powiada: rolą jest świat, dobrym nasieniem są synowie królestwa, chwastem zaś synowie Złego. Nieprzyjacielem, który posiał chwast, jest Diabeł; żniwem jest koniec świata, a żeńcami są aniołowie. Ale tu, na ziemi, my, duchowni i sędziowie, musimy na własne barki wziąć ten ciężar, my musimy tępić Zło i zwalczać Diabła, bo jeśli się zawahamy, runie Ład, a stanie się Chaos!

Dorothy, a za jej przykładem pozostałe kobiety chwyciły się za głowy, że niby to, co prawi wielbny, przeraziło je niesłychanie. Corwin prychnął, ale Maddox nie zwrócił na to uwagi. Kazał dalej.

- Trwa wojna! - krzyczał, czerwieniejąc. - Odwieczna wojna! Wojna z Diabłem, ale i z nieprzyjacielem ziemskim! Jesteśmy otoczeni przez wrogów! Na północy Francuzi, na południu papistowscy Hiszpanie, odwieczni nieprzyjaciele prawdziwej wiary! Jak się im oprzeć zdołamy, gdy zbraknie ładu? Nie zdołamy! Zatem ten, kto - jak czarownice - szerzy nieład i obala porządek, ten działa na kraju szkodę, zdrajca to, ręka w rękę idący z wrogiem! A jedna kara tylko jest dla zdrajcy - śmierć! Tak chce prawo, tak chce Bóg! A kto pobłaża zdrajcy i czarownicy, ten sam zbrodniarz i śmierć mu! Z wyroku ludzkiego, albo, gdy przed ludzkim umknie, boskiego! Pobłażających czarownikom Bóg pokarze, jak pokarał Achaba! Ale my klemencji nie okażemy! Dopadniemy zbrodniarkę bezecną! I sprawdzą się słowa Pisma, że psy będą żarły Jezabel pod murami Jizreel!

Za oknem pies zaskowyczał z dużym wyczuciem dramatyzmu. Potem znowu długo było cicho.

- Panowie wybaczą - Annabel Prentiss wstała, lubieżnym niemal gestem obciągnęła na sobie odzienie. - Obowiązki wzywają.

Gdy tylko wyszła, Maddox wzrokiem dał dość czytelny znak Abiramowi Thorpe. Zanim jednak myśliwiec zdążył odstawić kubek, zerwał się Adam Stoughton. Pastor przyzwalająco wzruszył ramionami, Abiram Thorpe westchnął z ulgą i przysunął sobie miskę z kukurydzą.

- Ja też... - ogłosił Jason Rivet, starając się zagłuszyć donośne burczenie w żołądku. - Ja też muszę...

Dorothy Sutton uśmiechnęła się po matczynemu.

- Za dom i na lewo, chłopcze. Nie możesz nie trafić.

* * *

Za niedługą chwilę Jason Rivet siedział już na wyslizganej desce z dziurą, mężnie zmagając się z reakcją organizmu na pierwszy od dwóch dni obfity posiłek, oganiał od much i przyglądał światu przez wyrżnięte w drzwiach serduszko. To jest jakaś dziwna osada, myślał, nawet wychodek jest tu jakiś dziwny. To może być jakieś zaczarowane miejsce, cieśla Stoughton nie był praw, gdy szydził ze mnie. Ciekawe, pomyślał, dokąd też poszedł cieśla Stoughton za piękną czarnowłosą Annabel Prentiss? Ciekawe, gdzie też jest i co porabia Izmael Sassamon? I czy coś wytropił?

* * *

Pierwsze ślady, na które natknął się Izmael Sassamon, wiodły od opłotków ku rzeczce. Indianin słyszał dobiegający znad wody stuk kijanek. Żadna z praczek nie mogła jednak być ściganą Hargraves. Hargraves utykała na nogę, Izmael napatrzył się już na ślad jej stopy, poznałby go nawet w nocy.

Skręcił za drewnianą szopę, wyszedł na warzywnik w szpalerze słoneczników. Wywęszył dym, szybko zlokalizował jego źródło - pasiekę. Dwie kobiety w kapeluszach

i siatkach, w tym jedna, sądząc z wzrostu, raczej dziewczynka, podbierały miód, okadzając brzęczące nad ulami pszczoły. Izmael przez chwilę obserwował pszczelarki, z obowiązku, dla zupełnej pewności. Wyższa była podobnej budowy co tropiona Hargraves. Ale, stwierdził po chwili Indianin, to nie była ona. Poruszała się inaczej.

Poszedł dalej. A za kolejnym opłotkiem, w otwartej drewnutni, natknął się na Faith Clarke. Matkę małej Verity.

Uklonił się, nisko spuścił głowę, chciał wyminąć kobietę, nie podnosząc na nią oczu. Gdy przechodził, chwyciła go za rękaw. Chciał się wyszarpnąć, nie pozwoliła. Indianin rozejrzał się płochliwie, przerażony nie na żarty.

- Nie lękaj się - powiedziała.

Łatwo ci mówić, Jengizko, pomyślał. Za coś podobnego, za o wiele niewinniejszy kontakt z białą kobietą przed dwoma laty wychłostano go bezlitośnie, do krwi.

- Nikt nas nie widzi i nie zobaczy - kobieta zdawała się czytać w jego myślach. - A ja chciałam zadać ci kilka pytań, biblijny Izmaelu Sassamon. Pierwsze brzmi: czy zdajesz sobie sprawę z faktu, że wcale nie nazywasz się Izmael Sassamon?

- Nie zdajesz - stwierdziła, gdy nie odpowiedział, gdy nawet nie drgnęła jego ciemna, grubo ciosana twarz. - A to, z jakiego pochodzisz plemienia, wiesz? Odpowiedz.

- Passamaquody.

Pośrodku drewnutni, wśród drzazg i wiórów, stał duży pień do rąbania drewna. Faith Clarke pochyliła się i położyła na nim kilka przedmiotów. Izmael Sassamon zadygotał. Wewnętrznie. Na zewnątrz nie dał najmniejszego nawet pozoru zaskoczenia.

Wampum z białych i purpurowych muszli. Trzy związane orle pióra. I pokomokon, kanciasta maczuga z twardego drewna.

- Interesujący to zaiste - ciągnęła kobieta, przypatrując mu się uważnie - i przykry zarazem zbieg losu, że to właśnie ty wysługujesz się jako pies gończy u potomka kaznodziei baptysty i prostytutki z East Endu, wyciągniętych z więzienia w Newgate, przemocą załadowanych na statek i wysłanych do Nowego Świata. Nie jesteś bowiem Passamaquody i imię twoje nie Izmael.

I tym razem Indianin nie dał poznać po sobie niczego.

- Nie jesteś Passamaquody i imię twoje nie Izmael - powtórzyła śpiewnie Faith Clarke. - Jesteś z rodu Łosi, z plemienia Wampanoagów, a zwiesz się Pokumtuk, syn Wahunsy, który był synem Ninigreta. Ta, którą uważałeś za matkę, ukryła twoje prawdziwe imię i pochodzenie, zataiła je, by nie dowiedziano się, że jesteś dzieckiem Menomini, siostry Metacometa, wielkiego sachema Wampanoagów. Tak, tak, tego samego, którego Jengizi nazywali Królem Filipem, przywódcę wielkiego powstania w roku tysiąc sześćset siedemdziesiątym piątym. Tego, czyje imię wciąż budzi wśród Jengizów strach. Które kojarzy im się z krwią i pożogą.

Eia ei ei, eia ei

Eia ei, ho oho ei

Ate, heie lo

Ate, heie lo

Nawet nie złowił momentu, w którym zaczął kołysać się i cicho śpiewać do wtóru.

- Drżycie, Jengizi! Nadciągają Wampanoagowie, idą Narraganseci, idą Naszuowie, idą wojownicy Nipmuków i Pequotów! Zemsta! Wytoczmy waszą krew, Jengizi, potopimy was w morzu, zza którego przybyliście, by ukraść nam ziemię, by mordować nas i zarażać chorobami. Zemsta! Dobry biały to martwy biały! Czy pamiętasz, Pokumtuku, synu Wahunsy? Miałeś tylko sześć lat, ale musisz pamiętać! Jak lała się krew Jengizów pod nożami i tomahawkami wojowników, jak pierzchali w popłochu, jak płonęły ich osiedla! Musisz pamiętać, jak ogień szalał na dachach domostw Swansea, Taunton, Middlefrantic, jak płonęły Brookfield, Hadley, Northfield, Deerfield, Medfield i Wrentham...

Eia ei ei, eia ei

akue-de, ate lo

aia-ku, eia ho

Ate, eia ho

- Płonęły - ciągnęła kobieta mówiąca już w języku, który Izmael zaczynał sobie z trudem przypominać - nie tylko ich domy. Ogień pożerał ich szkaradne angielskie nazwy. Przechrzczone przez Jengizów miejscowości oczyszczały się w ogniu, odradzały, stawały się na powrót tym, czym były: Opechancanough, Nonantum, Natick, Kiskimin, Pohkpopuk, Wapange, Massapequa, Muttamussimsack, Tawakoni, Lapowinsa....

Eia ei ei, eia ei

Eia ei, ate lo

Ate, heie lo

Ate, eia ho

- Rychło jednak runęły nadzieje, zwycięstwo zamieniło się w klęskę, a klęska w rzeź. Wielkiego sachema Metacometa, zwanego Królem Filipem, zdradziecko zamordował przekupiony przez Jengizów renegat. Twojego ojca, Wahunse, rannego Jengizi zakłuli szpontonami na Wielkich Bagnach Okeefenokee. Twojej prawdziwej matce, Menomini, córce Kinikwy, roztrzaskali głowę kolbą muszkietu. Weź wampum. Weź pokomokon. Weź i to.

Izmael Sassamon - Pokumtuk - zobaczył na pieńku tomahawk. I nóż, piękny, długi, ostry stalowy nóż, taki, jakimi handlowali niegdyś Holendrzy z Albany.

- Dobry Jengiz - powiedziała kobieta - to martwy Jengiz.

Eia ei, eia ei

Ate, heia lo

Eia ei, ate ho

Izmael Sassamon, wciąż tańcząc, rozpiął i zrzucił kaftan. Schenectady, myślał gorączkowo, nie żadne Albany. Nie Worcester, lecz Quisingamon, nie Belmont, Lynn i Arlington, lecz Pequoset, Saugus i Menotomi. I Shawmut, nie Boston. Precz z Bostonem.

Rozdarł i rozerwał na sobie koszulę. Precz z shirt. Precz z boots. Precz z breeches i stockings.

Ate, heia lo

Eia, eia ei...

Izmael Sassamon odradzał się i oczyszczał, pozbywając imion i nazw.

* * *

Adam Stoughton przysłonił oczy dłonią, na moment oślepiło go słońce. I tego momentu wystarczyło. Annabel Prentiss, czarnowłosa piękniejsza, którą śledził, znikła. Zwyczajnie znikła.

Postał chwilę, porozglądał się. Małomówni cieśle cudzoziemcy znikli z budowy. Teraz przy szkielecie wznoszonego spichrza ustawiono długi stół, krzątały się przy nim trzy kobiety. Dwie z nich, bardzo młode, czarniutką i jaśniutką, widział już. To były te dwie, które tak wpatrywały się w Jasona Riveta, gdy poprzednio chodził tu z chłopcem. Na werandzie pobliskiego domu, wśród pęków ziół, siedziała trzecia z tych, które już widział - ta korpulentna, paląca fajkę.

Zawrócił. Przez moment rozważał koncepcję powrotu do świetlicy, nie żeby posilać się czy słuchać pastora, ale by zdrzemnąć się, oparłszy plecami o bieloną ścianę. Ale nie zrobił tego. Z myśli nie schodził mu widok osio wciętej talii Annabel Prentiss. I zgrabnego tyłeczka, zarysów którego nie mogła zamaskować spódnica. Przystąpił z nogi na nogę i poprawił pludry w kroczu.

We wrotach stodoły błysnęła biel. Adam Stoughton dokładnie nie widział, co to było. Ale podejrzewał. Coś, jakaś nieodparta chęć, jakiś rozkaz czy mus kazały mu wejść. Jego podejrzenia były słuszne. Okazało się to natychmiast, gdy tylko wzrok przyzwyczaił mu

się do półmroku.

- Wiedziałaś - powiedziała Annabel Prentiss. - Wiedziałaś, że przyjdiesz za mną.

Cieśla przełknął ślinę, czując, że się czerwieni. Kobieta zaśmiała się, lekko, swobodnie, perliście. Stała wsparta o słup stodoły, zmysłowo przechylona.

- Ależ - zmieniła pozę na jeszcze bardziej zmysłową - nie ma się czego wstydzić, mój panie. To przecież normalne. Zwykle dążymy do tego, czego pragniemy, idziemy za czymś, do czego czujemy nieodparty pociąg. A ty przecież czujesz do mnie nieodparty pociąg. Przyznaj.

Cieśla nie przyznał. Annabel Prentiss zaśmiała się znowu.

- Czujesz, czujesz - zapewniła. - Widziałam, jak na mnie patrzyłeś. Rozbierałeś mnie wzrokiem. Jak przed sądem, gdzie sądzą za czary. Co? Panie stróżu prawa z Watertown? Przecież to standardowa procedura, postępowano tak w Salem i Andover, w Medford i Lynn, robiono tak w Charlestown, postępuje się tak samo przed sądami wszystkich innych miast i hrabstw Kolonii Zatoki Massachusetts. Nie mylę się, prawda? Sędziowie rozbierają dziewczynę do naga, gorliwie szukając na niej znaku, piętna, znamienia diabła. O, nie wątpię, że prawdziwie święty ferwor i zapal wstępują wówczas w czcigodnych panów sędziów! Pilnie patrzą, oglądają, zaglądają wszędzie, w każdy kąt i zakątek, pomagając sobie, gdy trzeba, poślinionym palcem. A jaka radość, gdy znajdują, bo wszakże zawsze coś się znajdzie! Prawda, panie obrońco ładu? Przecież sam widziałeś coś takiego, sam przy tym byłeś obecny.

Nim cieśla zdążył zareagować, Annabel Prentiss szybko rozpięła i zrzuciła kaftanik. Pod nim miała cienką bluzkę, zupełnie nie kryjącą kształtów. Bardzo atrakcyjnych kształtów. Stoughton z wysiłkiem przełknął ślinę. Wyjść stąd, pomyślał. Muszę natychmiast stąd wyjść, inaczej to może skończyć się źle. Ta baba to wariatka.

- Tak, byłeś obecny - powtórzyła Annabel Prentiss. - Byłeś świadkiem, gdy przed sądem hrabstwa Middlesex rozbierano Janet Hargraves. I dobrze wiem, co sobie wtedy wyobrażałeś. Wiem też, co sobie wyobrażałeś później, w nocy, gdy zamykając oczy spełniałeś obowiązek małżeński z twą ślubną żoną, która przez osiem lat trwania związku nie pozwoliła ci unieść koszuli powyżej tego, co absolutnie konieczne i nie inaczej, jak w zupełnych ciemnościach. Dlatego pojechałeś z pastorem i konstabłem, dlatego wziąłeś udział w pościgu. Prawda? Bo od kościstej żony w pokutnej koszuli do pięt miłszy ci i rozkoszniejszy grzech Onana, w mroku biwaku, z zaciśniętymi powiekami, pod którymi bezustannie widzisz nagą czarownicę.

Wyjść, myślał cieśla, czerwony jak burak. Natychmiast stąd wyjść!

Ale nadal nie był w stanie zrobić choćby kroku. Wytrzeszczał tylko oczy. Annabel Prentiss uśmiechnęła się. I wolno zaczęła rozpinać bluzkę.

- Myślisz - odgadła - że to czary, że magicznie czytam w twoich myślach? Nie muszę, twoje myśli są banalne, oczywiste i przejrzyste jak źródłana woda. Czytam i widzę każdą z nich, także tą, że ty nie wierzysz ani w czary, ani w czarownice. Ha! Takiś pewien swego? Lepiej nie ryzykuj, sprawdź, przekonaj się naocznie. I namacalnie. No, chodź tutaj do mnie. Zobacz. Dotknij.

Pod bluzką, już rozpiętą, był stanik na zdobionych koronkami ramiączkach. Adam Stoughton nigdy nie widział czegoś podobnego. Ale często sobie wyobrażał.

- Obejrzyj mnie dokładnie - Annabel Prentiss wyprężyła ramiona, dzięki czemu mocno odsłonięte półkule piersi jeszcze bardziej wystąpiły z objęć stanika. - Obejrzyj mnie wszędzie, cal po calu. Może zobaczysz na mnie znamię Bestii, klejmo Szatana. Może tu, między dwoma zwykłymi, zobaczysz trzeci sutek, ten, który na sabatach dają ssać Diabłu. Chodź. Zajrzyj. Dotknij.

- Lękasz się twego pastora? - Znowu odgadła, gdy nie uczynił ani kroku, ani ruchu. - Nie lękaj się. Gdy spyta, cośmy tu robili, powiesz, że czytaliśmy psalmy. I Pieśń nad Pieśniami. Chodź do mnie, o ty, którego miłuje dusza moja, wskaż mi, gdzie pasiesz swe stada, gdzie dajesz im spocząć w południe, abym się nie błąkała wśród stad twych towarzyszy.

Podeszła do niego tak lekko, że zdawała się płynąć na wietrze, nie dotykając stopami rozsypanej na polepie słomy. Cieśla stał jak słup, jak wykapana żona Lota.

- Połóż mię jak pieczęć na twoim sercu - zacytowała znowu, obejmując go - jak pieczęć na twoim ramieniu, bo jak śmierć potężna jest miłość, a zazdrość jej nieprzejeđnana jak Szeol.

Nie opierał się i nie protestował, gdy pociągnęła go na stertę siana. Pachniała mydłem.

- Wody wielkie - wyszeptała - nie zdołają ugasić miłości, nie zatopią jej rzeki. Ściągaj portki, mój panie.

Adam Stoughton wtulił twarz w jej czarne włosy. Ten szczeniak Jason miał trochę racji, przemknęło mu przez myśl. To nie są zwykłe kobiety, nie takie, jakie znałem i spotykałem. One wszystkie pachną mydłem, wszystkie, nawet mała Verity. Wszystkie

pachną mydłem, myślał, gwałtownymi ruchami rozedrganych dłoni szarpiąc haftki koronkowego stanika. Piersi Annabel Prentiss wyskoczyły spod tkaniny jak dwie żwawe, zuchwałe i agresywne bestie. Adam Stoughton zajęczał i wpił się w nie ustami i dłońmi, zbyt mocno może i zbyt gwałtownie, bo kobieta pacnęła go w czoło otwartą dłonią, zmytygowała. Sama zajęta była klamrą jego pasa i klinem pludrów, gdy poradziła sobie z zadaniem, gdy dotarła do sedna i zachłannie chwyciła owo sedno w garść, cieśla jęknął rozdzierająco i wyprężył się. Przez chwilę miał wrażenie, że to on jest dodatkiem do swej własnej męskości, a nie odwrotnie. Ściągnął czarnowłosej stanik i bluzkę z ramion, ściskając je, przywarł ustami do sutka twardego jak gutaperka, gładząc i miętosząc drugą pierś, zadarł spódnicę. Znowu był zbyt gwałtowny i Annabel Prentiss znowu go zmytygowała, tym razem silnym, naprawdę silnym ściśnięciem pięści i tego, co w niej dzierżyła. Adam Stoughton zawył i podkurczył kolana. Kobieta chwyciła go za barki, przewróciła na wznak - była silna i zdecydowana, nie zdołałby się jej chyba oprzeć nawet, gdyby chciał. Siedząc całym ciężarem na jego łydkach jednym szarpnięciem zdarła mu pludry. I skoczyła na niego. Jak pantera. Cieśla zawył jeszcze głośniejsze, ale nie mógł zrobić, przyparty do siana i zaklinowany jej udami i krocem. Annabel Prentiss pochyliła się i zajrzała mu w oczy, uśmiech odsłonił jej zęby. Uniosła się powoli, prawie do samego końca i kraju, powoli opuściła. Pochyliła korpus, obdarzając jego dłonie tym, czego pragnęły. Adam Stoughton zajęczał, ale tym razem już tylko z żądz i rozkoszy. Ruchy kobiety stały się opanowane, kontrolowane, spokojne - nie groziło mu już zmiażdżenie tego, co miał najcenniejsze. W jego skroniach i uszach krew tętniła i szumiała jak ocean.

Rychło - zbyt szybko - było po wszystkim. Annabel Prentiss nie zmieniała pozycji. Westchnęła tylko, zdmuchnęła z nosa źdźbło siana. Adam Stoughton żałował, że było po wszystkim. A za moment skonstatował, że nie tylko on żałuje. Skonstatowała to też kobieta.

- No, no - powiedziała nie bez przyjemnego zaskoczenia w głosie. - Nie pomyliłam się względem ciebie, stróżu prawa i ładu. Dobrze wybrałam. Bo jesteś mój. Wiesz już chyba, że jesteś?

Adam Stoughton nie skomentował ani o nic nie zapytał. Annabel Prentiss wytarła swędzący nos wierzchem dłoni, oburącz wzburzyła czarne włosy, wsparła się dłońmi o barki cieśli, mocniej ścisnęła go kolanami, uniosła się powoli i powoli opuściła, raz, drugi, trzeci, coraz szybciej i szybciej. Adam Stoughton jęczał i przewracał oczami, wodząc dłońmi po jej rytmicznie tańczących piersiach. Zapomniał o bożym świecie. Nic się już nie liczyło. Ani Janet Hargraves, ani pościg, ani wielebny Maddox, ani król, ani prawo i sądy Kolonii Zatoki Massachusetts.

Nic.

* * *

Dorothy Sutton nadal haftowała. Jemima Tyndall obserwowała pajaka, spuszczonego się po nitce z belki sufitu.

- Po Salem - podjął swą opowieść wielebny Maddox - dała ta diabelska zaraza znać o sobie i w Andover, i w Charlestown, i w Dorchester, także w Lynn, w Medford, w Roxbury, wreszcie zaś, w rok po salemskich incydentach, i u nas się pojawiła, w Watertown. Różne zagadkowe miały miejsce wydarzenia. Młode dziewczęta dostawały konwulsji i drgawek, przeróżne zgrozę budzące słowa wykrzykiwały w malignie. Kilka kobiet poskarżyło się na występującą u ich mężów niemoc członków męskich, niechybnie za sprawą uroków. Padło niebawem podejrzenie na Mary Hargraves, wdowę po marynarzu. Aresztowano ją i poddano śledztwu. Ale wiedźma do niczego przyznać się nie chciała.

- Mimo - Jemima Tyndall oderwała wzrok od pajaka - zastosowania mocnych perswazji?

- Oszczędź sobie sarkazmu, niewiasto - warknął konstabl Corwin. - Choć iście to dziwne, ale kilkakrotnie już udowodniłaś, żeś nie głupia, tedy głupiej nie udawaj. Dobrze wiesz, że tortur w śledztwie stosować nie wolno. Prawo tego zabrania. Nikt, ani w Salem, ani w Andover, ani nigdzie indziej nie torturował czarownic w śledztwie. Nikt nie torturował też starej Hargraves.

- I nie przyznała się do niczego. Prawda?

- Nie przyznała - przyznał ponuro Maddox. - Ale dowody były bezsporne. A złożone przed sądem zeznania nie pozostawiały wątpliwości. Wiedźmę Hargraves pogrążyły inne aresztowane czarownice. Zeznały pod przysięgą, że to Hargraves własnoręcznie przyrządzała z wytapianego z niemowląt smalcu maść do latania. Że to Hargraves na sabatach dawała im do podpisania Czarną Diabelską Księgę. Że brała od diabła i dawała innym ohydny świętokradczą komunię: czerwoną hostię i czerwone wino. Krew, znaczy.

- Niesamowite. Po takich zeznaniach Mary Hargraves oczywiście przyznała się?

- Nie - zacukał się konstabl. - Nie przyznała się i wówczas. Trwała w uporze. Wtedy aresztowano jej córkę, Janet Hargraves. Ta również początkowo nie chciała się przyznać. Dopiero później... Po tym, jak stara zmarła w więzieniu... Gdy skrupulatne badanie

wykryło u niej w kroczu znamię Diabła, gdy obciążyli ją wszyscy świadkowie, Janet wyznała winę. Była, jak jej matka, czarownicą.

- Ach. Niewiarygodne.

- Ale prawdziwe. Zapadł wyrok: śmierć przez powieszenie. Ale nim go zdołano wykonać, czarownica uciekła z więzienia. Niewiadomym sposobem, niezawodnie posługując się czarami. Wzięto w areszt dozorców, ci klną się, że nie wiedzą, co się z nimi działo, że wiedźma ich zauroczyła. Może to być, bo urodziwa jest...

- Urodą diabła - warknął Maddox. - Której ulec może tylko grzesznik. Ci, spod dozoru których czarownica zbiegła, odkupią ów grzech. Odkupią, a srogo. Już ja się o to postaram.

- Nie wątpię - kiwnęła głową Jemima Tyndall i wstała. - Raczą panowie wybaczyć. Obowiązki.

Pastor oczami dać znał konstablowi. Corwin kiwnął głową.

- Ano, idźcie, idźcie - powiedziała Dorothy Sutton. - My zaś tu sobie jeszcze z wielebnym pogwarzyemy. Bo ciekawa jestem takiej sprawy: podobno sam gubernator Kolonii, sir William Phipps...

Henry Corwin nie dosłyszał reszty, spiesząc do wyjścia za Jemimą Tyndall.

* * *

Przy szkielecie wznoszonego spichrza stał długi stół nakryty obrusem, krzątały się przy nim trzy kobiety, rozstawiając talerze i misy. Corwin zobaczył, że od strony rzeki wracają, zakończywszy ablucje, mężczyźni. Było ich wielu, piętnastu może, wśród nich zarówno cieśle z budowy, jak i drwale z wyrębu.

Odwrócił się szybko, zagapiony niemal zapomniał o kobiecie, którą miał śledzić. Jemima Tyndall nie znikła jednak, szła wolno, zatrzymując co i rusz i oglądając się, jakby sprawdzając, czy konstabl podąża za nią. Dobrze, pomyślał gniewny, jeśli to ma być zabawa, to zabawmy się obydwójce.

Ruszył w jej kierunku, ale po kilku krokach przystanął, przysłonił oczy dłonią, udał, że patrzy na dachy domów, na kołującego wysoko nad nimi jastrzębia. Kobieta skręciła za

węgieł domu, konstabl przyspieszył kroku, podbiegł nawet. Za domem stała duża szopa, zdążył jeszcze zobaczyć, jak drzwi chwieją się na zawiasach. Po chwili namysłu wszedł.

Jemima Tyndall była tam, stała w skośnej, gęstej od kurzu smudze światła, wpadającego przez dziurę w strzesze.

- Sam przyznałeś - przerwała obcesowo niezręczne milczenie. - Sam niedawno przyznałeś, że nie jestem głupia. Doceniam komplement, wiem, że niemało cię kosztował. Skąd więc teraz śmieszne mniemanie, że śledzona dokądkolwiek cię doprowadzę?

- Wcale nie liczę - odchrząknął - że dokądkolwiek mnie doprowadzisz.

- Na cóż więc liczysz?

- Są różne sposoby na dotarcie do prawdy.

- Są, zaprawdę - przyznała. - Stosowania większości z nich, zwłaszcza tych najbardziej skutecznych, zakazuje jednak prawo, sam niedawno mnie w tym względzie raczyłeś pouczyć. Chociaż tobie nie bardzo ten zakaz przeszkadzał w Watertown. Prawda?

- Ty dużo wiesz - warknął konstabl. - Naprawdę dużo. Chwalisz się tą wiedzą, starasz się postraszyć mnie nią, udając wieszczkę, wróżbiarkę czy magiczkę. Wiedz, że próżne to zachody.

Uśmiechnęła się. Ale nie był to uśmiech wesoły. Jej chuda, woskowa twarz nabrała przez to podobieństwa do trupiej główki.

- Wiem - potwierdziła - że próżny. Ty przecież nie wierzysz w magię i czary. Nie wierzyłeś w nie, fabrykując oskarżenie przeciw Mary Hargraves. Bo wszakże to ty sfabrykowałeś to oskarżenie, na fali płynącej z Salem mody. Jednych świadków przekupiłeś, innych nastraszyłeś, jeszcze inni dołączyli samorzutnie, radzi i szczęśliwi, że mogą komuś zaszkodzić. A w gruncie rzeczy szło przecież o majątek starej, o ziemię i gotowiznę, które zostawił jej mąż żeglarz.

- Ty - wycedził Corwin - trochę za dużo wiesz, babo.

- Ba, bardziej jeszcze cię zaskoczę. Tym, co twoim planom przeszkodziło, było, o dziwo, Salem właśnie. Salem było słynne i wszyscy, w tym i Mary Hargraves, wiedzieli, dlaczego podczas śledztwa zakatowano tam na śmierć Gilesa Cory. Przyznanie się do zbrodni jest warunkiem koniecznym orzeczenia konfiskaty mienia, albowiem confessio est regina probationum. Giles Cory majątek zapisał mężom córek, bezpiecznych daleko w

Wirginii. Zniósł tortury, nie przyznał się do bzdurnych zarzutów. Umarł, zamęczony, ale testowanego majątku nie można było odebrać. Zabrakło przyznania się do winy.

- Mów - Corwin odsłonił zęby w wilczym uśmiechu. - Mów dalej. Ja słucham pilnie.

- Choć schorowana, Mary Hargraves zniosła wszystko, co robiono jej w śledztwie. I umarła. Ale ty nie mogłeś dopuścić, by powtórzył się casus Gilesa Cory. W odróżnieniu od zięciów Gilesa Cory, spadkobierczyni Mary Hargraves była pod ręką. Jej córka, Janet. Można było zatem oskarżyć i ją. I znowu nie zabrakło świadków latania na miotle, przysięg na Czarną Księgę, całowania Diabła w odbyt, połykania czerwonej hostii, znowu znalazły się kukielki, te nadziane kozią sierścią i te z wbitymi szpilkami, znowu jakaś bogobojna żona nie miała wątpliwości, kto przyprawił jej małżonka o trwałe sflaczenie członka męskiego. A Janet Hargraves poddano w więzieniu w Watertown tym samym procedurom, co jej matkę. Nadal słuchasz pilnie?

- Cała twoja wiedza, babo - powiedział wolno konstabl - wbrew temu, co nachalnie starasz się zasugerować, nie bierze się z twej wielkiej i nadprzyrodzonej mądrości, bynajmniej nie. Wszystko, co wiesz, po prostu zasłyszałaś. O wszystkim ktoś ci opowiedział. Nie pytam, kto to taki, albowiem wiem, wyznania są mi zbędne. Wyznasz mi więc tylko, gdzie ten ktoś się skrywa.

- Tylko - powtórzyła drwiąco Jemima Tyndall. - Nic więcej? A jak, ciekawość, wyciśniesz ze mnie takie wyznanie? Zastosujesz te same metody, co wobec kobiet z Salem i Mary Hargraves? Pozbawisz mnie snu? Wody? Oszukasz obietnicą łaski? Zwiążesz na całą noc w kabłąk, piętami do szyi niemal, tak by rano krew strumieniami lała mi się z nosa? A może - jak Janet Hargraves - zwyczajnie zgnieciesz mi stopę za pomocą sznura skręcanego kołkiem? Och, konstablu, dziękuj twemu Bogu, że nie wolno mi cię skrzywdzić, przyczynić ci bezpośredniej szkody. Szkoda zaiste, bo wielką mam na to ochotę.

Corwin wolno podszedł do słupa, zdjął z haka zwój konopnego powroza.

- W odróżnieniu od ciebie, babo - powiedział, szarpnięciem sprawdzając moc sznura - ja po temu, by cię skrzywdzić, mam zarówno możliwość, jak i chęć. A że chęć szczera i mocna, toteż i krzywda będzie duża. W trzy pacierze wyśpiewasz mi wszystko, co wiesz. A nie, to ci stawy pokruszę.

- Spróbuj.

Gdy skoczył ku niej, wykonała tylko jeden mały krok w bok, odsłaniając małe drzwiczki w tylnej ścianie szopy. A w drzwiczkach stanął Izmael Sassamon. Konstabl ledwo go

poznał.

Henry Corwin był człowiekiem odważnym. Nie sparaliżowała go trwoga, a mało kto nie uległby trwodze na widok Izmaela Sassamona. Indianin był nagi, biodra tylko spowijała mu podarta, ściśnięta pasem koszula. Twarz, od czoła po podbródek, miał uczernioną węglem drzewnym, włosy związane w czub i udekorowane orlimi piórami, tors pokryty malunkiem z sadzy, gliny i czerwonej kory.

Henry Corwin nie uląkł się. Błyskawicznie wyciągnął spod surduta pistolet, odwiódł kurek i wypalił Indianinowi prosto w twarz. Ale Izmael Sassamon był nie mniej szybki. Odbił lufę, kula utkwiała w belce nad drzwiami. W kłębie dymu i sypiącego się z powały kurzu konstabl na moment stracił orientację. I już jej nie odzyskał.

Izmael Sassamon wyrzucił go w bok głowy pokomokonem. Konstabl zachwiał się, a Indianin poprawił takim ciosem, że chrupnęła i wgniotła się kość skroniowa. Corwin upadł, charcząc, wyprężone kończyny dygotały mu spazmatycznie.

Indianin ukląkł mu na plecach. Chwycił za harcapy. Wyciągnął zza pasa nóż, stalowy nóż, jakimi handlowali Holendrzy z Schenectady. Okrężnym cięciem przeciął skórę na czaszce konstabla, nad czołem, uszami i potylicą. Nigdy w życiu tego nie robił, ale poszło mu bardzo sprawnie.

Szarpnięcie, szybkie płaskie cięcie po ciemieniu, znowu ostre szarpnięcie. Konstabl zakrzyczał, zakrzyczał tak, że kurz ponownie sypnął się ze szpar dachu i ścian. Izmael chlasnął go nożem po grdyce. Potem zerwał się, potrząsając skalpem.

- Hiiih ei ei ei eeeieia hiiiiih!

Jemima Tyndall przyglądała się z uśmiechem, nadającym jej twarzy wygląd trupiej główki.

* * *

- To zaczarowana wieś... - wyjęczał Jason Rivet, cały rozdygotany po tym, co widział przez szparę między belkami szopy. - Po co myśmy tu przyjechali... To wszystko są czary...

- Nie bredź - warknął wuj William.

- Nie bądź głupi, chłopcze - szczechnął wielebny Maddox.

Jason ostrzegł ich w porę, już wszyscy byli na zewnątrz - pastor, Abiram Thorpe z muszkietem, wuj z garłaczem. Z przed domów, z werand, obserwowały ich kobiety. Milczące. Nieruchome jak słupy u podsieni.

Przy szkielecie stawianego spichrza, za długim stołem zasiadali mężczyźni. Jedli w ciszy, wolno unosząc drewniane łyżki. Nie interesowało ich nic. W tym i nadchodzący Izmael Sassamon, śpiewający, krzyczący, wywijający nożem i tomahawkiem, nagi, z uczernioną gębą, upapwany gliną, zbryzgany krwią.

- Ei eia eia ei, ei eia ei...

- Stój, Izmaelu! - ryknął pastor. - Imieniem Pana rozkazuję ci się zatrzymać! Izmaelu!

- Pal, Abiramie - syknął William Hopwood, widząc, że Indianin nie tylko nie zamierza się zatrzymać, ale wręcz podrywa do biegu. - Pal! Poślemy go do diabła! Poślemy do diabła Czerwoną Skórę!

Jednocześnie pociągnęli za spusty. Garłacz Williama Hopwooda zasyczał, zasmrodził i zadymił palonym na panewce prochem. Muszkiet traperza szczechnął tylko metalicznie.

- Chryste... - jęknął Abiram Thorpe, patrząc na puste szczęki kurka. Nie było skałki. Musiała wypaść spod obluzowanej śruby. - Chryste!

William Hopwood drżącymi rękami sięgnął po prochownicę. Abiram miał już czas na to tylko, by porwać muszkiet za lufę i zawinąć nim, wymierzając straszliwy cios w głowę atakującego Izmaela. Indianin zwinnie zanurkował jednak pod kolbą, ciosem na odlew wbił mu nóż w brzuch, a gdy traper zgiał się wpół, potężnym uderzeniem tomahawka rozwalił mu czaszkę.

- Izmaelu! - wrzasnął Maddox. - Opamiętaj się, szaleńcze!

William Hopwood upuścił garłacz, wymierzył z pistoletu. Izmael Sassamon zawirował i cisnął tomahawkiem, toporek trafił wuja prosto w rękę trzymającą broń, odbił się, uderzył w twarz. Wuj William siadł ciężko, a pistolet wypalił. Pastor charknął dziwnie i zatoczył się, na białym kołnierzu wykwitła wielka plama krwi. Nadaremnie usiłując uchwycić się słupa, wielebny Maddox runął na schody. Jason Rivet skulił się pod płotem.

Izmael Sassamon schylił się nad ciałem Abirama Thorpe'a, chwycił go za opryskane mózgiem włosy. William Hopwood, rękawem tamując lejącą się z twarzy krew, podsypał

jakoś panewkę garłacza, odwiódł kurek i władował w Indianina pół funta siekańców.

Izmael poleciał do tyłu, runął, wzniecając chmurę pyłu. William Hopwood zaryczał dziko i triumfalnie, odrzucił garłacz, dobył noża, dopadł powalonego Indianina w trzech skokach, ucałił za związane w czub włosy, ciął, wciąż rycząc, nad uchem, krew trysnęła mu na ręce i twarz. W euforii skalpowania na nóż, który Izmael miał w ręku, zwrócił uwagę dopiero wówczas, gdy klinga wbiła mu się w brzuch. Indianin mocno szarpnął nóż ku górze, William Hopwood zaskrzeczał makabrycznie, rzygnął krwią. I upadł.

Izmael wstał. Jason Rivet zakrzyczał cienko, kuląc się do ziemi. Indianin obrócił głowę, dziwnie ją przekrzywiając. I dostrzegł go. Jason zakrzyczał znowu.

Siekańce wybiły Izmaelowi jedno oko, rozwalily policzek, urwały ucho, zamieniły bark i tors w krwawą papraninę zwisających ochłapów. Mimo tego Indianin stał pewnie na nogach. Nie spuszczając z Jasona jedyne go oka schylił się, chwycił wuja Williama za włosy.

Jason Rivet zawył ze zgrozy. Izmael Sassamon potrzęsnał skalpem. Krzywiąc pokaleczoną twarz chciał wznieść okrzyk wojenny Wampanoagów. Nie zdołał. Tuż za plecami Jasona huknęło, a pół głowy Indianina znikło w czerwonej eksplozji.

Pastor opadł na schody, dymiąca króćca wysunęła mu się z palców. Cały kołnierz i cały przód kaftana miał już zupełnie przesiąknięty krwią. Jason Rivet popęzł ku niemu. Wśród ogarniającej go trwogi i beznadziei widział na progach domów i werandach kobiety, nieruchome jak posągi, jak kariatydy. Widział mężczyzn za długim stołem, obojętnych, wolno unoszących łyżki. Czary, myślał gorączkowo, to czarna magia, to są czarownice, to jednak ja miałem rację, przyjechaliśmy tu na naszą własną zgubę...

- Wielebny... To są... czarownice...

John Maddox zatrząsł się spazmatycznie i rozkaszał, opluwając Jasona krwią. Jego oczy - do tej pory upiornie świecące samymi białkami - oprzytomniały nagle i znormalniały, stały się złe i wrogie. Skarci mnie, pomyślał Jason, nawet umierając mnie skarci. Wielebny zacharczał.

- Uciekaj stąd... chłopcze - ledwie zrozumiałe skarcił Jasona. - Rusz się.... Nie mitręż...

Jason uniósł się z kolan. Rozejrzał. Otarł twarz, rozmazując na niej krew pastora. I rzucił się do ucieczki. Między domy, za wychodek, z którego, jak wiedział, blisko już było do rzeczki, łozy i lasu.

Nie zdołał zrobić nawet trzech kroków.

Nagle poczuł się tak, jak gdyby u każdej z nóg miał stufuntowy ciężar, a na plecach kamień młyński. Ubity grunt przeobraził się niespodzianie w grząski i ciągliwy szlam, w bagnisko, w które chłopiec zapadł się powyżej kolan. I tkwił tak, schwytany, unieruchomiony i bezradny jak owad w lepkim wnętrzu drapieżnej orchidei.

Strach sparaliżował go tak, że nie mógł nawet krzyczeć.

- Brawo - usłyszał głos Dorothy Sutton. - Bardzo dobrze, panno Patience Whitney. Znakomicie rzucony czar, panno Ellen Bly. Chwalę panny.

- Ja złapałam go pierwsza! - wrzasnęła Patience Whitney, ta czarniutka, chwytając Jasona za rękaw. - Zostaw go, Ellen!

- Wcale że nie! - cienko odwrzasnęła Ellen Bly, ta jaśniutka, łapiąc za drugi rękaw. Chłopiec zawisł niemal, rozkrzyżowany między nimi. - To ja złapałam go pierwsza!

- Akurat! Puszczaj!

- Sama puszczaj!

- Spokój, spokój, moje panny - ostro zmiętygowała obie Dorothy Sutton. - Złość piękności szkodzi. I nie ma co skakać sobie do oczu o zdobycz, bo zdobycz nie wasza. Chłopaka dostanie pani Hypatia Harlow.

- Dlaczego? - rozdarła się Patience Whitney. - Z jakiej racji niby?

- Ona już ma jednego! - zawtórowała piskliwie Ellen Bly. - Ma już Adriana van Rijssela! Dlaczego więc Hypatia...

- Dlatego - ucięła Dorothy Sutton - że Hypatia ma potrzeby.

- My - zawyła Patience Whitney - też mamy!

- Wy z waszymi jeszcze możecie się wstrzymać - powiedziała Dorothy sucho. - Albo zaspokoić je w sposób, który wam, smarkulom, jeszcze przystoi, a kobiecie dojrzałej nie. I dość mi już o tym. Hypatio! Pozwól. Jak mawiał zmarły przed chwilą pastor Maddox, cytując Leviticus: będziecie potrzebowali niewolników, to będziecie ich brali od narodów, które są naokoło was. Więc bierzemy. Weź sobie tego młodzieńca, Hypatio. Darowuję ci go.

- Dziękuję, Dorothy.

Szczękający zębami Jason Rivet poczuł zapach mydła, ziół i tytoniu. Obrócił głowę. Zobaczył tę korpulentną, wesołą, tę, która paliła fajkę, gdy razem z cieślą Stoughtonem chodził po osadzie. Zobaczył jej pulchną dłoń, jej palce sięgające ku jego powiekom. Zaciśnął je. Poczuł dotyk. W głowie mu rozbłysło, w uszach zaszumiało. Jego wola pękła, rozleciała się jak stłuczona farfurka, a świadomość pogrzyżyła się w miękkim, ciepłym i obojętnym na wszystko niebycie.

- Jesteś mój - oznajmił władczy głos. - Chodź.

Uśluchał rozkazu. Myśl, że odtąd już zawsze tak będzie, była jedną z jego ostatnich w miarę trzeźwych myśli.

Patience i Ellen przypatrywały się ponuro, fukając, mruczając i mamrocząc złorzeczenia. Dorothy Sutton rozejrzała się.

- Trzeba - powiedziała - usunąć stąd te doczesne szczątki, Jemimo. Gdzie jest Annabel?

- Jestem tu.

- Oho! Nie próżnowałaś, widzę. Zadbalaś o siebie.

- A jakże - Annabel Prentiss z dumą spojrzała na pustookiego Adama Stoughtona, idącego za nią sztywno i posłusznie niczym piesek. - Kawał chłopca, prawda? Przystojny. I jurny, że ha!

- A my? - zawyła znowu żałośnie Patience Whitney. - A my kiedy?

- Następnym razem - zawyrokowała Dorothy Sutton. - Annabel, czy ten stronnik prawa i króla już całkiem pod urokiem? Opanowany? Niespodzianki nie robi?

- Nie robi - zapewniła Annabel Prentiss.

A Adam Stoughton pokazał jej, jak bardzo się myli.

Pchnął ją tak silnie, że z impetem usiadła na ziemi, prosto pod nogami Jemimy Tyndall. Cieśla zaś rzucił się do ucieczki. Sadził chyżo środkiem uliczki, wśród szpaleru zaskoczonych kobiet. Przemknął obok mężczyzn, znieruchomiałych z łyżkami w dłoniach, zamarłych, zastygłych za długim stołem jak tableau, iście niczym parodia Ostatniej Wieczery.

- Zatrzymać go! - krzyknęła Dorothy Sutton.

Jemima Tyndall uniosła obie ręce, wykonała nimi gest, jak gdyby odpychała od siebie coś niewidzialnego a ciężkiego zarazem. Adam Stoughton wywalił się, pokulał po ziemi w obłoku kurzu, ale zaraz zerwał się, w kilku susach dopadł zielonej dwukółki Frances Flowers, wskoczył na kozioł, porwał bat.

- Jaaaaaaaa-haaaa!

Spłoszony wrzaskiem i chłasnieniem bata po zadzie srokaty ogierek z impetem wyrwał do przodu, zaś ścigające cieśnię kobiety aż przysiadły i skurczyły się pod gradem żwiru, strzelającym spod kopyt. Dwukółka przez moment leciała za koniem, nie dotykając ziemi kołami, potem opadła, podskoczyła na wyboju na sążeń w górę. Uczepiony lejców Adam Stoughton przez chwilę wisiał w powietrzu, zdawało się, że wyleci. Ale nie wyleciał. Wrzasnął, jeszcze raz smagnął srokacza batem, dwukółka pomknęła ku lasowi jak wyścigowa kwadryga.

I byłby cieśla Adam Stoughton uciekł, gdyby nie miała Verity Clarke.

Verity szła skrajem pola kukurydzy, niosąc w czułym i mocnym objęciu rudego kota. Kot rozcapierzał łapy i nie wyglądał na zachwyconego, ale mężnie i godnie znosił czułości. A gdy dwukółka i Adam Stoughton pędzili opodal, Verity upuściła kota, wycelowała palec w wehikuł i świdrująco krzyknęła. Z piasty koła deszczem sypnęły się iskry, buchnął dym i ogień. Srokaty ogier stanął dęba, dyszel i orczyca pękły z trzaskiem, szleje zerwały się. Dwukółka wyleciała w górę jak kometa z ognistym ogonem i gruchnęła o ziemię, z nieopisanym łoskotem rozlatując się w drzazgi.

- Ja nie tak chciałam! - rozbrzmiał w ciszy cienki i żalorny krzyk Verity Clarke. - Wcale nie tak! Ja chciałam tylko zatrzymać kółko! Przepraszam!

Kilka kobiet poszło w tamtą stronę. Dorothy Sutton czekała, aż wróć, skrzyżowawszy ręce pod piersiami. Z miejsca wiedziała, z czym wracają.

- Niestety - potwierdziła obawy Frances Flowers. - Nie żyje. Skręcił kark. Szkoda.

- Szkoda - powtórzyła przez zaciśnięte zęby Annabel Prentiss.

- Szkoda - przyznała rzeczowo Jemima Tyndall. - Tylko on, pastor i chłopak byli w miarę wartościowym materiałem prokreacyjnym. Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Z tym dzieckiem należałoby jednak porozmawiać. Poważnie porozmawiać.

- Uczynię to - zapewniła Dorothy Sutton, po czym odwróciła się w stronę stołu, przy którym mężczyźni, znudzeni apatycznym przyglądaniem się, wznowili posiłek. Jak gdyby nic się nie stało.

- Frances, zrób tu porządek.

- Tak, oczywiście. Panie Adrianie van Rijssel!

- Tot Uw dienst, juffrouw.

- Proszę - rzekła władczo Frances Flowers - usunąć z drogi resztki dwukółki. Proszę schwytać konia. Proszę zabrać stąd trupy. Proszę zanieść je do lasu i przybić do drzew. W zwykłej odległości od osady. Czy zrozumiał pan?

- Ja, juffrouw.

- Lepiej idź z nimi, Frances - poleciła Dorothy Sutton. - I sama dopilnuj wszystkiego.

- Dobrze.

- Verity! Chodź tu do mnie. Zostaw tego kota i chodź tu, moja panno. Prędziutko!

- Idę, babko!

Szły wolno między domami. Dwie kobiety. Stara i otyła, w czarnej pelerynie i czarnym kapeluszu z klamrą, trzymająca za rękę drepzczącą u jej boku młodą w niebieskiej sukience.

- Babko, ja naprawdę nie chciałam...

- Nic nie mów.

Na progu jednego z domów stała Faith Clarke. W towarzystwie młodej kobiety o jasnych włosach. Jasnowłosa ukloniła się.

- Nie ma już - powiedziała poważnie Dorothy Sutton - żadnych powodów do obaw. Przeminięły. Jesteś bezpieczna, Janet Hargraves.

- Dziękuję - Janet Hargraves dygnęła niezgrabnie, widać było, że noga wciąż sprawia jej kłopoty. - Dziękuję. Nie wiem, jak się odwdzięczę...

- Nie musisz się odwdzięczać.

Janet Hargraves dygnęła znowu. Bez słowa. Dorothy Sutton przyglądała się jej. Badawczo. Ale życzliwie.

- Miałaś szczęście - powiedziała wreszcie poważnie. - Miałaś cholernie dużo szczęścia. Ze mną było kiedyś podobnie, w tysiąc sześćset czterdziestym, gdy złapali mnie w Reading i pławili w Tamizie. Też miałam szczęście. Może było pisane, że kiedyś ja kogoś uratuję, że komuś pomogę w ucieczce. Tak, jak mnie pomogła wówczas Agnes Simpson.

- Później zdecydujemy - dodała - co z tobą począć, nasza siostró. Wspólnie zdecydujemy. Na razie mam co innego na głowie. Zajmij się nią, Faith.

- Oczywiście.

Słońce chyliło się ku zachodowi, czerwieniejącą powoli kulą wisiało już nad ścianą lasu, gdy dwie kobiety, stara i młoda, wspięły się wreszcie na szczyt wzgórza wznoszącego się nad osadą, w zakolu Mischief Creek. Stały, milcząc, wpatrzone w horyzont.

- Mocy, którą nam dała Bogini - odezwała się wreszcie stara czarownica - winneśmy używać, by pomagać, ratować i leczyć. Mocą, którą mamy, winneśmy ulepszać świat. Dlatego musimy umieć mocą naszą rozporządzać rozsądnie. A rozsądnie to znaczy praktycznie i pożytecznie. Mocy nie wolno trwonić. Czy pojmujesz, co mówię, panno Verity Clarke?

- Pojmuję.

- Jak to więc jest, że ty, moja panno, wiecznie trwonisz moc na zabawki? Na rzeczy niepraktyczne? Na mechanizmy? Maszynki? Kółka i kółeczka?

- Już przepraszałam za tę dwukólkę - naburmuszyła się młoda czarownica. - Już mówiłam, że mi przykro i że nie chciałam... A tak w ogóle... To...

- To co?

- Właśnie, że maszyny i kółeczka są praktyczne. I wehikuły, które jeżdżą po drogach. Kiedyś nadejdzie taki czas...

- Spójrz, Verity - przerwała jej stara czarownica. - Spójrz tam i powiedz mi, co widzisz.

- No... Lasy.

- Właśnie. Lasy, tylko lasy, od Cape Cod po Luizjanę, od Florydy po Kanadę, nic, tylko dzika, gęsta, nieprzebyta puszcza. To jest Nowy Świat. To jest Ameryka! Tutaj nie ma i nigdy nie będzie dróg, po których mogłyby jeździć jakieś wehikuły czy maszyny. Tu, w Ameryce, takie rzeczy jak maszyny i wehikuły po prostu nie mają przyszłości. Nie mają żadnej przyszłości, Verity. Dlatego my, czarownice Ameryki, nie możemy na żadne wehikuły czy maszyny trwonić czasu.

- Ale...

- Żadne ale. Koniec z mechanizmami. Zrozumiałaś, moja panno?

- Zrozumiałam.

Nad sięgającymi od Cape Cod po Luizjanę i od Florydy po Kanadę lasami białł cienki sierp księżyca. Nad głowami czarownic bezszelestnie przeleciał lelek.

- Kiedyś - łagodnie przerwała milczenie Dorothy Sutton, gładząc kasztanowate włosy Verity Clarke - kiedyś będziesz miała córki, moja panno. Córki, następne pokolenie amerykańskich czarownic. Ważne jest, by Moc, którą im przekażesz w dziedzictwie, była mocą prawdziwą i pożyteczną. Nie chciałabyś chyba, by jedynym, co twe córki umieją, było psucie jeżdżących wehikułów? Nie chciałabyś tego, prawda? Dlatego musisz się uczyć. I wyzbyć złych nawyków.

- Tak, babko. Rozumiem.

- Wracajmy więc. Zgłodniałam bardzo.

- Oooo, i ja też!

Wolno schodziły po zboczu, wśród ostów i wysokich traw. Schodziły ku osadzie, smacznie pachnącej dymami z kominów.

- Babko?

- Słucham.

- Czy dla mnie, jak dorosnę, też złapiemy męża?

- Oczywiście.

- A jak żaden nie przyjdzie?

- Zawsze jacyś przychodzą, Verity. Zawsze.

W dole, wśród wiązów, połyskiwał srebrem nurt Mischief Creek.